

ZESZYT CZTERDZIESTY PIĄTY

ZESZYTY  
HISTORYCZNE

INSTYTUT  
PARYZ



LITERACKI  
1978



ZESZYT CZTERDZIESTY PIĄTY

ZESZYTY  
HISTORYCZNE

INSTYTUT  
PARYZ



LITERACKI  
1978

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 296

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Gracjan JAWOROWSKI

## NIEZNANA RELACJA O GROBACH KATYŃSKICH

Gracjan Jaworowski, ur. w r. 1903 w Osipówce na Podolu, zm. 26 listopada 1973 pod Warszawą, był w okresie międzywojennym oficerem KOP'u. 17 września 1939, zmobilizowany po uprzednim przeniesieniu do rezerwy, zdołał uniknąć niewoli sowieckiej, podobno dzięki wczesnej zmianie munduru oficerskiego na ubranie cywilne. W okresie okupacji pracował w Zarządzie Głównym PCK w Warszawie, z wiedzą i aprobatą Delegatury Rządu R.P. w roku 1943, zgodnie z zaleceniami Delegatury, brał udział w tzw. drugiej polskiej komisji katyńskiej. Pod koniec życia sporządził na ten temat krótką relację, która w niewiadomy sposób została przekazana na Zachód. Dopiero w ostatnim okresie tekst tej relacji dotarł do naszych rąk. Publikujemy ją jako dokument wnoszący do sprawy Katynia pewne dodatkowe informacje. Gracjan Jaworowski uniknął szczęśliwie prześladowań UB i SB w PRL, pracował po wojnie w zawodzie apolitycznym, zmarł w skutek choroby nowotworowej. (Red.).

W czasie okupacji, w roku 1943, pracowałem w Zarządzie Głównym PCK w Warszawie. W maju 1943 roku wezwany zostałem do wzięcia udziału w komisji polskiej, która miała zbadać odkryty niedawno teren masowego mordu w Katyniu koło Smoleńska. Sprawa ta, poza jej ogólnym znaczeniem, interesowała mnie również osobiście. Wśród moich szwagrów dwóch znalazło się w roku 1939 w obozie jenieckim w Kozielsku, m.in. Szyszko, od którego ostatnią kartę pocztową — zawierającą m.in. słowa: „niedługo się zobaczymy” — otrzymaliśmy w kwietniu 1940 r.

Wyjazd w stronę Smoleńska nastąpił 6 lub 7 maja 1943 roku. Tworzyliśmy drugą już komisję polską, udającą się w tamte strony. Samochodami przewieziono nas na lotnisko wojskowe, otrzymaliśmy tutaj śniadanie, potem nastąpił odlot. W samolocie znaleźli się także dziennikarze z państw sprzymierzonych z Rzeszą, m.in. Bułgar. Lecieliśmy bardzo nisko, 200-300 m.

nad ziemią. W Mińsku samolot wylądował, a potem wystartował w stronę Smoleńska. Pogoda w Smoleńsku była chłodna, na polach leżały jeszcze szczątki śniegu.

Nocowaliśmy w Smoleńsku. Po śniadaniu wyjazd samochodami w stronę Katynia. Zakwaterowano nas we wsi Katino, około 3-4 km. od miejsca zbrodni. Szosą wieziono nas następnie w stronę osławionego lasu. Z szosy skręt, młody las, brama. Porośnięte młodym lasem wzgórza nachylały się ku Dnieprowi. Zastaliśmy liczne rozkopane groby, szeregami ułożone, wydobyte z ziemi zwłoki.

Prace ekshumacyjne odbywały się pod nadzorem żandarmerii niemieckiej i także jakiejś formacji żandarmerii polskiej. (W skład jej wchodził młodzi ludzie, głównie ze Lwowa, w mundurach niemieckich, lecz bez herbów niemieckich na czapkach. Mówili dużo o zbrodniach we Lwowie 1939-1941). Na terenie ekshumacji znajdowało się około 70-100 osób.

Prace ekshumacyjne prowadził dr Wodziński, skądinąd wyraźny narkoman. Towarzyszyło mu dwóch pomocników — prosekatorów, człowiek starszy i młody. Obaj zachowywali się nieciekawie, grabili zwłoki, m.in. oddzielali nawet zelówki z butów pomordowanych. Z naszej grupy oprócz mnie przystąpiło do pracy jeszcze czterech innych Polaków, przybyłych z Warszawy.

Komisja otrzymała do pomocy młodych Rosjan z okolicznych wsi. Zachowywali się oni bardzo powściągliwie i unikali wyrażania własnych opinii lub ujawniania informacji.

Stary Kisielow mówił stosunkowo dużo. Opowiadał, że wiosną 1940 roku w lesie tym rozlegały się często strzały. Przy skręcie z szosy w stronę miejsca mordu stał zawsze słup, z ostrzeżeniem w języku rosyjskim, głoszącym, że w tym miejscu nie wolno nikomu się zatrzymywać.

W pobliżu brzegu Dniepru wznosiła się willa, właściwie przyzwoicie urządzone pałacyk. Od miejsca zbrodni dzieliło ten budynek mniej więcej 200-250 m. Otrzymaliśmy tam posiłek, tam też jadalśmy później.

Gdy zbliżyliśmy się do odkopanych grobów, zwrócono mi uwagę na ekshumowane zwłoki gen. Smorawińskiego. Na palcu miał jeszcze pierścionek z brylantem, nie został przed śmiercią ani po śmierci obrabowany.

Gdy przystąpiliśmy do prac ekshumacyjnych, starałem się m.in. stwierdzić, czy wśród ofiar znajduje się ktokolwiek z obozu w Starobielsku. Nie znalazłem nikogo takiego. Wszyscy byli jeńcami Kozielska. Przy każdym zwłokach znajdowała się mała kartka pisana ołówkiem, z nazwiskiem jeńca i kolejnym numerem. Liczby te nie przekraczały nigdy cyfry 4200-4300.

Jeżeli chodzi o stosunki z Niemcami, to muszę stwierdzić, że komendant placu Słowenczik zachowywał się przyzwoicie. Drugi z oficerów niemieckich, nie pamiętam niestety jego nazwiska, był przesadnie rygorystycznym służbistą, często utrudniał nam pracę.

W grobach zwłoki ułożone były warstwami, do 12 warstw w każdym. Znaleźliśmy ślady dobijania ofiar już leżących w grobie, dodatkowymi strzałami. Zwłoki były w bardzo złym często stanie. Przy wyjmowaniu z dołów często urywały się ręce lub głowa ofiary. Jednakże w większości wypadków dystynkcje wojskowe i odznaczenia były doskonale zachowane. Starannie badaliśmy kieszenie ofiar. Często znajdowały się w nich luźne papiery. Także papierosy, machorka, wśród papierosów pieczołowicie zachowane polskie sprzed wojny, ryngrafy, medaliki. Były także kosztowności, dowód, że jeńców przed mordem nie rabowano, znaleźliśmy przy jednych zwłokach 20 dolarów. Złote zęby ofiar były z reguły nie naruszone.

W grobach nachylonych bliżej Dniepru, gdzie gleba była mokra, rozkład zwłok następował prędzej, często były już zmieni-  
nione w cuchnącą mazię.

Obuwie było czasami wiązane szmatami lub taśmami od karabinów, z reguły jednak w dobrym stanie.

Wydaje się prawdopodobne, że niektórzy z mordowanych stawiali czynny opór. Odnaleziony przeze mnie kolega, znany mi dobrze Stanisław Wykpiś, człowiek potężnej budowy, miał ręce związane sznurem do tyłu i na szyi zaciśniętą pętlę.

Znalazłem w grobach sporo znajomych. M.in. były tam zwłoki Bugajskiego, naczelnika Wydziału Więziennictwa w Ministerstwie Sprawiedliwości, który przebywał początkowo w Ostasz-  
kowie, ale został przewieziony do Kozielska. Wśród ofiar byli także funkcjonariusze polskiej Służby Granicznej.

Przy zwłokach — pamiętam — znajdowaliśmy często dzien-  
niczki, notatki, zapiski. Miał je przy sobie kapelan z pułku KOP-u, gdzie swego czasu odbywałem służbę. Znajomy mój Borowicz miał przy sobie dobrze zachowany portfel, notatki z czysto zachowanym pismem, list i fotografię żony, sporo do-  
kumentów.

Odczytywaliśmy te dokumenty między sobą. Pamiętam lek-  
turę odnalezionego dzienniczka majora Solskiego, w formie notesu z krótkimi zapisami. Z notatek zachowanych przy zwłokach wynikało wyraźnie, że wszyscy spodziewali się wyjazdu „na za-  
chód”. Przy jednej z ofiar znaleźliśmy nie wysłane podanie, adresowane do Komisariatu „Innostrannyh Dieł”, z prośbą, aby

nie wysyłać go „na zachód” — rozumiał zapewne przez to teren okupacji niemieckiej — lecz skierować do Szwajcarii, aby tą drogą mógł się przedostać dalej i nadal walczyć z hitlerowcami.

Przy zwłokach znajdowaliśmy także kawałki chleba, liczne były rozliczenia z gry w brydża i w pokera. Ze znalezionych śladów mogę sądzić, że przynajmniej niektórzy z jeńców byli w obozie w Kozielsku odwiedzani przez członków swoich rodzin. Często trafiały się przy zwłokach banknoty polskie.

Dokumenty zachowane przy zwłokach jednego z lotników wskazywały, że oficer ten już dnia 4 września 1939 roku przeleciał swym samolotem granicę polsko-radziecką, lądował po tamtej stronie i oddał się w ręce władz radzieckich.

Miejscowa ludność rosyjska lękała się mówić. Ludzie ci byli zresztą traktowani przez Niemców bardzo pogardliwie. Jednakże z opowiadań tych, których udało się nakłonić do wypowiedzi, dzięki naszym prośbom, wynika, że ofiary przywożono na miejsce zbrodni w wagonach kolejowych do stacji Gniezdowo, partiami po 100-150 ludzi. Były to wagony więzienne, dostosowane do transportu więźniów. W Gniezdowie ładowano jeńców do samochodów więziennych, zwanych *czornyje worony*. Siedzieli tam pojedynczo w ciasnych celkach.

Ofiary mordowane były strzałami prawdopodobnie przy dochodzeniu do wykopanego już uprzednio grobu, na wysokości grzbietu nad pochyłością.

W grobach znaleźliśmy wśród ziemi, w dawnych zwałach, świeże niegdyś listki brzozy. Jest to dowód, że w czasie mordu brzozy zaczynały pokrywać się listowiem, że była wiosna.

W czasie naszego pobytu w Katyniu, w maju 1943 roku, lotnictwo radzieckie dokonało nalotu bombowego na teren ekshumacji. Nalot okazał się bezskuteczny, bomby spadły na miejscowość Katino, na terenie ekshumacji żadnych strat nie spowodowały.

Do Katynia przybył m.in. były premier Leon Kozłowski. Był to już wówczas kompletny alkoholik. Przemawiał później przez radio niemieckie, lecz nie stwierdził wyraźnie, że sprawcami zbrodni byli bolszewicy. Ze strony Niemców wywierano na nas ciągły nacisk, abyśmy stwierdzili wyraźnie, że ofiary zostały pomordowane przez NKWD. Odmówiliśmy tej deklaracji. Nie dlatego, abyśmy w tej sprawie mieli jakiegokolwiek wątpliwości, sprawstwo było oczywiste. Nie chcieliśmy jednak, aby użyto nas do propagandy hitlerowskiej.

Chciałbym podkreślić, że w grobach znaleźliśmy nie tylko łuski i ślady użycia naboju produkcji niemieckiej. Osobiście znalazłem łuskę produkcji radzieckiej — systemu Dawidowa.



Potem wykryliśmy inne łuski tego typu zagrzebane wśród ziemi mogił.

Gdy opuszczaliśmy Katyń, były tam jeszcze groby nie odkryte, nie odkopane. Niemcy próbowali szukać dalszych grobów nawet przy pomocy różdżkarzy, sądząc, że znajdą w końcu kilkanaście tysięcy zwłok. Okazało się to jednak bezskuteczne.

Muszę stwierdzić, że fotografie publikowane przez Niemców w prasie okupacyjnej w Warszawie wiernie i dokładnie oddawały przebieg ekshumacji i stan miejsca zbrodni.

Przywożłem z Katynia trochę pamiątek i drobiazgów zebranych na miejscu zbrodni. Niestety, w latach 1950-1955 zniszczyłem to z wiadomych powodów.

Gen. Bukojemski, który prowadził prace ekshumacyjne na tym samym terenie, już po zajęciu go przez wojska radzieckie w 1944 roku, mówił mi, że wykopano tam również zwłoki morderców z 1940 roku, których najwidoczniej pozbyto się tą samą metodą, jako świadków zbrodni.

7 czerwca 1970 r.

Już po napisaniu powyższej relacji miałem okazję przestudiować dokładnie publikację „Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów”, GRYF, Londyn, 1950.

Niewiele mogę do tego dodać. Na podstawie tego, co widziałem, mogę tylko stwierdzić, że w książce tej wszystko przedstawione jest ściśle i zgodnie z prawdą.

15 czerwca 1970 r.

*Gracjan JAWOROWSKI*

Adam ZIELIŃSKI

## KORESPONDENCJA Z JERZYM STEMPOWSKIM 1941 - 1942

(Myśli o problemach polsko-ukraińskich)

### (PRZEDMOWA)

*Jerzego Stempowskiego nie znałem osobiście i nie pamiętam bym zwrócił uwagę na jego przedwojenną twórczość literacką. O ile mnie pamięć nie myli dowiedziałem się o jego pobycie w Szwajcarii wczesną jesienią 1941 roku od Karola Estreichera, obecnie profesora U.J., gdy zjawił się w Lizbonie przejazdem, wracając ze Szwajcarii de Londynu. Sądzę że właśnie od niego usłyszałem, że Stempowski wydosłał się z Polski w 1939 r., przechodząc przez Karpaty z Huculszczyzny na Węgry. Ten szczegół był powodem mego odezwania się do niego. Z odpowiedzi wynika, że pisałem 2.X.1941, ale kopia tego listu nie dochowała się w moim archiwum. Nie ulega jednak wątpliwości, że przyczyną mego zwrócenia się do niego była chęć dowiedzenia się o losach mego przyjaciela, Ludwika B., który — przy mojej pomocy — objął na parę lat przed wojną jako dzierżawca schronisko Sekcji Narciarskiej warszawskiego A.Z.S. w Czarnohorze, pod Popem Iwanem.*

*Z odpowiedzi Stempowskiego, przytoczonej poniżej, wynika, że znał wojenne losy Ludwika. Widać także, że pisząc do niego musiałem wymienić nazwisko Stanisława Vincenza, którego poznałem w jego sadybie w Bystrcu podczas jednej z licznych wędrówek po Czarnohorze.*

*Występujące w listach Stempowskiego kryptonimy staram się rozwiązywać w miarę ich pojawiania się, choć co do niektórych pamięć zawodzi. Z listów wynika, że przed nawiązaniem kontaktu ze mną Stempowski korespondował z Lizboną w sprawie wysyłki*

*paczek żywnościowych do okupowanej Polski. Jako attaché prasowy naszego Poselstwa w Lizbonie byłem z tymi sprawami blisko związany, — tym bliżej, że z ramienia Funduszu Kultury Narodowej akcję tę prowadziła Pia Popiel (zm. 1967), moja przyszła żona, będąca zarazem sekretarką Delegatury Polskiego Czerwonego Krzyża. W pracy swej posługiwała się m.in. pseudonimem Maria Czapelska (od Czapel Wielkich w Miechowskim, jej rodzinnej wsi). Stąd w listach Stempowskiego powtarzają się wzmianki o „pani Marii”, które w tym wypadku nie oznaczają Marii Dąbrowskiej!*

*Oto pierwszy list Stempowskiego:*

Muri bei Bern, 7.X.41.  
Rainweg 30.

Szanowny Panie,

Dziękuję za list z 2.X. i bardzo rad jestem z nawiązania z Panem kontaktu.

O Pańskim znajomym spod Popa mogę Panu od razu coś opowiedzieć. Znałem go trochę tylko w kraju, jak wszyscy wędrowcy po Huculszczyźnie. Mój letni obóz tam znajdował się o 2 dni drogi na południe od Popa, w niezamieszkałej części gór, łatwiej dostępnej z Szykmanów, rzadko więc tylko bywałem w jego schronisku. Po przejściu na węgierską stronę w końcu września 1939, wróciłem w góry w miesiąc później z drem V[incenzem] z różnymi planami wymagającymi przejścia granicy w odwrotnym kierunku. Przy tym przejściu niedaleko od Popa mój towarzysz nadeptał w nocy na odpoczywający patrol sowiecki, był więziony w Stanisławowie i wrócił na Węgry dopiero wiosną 1940, ja zaś dostałem zapalenia płuc, z którym wędrowałem na dół i przeleżałem parę miesięcy w górskim szpitalu w Akwaszlatina. Na pół sparaliżowany wróciłem nad granicę i, przy pomocy miejscowych przemytników, zimowałem w opuszczonym schronisku nad Cisą. Tam spotkałem Pańskiego znajomego, który o kilkanaście kilometrów dalej był instruktorem narciarskim w schronisku zimowym węgierskim. Mimo, że sport zimowy zaczął być modny na Węgrzech, schronisko to było mało uczęszczane, i Pański znajomy miał długi okresy zupełnej swobody. Korzystając z niej odwiedzał nawet podobno swe dawne miejsce zamieszkania. Schodząc z doliny, odwiedzał mnie po drodze w mojej pustelni. Wiosną 1940 widziałem go

po raz ostatni w Budapeszcie, latem zaś miałem odeń kartkę z Węgier. Od tego czasu jednak tak wiele się tam zmieniło, że zesłoroczny jego adres jest na pewno dziś nieaktualny a większość jego znajomych wyjechała wiosną przez Jugosławię do Turcji. Na wszelki wypadek napisałem dziś do Dra V[incenza], prosząc go o wiadomości o Pańskim znajomym i przesyłając mu Pańskie pozdrowienia. Niestety od kilku tygodni korespondencja z Węgrami jest utrudniona przez cenzurę wystrzygającą z listów najciekawsze ustępy, i pisać musimy ezopowym językiem.

Bardzo dziękuję za wiadomości od pani Marii. Przed tygodniem wysłałem na jej adres przez bank nowy tysiąc (czwarty) escudów na te same cele żywnościowe. Jestem jej bardzo wdzięczny za łaskawe zajmowanie się tą sprawą.

W nadziei na dalszy rozwój naszej korespondencji łączę serdeczne pozdrowienia i wyrazy szacunku.

Jerzy STEMPOWSKI

[przekreślone] Łączę list dla p. Karola [Estreichera].

Na list ten odpowiedziałem 22 października 1941, otrzymawszy w międzyczasie — jak wynika z jego treści — jeszcze kartkę, która się nie zachowała. Najprawdopodobniej od Estreichera dowiedziałem się o żywych zainteresowaniach Stempowskiego sprawami ukraińskimi i stąd mój list, otwierający wymianę korespondencji, którą dziś po 35 latach i zgonie Stempowskiego ujawniam.

Z moich listów, dochowanych w brulionach, cytuję tylko fragmenty potrzebne do lepszego zrozumienia wywodów Stempowskiego. Gdy wymienialiśmy listy żaden z nas nie przewidywał Jałty i przesunięcia Polski do granic PRL'u. Stąd wiele pomysłów i argumentów straciło aktualność. Ponieważ jednak spuścizna literacka Jerzego Stempowskiego (Pawła Hostowca) w pełni zasługuje na całkowite jej ogłoszenie, sądzę że należy do niej i ta wymiana listów.

## II.

Dr Adam Zieliński

Lizbona, 22.10.41

Szanowny Panie,

List Pański otrzymałem w ub. tygodniu a dziś nadeszła kartka Pańska z 18-go. Natomiast zapowiadany list z adresami nie doszedł, jak również przekaz. Na razie więc zlecenia Pańskie czekają. Co do posyłek Marka Żuławskiego, to swego czasu

wysłał przez nas większą partię, ale ostatnio nic w tej sprawie od niego nie miałem. Piszę to dla pośpiechu, chociaż to zasadniczo referat Pii.

Widzę że mamy wielu wspólnych znajomych bo i Marek [Żuławski] i Wacław K[ościąłkowski], i [Stanisław] Vincenz, i Karol Estr[eicher]. I grasował Pan w Karpatach Wschodnich, które były i moją domeną, zwłaszcza zimą. Aż dziwne, że nie spotkaliśmy się nigdy w kraju.

Dziękuję Panu serdecznie za wiadomości o Ludwiku B. Ogólnie te wiadomości doszły już do mnie poprzednio. Zależy mi natomiast na skomunikowaniu się obecnie i wierzę, że dzięki Pańskiemu ł. pośrednictwu to się powiedzie.

Lecz wszystko to są sprawy drugorzędne, a do nawiązania kontaktu z Panem skłoniły mnie sprawy odmiennej natury. W pierwszym rzędzie chodzi mi o sprawy ukraińskie. Jak słyszałem zajmuje się Pan tymi sprawami szczególnie i co ważniejsze — zna się Pan na nich. Ja mniej mogę kompetować do znawstwa, ale sprawy te dotyczą mnie zawsze silnie, gdyż pochodzę z najbardziej wschodniej części Małopolski Wschodniej (Buczackie) i mam dla tego problemu czysto osobiste zainteresowania ale i ustosunkowanie.

Ostatnio otrzymałem „od góry” pewne enuncjacje, które mnie poważnie zaniepokoiły, świądczą bowiem o mylnym — zdaniem moim — podejściu do sprawy. Nie wchodząc w szczegóły podam tylko dwa zasadnicze twierdzenia, będące niejako punktem wyjścia dla całego rozumowania elaboratu. Po pierwsze autor tych wywodów twierdzi, że: granice języka ukraińskiego nie pokrywają się z granicami zamieszkania ludności ukraińskiej, i są od nich znacznie szersze; problem ukraiński na ziemiach polskich a problem ukraiński w ZSSR, to są dwie różne rzeczy. Po drugie: że polityka polska ostatnich 20 lat doprowadziła nie tylko nominalnie ale faktycznie do normalizacji stosunków polsko-ukraińskich w Polsce.

Obydwa te założenia uważam za najzupełniej błędne.

Odnosnie pierwszego, to twierdzę, że niezależnie od faktu, że poczucie narodowościowe ludności w bardzo wielu okolicach jest nieskrystalizowane, ludność ta, mówiąca językiem ukraińskim, związana z resztą uświadomionych Ukraińców mnóstwem wspólnych więzów, jest ludnością ukraińską. Zagadnienie ukraińskie, mimo wielu różnic, nawet bardzo istotnych, ma wiele podobieństwa do zagadnienia polskiego sprzed kilkadziesiąt lat. I my mieliśmy, a nawet mamy dziś jeszcze, obszary zamieszkałe przez niewątpliwych Polaków, którzy jednak się

jeszcze nie obudzili, a których polskości się ze strony naszych przeciwników zaprzecza. I my byliśmy rozdarci na kilka części o różnej przynależności państwowej. I my żyliśmy w różnych warunkach od liberalizmu austriackiego do ucisku pruskiego czy rosyjskiego. Jeśli podchodzimy do sprawy ukraińskiej, to sami między sobą powinniśmy patrzeć na nią trzeźwo, uczciwie i bez okłamywania siebie samych. Nie możemy przykładać — przynajmniej *pro foro interno* — innej miary do siebie, a innej do drugich. Tego wymaga nie tylko etyka walki, ale przede wszystkim własny interes. Tylko bowiem obiektywna ocena może uchronić przed niespodziankami, rozczarowaniami i błędami w polityce naszej wobec przeciwnika.

Otóż podchodzenie do sprawy takiej, jakie naszkicowałem Panu powyżej, jest moim zdaniem więcej niż niebezpieczne. Twierdzić, że Ukraińcy w Polsce a w ZSSR to dwie różne rzeczy może tylko ktoś, komu to jest ze względów taktycznych wygodne, ale nie obiektywny sędzia. To jakbyśmy powiedzieli, że problem polski w Galicji a w Poznańskim — przed 1914 — to dwie różne rzeczy. Problem ten sam, tylko przejawia się odmiennie.

Jeśli jednak to mylne podejście już jest błędem, to głoszenie że stosunki nasze z Ukraińcami były znormalizowane, jest dla mnie niepojęte. To może głosić chyba ktoś, kto za te rzeczy był odpowiedzialny i boi się dziś następstw i sądu o swej polityce. Poza takim wypadkiem nie mogę zrozumieć, komu by na takim twierdzeniu mogło zależeć.

Śmiem twierdzić, że stosunki te zupełnie znormalizowane nie były. Nie były znormalizowane z dwu zasadniczych powodów. Po pierwsze dlatego, że myśmy nie dotrzymali całego szeregu zobowiązań, a po drugie dlatego że stosunki te na takiej platformie jaka była, w ogóle nie są do znormalizowania w sposób trwały.

Uważam, że choćby nam to było bardzo nieemiłe, choćbyśmy starali się tego nie dostrzegać i świadomie chowali głowę w piasek, Ukraińcy jako naród samodzielny istnieją. Czy ich świadomość narodowa obudziła się pod wpływem propagandy niemieckiej czy polityki austriackiej, czy też ma rzeczywiście przesłanki głębsze, to dla sprawy obojętne. Trzeba patrzeć na sam fakt jako taki.

W dzisiejszej epoce rozbijałych nacjonalizmów, zwłaszcza nacjonalizm tak młody, tak niewyżyty jak ukraiński, będzie dążyć i musi dążyć do własnego bytu państwowego. Mówiąc

to chcę stwierdzić tylko pewne nastawienie emocjonalne w narodzie, a nie precyzuję czy i w jakiej formie państwo to powstanie.

Zgodnie z tym utrzymywanie w granicach Państwa Polskiego mniejszości ukraińskiej jest równoznaczne z utrzymywaniem elementu, który w samej swej istocie musi dążyć do wyodrębnienia się z naszej państwowości. Tego żadne układy, normalizacje czy ugody nie zmieniają. Mieliliśmy w Austrii ministrów Polaków, mieliśmy duże swobody, a jednak jako masa dążyliśmy zawsze do połączenia się z resztą Polaków w jedno, własne państwo.

Dążyć do lojalnego pożycia Ukraińców w Polsce, to znaczy albo chcieć by wyrzekli się istoty swojej ukraińskości, albo godzić się na prowizoria a nie na załatwienie trwałe.

Z tego wniosek oczywisty — pozbyć się Ukraińców z Polski. Jest to sprawa niezwykle trudna, gdyż z jednej strony usunięcie Ukraińców łączy się z zagadnieniem ustępstw terytorialnych, a z drugiej cały szereg względów nam na takie ustępstwa nie pozwala. Względęte te są i historyczne, i emocjonalne, i strategiczne i gospodarcze.

Mimo to nie waham się powiedzieć jasno, że bez ofiar i w tej dziedzinie nie zdoła się sprawy w sposób trwały i dla nas samych korzystny załatwić. Pewien kompromis, pewne ofiary są niestety niezbędne.

List ten jest za krótki a sama rzecz bez odpowiednich podkładek nie byłaby poważna, więc nie chcę tu rzucać żadnych koncepcji ani projektów. Chodzi mi tylko o zasadę, o tezę: znormalizowanie zagadnienia ukraińskiego, to wyeliminowanie Ukraińców z granic R.P. przede wszystkim drogą przesiedlenia i wymiany na ludność polską, nawet przy pewnych ofiarach terytorialnych [...]

Wymianę wyobrażam sobie w tej formie, że każdy kto deklaruje się jako przynależny do narodowości ukraińskiej, musi opuścić kraj — zresztą bez żadnych szykan, bez wyłączenia z majątku, bez okrucieństw w stylu niemieckim czy bolszewickim. Kto decyduje się na pozostanie w Polsce decyduje się na spolszczenie. Spolszczenie to musi być stuprocentowe, a więc w dziedzinie pisma, kalendarza, religii, etc. za czym unifikacja językowa pójdzie automatycznie. Na hodowanie sobie koni trojańskich nas nie stać.

Do takiego sformułowania naszego programu w tym rejonie skłaniają mnie jeszcze względy inne. W pierwszym rządzie konieczność ześrodkowania wszystkich sił na odcinku zachodnim, który — wierzymy w to — będzie wymagać od nas olbrzymiej

pracy regenerowania polskości. W drugim możliwości jakie wyłaniają się na odcinku północno-wschodnim, bałtyckim. Jesteśmy za słabi, by w takich chwilach brać sobie jeszcze jeden orzech do zgryzienia i to najtwardszy. Tym bardziej, że pokonane Niemcy nie spoczęły ani na chwilę, by ten właśnie odcinek był w stałym fermentie [...]

Powiedziałbym jak Domejko czy Dowejko — „Bóg nas czy diabeł złączył, trzeba się rozłączyć”. Gdy usuniemy — choćby bolesną dla obu stron operacją — źródło wiecznych tarć i fermentów, będziemy mogli mówić nawet o współpracy. Bez tego w żadne ugody nie wierzę.

A teraz prosiłbym Pana o koreferat. Proszę krytykować surowo. Podobno zna Pan sprawę od tej drugiej, zakordonowej strony. Ja politycznie z zagadnieniem nie stykałem się, ale przypadkowo znam szereg ludzi z młodego pokolenia ukraińskiego, Melnyk *inclu*. I choć ich uważam za przeciwników nie lekceważę ich i nie zamykam oczu [...]

Łączę uściski dłoni oraz piękne pozdrowienia od nas obojga.

Adam ZIELIŃSKI

### III.

Muri, 30.X.1941  
Rainweg 30

Szanowny Panie,

Serdecznie dziękuję za list z 22.X. Widzę, że nasza korespondencja zapowiada się b. interesująco, bo poruszył Pan zagadnienia, którymi całe życie się zajmowałem, ale o których nie miałem z kim rozmawiać. Zwłaszcza w ostatnich 15 latach panowała u nas pod tym względem całkowita odmowa myślenia. Nawet tacy ludzie jak Henryk Józewski i Piotr Borkowski czuli się zmęczeni samotnym i bezpłodnym myśleniem i chętnie mówili o czymś innym. Głównymi więc rozmówcami byli dla mnie w tym czasie Ukraińcy różnych odcieni, bo wśród nich jest jeszcze więcej odmian niż wśród Polaków i Żydów.

Okres porozbiorowy zostawił pod tym względem znacznie bogatszą spuściznę. Trudno nawet wyliczyć wszystkie poglądy na sprawy ukraińskie, jakie w XIX w. wypowiedano i nawet podtrzymywano z bronią w ręku. Skrajnym przeciwnikiem Pańskim byłyby w owych czasach Michał Czajkowski (Sadyk Pasza,



mąż Ludwiki Sniadeckiej), który uważał się wreszcie za Kozaka, chciał wszystkich Polaków przerobić na Kozaków i stolicę Polski przenieść do Owruca. W swoim czasie pogląd ten liczył tak wielu zwolenników, że sami jego zbrojni protagoniści stworzyli w Turcji dwie brygady. Był wśród nich i Ryszard Berwiński. Sam A. Mickiewicz skłaniał się do tej koncepcji i w tej fazie swej ewolucji właśnie umarł na cholera. Wojsko Sadyka Paszy składało się w znacznej części ze szlachty, przeważnie drobnej, na Ukrainie.

Przypominam sobie dziś ten epizod, bo towarzyszył mi wśród emigrantów rozłam zupełnie podobny do ostatniego rozłamu londyńskiego. Jedni mówili (było to podczas wojny krymskiej), że do Polski droga prowadzi tylko przez Zachód, drudzy że przez Ukrainę i Morze Czarne a nawet Kaukaz. Do tego samego rozdroża emigracja obecna może przyjść w najbliższych miesiącach.

Dziwne jest myśleć jak daleko Polska cofnęła się i, na Zachód, nawet od czasów Sadyka Paszy. Naprzód do granicy ryskiej, a potem, głównie w wyobraźni swych obywateli, aż do ostatnich granic etnograficznych, do Bugu i Sanu. Oczywiście jest to tylko gra wyobraźni i kwestia konwencji, bo np. dla endeków i ozonowców nie tylko ludność prawosławna Polesia jest obca, ale i ja także nigdy nie byłem Polakiem ale żydomasonem, i mnie też chętnie zostawiono by po tamtej stronie jakiejś nowej granicy.

Tymczasem odepchnięci traktatem ryskim Polacy nie wszyscy wrócili do Polski ani też inaczej nie znikli z oblicza ziemi ukraińskiej, ale zostali i nawrócili się na komunizm. Katolickie wychowanie i endecka orientacja drobnej szlachty niewiele widać zaważyła. Być może nasz współczesny nihilizm narodowy sprzyja nawet tego rodzaju nawróceniom. Jeżeli otworzy Pan sow[iecką] statystykę ludności z 1924, zobaczy Pan, że na prawobrzeżnej Ukrainie po exodzie 1917-19 Polaków na pozór mało ubyło, liczba ich nawet znacznie wzrosła. W zaściankach polskich statystyka wykazuje 50 % komunistów, w sąsiednich wsiach ukraińskich 0.3 %. Dawni stypendyści mego dziada ze szlachty zagrodowej są wszyscy komisarzami rejonowymi i znaczna część administracji sowieckiej była do niedawna w ich rękach. Kołchozy wydają się nawet pomysłem wyszłym z głowy b. ekonomów, karbowych i gorzelanych, którzy w nowym ustroju pozostali jedyni na swych dawnych stanowiskach. Ponieważ drobna szlachta stała się tam grupą uprzywilejowaną, wiele drobnej szlachty prawosławnej wróciło w Sowietach do polskości. W 1927 jeden zbiegły stamtąd szlachcic opowiadał mi,

że we wsi Radziejowce, gdzie mieszkało 3.000 Radziejowskich już po polsku nie mówiących w końcu XIX w., otwarto w 1926 szkołę polską, w której mój rozmówca widział 62 dzieci, chcących się uczyć na Polaków-komunistów. W razie wymiany ludności, Ukraina chciałaby nam oczywiście oddać za wszelką cenę całą tę szlachtę zagrodową, która dała się tam wszystkim we znaki, i liczy ładnych kilka dziesiątków tysięcy prawowiernych komunistów i stalinistów, przyzwyczajonych do komenderowania, zajmowania posad i bronienia ich z zawziętością wyrobioną w wojnie cywilnej. Bardzo jestem ciekawy, jak ta cała dziwna Polonia wita dziś prof. Kota, i jak z kolei ustosunkuje się do Rundstedta.

Nasz Kasprzycki \*), pochodzący sam z takiego zaścianka na Wołyniu (Kobylno koło Włodzimierza), naśladował te wzory sowieckie, chcąc zapewne stworzyć o kilkaset kilometrów dalej na Zachód nową kozaczyzną i pretorianów tzw. *régime'u* majowego. W tym była nawet pewna myśl, kiedy Piłsudzczyki zaczęli kupować majątki na Kresach. Bywałem nieraz w Berezowie (między Delatynem i Kosmaczem), gdzie Kasprzycki robił swe pierwsze eksperymenty na tym polu. Wydały one tak żywe skutki, że nawet w biały dzień trzeba było chodzić ostrożnie przez tamte strony, trzymając się ukraińskiej strony wsi, gdzie ludność była spokojniejsza.

Ale wszystko to jest tylko malowniczym fragmentem, o którym piszę na razie dla próby pióra. Za kilka dni napiszę dłuższy list, starając się metodycznie wypowiedzieć i na ten obszerny i zawiły temat.

Tymczasem najserdeczniejsze pozdrowienia przesyłam szczerze oddany

Jerzy STEMPOWSKI

Na ten list odpowiedziałem 14 grudnia 1941. Oto najważniejsze ustępy mej odpowiedzi:

#### IV.

Lizbona, 14.12.41

Szanowny i Drogi Panie,

Już trzy tygodnie upłynęły od chwili otrzymania Pańskiego listu z 30.X, który nadszedł tu 24.XI. Nie odpisałem zaraz, bo w liście tym wspomniał Pan „za kilka dni napiszę dłuższy list”.

Czekałem na ten zapowiedziany list niecierpliwie, ale albo zajęcia przeszkodziły Panu w napisaniu go, albo gdzieś zaginął, co byłoby szkodą niepowetowaną.

Mimo tego rozczarowania dziękuję Panu bardzo już za to co Pan napisał, co jednak jest doskonałym substratem do przemyślenia na interesujący nas temat. Jakkolwiek nie sformułował Pan wyraźnie swego stanowiska, to jednak cytując myśli innych zajął je Pan — sędzę — dość wyraźnie. Z przykrością stwierdzam, że stanowiska nasze są odmienne, choć właściwie jest to dobrze, bo inaczej nie mielibyśmy sobie nic do powiedzenia. A tak każe mi się Pan wysilać by Pana choć w części przekonać.

Przypuszczam że czytał Pan książkę o Ludwice Sniadeckiej i stąd refleksje o Sadyku Paszy. Ale dobrze że Pan o to zaczął, bo zdaje się, że w podejściu historycznym do zagadnienia leży „błąd” (tak ja to nazywam) w podchodzeniu do całej sprawy u wielu ludzi. Otóż wydaje mi się, że błędnym jest podchodzenie do sprawy od strony naszych p r a w do Ukrainy. Argumenty historyczne, w wielu wypadkach słuszne, w równie wielu prowadzą do błędów, krzywd i absurdów. Austria na podstawie argumentów historycznych anektowała swego czasu południowe ziemie polskie. Do absurdu doprowadza roszczenia historyczne hitleryzm, powołując się na obecność plemion germańskich na ziemiach polskich (*à propos*: czy zwrócił Pan uwagę na berliński odczyt Franka o Herrschaftsanspruch niemieckim do Weichselraumu?). Argument historyczny jest dobrym argumentem polemicznym, argumentem wobec trzecich — zwłaszcza wobec nieorientujących się zbyt dobrze w rzeczywistości — ale nie jest potrzebny do dyskusji wewnętrznej, między swoimi. Obaj wiemy, co Polska robiła na swym Wschodzie i tu różnic być nie może, natomiast różnimy się — jak wyczuwam — w wyciąganiu z tego wniosków.

Nie rozwijam szerzej bardzo ciekawej zresztą sprawy komunistów w polskich zaściankach. Nigdy się z tym problemem nie zetknąłem, ale zdaje mi się, że to raczej temat uboczny, nie wpływający na całość naszych rozważań.

Nie dostałem Pańskiej repliki na moje tezy, więc nie będę ich powtarzać. Zdaje mi się jednak, że choćby doświadczenia roku 1939, każą nam być pełnymi realistami. Trzeba dostosowywać plany do możliwości, wyzbyć się nierealnych snów o mocarstwowości, jeśli się nie ma po temu sił. Zależnie od tego

---

\* Chodzi o gen. Kasprzyckiego, ostatniego przed wojną ministra Spraw Wojsk., który popierał akcję repolonizacji szlachty zagrodowej na Kresach wschodnich.

z jakich stron Polski kto pochodzi, głosi się ekspansję na wschód, zachód, północ, południe: po Odrę, po Inflanty, po Dniepr, po Dunaj. Tym daleko nie zajdziemy. Trzeba zrobić sobie jakiś porządek, jakąś hierarchię postulatów. Otóż uważam za najważniejsze uporządkowanie zachodu. Sądzę że i Pan się na to zgodzi. Należymy do świata zachodniego i z zachodu wypychać się dać nie możemy. Nie podzielam zdania jakie tu zasłyszalem: „Po co się pchać na Zachód gdzie ciasno, skoro na Wschodzie tyle miejsca”. Zachód to ujście Wisły, bez którego żyć nie możemy i zabezpieczenie tego ujścia w odpowiedni sposób.

Mam wrażenie że różnice między nami zaczną się dopiero tutaj, gdy powiem, że nie stać nas na równoczesne porządkowanie i zachodu i wschodu. I na politykę siły, na politykę ekspansji, na narzucanie naszych koncepcji na wschodzie nas dziś nie stać, o ile nie będziemy mieli w tym kierunku zgody elementu miejscowego. Nie wykluczam że możemy rolę na wschodzie odgrywać ale tylko na zasadzie rzeczywistego porozumienia a nie narzucania i siły. A porozumienie wymaga uznania równorzędności partnera i wyzbycia się kompleksu wyższości, praw historycznych itp. obciążeń. Jest to program rezygnacji, ale zdaniem moim jedynie realny. Ze 150 lat niewoli, z emancypacji elementu miejscowego, z klęski ostatniej musimy wyciągnąć wnioski.

Idąc po linii myślowej Sadyka Paszy, stając na stanowisku że wszyscy jesteśmy kozakami, czyli innymi słowy że my i oni to jedno, musimy dążyć do jednego państwa od Odry po Kaukaz. To piękne i śmiałe ale i nierealne. Sięganie po Ukrainę, to śmiertelny cios w Moskwę, która potrafi nam wtedy sprowadzić na kark Niemców. Pomijam już takie konsekwencje jedności jak Ukrainiec na fotelu prezydenckim czy premierowskim. Osobiście zgodziłbym się może na zasadę że Polska ma być państwem narodowościowym, w którym wszystkie narodowości są równouprawnione, ale czy Pan sądzi że coś takiego jest w ogóle realne? Zdaje mi się że to są rojenia, które papier zniesie, ale o których w ogóle nie można mówić serio [...]

Z chwilą gdy odrzucimy koncepcje państwa wspólnego (obojętne czy to będzie unia, federacja czy jeszcze inna forma) zjawia się problem mniejszości ukraińskiej w łonie państwa polskiego.

Nie będę się ograniczać do argumentu najłatwiejszego, choć w pełni wystarczającego, że w lojalność Ukraińców w Polsce nie wierzę. Nie wierzę przede wszystkim dlatego, że żądać od kogokolwiek by wyrzekął się dążenia do połączenia się z resztą narodu, jest żądaniem renegeacji i na tym budować nie można.

Mniejszość nielojalna, mniejszość dążąca do wyzwolenia się z ram państwowych, to mniejszość dybiąca na chwile słabości państwa, spiskująca z wrogiem zewnętrznym, to koń trojański we własnym domu: 5-a kolumna — jednym słowem Ukraińcy z r. 1939. Zgodzi się Pan ze mną, że nas na taki eksperyment drugi raz nie stać i że lepszy dom mniejszy w którym jestem sam, niż większy w którym mam niepewnych, spiskujących, wrogo wobec mnie usposobionych domowników.

To jest zasadnicza rzecz. Mniejszość jest luksusem, na który sobie pozwolić nie możemy. Chodzi o pozbycie się mniejszości nawet kosztem ofiar. A sprawa zupełnie inna, czy po dokonanych rozdziale „od stołu i łoża”, po usunięciu płaszczyzn tarcia, będziemy żyć w zgodzie czy nie. Zależy od mądrości mężów stanu obu narodów, jak się te przyszłe stosunki ułożą [...]

Zdaje mi się, że nazizm, nawet wypleniony, wprowadzi do mentalności europejskiej szereg nowych pojęć i haseł, które przetrwają. Sądzę, że jednym z nich będzie hasło *klare Volkstumsgrenzen*. Obie strony mają w tym interes, choć każda go inaczej rozumie i inną ciągnie granicę. Hitler realizuje ten rozdział tylko kosztem drugich. Ewolucja pójdzie w tym kierunku, że rozdział będzie prowadzony kosztem obu stron i na benefis obu stron. Ale narody do jasnego rozgraniczenia dążą. W tym jasnym rozgraniczeniu widzę gwarancję usunięcia przyczyn wielu tarć i nieporozumień, które przysłaniały ważniejsze rzeczy, wspólne korzyści i konieczności. Właściwie tej jednej tezy bronię [...]

Kończę, bo list rozrósł się niepomierne. Sądzę, że mogłby Pan pozbyć się swych przedzeń co do poczty lotniczej z czystym sumieniem. Pewne ryzyko niedyskrecji może i istnieje, ale tak samo i przy komunikacji zwykłej. Niedawno widziałem właśnie list nielotniczy otwierany w Barcelonie. A czy nie ma Pan dostępu do walizy dypl.?

Dłóż ściskam serdecznie i świąt pomyślnych życzę.

Adam ZIELIŃSKI

Tu nastąpiła wielomiesięczna przerwa w naszej korespondencji. Zrazu nie mogłem jej sobie wytłumaczyć. Dopiero w maju 1942 otrzymałem następny 34-stronicowy list, który jest właściwie samodzielnym esejem a wypełniłby sporą broszurę. Wraz z 10-stronicowym uzupełnieniem z sierpnia stanowi on właściwy trzon naszej wymiany listów i starannie zaokrągloną całość. To nadaje sens jej ogłoszeniu.

W moim prywatnym archiwum — niestety bardzo niekompletnym i nadgryzionym nie tylko zębem czasu ale i zębami mysimi i piwniczną wilgocią — nie znalazłem mojej odpowiedzi na ten obszerny list. Nie znalazłem

także wspomnianego w dalszej korespondencji listu Stempowskiego z 20-go sierpnia 1942, ale przypuszczam, że dotyczył on tylko spraw związanych z wysyłką paczek. Brak również kopii mego listu z 8 sierpnia, wspomnianego w ostatnim liście Stempowskiego.

## V.

Muri bei Bern, maj 1942  
Thunstr. 15

Szanowny Panie,

Od wielu miesięcy już jestem Pańskim dłużnikiem w korespondencji, która się tak interesująco zaczęła. Niestety okoliczności zmusiły mnie do długiego milczenia. Okazało się mianowicie, że moje listy wysyłane w stronę zachodnią były przetrzymywane we Francji i z komentarzami władz lokalnych wędrowały do wyższych instancji. Kiedy się — czystym przypadkiem oczywiście, dzięki rewizji zrobionej w poszukiwaniu moich listów — o tym dowiedziałem, powziąłem obawę, aby moja korespondencja nie zaszkodziła osobom pisującym do mnie z kraju. Musiałem więc przez dłuższy czas powstrzymać się od wszelkiej korespondencji, aż do chwili wyjaśnienia tolerancji władz w kraju na moją osobę i moje listy. Było to tym bardziej wskazane, że w początku tego roku kilku moich przyjaciół utraciło życie czy resztę swobody. Okazało się jednak, że władze nie przypisują najmniejszego znaczenia temu, co my tu o nich myślimy i co jest przedmiotem naszych dyskusji i rozważań, tak długo dopóki nie wychodzimy poza rozmowy i czernienie papieru. W swej gotowości do usług czynnik francuskie przekroczyły to, czego od nich żądano. *Dieu n'en demande pas tant*, jak mówi francuskie przysłowie. Dziś mogę więc przyjąć, że kompetentne władze zajęły w stosunku do moich listów stanowisko, które niegdyś Martialis sformułował w ten sposób: *INNOCUOS CENSURA POTEST PERMITTERE LUSUS*. Po wyjaśnieniu tych okoliczności preliminowanych, podejmuję naszą korespondencję tam, gdzie uległa przerwie, chciałbym też podzielić się z Panem myślami jakie mi w samotności przychodziły na tematy nam bliskie.

Niestety nie rozporządzam niczym podobnym do programu politycznego, i im więcej o tym myślę, tym mniej widzę punkt wyjścia do sformułowania takiego programu, zwłaszcza w obecnym stanie rzeczy na Wschodzie Europy. Dzięki temu myśli

moje wydadzą się Panu na pewno wodniste i nazbyt ogólnikowe. Będą to miarkowania prostego wieśniaka — *mirkovannja prostogo seljanina* — jak mówią Ukraińcy. Zacznę je, według rad Arystotelesa, od ich strony najbardziej ogólnej, szukając w tym przynajmniej czegoś pewnego.



Ponieważ zagadnienie ukraińskie przybrało najbardziej ostrą formę w Galicji, przyzwyczailiśmy się patrzeć na nie jako na zagadnienie lokalne, galicyjskie lub co najwyżej polskie, do rozwiązania miejscowymi środkami. Mało kto brał pod uwagę, że zagadnienie to istnieje także w skali europejskiej i posiada tam nieco odmienny wygląd.

Powyższa omyłka perspektywy była zresztą wspólna wszystkim Europejczykom okresu 1919-1939. W tym czasie bowiem nastąpiła powszechna parcelacja Europy. W XVIII i XIX w. Europa posiadała znaczny zasób wspólnych pojęć, od których odbiegał tylko dwór petersburski, ale już nawet nie jego poddani. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza cywilizacja europejska utraciła swą jednolitość i rozbiła się na trzy strefy: bolszewicką, faszystowską i zachodnią. Ludy zamknęły się w swych granicach nie przyjmując ani towarów ani wiadomości zagranicznych. Z tej aberracji umysłowej powstały dziwolągi w rodzaju linii Maginota, mocarstwowości Polski itd.

Europa tego okresu przypominała widzianą kiedyś przeze mnie na Polesiu wieś Małe, Średnie i Wielkie Skoworodki, ciągnącą się wzdłuż zalewnych łąk poprzecinanych licznymi i mało użytecznymi groblami. Na moje pytanie, jak mieszkańcy dają rady rozlewowi wód, miejscowy szlachcic zagrodowy odpowiedział: „A cóż? Każdy ma swój uczałek i w swoim uczątku gaci”. Z tego gacenia na swojej działce powstała nieznaną poprzednim pokoleniom prowincjonalność i parafiańskość myśli europejskiej, uderzająca nas dziś na całym kontynencie. Nawet rozmowy przypominają dziś te, jakie niegdyś toczono przed sklepem Szafnagla na Machnowieckiej ulicy w Berdyczowie albo na rynku w Jarmolińcach. Znajomość tych klasycznych wzorów pomaga mi bardzo w objaśnieniu sobie wielu zjawisk obecnych czasów.

Wojna 1939-1942 zadziwiała wielu zaściankowymi pojęciami naszego pokolenia. Polacy mogli się przekonać, jak mało losy ich kraju zależały od ich samodzielnej polityki. Mogli chodzić na głowach, i to też nie zmieniłoby wcale ich losu. Dowodem

tego jest chociażby to, że Polska, Czechosłowacja, Węgry, Rumunia i Jugosławia, znajdujące się w identycznej sytuacji, prowadziły zupełnie odmienną politykę, doszły zaś niemal do tych samych wyników. Najskuteczniejsza, jak dotąd, okazała się taktyka Węgier, ale i tu ostatnie słowo jeszcze nie powiedziane, tymczasowy zaś wynik nie odbiega bardzo od szablonu. Wszystkie te kraje znalazły się pod okupacją niemiecką, mając przed sobą jako alternatywę okupację rosyjską. Czy którykolwiek z tych krajów może mieć los inny niż pozostałe? Wydaje się to na razie wątpliwe.

Ta wątpliwość ogólna odnosi się także do zagadnienia ukraińskiego. Czy ludność polską naszych obszarów kresowych może spotkać los inny niż ludność ukraińską tychże obszarów? Polacy 1919-1939 na pozór nigdy o tym nie wątpili, uważając nierówność losu za naturalną zarazem i pożądaną. Nieliczni sądzili wprawdzie, że nie należy sztucznie tworzyć w kraju obszernej kasty obywateli 2-ej klasy pozbawionych praw i dochodów, obawiając się ograniczenia przez to procesów wymiany i dobrobytu ogólnego lub przewidując, że dyskryminacja taka wymagać będzie stworzenia aparatu kontrolno-represyjnego, który w końcu obrzydzi życie także i kaście uprzywilejowanej. Nikomu na pozór nie przychodziło na myśl, że tego rodzaju przewagi są być może w ogóle nieosiągalne na stałe i mogą być tylko tymczasowe, wyrównywane niebawem *avec des intérêts compensés*, jak mówi Léon Bloy.

Pojęcia tego okresu zachowały się integralnie na emigracji. Niedawno pewien student szwajcarski opowiadał mi, że, spędzając dwa dni w obozie studentów polskich w Winterthur, pytał ich, czym zajmą się po powrocie do kraju. „Nasamprzód wyróżnimy Żydów, jacy tam jeszcze po Niemcach zostaną, a potem weźmiemy się za Ukraińców”. Przypuszczam, że w kraju pojęcia te mogły ulec pewnej ewolucji. Całkowicie dziś zrównanie losu Polaków i Ukraińców pod okupacją niemiecką i rosyjską musiało dać dużo do myślenia. Switanie zdrowszej myśli widziałem w Galicji w 1937-1938, gdzie Polacy i Ukraińcy schodzili się razem dla naradzenia, jak wspólnymi siłami stawić opór przysyłanym z Warszawy na starostów wyranżerowanym majorom i pułkownikom. Dziś te same myśli narzucać się muszą z większą siłą.

Rozpoznanie niepodzielności losu ludności polskiej i ukraińskiej wydaje mi się jedną z pierwszych przesłanek wszelkich rozważań na temat przyszłych stosunków polsko-ukraińskich. Gdyby myśl ta, znana na kresach od czasów Michała Czaj-



kowskiego, męża Ludwiki Śniadeckiej, zyskała większą popularność, stałaby się początkiem nowego układu faktycznego stosunków między obu częściami ludności.



Idee ogólne, dokoła których obracały się przez 20 lat rozmowy na temat przyszłości stosunków polsko-ukraińskich, były bardzo mętne i naiwne. Spróbuję tu opisać dwie takie idee, wysuwane często w dyskusjach na Wierzbowej i na Krakowskim Przedmieściu.

Niektórzy wyobrażali sobie możliwość pewnego rodzaju równowagi sił w trójkącie Rosja-Polska-Ukraina z perspektywą zachowania Rosji Ukrainą i Ukrainy Rosją. Koncepcja ta wydaje mi się pozbawiona zmysłu proporcji i oderwana od realnego układu sił. Realizacja jej wymagałaby uprzedniego powstania niepodległej Ukrainy w jej skrajnych granicach, czyli zupełnego odwrócenia istniejącego dziś stanu rzeczy.

Dopóki Rosja włada Ukrainą, trudno jest stabilizować stosunki polsko-ukraińskie nawet w skali tego lub innego powiatu. Ilekroć od XVIII w. wojska rosyjskie wkraczały do Polski, robiły to zawsze w celu roztoczenia opieki nad ludnością ukraińską i nie zatrzymywały się przed osiągnięciem granicy Bugu. Rosja reprezentuje zawsze skrajne aspiracje terytorialne ukraińskie, i tak długo jak włada Ukrainą, nawet nasze układy z ludnością ukraińską w Polsce będą zawsze tylko rozstrzygnięciem tymczasowym w skali parafialnej lub powiatowej, ale nie w skali europejskiej.

Inni wyobrażali sobie możliwość oparcia trwałych stosunków polsko-rosyjskich na wspólnej polityce antyukraińskiej. Wzorem dla tej koncepcji miały być stosunki niemiecko-rosyjskie z czasów Bismarcka, oparte rzekomo na solidarności interesów w sprawie polskiej. Niektórzy urzędnicy polscy sądzili np., że pacyfikacja Galicji stanowi pewnego rodzaju odpowiednik deportacji kijowskich i powinna wpłynąć korzystnie na kształtowanie się stosunków Polski z Sowieciami.

Te ostatnie pojęcia musiały przeniknąć do opinii ukraińskiej w Galicji, jak można wnosić chociażby z noworocznej mowy 1942 b. docenta Uniw. Jagiellońskiego, dra Włodzimierza Kubiłowicza, dziś prezesa Centr. Komitetu Ukraińskiego w Krakowie. Rozwija on myśl, że jakkolwiek rok 1941 nie przyniósł spełnienia aspiracji ukraińskich, to przecież przyniósł klęskę „gra-

barzy Ukrainy”, upadek dwu państw budujących swą przyszłość na trupie Ukrainy.

Wypadki ostatnich lat wykazały, że wszystkie te koncepcje ogólne układu stosunków polsko-rosyjsko-ukraińskich były odległe od wszelkiej rzeczywistości. Świadczyły one lepiej o wyobraźni urzędników i oficerów polskich, niż o ich znajomości rzeczy i poczuciu proporcji. Stałość stosunków niemiecko-rosyjskich w XIX w. oparta była na równowadze sił zbrojnych obu mocarstw i sprawa polska grała w nich podrzędną rolę. Dlatego wzory te nie mają wartości w układzie stosunków polsko-rosyjsko-ukraińskich.

Do utraty zmysłu proporcji przyczyniła się znacznie kampania 1920, zwłaszcza u osób, które nie widziały z bliska jej przebiegu i nie brały pod uwagę towarzyszących jej niezwykłych okoliczności. Lata 1939-1941 przywróciły rzeczom ich bardziej stałe proporcje.

Oba powyższe rozumowania przytaczam jako przykład, po jakich manowcach błędziła myśl polska, gdy oddalała się od bardziej realistycznego poczucia wspólności losu wszystkich ludów Europy Wschodniej.



Rzeczywisty układ stosunków narodowościowych na Kresach Wschodnich ulegał od stu lat ciągłym przeobrażeniom w sensie stałego cofania się stanu posiadania i wpływów polskich.

Cofanie się to wystąpiło na wielką skalę po 1863, kiedy w krótkim czasie wywłaszczono 70 % ziemi znajdującej się na Kresach w posiadaniu Polaków. Mimo to ludność polska Ukrainy Prawobrzeżnej stanowiła wszędzie prawie 10 %, była w znacznym stopniu zamożna i wpływowa i grała nadal dużą rolę w życiu Ukrainy. W zachodniej części Wołynia, która po 1920 przypadła Polsce, ludność polska nie była liczniejsza niż np. w Kijowszczyźnie.

Drugim etapem cofania się była rewolucja 1917-1919, w której Polacy kresowi nie odegrali żadnej roli czynnej, kontynuując rolę głównej ofiary wypadków. Przyczyną tego wydaje się być fakt, że Polska rdzenna, opanowana wówczas już przez wzrastającą N-D-cję i idee tzw. narodowe, nie wytwarzała już od pewnego czasu żadnych pojęć i wartości przydatnych dla Polaków rozsianych po Kresach. Idee „narodowe”, propagowane wśród Polaków kresowych przez ich prasę i organizacje, sprawiły, że w konflikcie rewolucyjnym wzięli stronę carskiego *régime'u*, oderwali się od wszystkich sił stałych Ukrainy i znikli

nieślawnie w odmęcie wypadków, w których z racji swej liczby, środków materialnych i wpływów mogli byli odegrać znaczną rolę. Dla oceny tego zjawiska najlepiej jest przypomnieć sobie, jak znaczną rolę odegrali w ówczesnych wypadkach Żydzi, którzy ani przez swą liczbę, ani przez stan posiadania ani przez wpływy nie stanowili nigdzie na Kresach grupy silniejszej niż grupa polska.

Traktat ryski nadał jedynie formę dokonany już faktom. Byli magnaci, dziedzice, cukrownicy i przedstawiciele wolnych zawodów wyjechali do Polski. Drobnol rolnicy i część tzw. inteligencji zawodowej nie opuściła kraju, została wciągnięta w jego nową organizację społeczną, odegrała w niej rolę konstruktywną i dziś jeszcze, jak donoszą pisma ukraińskie, stanowi najczynniejszy element samorządu, tworzącego się w okupowanej przez wojska niemieckie części Ukrainy. Tych Polaków zapewne nie zobaczymy więcej, chyba jako komisarzy w razie okupacji całej Polski przez Sowiety.

Trzeci wreszcie etap tego procesu cofania się żywiołu polskiego w granicach Rzplitej niepodległej. Etap ten zasługuje najbardziej na bliższe rozważenie.

W 1936 oglądałem z Piotrem Borkowskim pod Trembowłą stare, katolickie wsie polskie, których mieszkańcy od pewnego czasu zaczęli w domu mówić po ukraińsku. Zjawisko to nie jest nowe. Proces taki odbył się już przedtem na Litwie, gdzie potomkowie Horeszków i Sopiców porzucili częściowo język polski dla litewskiego. W Irlandii, we Flandrii widziano też, jak język o sławniejszych tradycjach ustępował językowi chłopów, rybaków i pasterzy. Wydaje mi się, że zjawisko to nie ma żadnych reguł ogólnych i w każdym wypadku wynika z określonych przyczyn lokalnych. W ciągu ostatnich 10 lat przed wojną spędzałem corocznie parę miesięcy na Wołyniu i w Galicji Wschodniej i małem sposobność zapoznania się z warunkami, w których język polski zaczął ustępować ukraińskiemu, mimo presji szkolnej i administracyjnej. Główną przyczyną tego zjawiska wydaje mi się być zubożenie wsi polskiej w inteligencję i obniżenie kwalifikatywne tej ostatniej. Kto ukończył szkoły, zostawał urzędnikiem lub jednym z niezliczonych oficerów W.P. Inteligencja ukraińska pozostawała na wsi, i życie wewnętrzne wsi ukraińskiej stało się bardziej bogate i pociągające od życia wsi polskiej. Mieszkając na wsi, sam mówiłem więcej po ukraińsku niż po polsku, po prostu dlatego, że rozmowy w tym języku były bardziej interesujące.

Znaczną rolę musiała odegrać także ewolucja wewnętrzna

obu języków w ciągu ostatniego ćwierćwiecza. Ukraiński, którego nauczyłem się w dzieciństwie nad południowym Dniestrem, był narzeczem rolników i pasterzy; ukraiński, jakim mówiono wówczas powszechnie w Galicji, był mową brzydką, niechlujną, mieszaniną języków zasługującą niemal na nazwę żargonu. Od tego czasu skryształizował się i rozpowszechnił ukraiński język literacki. Cała plejada poetów nadała mu nieznanne przedtem elegancje i rafinacje. Coraz szersze warstwy ludności wciągały się — niby w grę towarzyską — w poszukiwania dystynkcji społecznej, jaką daje język literacki. W ciągu 10 lat, podczas których mogłem obserwować to zjawisko, potoczny język ukraiński w Galicji uległ ogromnej poprawie i zbliżył [się] do literackiego. Na Wołyniu w procesie tym pewną rolę odegrali emigranci z Kijowa, mówiący najpiękniejszym językiem ukraińskim. Zjawiska te zasługują tym więcej na uwagę, że szkolnictwo państwowe w najmniejszym stopniu nie sprzyjało temu rozwojowi.

W tymże okresie czasu język polski uległ odwrotnej ewolucji. W h. zaborze rosyjskim tzw. inteligencja stanowiła, jak w Rosji, odrębną grupę społeczną, o przynależności do której nie rozstrzygało ani stanowisko społeczne, ani sytuacja majątkowa, ani nawet tytuł naukowy. Rozstrzygały o tym bardziej subtelne kryteria, między innymi język i wymowa. Po kilku słowach już można było poznać, kto stoi wewnątrz i kto zewnątrz linii granicznej dzielącej inteligencję od innych grup społecznych. Zwłaszcza u kobiet język i wymowa stanowił — jak w *Pigmalionie* G.B. Shaw'a — o ich klasie społecznej.

W okresie niepodległości znikła odrębność językowa dawnej inteligencji, która przestała być zamkniętą grupą społeczną i stała się „inteligencją zawodową” lub jeszcze szerszą grupą „pracowników umysłowych”. Język polski przestał dzielić grupy społeczne. Wykładając przez kilka lat w warszawskim Instytucie Teatralnym zauważyłem, że moi słuchacze, kandydaci na reżyserów, mający w znacznej liczbie za sobą studia polonistyczne na uniwersytecie, nie potrafili więcej odróżnić wymowy typu „hrabina” od wymowy typu „pisarz prowentowy” i sami mówią językiem drobnych urzędników. Większość nauczycielek, aktorek, a nawet córek autentycznych hrabinek mówi dziś po polsku językiem dawnych podstępów, jeżeli nie gorzelanych i karbowych. Nie chcę wchodzić w szczegóły tego skądinąd pasjonującego rozdziału socjologii języka i powiem w streszczeniu, że z języka polskiego znikł w ostatnim ćwierćwieczu czynnik, który nadawał mówiącemu rangę społeczną niezależnie od jego

stanowiska i majątku. Nic też dziwnego, że order i „dystynkcje”, z których tyle śmieli się Polacy w XIX w., zaczęły grać tak ważną rolę, zastępując zaginioną dystynkcję naturalną.

Opisana tu w wielkim skrócie ewolucja językowa jest tylko fragmentem nowego układu stosunków i deklasowania się żywiołu polskiego w stosunku do żywiołu ukraińskiego.

Inny obraz tegoż procesu obserwowałem w Krzemieńcu w 1938, gdzie byłem zaproszony przez związek nauczycieli i b. wychowanków liceum do wygłoszenia cyklu odczytów o czynniku ludowym w literaturze powszechnej. Krzemieniec jest najbardziej polskim miastem Wołynia. Znałem je już dawniej, ale chcąc je obejrzeć raz jeszcze bez przewodników, przyjechałem przed umówionym terminem i przez kilka dni usiłowałem zrozumić to, co tam zastałem.

Część Żydów krzemienieckich mówiła w domu po rosyjsku, przy tym nie akcentem berdyczowskim lub odeskim, który byłyby jeszcze zrozumiałe, ale tzw. akcentem petersburskim, zdradzającym wielkie zamiłowanie i znajomość najlepszych autorów. Gdzie oni się tego mogli nauczyć? Język rosyjski cofnął się właśnie do swych granic etnograficznych aż poza Ukrainę i Białoruś, i w promieniu 700 km. nie było żadnej szkoły uczącej takiego języka, bo do gimnazjów rosyjskich w Równem i Wilnie Żydzi nie mieli dostępu. Dlaczego wśród innych możliwości — hebrajski, yidish, polski, ukraiński — Żydzi wybrali właśnie rosyjski?

Sceny uliczne w Krzemieńcu dostarczały wielu takich tematów do rozważań. W niedzielę popołudniu widziałem kilku młodych Polaków śpiewających unisono z towarzyszeniem banjo modne pieśni z filmu dźwiękowego i amerykańskiej *musical comedy*. Naprzeciw nich na ulicy ukazała się mała grupa „dziadów i bab” wracających właśnie z bliskiego Poczajowa i śpiewających z towarzyszeniem liry pieśń pobożną. Zestawienie to dawało też niemało do myślenia.

Wołyń mianowicie jest kolebką chóru cerkiewnego, z którego muzyka rosyjska wyszła i jak trzęsienie ziemi objęła cały świat muzyczny. Niektóre chóry wołyńskie mają za sobą po 700 lat działalności. Tam też sztuka śpiewu chóralnego osiągnęła najwyższy poziom, do którego nie dorastają — poza Czechami — żadne chóry Zachodu. Po dziś dzień znajduje się tam kilka tysięcy najlepszych artystów śpiewu chóralnego. Kiedy jeden z tamtejszych zespołów pod dyrekcją Koszyca wyjechał w 1921 na Zachód, chór *Scholae Cantorum*, najlepszy zespół francuski,

brał przez cały rok lekcje od Ukraińców i nauczył się nawet kilkudziesięciu pieśni Leontowicza i Łysenki. Dla dopełnienia tej wiadomości dodam, że wszystkie przedwojenne kompozycje Igora Strawieńskiego, które przyniosły mu światową sławę, zostały napisane w domu jego żony, kijowianki *née* Nosenko, w Uściługu nad Bugiem. Aby móc tam wrócić, Strawieński starał się bez rezultatu o otrzymanie polskiego obywatelstwa. Dom ten, spalony w 1941, stanowił jedną z osobliwości polskiego Wołynia. Zachowałem jego kilkanaście fotografii. W wilgoci otaczających łąk słyhać w nim było pieśni śpiewane na wszystkich okolicznych polach. Jeden z tych motywów figuruje w *l'Oiseau de feu* jako motyw odczarowania. Nawet gdybym był zaczarowany, zdaje się mówić Strawieński, słysząc pieśń z Uściługa stałbym się znów sobą.

Nic też dziwnego, że dziady i baby z Poczajowa śpiewały na cztery głosy z niesamowitą precyzją i siłą przekonania, której brak niestety chórom operowym, i która stanowi tajemnicę sztuki ludowej. Słuchając ich uświadomiłem sobie, że nowa Polska nie wzięła wcale w posiadanie swego Wołynia, nie znała go i nie miała dlań najmniejszego zainteresowania. Napływowym urzędnikom oświatowym i administracyjnym brakowało receptywności i wykształcenia dla oceny wartości kulturalnej Wołynia. Dygnitarze i oficerowie podróżowali po Kresach jak Jonasz w brzuchu wieloryba, tj. jeździli dużo ale widzieli mało. Spotkany przypadkowo delegat Ozonu, dyplomowany inżynier, przekonywał mnie, w obliczu soboru św. Władzimierza [!], że ludność Wołynia była pierwotnie katolicka i nawróciła się na prawosławie za czasów zdrajcy Józewskiego.

Idąc za grupą dziadów, przyglądałem się uważnie wszystkim spotykanym Polakom, usiłując odgadnąć ich myśli. Wszyscy wydawali się całkowicie niemuzykalni, większość wydawała się mało zadowolona. Jedni zapewne zastanawiali się, czy śpiew ten nie jest jakąś ukrytą manifestacją antypaństwową — było to wkrótce po zburzeniu przez policję i huliganów 123 cerkwi, w tym kilku zabytkowych, konserwowanych z funduszków Min. Oświaty — lub czy nie ma w tym jakiejś intrygi Józewskiego.

Ponieważ moje wykłady były publiczne, zapytałem moich gospodarzy, czy zaprosili na nie miejscowych Ukraińców i Żydów. Moje pytanie wywołało wielką konsternację. Nikt w związku nauczycieli nie znał ani jednego Żyda lub Ukraińca. Na to oświadczyłem, że nie widzę celu moich wykładów, bo dla Polaków wykładam w Warszawie, jadąc zaś na Wołyn chciałym mówić też do tzw. mniejszości i przygotowałem w tym celu

tematy szczególnie interesujące Ukraińców i Żydów. Wkrótce jednak zobaczyłem, że moi gospodarze żadną miarą nie potrafią spełnić mego życzenia. Byli to skądinąd nawet sympatyczni Krakowianie, Ślązacy, Wielkopolanie, Warszawiacy, Kielecczanie itd. żyjący nieraz od 8 lat w Krzemieńcu w całkowitej izolacji od ludności miejscowej. Oprócz kuratora Liceum [Stefana] Czarnockiego, ani jeden z nich nie pochodził z Kresów. Mój punkt widzenia był dla nich całkowitą nowością.

Uczniowie Liceum byli też przeważnie obcy Wołyniowi i pochodzili z różnych stron Polski. W szkołach na poziomie średnim i licealnym było zaledwie kilku Ukraińców i ani jednego Żyda. To objaśniło mi dlaczego Żydzi krzemienieccy mówili po rosyjsku.

Juliusz Poniatowski (późniejszy minister Rolnictwa), który odbudował z gruzów fundację Czackiego, zdawał sobie widocznie sprawę z tej sytuacji i główną uwagę zwrócił na najniższą kondygnację uczelni krzemienieckiej, na szkołę powszechną i związki młodzieży wiejskiej, obejmujące młodzież polską i ukraińską w równych proporcjach. Praca jego poszła jednak na marne.

Dla porównania dawnej i nowej roli Liceum Krzemienieckiego przytoczę tu pewien szczegół historyczny. W biografii Gogola znajduje się wzmianka, że gdy starał się o katedrę historii na uniwersytecie kijowskim, senat odmówił mu, ponieważ o tę samą katedrę ubiegał się inny kandydat, posiadający dyplom Liceum Krzemienieckiego. Za panowania więc Mikołaja I, po powstaniu listopadowym, Liceum Krzemienieckie posiadało tak wielki autorytet nawet w Kijowie, że dyplom tego zakładu rozstrzygał sprawę, i Gogol musiał szukać katedry na uniwersytecie petersburskim. W 1938 to samo liceum, rozporządzając większymi środkami niż w czasach Czackiego, nie promieniowało nawet na ulice Krzemieńca. Pozostawało zawieszony w próżni społecznej *veluti chimaera in vacuo bombinans*, jak mówi Rabelais. Praktycznie biorąc, liceum było kolonią napływowych Polaków, izolowanych na Kresach i nie mających tam nikomu nic do powiedzenia.

W jednym z pism ukraińskich znajduję taką wzmiankę: w kwietniu 1942 niemiecki komisarz Krzemieńca wezwał miejscowych Polaków i oświadczył, że nie dopuści dalszego prowadzenia przez nich propagandy probolszewickiej (sic), a w razie dalszych przejawów nielojalności stworzy w Krzemieńcu getto dla Polaków. Groźba ta wydaje się próżna bo już przed wojną izolacja Polaków na Wołyniu była równie kompletna jak w getto. Później sytuacja musiała się tam zmienić w tym sensie, że więk szość

Polaków napływowych wyjechała. Sądząc z nazwisk wymienionych w niemieckim komunikacie, na powierzchni ukazali się znów Polacy miejscowi, prócz Sheybala, nauczyciela rysunków liceum, wymienionego na czele listy, który jako Słazak zapewne mówi najlepiej po niemiecku i z tego tytułu figuruje wśród osób wzywanych do władz.

Piszę o tym wszystkim tak obszernie, gubiąc się może w szczegółach, ale wydaje mi się, że bez nich moja konkluzja wydałaby się zbyt nieoczekiwana.

Rzekoma wyższość i atrakcyjność kultury polskiej była na Kresach Wschodnich całkowitym złudzeniem. Rzecz miała się nawet wręcz odwrotnie. Żywioł polski reprezentowany był na Kresach wyłącznie prawie przez urzędników i policję. Polskość uległa zdeklasowaniu społecznemu. Dokonać wyboru na rzecz narodowości polskiej oznaczało praktycznie zostać drobnym urzędnikiem lub policjantem, członkiem przymusowym Ozonu lub dobrowolnym ONR., na to zaś nikt nie miał ochoty. Polskość stała się czynnikiem deklasującym jak kapelusz, który był modny na Riwierze przed 20 laty.

Srodek Polski przestał promieniować na Kresy. W ostatnich latach przed wojną zarysowało się nawet coś niby proces odwrotny, niby podbój intelektualny stolicy przez Kresy. Moda na tkaniny wileńskie, hafty wołyńskie, ceramiki poleskie, zainteresowanie sztuką ludową zdawało się być powierchowym wyrazem prądu głębszego, nowej oceny życia rolników i pasterzy, którzy w Polsce przechowali częściowo resztki starej kultury. Takie zjawiska widywano już i przedtem w okresach kryzysów cywilizacji miejskiej, w czasach Teokryta, Wirgiliusza, Sonnozara i Rousseau.

Kiedy w 1932 zacząłem jeździć na Kresy dla badania starych osad rolniczych metodą Rouquels i metodą chicagowską byłem samotny i nie słyszałem nawet, aby się ktoś jeszcze tym w Polsce interesował. W parę lat potem towarzyszyła mi już cała grupa młodych literatów, uczonych, artystów, uciekających od ówczesnej Warszawy do zupełnie nowego dla nich świata. W 1938-9 ruch ten ogarnął już tzw. wyższe sfery towarzyskie, stał się wielką modą. Ponieważ uchodziłem za najlepszego przewodnika po resztkach naszego starego rolnictwa, w moich wyprawach chciały mi już towarzyszyć hrabiny, bankierowe, ministrowe, nie zrażające się niczym, gotowe chodzić pieszo z ukraińskim słownikiem w torebce.

Zejście pod strzechy „wyższych sfer towarzyskich” nie jest, być może, wcale zjawiskiem paradoksalnym. W 1927-1929,



będąc urzędnikiem Rady Ministrów, musiałem być świadkiem kilkudziesięciu posiedzeń tego ciała, musiałem wysłuchać 50 mów E. Kwiatkowskiego i dowiedzieć się *quantilla prudentia regitur mundus*. Ze względu na moje ludowe zainteresowania, w tymże niemal czasie bywałem też na posiedzeniach rad gminnych i zebraniach spółdzielców w ubogich wsiach Wołynia i Pokucia. Porównując poziom dyskusji i zrównoważenie sądu na dwu tak dalekich od siebie szczeblach drabiny społecznej, odnosiło się dziwne i nieoczekiwane wrażenia. Dla każdego bezstronnego świadka porównanie to wypadało uderzająco niekorzystnie dla pp. ministrów.

Skala wartości i styl życia, jaki sobie Polacy wybrali w krótkim okresie niepodległości, był zgubny dla autorytetu cywilizacji polskiej na Kresach i spowodował cofanie się wpływów polskich nie tylko na zewnątrz, ale także wewnątrz granic Rzplitej.



Ponieważ Polacy tego okresu nie okazali żadnego zainteresowania dla swych kresów, nie znali ani ich historii ani stanu obecnego, cofanie się żywiołu i wpływów polskich uchodziło przez dłuższy czas powszechnej uwagi. W ciągu pierwszego dziesięciolecia nikt prawie nie zdawał sobie sprawy z rozmiaru i natury tego zjawiska. Dotąd jeszcze wielu Polaków wyobraża sobie możliwość przywrócenia *status quo* z 1939 lub nawet z 1772 i proponuje różne recepty.

W pierwszych latach niepodległości, kiedy wojna z Rosją była jeszcze w powszechnej pamięci, co pewien czas proponowano te lub inne posunięcia, mające zapewnić zgodne współżycie Polaków z mniejszościami narodowymi Kresów Wschodnich. Mówiono więc zrazu o projektach federalistycznych, potem o różnych formach samorządu, potem o autonomii kulturalnej, wreszcie o różnych łagodnie przeczyszczających pomysłach ugodowych. Wszystkie te pomysły były całkowicie niepopularne w społeczeństwie polskim i od 10 lat nie miały żadnych jawnych zwolenników. Ostatnim znanym mi rzecznikiem takich myśli był gen. Młodzianowski, który za rozwinięcie ich przed Radą Ministrów utracił w 1926 stanowisko ministra spraw wewnętrznych.

W drugim dziesięcioleciu niepodległości stan rzeczy na Kresach Wschodnich wywołał gwałtowne reakcje ze strony polskiej, jak sławna „pacyfikacja” Galicji w 1930, wiele innych mniej znanych pacyfikacji, okupowanie znacznej części Kresów przez Korpus Ochrony Pogranicza [...]

Strona polityczna tej krucjaty przeciw Ukraińcom jest powszechnie znana i nie ma potrzeby o niej mówić. Chciałbym zatrzymać się tu tylko na dwu mniej znanych aspektach tej sprawy, mianowicie na dyskryminacji gospodarczej ludności kresowej i na ostatniej fazie stosunków na Kresach, poprzedzającej wybuch wojny.

Często omawiane było u nas zubożenie Kresów Wschodnich, przypisywane różnym przyczynom. Zjawisko to wystąpiło jaskrawo po raz pierwszy w czasie krótkotrwałego okresu naszej *prosperity*, tj. w 1926-1929. Mając wówczas dostęp do wszystkich oficjalnych źródeł informacji i jeżdżąc często na Kresy, widziałem jak ożywieniu gospodarczemu tzw. Polski A towarzyszy równoległe zubożenie Polski B. Przyczyną tego była dyskryminacja gospodarza między obszarami o ludności polskiej i obszarami zamieszkałymi przez mniejszości narodowe. Te ostatnie były upośledzone w zakresie kredytowym, komunikacyjnym (np. rozbiórka 1800 km. kolei wąskotorowych na Wołyniu), inwestycyjnym itd. Już latem 1928 rozbieżność ewolucji gospodarczej Kresów Wschodnich i reszty kraju była tak daleko posunięta, że kilku wyższych urzędników i ekspertów gospodarczych uznało za potrzebne zaalarmować tą sprawą Prezesa Rady Ministrów. Sądziли oni, że obniżenie się dochodów tak znacznej ilości mieszkańców musi zahamować w całym kraju procesy wymiany, przeprowadzić do obniżenia zarobków, bezrobocia i innych zjawisk kryzysowych. Już więc na 1 1/2 roku przed początkiem kryzysu amerykańskiego, przejawy kryzysu gospodarczego widoczne były na Kresach Wschodnich i groziły reszcie kraju. Wspomnienia te są aktualne i dziś, ujawniając koszty ogólne upośledzenia gospodarczego większych grup ludności.

W tym miejscu warto by zaznaczyć, że procesy denacjonalizacji zaczynają się zwykle od góry społecznej i grup o najwyższych dochodach. W Czechach i na naszych Kresach Zachodnich germanizacji uległa nasamprzód zamożna szlachta, awansowana na hrabiów i szambelanów dworu wiedeńskiego i saskiego. Ludność najuboższa odpychana przez warstwy zamożniejsze, nie integrująca się w żadnej innej grupie narodowej, nie wynaradawia się wcale. Zagadnienie to było studiowane obszernie w Stanach Zjednoczonych. W Niemczech widziałem sam robotników polskich mieszkających już w trzecim pokoleniu w barakach i domach noclegowych i mówiących starą polszczyzną przodków. W izolacji na dnie społecznym, robotnicy ci nie ulegali wpływom środowiska które ich odpychało. Dyskryminacja gospodarza ludności ukraińskiej, spychając ją na najniższe szczeble

społeczne, zamykała je przez to samo dla wszelkich wpływów polskich. Z drugiej strony polityka ta, utrzymując Kresy Wschodnie w stanie stałego kryzysu gospodarczego, robiła je niedostępne dla ludności ze środka kraju, przyzwyczajonej do lepszych zarobków [...]

Od 1930, wskutek kryzysu i ogólnego zubożenia Kresów Wsch., zarobki spadły tam tak nisko, że dzień pracy w rolnictwie i rzemiośle przynosił robotnikom 50 gr. — do 1 złotego. Dzięki tak niskiemu poziomowi płac, Kresy Wschodnie stały się strefą niedostępną dla ludności z innych dzielnic. Istnienie tak obszernego rezerwatu o niższym poziomie życia i nieoddzielonego od reszty kraju granicą celną musiało wpływać na ogólne obniżenie zarobków w całym kraju. Tym warunkom przypisać należy m.in. niepowodzenie osadnictwa wojskowego na Kresach Wschodnich i ucieczkę osadników. Z okazji oddłużenia osadników wojskowych w 1935 wyszło na jaw, że w formie kredytów i dopłat różnego rodzaju każdy osadnik otrzymał od Skarbu sumę trzykrotnie większą od wartości rynkowej jego działki. Eksperyment potwierdził zatem w pełni to, co było skądinąd łatwe do przewidzenia, mianowicie, że dyskryminacja gospodarza ludności ukraińskiej musi stworzyć z Kresów „strefę tabu” dla Polaków z innych dzielnic. W ten sposób w okresie 1919-1939 ludność przeludnionej Polski centralnej zamknęła sobie sama dostęp do wschodniej części kraju [...]

Wołyni liczył ok. 10 % stałej ludności polskiej. Starsza jej część, pamiętająca carskie czasy, ziemstwo, uczciwe sądownictwo i liberalizm przedwojenny z trudem dostosowywała się do nowych prądów. W administracji publicznej na Wołyniu było trochę — bardzo nielicznych zresztą — urzędników z tej grupy. W 1938, po odwołaniu Józewskiego, nowe władze zwolniły urzędników pochodzących z Wołynia i zaczęły wydalać z granic województwa bardziej znanych przedstawicieli przedwojennych Polaków [...]

Piszę Panu o tym wszystkim w przewidywaniu, że szczegółoly te prędzej lub później wypłyną w publicznych dyskusjach i — (o ile nie wyrzekamy się z góry pretensji do Kresów Wschodnich) — będziemy się musieli do nich jakoś ustosunkować [...]



Za dowód zbiorowego szału służyć mogą kroki podjęte na Kresach przeciw Cerkwi prawosławnej. Wszyscy wiedzą, jakie siły wybuchowe wyzwalają konflikty religijne, i wszelka przytomna administracja unika ich najstaranniej [...]

Dla różnych przyczyn Cerkiew prawosławna w Polsce znajdowała się u progu zagłady. Wierni opuścili świątynie, sekty wypierały ortodoksję, propaganda grecko-katolicka robiła znaczne postępy. Na lewym brzegu Bugu kilkadziesiąt cerkwi stało zamkniętych w braku duchowieństwa i wiernych. Nawet w sławnym soborze św. Włodzimierza widziałem w 1933 lub 1934 mszę, której byłem jedynym świadkiem. Zdawało się, że prawosławie zniknie z braku zainteresowania.

Ten stan rzeczy zmienił się całkowicie po głośnym zburzeniu przez chuliganów i policję 123 cerkwi na lewym brzegu Bugu. Ponieważ część tych świątyń nie miała więcej wiernych, wydawało się, że wrogowie prawosławia osiągnęli tam całkowite zwycięstwo, i że te puste cerkwie, utrzymywane jako zabytki, są niejako widowymi pomnikami tego zwycięstwa. Ale prześladowcy przebrali miarę. Nie zadowolono się zburzeniem cerkwi, ale postanowiono nie dopuszczać wiernych do cerkwi na prawym brzegu Bugu. W każdą niedzielę policja obsadzała mosty na Bugu, nie przepuszczając prawosławnych na brzeg wołyński. Mężczyźni, w obawie Berezy lub tzw. sprawy prokuratorskiej, zostawali w domu, kobiety zaś przechodziły w bród dość głęboką w tym miejscu rzekę, i można je było widzieć ociekające wodą na wszystkich drogach idących w głąb Wołynia. Taką scenę widziałem na szosie z Uściługa do Włodzimierza. Sobór św. Włodzimierza, niedawno jeszcze świecący pustką, zaludnił się tłumem wiernych fanatycznych, upornych, nieugiętych, gotowych do przyjęcia męczeństwa. Renesans prawosławia na ziemiach polskich był faktem dokonany. W 1939 w każdą niedzielę do niedawno jeszcze opuszczonego Poczajowa przybywało więcej wiernych niż dawniej w dzień wielkiego odpustu.

Ogarnięci szałem prześladowczym nie wyciągają żadnych wniosków z doświadczenia. Fala prześladowań przeniosła się więc także i na Wołyń. Jak K.O. P. nawracał na katolicyzm *manu militari*, jest zapewne Panu wiadome. Coraz nowe cerkwie „rekoncyliowano” na kościoły. W Łucku w 1938 była już tylko jedna cerkiew, a i tę zmieniono na kościół w końcu sierpnia 1939. Był to ostatni akt polityki polskiej na Wołyniu.

Niedawno czytałem w *Krakiwskich Wistiach*, że na miejsce zburzonych przez Polaków 123 cerkwi, władze niemieckie oddały ludności prawosławnej na lewym brzegu Bugu 80 kościołów, stanowiących b. cerkwie, rekoncyliowane za polskich czasów. Jak należało przewidywać, prawosławie jest w pełnym rozkwicie na lewym brzegu Bugu, i gminy prawosławne pojawiły się daleko od Bugu, w miejscach, gdzie niedawno jeszcze nikt

nie podejrzewał istnienia wiernych tego obrządku. *Wisti* skarżą się, że ludność prawosławna nie poddaje się wpływom germanofilijskich papistów obrządku rzymsko-katolickiego i udaremnia niemieckie próby opanowania kraju przy pomocy szkolonych przez Niemców Ukraińców galicyjskich. Według tychże źródeł na dawnej polskiej części Wołynia miały zniknąć ostatnie ślady polskiego panowania i resztki polskiej ludności. Natomiast tenże organ Centr. Komitetu ukraińskiego mówi z niepokojem o sile liczebnej, żywotności i roli Polaków w Żytomierzu, gdzie np. samorządowe kuratorium okręgu szkolnego powstałe po wyjściu wojsk sowieckich liczy połowę urzędników Polaków.



Wszyscy wiedzą, że tzw. granica etnograficzna Polski od strony wschodniej jest dość niejasna, pełna enklaw i szachownic, mało kto jednak zdaje sobie sprawę ze stopnia jej płynności. Nie chcę tu oczywiście poruszać tego wszystkiego, co mówi o tym historia (wymagająca zresztą ostrożnej interpretacji) i pomniki, jakie dotąd stoją na tych ziemiach. Same wspomnienia tego, co widziałem na Kresach za mego życia dają mi już dosyć do myślenia. Pierwszą podróż wzdłuż Kresów Wsch., z Północy na Południe, od Libawy i Kłajpedy przez Kowno, Wilno, Hajnowkę aż do morza Czarnego odbyłem jako młody chłopak z ojcem moim w 1909, jadąc rzemiennym dyszlem i informując się wszędzie u licznych znajomych. Później kilka razy jeszcze oglądałem przy różnych okazjach cały ten pas ludności mieszanej między dwoma morzami. W 1909 Kowno było tak polskie jak za czasów Mickiewicza, i część dzisiejszych nacjonalistów litewskich mówiła w domu po polsku. Wpływy i tradycje polskie sięgały wówczas daleko poza późniejszą granicę ryską. Wpływy tego rodzaju, oparte na samorztunym promieniowaniu ludności i cywilizacji polskiej, cofnęły się w niespełna 30 lat o kilkaset kilometrów.

Cofanie się to nie osiągnęło jeszcze, być może, swej ostatecznej granicy. W Galicji Wsch. wystarczy spojrzeć na jakąkolwiek przypadkową listę nazwisk ukraińskich, aby przekonać się, że połowa ich brzmi wcale niezłe po polsku. Ale wystarczy też wziąć takąż listę nazwisk polskich, by zobaczyć, że znaczna część ich może uchodzić w potrzebie za ukraińskie. Tak samo na właściwych Kresach Wschodnich wszyscy Podhorodeccy, Nehrebecy, Medyńscy itd., dawna szlachta ukraińska, mogą jeszcze odbyć wewnętrzną ewolucję i obudzić się któregoś dnia jako Ukraińcy. Przecież nawet sam Dostojewski, fanatycznie nienawidzący Po-

laków, pochodził z szlachty wołyńskiej spod Łucka, i gałąź polska Dostojewskich liczyła nawet senatorów. Zresztą nie takie rzeczy widziano w Irlandii, we Flandrii i krajach bałtyckich.

W 1940 w Użhorodzie zobaczyłem miejscową gazetę wydaną w pewnej antykwaryzującej odmianie rosyjskiego (językiem podobnym pisał Skoworoda, język ten istniał w Galicji do 1867, a może i później; w 1860-1870 usiłował w nim pisać Sacher-Masoch). Chcąc zobaczyć żywych ludzi mówiących tym wygasłym językiem zaszedłem do redakcji, gdzie zastałem trzy główne filary wydawnictwa. Z rozmowy okazało się, że główny krytyk i felietonista nazywa się Niedzielski, ur. 1902 w Warszawie, co można było poznać po charakterystycznym akcencie, drugi filar pochodził ze Słowacji, trzeci zaś, który najlepiej mówił po rosyjsku i którego brałem zrazu za rosyjskiego emigranta, okazał się byłym austriackim oficerem. Zadne więc tradycje kulturalne i językowe nie giną, nawet najstarsze, a jeżeli która z nich ma wygasnąć, ochotnicy zbiegają się ze wszystkich stron świata, aby ją na nowo zapalić. Jest to sprawą pewnego rodzaju koniunktury kulturalnej, nie pokrywającej się wcale z polityczną. W okresie odrodzenia się państwa polskiego najwybitniejszym poetą rosyjskim był Władysław syn Felicjana Chodasewicz, syn ojca Polaka i matki Polki, urodzony na Kresach i mówiący po polsku z rodzicami. Polska nie ma żadnej granicy etnograficznej powstałej z fatalizmu rasowego. Granica ta jest ze swej istoty płynna, zależna od koniunktury kulturalnej i mogąca ulec jeszcze znacznym wahaniom. Jak widzimy na wahania te nie mają decydującego wpływu pilnie strzeżone granice.



Sytuacja Polaków na Kresach Wsch. przypomina nieco sytuację Niemców sprzed 30 lat, rozsianych po całej Europie Wschodniej aż do Uralu i grających niemałą rolę w życiu tej części kontynentu. Za mojej pamięci jeszcze Niemcy trzęśli dworem petersburski i zajmowali najwyższe stanowiska w Rosji, panowali jako pańszczyźniani magnaci w krajach bałtyckich, liczyli 3 miliony osadników w Rosji Europejskiej i niezliczone tysiące lekarzy, aptekarzy, techników i agronomów. Niemiecki uniwersytet w Dorpacie i politechnika w Rydze ściągają m.in. wielu studentów polskich; nawet na uniwersytecie petersburskim można się było doktoryzować z niemieckiej dysertacji, i niemieckie koneksje naszego T.F. Zielińskiego pochodzą z jego

petersburskiego okresu. Czerniowce były „małym Wiedniem” i miały bardzo dobry niemiecki uniwersytet; Budapeszt otoczony niemieckimi osadami (Svab Hegy), jak Odessa, był na pół niemiecki, wielu budapeszteńczyków tam urodzonych nie umiało nigdy po węgiersku; nie mówię już o Pradze z jej Karls-Universität. W każdym szanującym się domu polskim lub rosyjskim była szafa lub półka z niemieckimi książkami; znaczna część lekarzy, większość szkolonych rolników Kongresówki była wychowankami niemieckich szkół wyższych; Łódź była równie niemiecka jak Bielsko-Bielitz.

Co dziś zostało z tej imponującej ekspansji? Chyba tylko niezliczona ilość Schmidtów, Schmittów, Szmitów, Smytów etc. patriotów polskich, węgierskich, rosyjskich, nawet ukraińskich, których sam Hitler nawet nie umie namówić do zapisania się na niemiecką *Volksliste*. Byłoby niesłuszne przypisywać ten proces klęsce Niemiec w 1918. Również i dla ekspansji niemieckiej w pierwszej połowie XIX w. nie mamy takiego łatwego objaśnienia. Regresja żywołu i wpływów niemieckich zaczęła się na długo przed 1914, kiedy Niemcy konsolidujące się w państwa narodowe i trawione nacjonalizmem, przestały wytwarzać wartości kulturalne niezbędne do dalszej ekspansji lub nawet do utrzymania uprzednio zajętych pozycji.



Polska granica etnograficzna *stricto sensu* na Wschodzie jest niedaleko linii Curzona. Na wschód od niej leżą tylko enklawy podobne do niemieckiej ongiś Rygi, Dorpatu i Czerniowiec i podległe podobnym losom. Nie umiem sobie wyobrazić utrzymania polskiego charakteru tych enklaw bez ich kulturalnego promieniowania i bez wytwarzania w rdzennej części Polski wartości sposobów życia posiadających takie promieniowanie. Opisana przeze mnie sytuacja w Krzemieńcu ilustruje umiowanie takich enklaw, kiedy znikły warunki towarzyszące ich powstaniu i sławie.

Zagadnienie Kresów Wschodnich wydaje mi się być w znacznej mierze sprawą usposobienia, gustów i hierarchii wartości Polaków zamieszkałych w rdzennej części kraju. Dopóki widok współobywateli mówiących innym językiem budzi w nich tylko nieprzytomny gniew i manię prześladowczą, tak długo Polakom brakować będzie uzdolnień niezbędnych do przejścia na Kresach Wschodnich spadku po przodkach.

Czy wypadki ostatnich lat przyniosły jakąś zmianę w usposobieniu Polaków w tym zakresie? Trudno to stwierdzić. Na emigracji na pewno nie, ale to jest bez znaczenia. Być może jednak i w kraju mało zmieniło się pod tym względem od 1939 [...]

[...] Trudno mi uwierzyć, aby styl polski 1938 mógł się przez dłuższy czas utrzymać, nie ustępując miejsca — jak to zwykle bywa — jakiemuś nowemu stylowi. Czy uzdrowienie i ucywilizowanie Polaków zbiegnie się w czasie z okresem decydującym dla posiadania Kresów Wschodnich? Na pytania te trudno odpowiedzieć, i krystalizacje opinii polskiej za granicą i w kraju nie dostarczając tu żadnych wskazówek.



O ile usposobienie Polaków decyduje o posiadaniu Kresów Wsch. na dłuższą metę, o tyle wejście w to posiadanie zależy od warunków ogólnoeuropejskich. Granica polsko-ukraińska ustalona traktatem ryskim powstała w szczególnych warunkach. Przedstawicielem strony ukraińskiej był wówczas Dr Joffe. Jeżeli w przyszłych układach stroną ukraińską reprezentować będą w glorii zwycięzców Budienny i Tymoszenko, granica przebiegnie zgoła inaczej, i przewidywana przez Pana wymiana ludności odbędzie się chyba wzdłuż Interessengrenze z 1939. Jeszcze inaczej wyglądałaby ta granica w razie równoległych rokowań z Rosją i Ukrainą, jak w Brześciu w 1917.

Na razie można zaryzykować w tej mierze tylko przewidywania warunkowe. Wydaje mi się, np., że rozstrzygnięcie zagadnienia Kresów Wschodnich przesądza w znacznej mierze o naszej sytuacji nie tylko wobec Rosji, ale i wobec Niemiec.

Od Szymona Askenazego, który bardzo trafnie przewidział rozwój wypadków i umarł z melancholii na 5 lat przed wojną, słyszałem wielokrotnie pogląd, który wydaje mi się najjaśniej sformułowaną oceną sytuacji Polski w Europie. Sądził on mianowicie, że utrata Wilna i Lwowa musi pociągnąć za sobą mechanicznie utratę Pomorza i Poznańskiego i na odwrót: utrata Kresów Zachodnich pociąga za sobą utratę Wilna i Lwowa. Naiwni tylko mogą sobie wyobrażać, mówił, że Niemcy mogliby przekroczyć granicę w Zbąszyniu bez tego, aby bolszewicy przekroczyli ją w Baranowiczach. Jeżeli bowiem Niemcy zdecydowali się na ten krok, po krótszym lub dłuższym czasie będą musieli dojść do Baranowicz i naruszyć przez to proporcję sił między Niemcami i Rosją. Bolszewicy zatem nie mogą czekać na miejscu, lecz muszą zająć teren do manewrowania przed swą



linią obronną, będący też ewentualnym obiektem rokowań. Czy bolszewicy przekroczą granicę jako alianci Niemiec, czy też jako alianci Francji i Anglii, czy wreszcie jako nasi alianci, będzie to zależało od przypadkowej gry aliansów na ten dzień, ale przejście przez nich granicy będzie nieuniknionym wynikiem samej sytuacji, niezależnym od tej czy innej polityki Rosji i Polski.

Ten sam mechanizm działa w razie pokojowego przebiegu wypadków. Jeżeli Polska zmuszona będzie do cedowania Rosji Wilna lub Lwowa, pozycja jej w stosunku do Rosji będzie tak słaba, że będzie mogła utrzymać swą niepodległość jedynie w oparciu o Niemcy, co praktycznie możliwe jest tylko za cenę odstąpienia Pomorza i Śląska.

Pomysły federalistyczne polsko-czeskie dążą do rozszerzenia nieco podstawy niepodległości Polski, nie widzą jednak, aby formuła Askenazego utraciła przez to swą siłę. W jakim bowiem stopniu federacja z Czechami zwiększa siłę oporu Polski wobec Rosji? Rosja posiadająca kraje bałtyckie, pół Polski i pół Rumunii, aliantka Anglii itd. mało przypominałaby izolowaną Rosję z okresu 1919-1939, i jej presja na Europę Środkową byłaby silniejsza niż kiedykolwiek w XIX w. Wytworzenie przeciwności niezbędnej do utrzymania nowej granicy z Polską — chociażby granica ta szła wzdłuż Bugu i Sanu — wymagałoby sfederowania całej pozostałej części kontynentu łącznie z Niemcami na nowo uzbrojonymi, co pociągałoby za sobą konieczność kompromisowych rozwiązań wszystkich sporów polsko-niemieckich.

Stosunki polsko-ukraińskie są tylko częścią tego kompleksu zagadnień, i wszelki realistyczny program w tym zakresie musiałby być przemyślany na tle tej ogólnej sytuacji [...]



Katastrofa 1939 nie była niespodzianką dla nikogo, kto miał ochotę o tym myśleć. Znaki mnożyły się tak szybko i konsekwentnie, że zawód proroka nie nastęczał większych trudności. W notatniku, w którym zapisywałem interesujące oceny sytuacji i jej przypuszczalnego rozwoju, znajduję np. takie zapisy:

*Listopad 1922.* Słyszane w hallu hotelu Esplanade w Düsseldorfie, gdzie generał Maugin pertraktował właśnie z wezwanym z Moskwy Radkiem w celu uspokojenia robotników w

Zagłębiu Ruhry: „Zerwanie aliansu angielsko-francuskiego jest faktem dokonanym. W konsekwencji przyszłość kontynentu zależy od ewolucji wewnętrznej Niemiec. Jakie będą Niemcy, taka będzie Europa”.

Ja sam miałem wówczas tak czarne myśli, że po powrocie z Ruhry do Paryża kupiłem 600 dolarów, w przewidywaniu konieczności ucieczki z Polski i z Europy.

*Wrzesień 1924.* Hr. Ledebour, przedstawiciel Niemców sudeckich w senacie czeskim: „Rozbioru Czechosłowacji nie dokonają jej sąsiedzi, ale Anglia, gdzie myśl ta robi stałe postępy. Co do mnie, jadę teraz do Londynu”.

*Berlin 1925.* Jeden z przyjaciół Stresemanna: „Alians polsko-francuski jest już aktem archiwalnym. Nawet gdyby jakiś rząd francuski wypowiedział nam wojnę o Polskę, wojna ta nie dojdzie do skutku, bo nie ma podstawy w opinii. Jeżeli potrafimy cierpliwie doczekać, Polska sama spadnie nam do kapelusza”.

*Warszawa 1932.* Askenazy, patrząc na początek budowy Muzeum Narodowego: „Że też ludzie mają ochotę budować w miejscu przeznaczonym na zagładę. Widzę niemal, jak Niemcy zrzucają bomby na ten budynek”. I na mój gest niedowierzający: „Czy pan tego nie widzi? Czy może być inaczej?”

*Genewa 1936,* w początku wojny hiszpańskiej. Robert Dell, dowiadując się o utworzeniu komitetu nieinterwencji: „Obecne pokolenie angielskie z Robertem Vansittartem na czele postawiło sobie za główne zadanie zepchnięcie Francji do rangi Portugalii, i jest to jedyny cel polityki angielskiej, który został całkowicie osiągnięty. Ponieważ Polska nie może opierać się o Portugalie, Anglia zaś nie może jej dać żadnej pomocy, los Polski jest już przesądzony. Polska mogła być wzmocnić trochę swą pozycję przez współpracę z innymi państwami Europy Wschodniej, ale na to już nie czas”.

Wreszcie chciałbym przytoczyć najbardziej jasnowidzącą ocenę Mahmuda Tarzy, twórcy niepodległego Afganistanu i teścia Amanullaha. Po starannym objeździe całej Europy w 1923 (!) stary góral afgański powiedział mnie i Mustafie Czokaj Ohły: „Gdyby wszyscy Europejczycy paśli kozy, można by tę sytuację jeszce jako tako znieść, ale utrzymanie tak zawilej cywilizacji wymaga znacznie więcej rozumu niż go Europejczycy posiadają. Dlatego Europa zginie marnie, niestawnie, z małostkowości i głupoty. Wszyscy będziecie zniwelowani do poziomu Sowieców. Może jedni Anglicy się wykręą. Oni są tak samo głupi jak i inni, ale mają więcej pieniędzy”.

W miarę tego jak Polska zbliżała się powoli do przepaści, naród ogarniało coraz większe zamroczenie, jak gdyby operację rozbioru chciał przeżyć pod chloroformem. Większość Polaków myślała, że przyszłość kraju zależy od sprawy żydowskiej, która była głównym tematem dyskusji. Inni wreszcie widzieli ocalenie w zdobyciu kolonii i wysłaniu tam rzekomego nadmiaru ludności. Widząc istotne położenie kraju, miało się wrażenie, że połowa Polaków należy do 5-ej kolumny, mającej szerzyć zamieszanie i dywersję na tyłach. „Polska jest jak kazańska sierota; nie ma nikogo, kto by o niej myślał”, mówił Askenazy.

W nielepszym stanie znajdowały się inne kraje Europy. Cały kontynent znajdował się w stanie zamroczenia umysłowego, w którym stał się łatwym łupem Hitlera.

Czy i jakimi drogami Europa i Polska będą mogły podnieść się z tego upadku, który poprzedził i przygotował zwycięstwa niemieckie? Czy pogrążona nadal w pomroce, Europa stanie się z kolei łupem Stalina? Trudno to przewidzieć. Już dziś jednak widać jeden z możliwych rozwojów sytuacji na kontynencie, w razie upadku Niemiec w roku obecnym [...]



W zakończeniu dodam, że społeczeństwo ukraińskie, zarówno w Galicji Wschodniej jak na Ukrainie okupowanej, przechodzi obecnie gwałtowny proces rozczarowania do Niemców. Zjawiska tego nie może ukryć nawet prasa ukraińska wychodząca pod niemiecką okupacją i cenzurą. Gdybyśmy mieli lepszy kontakt ze społeczeństwem ukraińskim, powstałyby z tej sytuacji nowe tematy rozmów. Niestety na emigracji znajdują się tylko bardzo nieliczni Ukraińcy, przeważnie pozbawieni kontaktu z krajem.

W 1939-1940 donoszono mi z kraju, że do Lwowa przyjeżdżali Ukraińcy kijowscy, szukając kontaktów polskich w celu wspólnych poczynań przeciwrosyjskich. Nie wiem jaki był los tych rozmów, kilkakrotnie nawiązywanych, ostatni raz w kwietniu 1941. Wydaje mi się, że najsłabszą ich stroną był brak rozmówców ze strony polskiej. Z sierpniowych emisji radia moskiewskiego w 1941 można było wnosić, że układ londyński z Sikorskim był uważany przez bolszewików za ważny atut w ich polityce wewnętrznej jako argument przeciw separatystom ukraińskim i innym. Zresztą Niemcy dostarczyli tej polityce lepszych argumentów. Nie wiem, jak ułożyły się te sprawy w okresie zimowym.

Na Ukrainie okupowanej powstały wszędzie organizacje

samorządowe, w których Polacy grali poważną rolę. Organizacje te są obecnie rozwiązywane w miarę rozbudowy niemieckiego zarządu cywilnego i tworzą dziś opozycję przeciwniemiecką.

Bieg wypadków rozszerzył bardzo zakres stosunków polsko-ukraińskich. Stosunki te wydają się na razie zupełnie płynne, i nie słyszałem dotąd o żadnej próbie nadania im jakichś bliżej określonych kształtów. Ze względu na naturę stosunków angielsko-rosyjskich rząd emigracyjny w Londynie nie może rozwinąć w tej mierze żadnej inicjatywy, a społeczeństwu polskiemu brak instynktu politycznego.



Przeglądając ten list mam wątpliwości, czy Pan będzie zadowolony z jego treści i rozmiaru. Będę bardzo rad wiedzieć, co Pan myśli o poruszonych w nim sprawach, które dotąd znalazły w społeczeństwie polskim tak mało zainteresowania. Nieraz wydawało mi się, że Kresy Wschodnie odpadną od Polski, pomijając wszystkie inne przyczyny, z braku zainteresowania dla nich samych Polaków. Spotkałem tu kilku cudzoziemców, którzy podróżowali po Polsce. Wszyscy uważali Kresy Wschodnie za najciekawszą część Polski i dziwili się trochę, że w Warszawie nikt nie podzielał tego zdania. Kresy znajdowały się, być może, w przededniu ich odkrycia przez Polaków, jak po powstaniu listopadowym. Niestety terminarz Polski zawsze odbiega od terminarza europejskiego. W Bernie spotkałem 3 osoby (Szwajcara, Angielkę i Francuza) doskonale znające nasze Kresy Wschodnie i ich historię polityczną z pacyfikacjami, dyskryminacją gospodarczą itd. Wszystkie więc drażliwe strony tego zagadnienia są doskonale znane całemu światu i będą ciążyły bardzo na wszystkich naszych aspiracjach terytorialnych. Dlatego wydaje mi się bardzo pożądane, aby Polacy sami też się jakoś do tego ciemnego rozdziału swej historii ustosunkowali i mieli o nim coś do powiedzenia.

Najserdeczniejsze pozdrowienia i wyrazy szacunku łączy

Jerzy STEMPOWSKI

Nie trzeba było końcowych zdań, zachęcających do odpowiedzi, bo list Jerzego Stempowskiego — inteligentny, kontrowersyjny, miejscami wprost fanatyczny, musiał podziałać jak drożdże. Niestety, odpowiedź moja nie dochowała się a tylko z następnego listu Stempowskiego z 30 sierpnia wynika, że ją otrzymał. Pisze w nim, że domagałem się „diagnozy i prognozy”. Nie jestem dziś w stanie zrekonstruować mego listu. Przypominam sobie natomiast, że dołączyłem do niego wypis z listu Stanisława Grabskiego,

mego profesora z Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, z którym korespondowałem gdy po deportacji do Rosji i zwolnieniu na skutek sławetnej „amnestii” przybył do Londynu. Inne dochowane listy dotyczą spraw osobistych a przede wszystkim pomocy dla rodziny Profesora w Polsce. List z 17 maja 1942 zawiera jednak *sui generis* program rozwiązania sprawy ukraińskiej w powojennej Polsce, uderzający brakiem realizmu i swoistym, choć nieuzasadnionym, „optylizmem”.

Ponieważ Stempowski w liście z 30 sierpnia nawiązuje do tej wypowiedzi prof. Grabskiego, dołączam ów „ukraiński” ustęp listu prof. Grabskiego.

## VI.

*Kopia fragmentu listu Stanisława Grabskiego  
do Adama Zielińskiego*

(Londyn) 17.V.42

Szanowny Panie,

...

Pyta się Pan o me obecne poglądy na zagadnienie Ziemi Czerwieńskiej. Zachowanie się obecne Ukraińców jest fatalne. Postawili oni w 100 % na kartę niemiecką. I wespół z Niemcami starają się usilnie zniszczyć tę resztę sił polskich, jaka została jeszcze we Lwowie i województwach południowo-wschodnich po deportacjach sowieckich. Pomimo to uważam że należy 1) tak samo jak w całej Polsce rozszerzyć znacznie zakres działania samorządu gminnego i powiatowego, oraz stworzyć sejmiki i wydziały wojewódzkie, 2) we wszystkich gminach, posiadających ponad 15 % ludności polskiej lub ruskiej zapewnić ustawowo przez odpowiednią ordynację wyborczą, że połowa Rady Gminnej będzie się składała z Polaków, a połowa z Rusinów i że na przemiany wójtem będzie w jednej kadencji Polak, w drugiej Rusin, 3) to samo w Radach powiatowych (na wschód od Sanu) i sejmikach wojewódzkich, 4) przy wyborach sejmowych jeden mandat polski; drugi niepolski (okręgi dwumandatowe), 5) o ile po wojnie Ukraińcy sami zlikwidują O.U.N. i klub ukraiński w Sejmie stanie na gruncie uznania obowiązku lojalności ludności ukraińskiej wobec Rzplitej polskiej — zaczniemy organizować uniwersytet ukraiński w Stanisławowie, oraz przyjmować do służby administracyjnej i sądowej Ukraińców — tak by po kilkunastu latach lojalnego postępowania Ukraińców mogli mieć połowę sędziów i 1/4 urzędników administracyjnych na Ziemi Czerwieńskiej i na Wołyniu, 6) pomnażanie siły polskiej liczebnej w Małopolsce Wschodniej przez szybkie i forsowne jej uprzemysławianie, 7) przeprowadzanie z Z.S.S.R. wymiany ludności naszej ukraińskiej na tamtejszą polską.

Równocześnie wysyłam Panu 3 i 4-ty numer *Jutra Polski* z programowymi moimi artykułami.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku i poważania.

St. GRABSKI

## VII.

*Jerzy Stempowski do Adama Zielińskiego*

Muri, 30.VIII.1942

Szanowny Panie,

Mój list poprzedni o zagadnieniach polsko-ukraińskich wymaga pewnego — zapewne niejednego — uzupełnienia. Jak Pan słusznie zauważył, brak mu diagnozy i prognozy. Chciałbym dziś braki te częściowo chociaż uzupełnić, wracając do dwóch punktów moich poprzednich rozważań.

W zeszłym roku czytałem wspomnienia Michała Czajkowskiego (Sadyka Paszy), męża Ludwiki Sniadeckiej, i zastanawiałem się, czy klimat polityczny tych wspomnień jest w ogóle zrozumiały dla dzisiejszych Polaków, czy też stanowi dla nich taką samą zagadkę jak słowa „Litwo, ojczyzna moja”. Trochę oświecił mnie dziś artykuł w *Wiadomościach* o pasach słuckich w kolekcjach amerykańskich. Autorka artykułu, wzmiankując, że pasy słuckie mają napisy cyrylicą, sądzi, że były przeznaczone na eksport do Rosji. Widocznie nie znajduje żadnego innego objaśnienia tego faktu. Oczywiście przypuszczenie jej jest błędne, bo w drugiej połowie XVIII w. Rosjanie pasów słuckich nie nosili. Autorka nie zdaje sobie po prostu sprawy, że w tym czasie w Słucku pisano albo po łacinie albo — jeżeli w języku słowiańskim — cyrylicą.

Jej objaśnienie przypomina mi fantastycznego inżyniera, delegata Ozonu, którego spotkałem podczas podróży po Wołyniu w 1937, i który zupełnie na serio myślał, że ludność Wołynia była pierwotnie katolicka i nawróciła się na prawosławie za rządów zdrajcy Józewskiego. Nie próbowałem nawet prostować tego zdania, tak byłem oszołomiony, słysząc je w Włodzimierzu, kolebce obrządku grecko-słowiańskiego, jak Rzym jest kolebką obrządku rzymskiego. W kilka dni później dowiedziałem się, że w podobny sposób wyobraża sobie historię Wołynia znaczna część oficerów garnizonu włodzimierskiego.

Zjawisk tych nie objaśnia ani niski poziom szkół polskich ani zasadniczy antyhistorycyzm tego pokolenia. Po prostu Polacy zaczęli myśleć kategoriami nowymi, nie dającymi im żadnego klucza do zrozumienia ich przodków i przeszłości swego kraju. Pod tym względem podobni byli do widzianych kiedyś przeze mnie ubogich krawców marksistów, patrzących na Berdyczów z punktu widzenia walki klas i koncentracji środków produkcji, mających gotową odpowiedź na wszystko, lecz nie dostrzegających wcale tego, co ich w rzeczywistości otaczało.

Pojęcia nacjonalizmu dynamicznego i państwa narodowego są uobecnymi produktami procesu jednoczenia się Niemiec i Włoch, i w procesie tym odegrały niemałą rolę. W końcu XIX i początku XX w. pojęcia te zostały żywcem przeniesione do Europy Wschodniej, gdzie warunki miejscowe nie odpowiadały im wcale, i gdzie pojęcia te przyczyniły się tylko do zamroczenia wszelkiej zdrowej myśli politycznej.

Na Wschód od Niemiec nie ma ani jednego kraju, posiadającego ludność równie zwartą pod względem narodowościowym, jak ludność Niemiec i Włoch.

Żaden z ludów Europy Wschodniej nie ujawnił zdolności asymilacyjnych Stanów Zjednoczonych lub Ameryki Łacińskiej.

Nie ma więc żadnych widoków na powstanie w tej części Europy państw narodowych w sensie niemieckim lub włoskim.

Dużo nauczył mnie w tym zakresie pobyt na Węgrzech, gdzie przez 70 lat bezwzględnie i konsekwentnie prowadzono politykę wynaradawiania i asymilacji. Polityka ta, mimo że prowadzona zręczniejsz niż w Polsce, bo dająca neofitom większy awans społeczny (*Hafer-und-Peitschepolitik*, jak mówił Andrassy), nie wydała żadnych skutków. Nawet Węgry okrojone są pełne mniejszości, i pod samym Budapesztem na wsi słyszeć można wszędzie mowę słowiańską.

Z tych danych, bardzo uproszczając i uogólniając, wysnułbym taką diagnozę: walki narodowościowe, które wypełniły ostatnie 40 lat życia Europy Wschodniej, były *grosso modo* skutkiem konfuzji pojęć i rozszerzania się na wschód nacjonalizmu i pojęć typu niemieckiego, trafiających tam na warunki naturalne zupełnie tym pojęciom nie odpowiadające. Dlatego walki te miały największe napięcie w przedsiódkach uniwersytetów, importujących niejako zawodowo pojęcia niemieckie, i najmniejsze napięcie na wsi, dokąd nowe pojęcia i skale wartości nie docierały.

Prognozę widzę w dwu alternatywach.

Walki narodowościowe nie dają rozstrzygającej przewagi większościom i prowadzą do osłabienia krajów, na których terenie się toczą. Odtworzenie po wojnie w Europie Wschodniej państw narodowych dawnego typu i ponowne zaangażowanie się walk narodowościowych może przyprowadzić w krótkim czasie do upadku tej części Europy i jej podziału między wielkie mocarstwa, jak po Kongresie Wiedeńskim. Liczne znaki grożą już dziś takim obrotem wypadków.

Szachownica narodowościowa i inne warunki każą szukać dla Europy Wschodniej przyszłości w różności innych form politycznych niż państwo narodowe militarne typu niemieckiego. Solidarność interesów Europy Środkowowschodniej wskazuje na możliwość i potrzebę jej federowania się, natomiast jej zróżniczkowanie naradowe wymaga równoczesnego dzielenia istniejących tworów państwowych na okręgi autonomiczne różnego typu, dostosowane do warunków miejscowych. Droga ta wydaje się nowa, długa i najeżona trudnościami. Wrażenie to pochodzi w znacznej mierze stąd, że na 25 lat myśl polityczna w Europie nie chadzała tymi szlakami. W szkołach tego nie uczono. Gdybyśmy powierzyli opracowanie takiego statutu Europy Wschodniej profesorom, ich szkolona wyobraźnia podsuwałaby nam same wątpliwości (*Hundertzwanzig Professoren - Vaterland, du bist verloren*). Chłopi daliby temu lepiej rady. Zresztą przykład rozwoju Austrii od 1867 jest dowodem, że taka ewolucja Europy Wschodniej nie jest żadną chimerą. Austria nie upadła w wyniku swego federalizmu, lecz wskutek okoliczności zewnętrznych. Poza tym idee Bakunina na ten temat dowodzą, że federalizm nie musi rodzić się w Burgu ani w Ischlu, i że można doń dojść także innymi drogami.

Niestety wszystkie obecne dyskusje o federalizmie nie uprawniają do zbyt optymistycznych przypuszczeń. Hitler i Mussolini wywarli tak wielki wpływ na obecne pokolenie kontynentalne, że trudno mu wyjść na jakieś inne, weselsze drogi.

Drugi punkt, który chciałbym rozważyć, jest to często dziś zalecana recepta wymiany ludności. Pan sam nie odrzuca jej, ale też i nie sugeruje żadnego praktycznego sposobu jej wykonania. Mowa dziś o niej tak często, że warto ją bliżej rozpatrzeć.

Recepta ta ma pewne precedensy w starożytności, gdzie wysiedlano ludność całych miast i krajów. Zresztą, na nasze pojęcia były to malutkie miasteczka i drobne plemiona. W czasach Renesansu burzono odporne miasta (np. zburzenie Prstvi przez Florentyńczyków w XV w.).



Później jednak recepta ta znika z historii Europy. Już w czasach Renesansu nie mieści się ona dobrze w żadnej hierarchii wartości. Przypuszcza się wówczas powszechnie, że organizacja państwowa ma na celu zapewnienie obywatelom możliwości mieszkania i pracy tam, gdzie żyli ich przodkowie. Gdyby państwo wypędzało ich z ojcowizn, powstałoby pytanie, czy organizacja państwowa jest więcej warta od stanu ludów dzikich, utrzymujących się jako tako na swych terytoriach. Machiavelli stawia przesiedlenia masowe na bardzo określonym miejscu w skali wartości. Są one dlań ośrodkiem, do jakiego może się uciec władca absolutny, kiedy zawiodły wszystkie inne sposoby utrzymania się przy władzy. Po opisanu używanych podówczas metod przesiedlania, które nie wydają się bardziej barbarzyńskie od dzisiejszych, Machiavelli dodaje taką uwagę: Wielu książąt zawaha się przed użyciem tego ostatniego środka, nie wiedząc, czy warto jest utrzymywać się przy władzy za cenę tak wielkich cierpień poddanych, i środek ten opisują jedynie na użytek tych, którzy dla tych lub innych przyczyn już zdecydowali się wejść na tę drogę. Ta uwaga daje dużo do myślenia.

Dopiero nasze czasy przywróciły aktualność procederowi, który sam Machiavelli uważa za *ultima ratio*, nie będąc pewny, czy Cezar Borgia zdecyduje się na tak mało humanitarne posunięcie. Pierwszy precedens naszych czasów znajdujemy, o ile wiem, w traktacie turecko-greckim z 1922, przewidującym wymianę ludności między obu stronami, w szczególności zaś wysiedlenie Greków z Smyrny, gdzie mieszkali przez 3000 lat, gdy Turcy zjawili się w tych okolicach dopiero przed 5 wiekami.

Precedens ten zasługuje na bliższe rozpatrzenie. Mustafa Kemal i Ismet Pasza wysunęli swój postulat nie jako receptę na uregulowanie stosunków narodowościowych, ale przede wszystkim jako sankcję karną przeciw Grecji a w większym jeszcze stopniu przeciw Anglii za złamanie układu rozejmowego z Mudros (1918), w którym Anglia gwarantowała Turcji że nie dopuści do okupowania jej terytorium przez żadne państwo mogące mieć pretensje terytorialne do Imperium Ottomańskiego. Niepomny tego zobowiązania rząd angielski uzbroił armię grecką i w 3 miesiące później wysadził ze swych statków w Smyrnie. Krok ten wywołał ogólne powstanie w Anatolii, na którego czele stanęli tzw. kemaliści. Wojna trwała przeszło dwa lata i zakończyła się klęską Grecji i kapitulacją angielskiego korpusu ekspedycyjnego w Czanaku, co z kolei spowodowało upadek Lloyd George'a. Wyzyskując swą przewagę, Mustafa Kemal wysunął żądania mające na celu zdyskredytowanie Anglii u wszystkich

ludów, które chciałyby z nią zawierać alianse. Temu celowi służyć miało wysiedlenie Greków z Smyrny, których Anglia i Francja, obciążone politycznie w tej całej sprawie, nie mogły bronić. Do rokowań Turcja wysłała Ismeta Paszę, który wówczas nie nazywał się jeszcze İnönü, ale Sahyr Ismet — głuchy Ismet — w myśl tureckiego przysłowia: do traktowania z wrogiem posyłajcie niemego, a jeżeli takiego nie ma pod ręką — głuchego. Ismet miał w oczach całego świata pokazać, jak Anglia zdradza swych aliantów, i jaka straszliwa kara czeka naiwnych, którzy dadzą się użyć jako narzędzia angielskiej polityki: cel Ismeta został w pełni osiągnięty i, nawiasem mówiąc, epizod ten objaśnia zarówno dzisiejsze stanowisko Turcji, jak i tragiczną awanturę grecką Churchilla i Edena, chcących za wszelką cenę oderwać się od wspomnień z Mudros i Lausanny.

W pojęciu więc samych Turków wysiedlenie Greków miało być warunkiem haniebnym, dyskredytującym na całym Wschodzie mocarstwa, które dopuściły do takich ostateczności. Nie inaczej rozumowali Smyrnioci, którzy tak byli obrażeni na Grecję za przyjęcie tego warunku, że częściowo wcale nie pojechali do Grecji, ale rozproszyli się po świecie. Z tego czasu datuje się m.in. *le quartier grec* w Paryżu przy Bd Montmartre, gdzie mieszkało kilka tysięcy Smyrniotów.

Ta pierwsza próba wymiany ludności w naszych czasach napęła zadumą, i przy tym nad wielu rzeczami naraz.

Następne precedensy idą już jedno po drugim: wysiedlenie Niemców znad Adygi, z krajów bałtyckich, z Bessarabii, Polaków z Wielkopolski i ze Śląska itd.

Wszystkie jednak ostatnie wypadki noszą pewien szczególny charakter. Są to bądź akty jednostronne, bądź dwustronne, ale zawarte między dyktatorami posiadającymi władzę *de facto*, rewolucyjną, pozbawioną legalności, i operujących *manu militari*, bez potrzeby liczenia się z opinią poddanych. Niektóre z tych umów są już nieważne, jak umowy sowiecko-niemieckie. Wszystkie zaś umowy tej grupy nie mają większej mocy prawnej, bo nie będą przez nikogo uznawane po upadku dyktatorów. Wysiedleni lub wymienieni w ten sposób są w położeniu uchodźców, którzy opuścili miejsca zamieszkania wskutek działań wojennych lub przewrotów społecznych. Przewroty trwają czasami tak długo, że uchodźcy nie wracają już nigdy do swych siedzib, ale są to zawsze zjawiska o zasięgu ograniczonym, które rzadko zmieniają stosunki narodowościowe.

Chciałbym zastanowić się nad tym, w ogóle można sobie

wyobrazić wymianę czy przesiedlenie ludności w trybie legalnym.

Teoretycznie można sobie wyobrazić warunki, w których akcja przesiedleńcza mogłaby zostać legalnie podjęta. Wyobraźmy sobie np., że na terenie autonomicznej Galicji Wsch., w celu zmniejszenia tarć w samorządach gminnych i powiatowych powstaje myśl skupienia ludności polskiej i ukraińskiej w określonych powiatach, że program ten zyskuje aprobatę Sejmu Lwowskiego, że akcja ta zostaje połączona z parcelacją reszty większych majątków i powszechną komasacją i upelnorolnieniem, że na czele komitetów przesiedleńczych stają osobistości miejscowe cieszące się powszechnym szacunkiem itd. Taka dobrowolna akcja przesiedleńcza w sprzyjających warunkach mogłaby mieć pewne powodzenie, ale wątpię bardzo, czy mogłaby zmienić zasadniczo stosunki narodowościowe w Galicji. Bo np. czy Polacy z Pokucia lub Tarnopola zechcą osiąść na Łemkowszczyźnie, lub czy Łemkowie dadzą się namówić na wyjście z gór? Trudno temu uwierzyć. Ale i nieudana próba mogłaby mieć dodatnie skutki. Można by potem powiedzieć: nie chcieliście wyjechać, musicie więc żyć zgodnie razem.

Natomiast nie mogę sobie wcale wyobrazić wymiany ludności na granicy polsko-sowieckiej, o której mówi w swym liście St. Grabski. Dobrowolnie nikt się na to nie zgodzi. Ludność polska Wielkiej Ukrainy w olbrzymiej większości wolała w 1918-1920 raczej zostać pod panowaniem sowieckim, niż opuścić swój kraj. Dała wówczas wyraz swej woli, i nie ma powodu przypuszczać, że teraz zechce jechać do Polski. Co do obywateli polskich, decyza ich nie nastrocza wątpliwości. W 1921 władze polskie postanowiły wysiedlić dwóch młodych inżynierów z Kijowszczyzny, moich znajomych. Przed przekroczeniem granicy, w Zdołbunowie obaj zginęli, rzucając się pod pociąg. W 1939, 98% ludności Galicji Wsch. wolało raczej głosować za przyłączeniem Galicji do Sowieców niż narażać się na wysiedlenie do Rosji. Te fakty mówią same za siebie. Zagrożeni wysiedleniem do Rosji, Ukraińcy galicyjscy zgodzą się raczej przejść na katolicyzm (Szeptycki ich za to pobłogosławi) i głosować na kogo każą. Ale czy w ten sposób można naprawić stosunki polsko-ukraińskie w Galicji?

Wyobraźmy sobie inny wariant, mianowicie wytyczenie nowej granicy polsko-sowieckiej, gdzieś w pół drogi między granicą ryską i Interessengranze z pozostawieniem ludności całej strefy spornej wyboru między Rosją i Polską. Nie trzeba być prorokiem, aby przewidzieć, że ze strefy cedowanej Rosji

znaczna część ludności polskiej, ukraińskiej i białoruskiej, wyjedzie do Polski, i bardzo mała część tak samo mieszanej ludności wyjedzie ze strefy polskiej do sowieckiej. O takim obrocie sprawy można wnosić na mocy ruchu, jaki powstał wzdłuż Interessengrenze w 1939-1940. Byłaby to więc prosta cesja terytorium bez zasadniczych zmian w układzie narodowościowym.

Pozostawiając ludności swobodę wyboru, nie można oczekiwać żadnego zmniejszenia się szachownicy narodowościowej ani na kresach polskich, ani w żadnym innym kraju Europy Wschodniej. Utrzymując się, mimo straszliwych prześladowań, na swych obszarach, mniejszości narodowe Europy Wsch. dały niedwuznaczny wyraz swej woli. Plebiscyt ten można uważać za już dokonany.

Mowa więc może być chyba o wysiedleniu mniejszości *manu militari*, w tym trybie, w jakim Hitler wysiedlał Polaków z Warthegau. Taki pomysł byłby nawet podobny do przedwojennego prof. Grabskiego. W 1938 widziałem we Lwowie młodych „oenerowców”, zapewne wychowanków politycznych prof. Grabskiego, jak szli przez Wały Hetmańskie tupiąc wzorem niemieckim nogami i krzyczący: „Tak — jak — Hitler — tak — jak Hitler, tak — jak — Hitler!!!” W tych krótkich słowach jest i program i metoda działania. Czy jednak tą drogą można otrzymać poprawę stosunków lub chociażby stałe przesunięcia ludności? Wszyscy wierzymy że Wielkopolanie wrócą do Wielkopolski i Ślązacy na Śląsk. Dlaczego więc mielibyśmy jednocześnie myśleć, że wysiedleni w tym samym celu Ukraińcy nie wrócą do Galicji?

Nie wyobrażam sobie, aby jakaś większość legalnie obranego sejmu polskiego uchwaliła wysiedlenie *manu militari* części ludności Rzplitej. Rząd londyński jak gdyby już antycypował łagodniejsze poglądy większości, kiedy w 1941 domagał się zwolnienia z więzień sowieckich Ukraińców obywateli polskich.

Można by wreszcie przypuszczać, że okazja do posunięć *manu militari* mogłaby się nadarzyć w jakimś okresie przejściowym, między końcem wojny i zebraniem się ciał ustawodawczych. Ale czy ten okres będzie się nadawał do takich posunięć? W całej Europie będzie panowała wielka potrzeba legalności, wakującej już od kilkunastu lat. Zwycięskie mocarstwa będą dążyły do jak najszybszego wprowadzenia na całym kontynencie stanu legalnego. Ludy kontynentalne będą szukały zemsty na Niemcach, i tego zadania nie będą chciały

kompromitować przez nielegalności z innej strony. Wreszcie śpieszne posunięcia okresu przejściowego nie potrafią na pewno dokonać żadnego przewrotu w stosunkach polsko-ukraińskich. Ukraińcy będą ze swej strony gromili Niemców i ich ukraińską policję pomocniczą (Polacy jej do rąk żywej nie dostaną, bo to załatwią już przedtem Ukraińcy), może więc wytworzyć się odprężenie tej sytuacji, jaka się wytworzyła pod okupacją niemiecką. Rozrachunek polsko-ukraiński przyjdzie później.

(O zagadnieniu legalności ukazała się b. ciekawa książka G. Ferrero p.t. *Pouvoir, les Génies invisibles de la Cité*, N.Y., Brentano's 1942. Bardzo ją Panu polecam. Zrobiła ona wielkie wrażenie w Ameryce i będzie miała duży wpływ na politykę europejską Stanów Zjednoczonych).

W zakończeniu dodam, że program wymiany ludności w Galicji wysunął ostatnio Dr Kubijowicz przed Centr. Komitetem Ukr. Ze źródeł ukraińskich słyszałem, że pomysł ten nie znalazł uznania i nawet postanowiono nie dawać mu rozgłosu. Ukraińcy piszą, że został wysunięty na żądanie niemieckie „dla powiększenia obecnego zamętu”, *lisze szczob vnesti bilszij zakotot*.

Dla tych wszystkich motywów bałbym się bardzo wysuwać wymianę ludności w jakimkolwiek programie politycznym. Poza innymi brakami, proceder ten wydaje mi się nade wszystko niepraktyczny, niemożliwy do wykonania w granicach legalności i, w warunkach obecnych, wywołujący obawę gwałtów, z której rodzą się wszystkie niebezpieczne antagonizmy polityczne.

Na tym kończę dzisiejszy list, odkładając inne sprawy do następnego.

Serdeczne pozdrowienia i wyrazy szacunku łączy.

Jerzy STEMPOWSKI

## IX.

Lizbona, 25.9.42

Szanowny Panie,

...Przechodząc do sprawy obu nas interesującej, chcę przede wszystkim zaznaczyć, że listy Pańskie czytam z wielkim zainteresowaniem i pewnym „nabożeństwem”, takie są pełne

myśli i idealizmu. Rzecz inna, że jakkolwiek zgadzałbym się z Panem co do zasadniczej tendencji, to co do praktycznych konkluzji zgodzić się nie mogę.

Niedawno czytałem wydany w Londynie „Kraj lat dzieciennych” z Pańskim artykułem o Ukrainie. Artykuł ten — nie znałem go, gdy był drukowany w *Wiadomościach* — oświecił mi pewien punkt, który pozostał niedomówiony w Pańskich listach. Mam na myśli zdanie, w którym Pan mówi, że na Ukrainie były rodziny, w których każde pokolenie mówiło innym językiem i do innej przyznawało się narodowości. Oczywiście gdy tak podejmiemy do sprawy, to dochodzi się do zupełnie innych wniosków i rezultatów, niż myśląc kategoriami — jeśli nie rasy, to w każdym razie narodowości stałej i dziedziczonej.

Przyznaję, że poglądy Pańskie są z punktu widzenia oderwanego idealizmu piękne i pociągające. Ale zdaje mi się, że rozumując tak jak Pan to czyni, nie bierze Pan pod uwagę tendencji jakie widzieliśmy w Europie ostatnich 20 lat, które wywarły może wpływ zgubny, były jedną z przyczyn wojny i katastrofy, ale — były, a skoro były to pozostawiły za sobą ślady. Zdaje mi się że tak jak przed wiekami ewolucja myśli ludzkich szła od zachodu na Wschód, Francja pierwsza poczuła się państwem narodowym, potem zjednoczyły się Włochy, przed naszymi oczyma dokonano się zjednoczenie Niemiec, któremu towarzyszyło jaskrawe wyrafinowanie się poczucia narodowego niemieckiego i proces ten idzie dalej na wschód, powodując m.in. także krystalizowanie się poczucia narodowego u Ukraińców. Powiada Pan że te myśli szły przez „przedzisionki uniwersytetów” szczepiających poglądy niemieckie. Zapewne to zdanie jest słuszne, ale tak już jest, że przeważnie zdobycze Zachodu dochodzą do nas via Niemcy i to nam dziś Niemcy tak złośliwie i cynicznie wypominają. Ale my z kolei możemy im wypominać wpływy francuskie, bo pochod kultury zachodniej czy myśli zachodniej przypomina nieco zabawę towarzyską zwaną „pocztą”, gdzie sąsiad sąsiadowi podaje szturchańca. Na nacjonalizm ukraiński patrzę więc nie jako na produkt *made in Germany*, ale na pewną konieczność historyczną.

Zgadzam się z Panem w 100 % co do tego, że nasza polityka oficjalna grzeszyła zupełną ignorancją spraw wschodnich, że przeciętny inteligent, a zwłaszcza młody inteligent z Polski zachodniej czy centralnej, w ogóle nie miał pojęcia o problemie ukraińskim czy białoruskim, że dla ludzi tych Ukraińiec był jakimś nowotworem, którego nikt nie łączył z tymi skraw-

kami historii, jakie wyniósł ze szkoły. Co do tego jesteśmy zgodni i podpisuję się w pełni pod aktem oskarżenia, jaki Pan Polsce lat 20-ych i 30-ych wystawia. Jesteśmy więc niewątpliwie zgodni co do tego że problem widzimy, nie bagatelizujemy go, nie chcemy zamykać nań oczu i oszukiwać siebie samych że wszystko jest cudownie.

Zaczynamy się różnić w konkluzjach, jakkolwiek i tam znalazłem wiele zdań, które jakby mi Pan z ust wyjął. W większości jednak widzę między nami różnice.

Zgadzam się z Panem np. co do tego, że drogą decentralizacji i autonomii małych obszarów można uzyskać b. dobre rezultaty. Niewątpliwie metoda ta jest słuszna, i łatwiej jest rozwiązywać problemy narodowościowe na platformie małego terytorium o ludności mieszanej niż całego państwa. Ale to rozumowanie prowadzi nas w konsekwencji do zacieśniania granic takiego mieszanego obszaru, do wyodrębniania terytoriów czysto „A” i czysto „B” i do zmniejszania obszaru „AB”, czyli de hitlerowskiego ideału *klare Volkstumgrenzen*. Federacje i rozwiązania autonomiczne widzę tylko wówczas, jeśli granice federacji potrafią objąć odnośnie narodowości bez reszty. Zdaje mi się, że już to rozumowanie Panu pisałem, ale powtarzam je jeszcze raz, bo uważam że jest to punkt najistotniejszy sprawy — zwłaszcza w odniesieniu do sprawy ukraińskiej.

Zgadzam się z Panem że Austro-Węgry to nie była taka „głupia” instytucja, ale nie zgadzam się ze zdaniem, że upadły wskutek przyczyn zewnętrznych, gdyż za główną przyczynę uważam odśrodkowe dążenia tych narodowości, których główne ośrodki leżały poza Austrią: Włochów, Serbów, Rumunów, Polaków a nawet Niemców (Wszechniemców).

Czy wierzy Pan w możliwości — jakiejś federacji między odłami narodów? Czy uważa Pan za możliwe, by Ukraińcy — nawet obdarzeni wszelką swobodą i autonomią — byli lojalnymi obywatelami Polski wówczas, gdy gros ich współbratymców będzie mieszkać w innym związku państwowym? Jeśli to będzie Ukraina Sowiecka, to być może że nie będzie dążenia do połączenia się z nią, ale jeśli to będzie Ukraina niepodległa? Czy wierzy Pan w możliwość unii czy federacji Polski z Ukrainą obejmującą wszystkie ziemie ukraińskie aż po kozaków astrańskich i kubańskich? I czy nie sądzi Pan, że Ukraińcy duszeni w Sowietach a traktowani łagodnie w Polsce nie będą dążyć do wyodrębnienia takiej minimalnej „zachodniej Ukrainy” — bo spod Polaków będzie to łatwiej — jako zaczątku przyszłej wielkiej? Czy wierzy Pan w to, że w dzisiej-

szych czasach ktoś może być dobrym uświadomionym Ukraińcem i nie chceć samodzielnej, zjednoczonej Ukrainy?

Ja — jakkolwiek przyznaję, że platforma ponadnarodowa ma swoje piękne strony — nie wierzę.

Rozważył Pan dość obszernie sprawę wymiany ludności, która — jak Pan słusznie stwierdził — stała się terminem modnym i rzucana jest jako ten uniwersalny lek na wszystkie bolączki. Ma Pan rację że jest to rzecz która musi budzić zastrzeżenia i zastanowienia. Uwagi Pana o przykładzie greckoturckim są słuszne — sam w Grecji widziałem barakowe obozy owych nieszczęśliwych przesiedleńców w szereg lat po przesiedleniu (byłem tam w 1938!) i wtedy jeszcze sprawa ta stanowiła problem wewnętrzny. Ale mimo wszystko mam wrażenie, że się bez tego nie obejdziemy. Znowu postawię pytania:

Jak Pan wyobraża sobie inaczej oczyszczenie krajów dziś okupowanych przez Niemcy z Niemców — sprowadzonych dziś i dawnych Volksdeutscheów? Jeśli nie wyrznać to co? Wyrzucić? A w ich miejsce ściągać każdego Polaka, który tylko może być Polsce przydatny? A więc własna wymiana. Zapewne że to jest sprzeczne z zasadą wolności jednostki etc. Ale czy widzi Pan inne wyjście? Sam Pan pisze że wszystkie osiedlenia etc. będą nieważne i przesiedleni będą w położeniu uchodźców, którzy będą wracać do swego. To tylko w teorii tak wygląda ale praktyka będzie inna. Czy Pan sądzi że taka Rumunia wpuści z powrotem Niemców z Bukowiny czy Besarabii? Czy my sami wpuścimy Niemców osadzonych dziś na Pomorzu na Wołyni czy do Małopolski Wsch.? I czy wyrzucając Niemców besarabskich czy bałtyckich, zostawimy np. bydgoskich, tych co nam w plecy strzelali, czy łódzkich. I czy sądzi Pan że np. Polacy z Westfalii będą mieli nawet w „nowych” pohitlerowskich Niemczech inną ewentalność jak albo wrócić do Polski albo przestać być Polakami?

Powiada Pan, że nie może Pan sobie wyobrazić wymiany na granicy polsko-ukraińskiej i że dobrowolnie nikt się na to nie zgodzi. W rozumowaniu swym napisał Pan dwa zdania najzupełniej ze sobą sprzeczne:

Raz Pan twierdzi że „ludność polska Wielkiej Ukrainy w olbrzymiej większości wołała w 1918-1920 raczej zostać pod panowaniem sowieckim niż opuścić swój kraj”, a drugi raz, kilka wierszy niżej, mówiąc o ewentalności dania ludności wyboru przesiedlenia się do Polski lub do Sowieców, pisze



Pan, że „nie trzeba być prorokiem aby przewidzieć, że ze strefy cedowanej Rosji znaczna część ludności polskiej, ukraińskiej i białoruskiej wyjedzie do Polski i bardzo mała część wyjedzie ze strefy polskiej do sowieckiej”. Więc co jest Pańskim zdaniem silniejsze? Przywiązanie do ziemi czy wstręt do sowieckiej formy rządu? Bo raz Pan powiada że nikt się nie ruszy dobrowolnie, więc wymiana się nie uda, a drugi raz że wszyscy pójdą w jednym kierunku, więc także wymiany nie będzie.

Otóż osobiście sędzę, że niezależnie od tego czy na Ukrainie będą Sowiety czy niepodległa Ukraina, sprawę oczyszczenia szachownicy narodowościowej będzie musiała powstać. Od układu sił zależy tylko, gdzie ta „Interessengrenze” będzie przebiegać. Uważam że rozumowalibyśmy na szkodę naszych interesów, gdybyśmy przy ostatecznym obrachunku brali pod uwagę, że Ukraińcom nie podoba się sowiecka forma rządu. Jeśli mają swoje aspiracje narodowe, jeśli jest ich 40 milionów, to jest ich rzeczą wewnętrzną wyczyścić swe rachunki z Rosją i bolszewizmem. Dlatego że jeden czy drugi woli się rzucić pod pociąg niż iść do Sowietów, mamy go tolerować u siebie i jego palenie dworów, napady na poczty itp.

Powłada Pan, że „pozostawiając ludności swobodę wyboru nie można oczekiwać żadnego zmniejszenia się szachownicy narodowościowej”. Zgodziłbym się z tym zdaniem gdyby „wybór” dotyczył tylko kwestii zamieszkania i obywatelstwa. Ale jeśli „wybór” Polski będzie *implicite* równoznaczny z wyborem języka polskiego, szkoły polskiej, obrządku rzymsko-katolickiego etc., to ci dla których te pojęcia coś znaczą pójdą tam, gdzie będą mogli trwać przy swym „Kulturgut”, a ci którym to obojętne, w kilku pokoleniach, a może i w jednym zasymilują się w większości do której przystaną.

Mówi Pan że żaden Sejm Rzeczypospolitej nie uchwali wyrzucenia *manu militari* własnych obywateli. Ale sędzę że znalazłby się Sejm, który by postawił mniejszościom alternatywę: chcesz zostać — zostań jako Polak, nie chcesz być Polakiem — idź z Polski. Są to może rzeczy w platformie humanitarnej drastyczne i przykre, ale po tej wojnie będą się na pewno wydawały łagodne po tym co ludzkość wycierpiała.

Nie podzielam Pańskiego optymizmu co do porachunków Ukraińców z Niemcami i swoimi germanofilami. Nie twierdzę by germanofilizm Ukraińców był szczerzy, ale nie może być dwóch zdań, że Niemcy dali Ukraińcom więcej niż my i że porównanie wychodzi w oczach Ukraińców na korzyść Niem-

ców. Wina leży w lwiej części po naszej, wzgl. naszych niedo-  
warzonych „polityków” stronie, ale to bicie się w piersi niczego  
nie zmienia.

Niestety nie widzę możliwości zgodnego załatwienia za-  
gadnienia bez uprzedniego oczyszczenia spraw spornych, choćby  
siłą i z ofiarami [...]

Jerzy STEMPOWSKI

Na tym, niestety, urwała się nasza wymiana listów i myśli. Stało się  
to niewątpliwie w wyniku zajęcia przez Niemców (8 listopada 1942) tzw.  
wolnej strefy francuskiej (*zone libre*), co przekreśliło możliwość korespondo-  
wania ze Szwajcarią bez cenzury niemieckiej. Do tej wymiany nigdy już  
nie powróciliśmy.

Rozwiązanie jakie przyniósł koniec wojny jest w wielu punktach zbieżne  
ze sformułowanymi przeze mnie postulatami i przypuszczeniami. Doszło do  
niego jednak nie drogą obopólnej zgody obu partnerów, Polaków i Ukraiń-  
ców na zasadzie „równi z równymi”, lecz pod dyktatem sowieckim. Rozgra-  
niczenie polsko-ukraińskie nastąpiło nie drogą wymiany „gdzieś w połowie  
drogi” ale na skutek brutalnego wysiedlenia Polaków niemal po granicę  
maksymalnych rewindykacji ukraińskich. Nie można przecież nazwać wy-  
mianą przerzucenie drobnych pozostałości ukraińskich z Łemkowszczyzny  
do dawnych Prus Wschodnich czy na Dolny Śląsk...

14 sierpnia 1977

Adam ZIELIŃSKI

Ks. Teofil SKALSKI

## GARSTKA WSPOMNIEŃ Z MEGO ŻYCIA\* (1)

Współkrajanom swoim, Polakom kresowym,  
z gleby rodzinnej z bólem wyrwanym,  
garstkę tych wspomnień poświęca, sercem  
im bliski, z rubieży wschodnich

Książd katolicki.

*Deus in auditorium meum intende.*

Nowy Targ, dn. 20 lutego 1942 r.

Zdaję sobie sprawę, że jestem niewiele znaczącą jednostką, ale ponieważ, dziękować Bogu, przeżyłem już lat sześćdziesiąt pięć, a samego mego kapłaństwa dobiega rok czterdziesty drugi, więc z natury rzeczy zetknąłem się w życiu z mnóstwem ludzi, o których współcześni lub nic nie wiedzą, lub zaledwie coś niecoś słyszeli, widziałem i przeżyłem rozmaite wypadki, charakteryzujące z górą pół wieku, podlegałem różnym ustrojom społecznym i politycznym, a i w samej tej części Kościoła katolickiego co pozostawała pod zaborem rosyjskim, rozmaite doświadczałem zmiany, więc sądzę, że rzucając na papier choć nie-

---

\* Relacja ks. inf. Teofila Skalskiego jest wyjątkowym dokumentem, obrazującym dzieje polskości na Ukrainie przed pierwszą wojną światową aż do roku 1932, w którym to roku ks. Skalski wrócił do Polski (w drodze wymiany) i do roku 1939 pracował w Łucku. Po ucieczce przed wojskami sowieckimi przez 16 lat był proboszczem w Mszanie Dolnej. Zmarł 12 kwietnia 1958 roku. Jak powiedział na jego pogrzebie bp Baziak „był to ptak Wielkiego Lotu, który pogodnie pracował i trwał na tym skromnym stanowisku, na jakie rzuciły go losy wojenne”.

które, luźne wspomnienia mojego życia, przyczynek jaki taki dorzucam do historii narodu i Kościoła naszego.

Urodziłem się 1 marca starego stylu 1877 roku we wsi Kiryjówce, pod miasteczkiem Berszadą, powiatu Olgopolskiego na Podolu rosyjskim. Ochrzczono mnie w kościele w Berszadzie, nadając dwa imiona: Teofil-Aleksander; metryka chrztu mego zapełniona była jednak w parafii Czczelnickiej, gdyż kościółek Berszadzki rachował się tylko filialnym kościoła w Czczelniku. Rodzice moi należeli do drobnej ubogiej polskiej szlachty herbu „Suche komnaty”. Matka moja Teofila była z domu Niwińska, a mój Ojciec miał imię Godfryd. Po pewnej katastrofie majątkowej, którą rodzice moi ponieśli dzierżawiąc jakiś folwark, w chwili mego urodzenia ojciec mój był tylko już oficjalistą rolnym, rachmistrzem w majątku Kiryjówka. Pewne jednak moje wspomnienia odnoszą się nie do tej Kiryjówki, gdzie przyszedłem na świat, ale do wsi Kosarzyńce nad Bohem gdzie mój ojciec od właścicieli pp. Kazimierzostwa Sobańskich z Sumówki miał zarząd folwarkiem. Pamiętam, że mieliśmy własne do rozjazdu konie, a ja małego kucyka, nazwanego Hańdzia. Ponieważ w rodzeństwie starszymi ode mnie były siostry, a dwoje młodszych ode mnie dzieci należało jeszcze do małych robaczków, więc w wyprawach do stajni do mojej Hańdzi przychodził mi towarzyszyć pewien Żydek, syn arendarza karczmy w Kosarzyńcach, w charakterze opiekuna, na imię mu było Motyl. Pan Motyl miał najwyżej lat szesnaście, a jednak był już przez swych rodziców ożenionym z jakąś trzynastoletnią współwyznawczynią. Był zupełnie dziecinnym, wiejskim Żydkiem, bawił go bardzo parasol, w który go ojciec w dzień ślubu wyposażył i dlatego nigdy się z tym parasolem nie rozstawał. Nasz Rozbój nie miał respektu wielkiego ani dla jego po kostki chałatu, ani dla jego parasola i kiedyś w moich oczach, kiedy pan Motyl kołysał się na naszej bramie, bezecnie go zaatakował i parasol trochę poszarpał. Rodzic pana Motyla, arendarz karczmy, chadzał zawsze w białych skarpetkach i cizmach, w czarnym długim chałacie, w jarmułce na głowie, z długimi pejsami, z pasem na biodrach jedwabnym koloru czarnego w żółte paski. Ja, wówczas pięcioletni chłopczyna, nie zdając sobie sprawy jaka była duchowa fizjognomia tych Żydów, ale tylko stwierdzam fakt, że do polskich majątków i do polskich rodzin w owe czasy wprost przyczepieni byli Żydzi. Żydzi co, tam na Kresach, nie znali jeszcze języka rosyjskiego i nie byli przeniknięci tym socjalizmem, co później, kacapów unikali i bali się, a Polakom, choć ich wyzyskiwali, bezwarunkowo jeszcze sprzyjali. Stosunek też chłopów wyznania prawosławnego i ich duchownych, często synów byłych księży unickich, do

szlachty polskiej był zycliwy, przyjazny, wprost taki, jak dwóch drzew, wyrosłych w jednym ogrodzie, na jednej glebie, choć odmienne wydających owoce. Mój ojciec miał kilkanaście pni pasieki, stróżem pasiecznikiem przy niej w lesie był stary Rusin, o długiej siwej brodzie, imieniem Ułas, ale trzeba było wiedzieć jak on kochał i traktował nas, polskie dzieci; mam dla niego dotąd gdzieś w kąciku mej duszy ciepłe wspomnienie. W Wigilię Bożego Narodzenia po wieczerzy już, oczekiwaliśmy przyjscia gospodarzy ze wsi. Wchodzili poważnie, jeden po drugim, w odświętnych swoich długich, marszczonych w pasie kozuchach, opasani w kilkoro szerokimi na półtorej dłoni kitami-pasami, w wysokich butach, z wysokimi baraniami czapkami w rękę i każdy z nich przynosił w darze w stos złożonych i owiniętych chustką kwiecistą kilka okrągłych z ciemnej pszennej mąki kołaczy, między którymi były, ulubione przez nas dzieci, kolorowe jajka, a na Wielkanoc pisanki i kółka mocno pachnącej czosnkiem kiełbasy. Ojciec mój kazał podawać poczęstunek i po życzeniach i wypiciu wspólnego zdrowia gospodarze wychodzili. Niezadługo po nich zjawiali się kołędnicy, to całe grono z około dwudziestu składające się parobków, uderzeniem parokrotnym dużym pocztowym dzwonkiem dawali znać o sobie, że są już w sieniach i zaczynali śpiewać, a kołędy były zupełnie polskie, nasze i co do treści i co do melodii, tylko za czasów unickich przetłumaczone na język ukraiński i tak kontynuowane i podczas już oficjalnego schizmatycznego prawosławia. Tych już nie częstowano — tylko wrzucano im pieniądze do tego dzwonka, który podawali od dołu dnem obrócony. Na Nowy Rok od wczesnego poranku zjawiali się „posiewacze” to znaczy wyrostki chłopięce z torbami pełnymi żyta i pszenicy, zasypywali nam pokoje przy pewnym jakimś przemawianiu, które zaczynało się od słów: „Sojsia, rody-sia, żyto pszenycia”. Niezadługo fornale wprowadzali do pokoju najpiękniejszego konia ze stajni, okrytego wzorzystą chustką i oplecionego w „byndy” — wstążki pożyczone przez jakąś wiejską strojnisię z własnej głowy i pleców. W takiej też maskaradzie zjawiał się w mieszkaniu i jakiś wół z wołowni. A wołów pięknych, stepowych, wysokich, o wspaniałych rozłożystych rogach w każdym folwarku bywało po kilkadziesiąt, również jak koni. Glebę bowiem ciężką czarnoziem, szczególnie pod cukrowe buraki, pruły pługi zaprzężone zazwyczaj albo w sześć siwych wołów, albo w pięć koni. Po obiedzie w dniu Nowego Roku zjawiały się na dziedzińcu przed naszym domkiem rozmaite maskary: bywała i koza, i niedźwiedź, i diabeł, a wszystko to weseli parobcy z wywróconymi na wierzch kozuchami i dorobionymi tylko głowami tych zwierząt, które to właśnie upostaciowywali.

Cała prawie młodzież z dużej wsi chodziła w ślad za tymi wesołkami, rozbawiona, rozśmieszona tym bardziej, że i muzyczka jakaś przygrywała zabawie, gdzie bęben najbardziej był słyszalny. My, dzieci, tym „komedium” z ciekawością przyglądaliśmy się z okien i baliśmy się, że ten niedźwiedź, czy diabeł coś złego uczyni naszej pokojówce i kucharce, które jako miejscowe dziewczuchy wybiegały z piekarni i mieszały się z tłumem. Piszę o tym tylko dlatego, aby zaznaczyć, jak przyjaźnie i pokojowo układały się stosunki pomiędzy rusińską ludnością wiejską a Polakami, którzy wszędzie tam stanowili warstwę społecznie dominującą. Ukraińcami nazywano bez różnicy Polaków i Rusinów, ale tylko zamieszkałych w Kijowszczyźnie i Połtawszczyźnie. Było to miano raczej terytorialne niż plemienne. Tak samo my, zamieszkali na Podolu, bez różnicy narodowościowej, nazywani byliśmy Podolakami.

W tej epoce wczesnego dzieciństwa mego chodziłem w habitcie karmelity. Długa sukienka brązowa ze szkaplerzem była paroletnim jedynym moim kostiumem. To matka moja, wielka czcicielka obrazu cudownego Matki Boskiej Berdyczowskiej w kościele Karmelitów bosych, z jakiegoś swego votum, pewno z powodu mojej jakiejś choroby, ofiarowała mię na paroletnią taką pokutną szatkę. Teraz matki bawią się swoimi synkami, jak lalczkami i stroją ich w najbardziej barwne i szykowne ubranka, w owe zaś lata dzieciństwa i młodości mojej często bardzo widywało się małych chłopców *ex voto*, jak karmelici lub franciszkanie przyodzianych. Wpisywanie się i wypisywanie z takiego habitu odbywało się z pewnym obrzędem kościelnym. Wkrótce właśnie po wypisaniu mnie z habitu ojciec mój przeniósł się na inną posiadłość, bliżej pod Humań, do wsi Czerniatka, gdzie tak samo był zarządcą folwarku, ale folwark ten był pewno kilka razy większy niż Kosarzyniecki. Kiedy na zachodzie Polski folwarkiem nazywają już kilkudziesięciomorgowe gospodarstwo, to na Kresach tysiąc i więcej hektarów czasami stanowi jeden folwark. Zdaje mi się, że ta Czerniatka posiadała tysiąc dwieście hektarów przepysznej roli. Były tam jeszcze ziemie zupełnie nowinne, na których w pierwszym roku po przeoraniu, na tak zwanych basztanach, dojrzewały cudowne kawony i melony. My też dostawaliśmy kawał ziemi pod basztan. Jakaż to była uciecha dla dzieci, kiedy w końcu lipca matka nasza urządzała całą naszą rodziną wycieczkę na ten basztan. Biegaliśmy po tej równi i złociste donosiliśmy do punktu zbornego melony i ciężkie kawony; a przed wieczorem, kiedy wypełnionym po brzegi szarabanem wracaliśmy do domu, to jak to było przyjemnie gromadkom dzieci wiejskich rozrzucić pomniejsze okazy soczys-

tych i słodkich tych owoców stepowej ziemi. Było bowiem tego mnóstwo, a ceny żadnej na nie było. Byłem wówczas tak jeszcze mały, że matka w obawie abym nie spadł z kozła, gdzie za swój punkt honoru miałem siedzieć, przywiązywać mnie musiała do pasa naszego stangreta Filimona.

Do kościoła parafialnego z Czerniatki mieliśmy daleko, przeszło dwadzieścia kilometrów. Toteż nie każdej niedzieli i nie wszyscy mogliśmy być w kościele naszym w Ternówce. Nie pamiętam, aby jakaś wieś lub osiedle spotykały się po drodze. Ale za to na tym stepie rozkosznym nie tylko szary zając często nam przeskoczył drogę, ale widzialny bywał i rzadki ptak stepowy zwany dropiem. Dropie są bardzo czujne i niełatwo dają się podejść człowiekowi, ale widocznie wyczuwały, że to ludzie dążą do kościoła, a nie czyhają na ich życie, kiedy o kroków trzydziści, czterdziści dopiero przed nami wlatywały stadkami po osiem, dziewięć wspaniałych okazów. Kiedyś pewien chłop nam przyniósł do domu dropia o złamanej nodze; wielkości był jak pomniejszy indyk, okropnie rzucał się na wszystkich, a zabity, po trzydniowym zakopaniu w ziemię, był smacznym na półmisku pieczysem, smakiem przypominał mięso pantarcze.

Do Pierwszej Komunii św. przystępowałem w kościele w Ternówce, ale że byłem za mały, że ten akt odbył się bez żadnej uroczystości, jakoś tak z nagła urządzony przez proboszcza ks. Czyżewskiego, żadnego podnioslejszego wrażenia nie zachowałem z tej chwili; pamiętam tylko, że trząsałem się z przerażenia i bałem się okropnie. Żadną też pamiątką z tego aktu nie byłem obdarzony. Uroczyste Pierwsze Komunie dzieci w diecezjach Kamienieckiej i Łucko-Żytomierskiej upowszechniły się dopiero po ukazie tolerancyjnym Mikołaja II-go w roku 1905, a przedtem to wszystko musiało się odbywać bardzo skromnie i prywatnie, gdyż za wszystko prześladowano księży. Nawet na odpust najwyżej trzech dopuszczali księży z sąsiedztwa, ale i to za specjalnym meldunkiem „prystawa stanu”, komisarza policji posterunkowego, który według swego widzimisię mógł i odmówić swego wysokiego zezwolenia. Przygotowany odrobinę w języku rosyjskim przez ciotecznych braci, wówczas studiujących na uniwersytecie w Kijowie, w roku 1886, nie mając jeszcze pełnych lat dziewięciu, byłem oddany do niższej przygotowawczej klasy w gimnazjum w Niemirowie. Do wstępnego egzaminu wzięli mnie oboje rodzice. Przejeżdżaliśmy przez jakąś wieś w okolicach Braclawia, Kropiwnie. Tam konie miały wypoczynek. Ojciec mnie wziął za rękę i podprowadził do przydrożnego kościółka. Smutny to był widok: mury i dach były jeszcze w porządku, ale okna już nie istniały, ołtarz wielki zrujnowany, wejściowych

drzwi już nie było, tylko jakaś religijna ręka na krzyż zabiła je deskami. Uklękliśmy na progu i modliliśmy się. Ja z pewnym lękiem i odrazą do tego spustoszenia. Opuszczając to miejsce dowiedziałem się od ojca, że to rząd carski w prześladowaniu Polaków i katolików wiele większych świątyń i klasztorów obrócił na cerkwie i monastery, a mniejszych skonfiskowanych nie pozwala restaurować i tak one po mału przechodzić muszą w ruinę. Do takich się zaliczał i kościółek w Kropiwniej. Po drugi raz już poczułem w moim życiu odrazę i urazę do rosyjskiego rządu wielka. A pierwsze uczucie antypatii do tych władców północy zrodziło się było we mnie jakieś półtora roku wcześniej, a to przy takiej okoliczności: w tej samej Czerniatce, gdzie mój ojciec pracował, był majątkowym kasjerem niejaki p. Domański; był to starszy kawaler, a przy nim mieszkała jego siostra p. Błocka. Między tym domem, a naszym była pewna zażyłość, bo inni pomocnicy mojego ojca byli kawalerami, niektórzy stołowali się u nas, a jedynym domem do towarzyskiego obcowania, to był dom Domańskiego; p. Błocka, bezdzietna, wielką przychylnością obdarzała nas, dzieci. Pewnego wieczora rodzice moi wybrali się na herbatkę do — jak się mówiło — Domańskich. Guwernantka, co była u nas w domu, bojąc się że będzie musiała mnie poskramiać, gdyż do najgrzeczniejszych nie należałem, nastawiała, żeby mnie rodzice zabrali ze sobą. Wiedziałem, że wieczór mi przejdzie na bawieniu się tylko pudełkami p. Błockiej, ale zastosowałem się do woli wyższej. Ku memu jednak zdziwieniu oprócz gospodarzy zobaczyłem w ich domu jakiegoś, dotąd nigdy przeze mnie nie spotykanego, jegomościa. Rodzice moi z wielką atencją go przywitani. Po niedługiej chwili zaproszono nas do stołu i rozmowa potoczyła się o jakichś dziwnych, nieznanym mi tematach. Ten pan opowiadał o swojej podróży na Syberię, o swoim przedtem jeszcze uwięzieniu, o rozmaitych ciężkich i bolesnych bardzo przejściach swojego życia, mówił o swoim długoletnim zamieszkiwaniu w jakimś Nerczyńskim kraju. Po mału zrozumiałem, że ten pan jest mężem p. Błockiej, że byli przymusowo ze sobą rozłączeni przez duży okres czasu, gdzieś od jakiegoś powstania styczniowego i że dopiero świeżo, po jakimś manifeście cara Aleksandra III-go on mógł wrócić do kraju i swej małżonki. Wszystko to dla mnie brzmiało jak pewna rewelacja. Coś niecoś ja już z historii polskiej bajecznej wiedziałem, ale o powstaniach i ich ciężkich następstwach zupełnie nie słyszałem. I dlatego na drugi dzień atakowałem mą matkę, by mi coś w tym kierunku chciała opowiedzieć. Okazało się, że i moi rodzice niejaki mieli udział w akcji powstańczej, nie z orężem w ręku, ale w dostawach dla powstańców ojciec, a matka



w przechowywaniu powstańców, w przygotowywaniu materiałów opatrunkowych i w udzielaniu na Skarb Narodowy składek. Przez kilka dni całą naszą rodziną gawędziliśmy o powstaniach. Straszne represje rządu rosyjskiego żywo malowały się w mej pamięci i wyobraźni. Dowiedziałem się, że w cytadeli kijowskiej jest jakaś straszna baszta Prózora, zamęczonego tam pono, że na stokach tej cytadeli po roku 63-im stracono tam kilku naszych patriotów, a że byli i tacy, których nie deportowano do ciężkich robót na Syberię i nie osiedlano gdzieś w odległych północno-wschodnich krajach Azji, ale których do śmierci trzymano w specjalnych małych celkach, zwanych „kamiennymi mieszkami”... To skojarzenie pojęć „kamienny” i „worek” najbardziej zafrapowało moją wyobraźnię. Jak to musiało być strasznie być zamkniętym przez wiele lat w takiej maluśkiej celce, pewno ciemnej, bez żadnego ruchu, bez obcowania z ludźmi, prawie bez jedła i napoju. A ponieważ od wczesnego dzieciństwa byłem bardzo skłonny do marzeń, co matka uważała dla mnie za niebezpieczne i bardzo przed nimi przestrzegała, jednakże te jej opowieści stały się tylko wodą na mój młyn wyobraźni. Ja wciąż i w dzieciństwie o tych „kamiennych mieszkach”, jako najstraszniejszym rodzaju kaźni myślałem i w dojrzałym wieku już tylko z pewnym horrorem o tym sobie przypominałem. A kiedy na mnie, jeszcze młodego księdza, żandarmi rosyjscy zwrócili swoją bacniejszą uwagę — to znowuż mi się te „mieszki”, jako coś mi grożącego, uprzytamniały. A po rewolucji komunistycznej, mieszkając w Kijowie i wiedząc, że wielu przeciwników swych komunisci osadzają w owych „kamiennych mieszkach” w starej Prózorowskiej baszcie w cytadeli — to myślałem i śniłem jako o czymś realnie mi grożącym, że będę musiał kiedyś być zamkniętym w takim jakimś „kamiennym mieszk”. I stało się, że kiedy w roku 1926 byłem już ostatecznie uwięziony i zlikwidowany z terenu mej pracy kapłańskiej — to nie obóz Sołowiecki, lub inny jakiś, nie dalekie deportacje do północnych krajów — jak innych księży — mnie spotkały, ale właśnie przez całe z górą sześć lat mego więzienia trzymano mnie w dawnych carskich „kamiennych mieszkach” i w Moskwie, w Butyrskim więzieniu, w Jarosławiu nad Wołgą, w tak zwanym „politizatorze”. Czy to jakąś autosugestią siebie właśnie do tego rodzaju kaźni doprowadziłem... Czy to było moim przeznaczeniem, tak żywo odczuję jeszcze w zaraniu mego życia?...

Jesienią roku 1886 matka moja ze wszystkimi dziećmi zamieszkała w Niemirowie. Nie mieliśmy środków na to, aby opłacać za nas stancje, a było nas dzieci pięcioro i wszystkich kształcić trzeba było. Ojciec więc pozostał nadal na wsi i swą

pracą miał wystarczać na utrzymanie dwóch domów i tak było przez półtora roku. Ale kiedy w roku 1887 przyjechał do nas na święta Bożego Narodzenia, rozchorował się na tyfus plamisty i po paru tygodniach choroby zmarł, pozostawiając naszą matkę i swe dzieci nieutulone w żalu, ale też i w biedzie, gdyż żadnymi oszczędnościami nie rozporządzaliśmy.

Odąd jedynym źródłem naszego utrzymania i kształcenia się było utrzymywanie przez matkę tak zwanej publicznej stancji dla uczniów gimnazjalnych. Pracowała, harowała biedna nasza ukochana matka, nie poddawała się zniechęceniu i trudnościom, zapominając zupełnie o sobie i tym sposobem zapewniła nam wszystkim jakie takie wykształcenie, zaszczepiła pewien hart charakteru w naszych duszach i tym sposobem, kiedy otworzyła się przed nami furta do własnych dróg życia, posłaliśmy nimi roztropnie i odważnie i matce, której Bóg dał dożyć osiemdziesiątego czwartego roku życia, w każdym razie hańby nikt z jej dzieci nie przyniósł...

Kiedy zacząłem uczęszczać do szkół, to na Podolu rosyjskim istniały tylko dwa gimnazja — właśnie w tym Niemirowie, gdzie byłem i w Kamieńcu Podolskim. W Winnicy jeszcze na ogół szkół nie było, w Humaniu tylko progimnazjum o pierwszych czterech klasach gimnazjalnych. Dzieci wielkich ziemskich magnatów podolskich na ogół do tych szkół nie uczęszczały: uczyły się prywatnie u guwernerów, lub za granicą, najwięcej w Galicji, gdzie były szkoły polskie. Gimnazja więc Niemirowskie i Kamienieckie wypełniali głównie synowie oficjalistów prywatnych, pomniejszych ziemskich właścicieli, wreszcie pokolenie lekarzy, aptekarzy, inżynierów i przemysłowców. Chłopi rusińscy z bardzo małymi wyjątkami, synów swoich do szkół średnich nie posyłali. Rosyjski niby element w gimnazjach tworzyli synowie urzędników państwowych i dzieci niektórych prawosławnych popów, ale tylko niektórych bardziej postępowych, bo dzieci duchowieństwa prawosławnego miały w carskiej Rosji swoje kastowe duchowne szkoły. Żydów gimnazja nie przyjmowały — tylko bardzo mały, ograniczony procent. I dlatego w roku 1888 gimnazjum Niemirowskie, liczące mniej więcej 700 uczniów, miało tylko 170 prawosławnych, coś dwóch czy trzech lutrów i jedenastu Żydów, a całą pozostałą ogromną większość stanowili katolicy Polacy, ale i pomiędzy tymi, oficjalnie zaliczonymi do Rosjan, gdyż byli prawosławnymi, co tylko z przymusu prawnego się rachowali, gdyż pochodzili z małżeństw mieszanych, w których gdy jedno z rodziców było prawosławne, to już dzieci wszystkie musiały być prawosławnymi, wielu bardzo było takich, co stale

posługiwali się mową polską i czuli się Polakami i nosili piękne polskie nazwiska. Ale tylko dlatego, że byli zapisani jako prawosławni, nazywani już też byli Rosjanami. Nauczycieli Polaków już w gimnazjach nie było, ale bywali tacy, co tylko dla swego wyznania prawosławnego uchodzili za Rosjan. Latoszyński, Miączyński, Jeżowski, Klipunowski — wszystko to miało ojca lub matkę jeszcze katolika i Polaka. Samo gimnazjum Niemirowskie, to przekształcona dawnego typu szkoła polska. Fundatorem tego gimnazjum był magnat polski, właściciel Niemirowszczyzny, hrabia Bolesław Potocki. Pamiętam, że na obchodzie pięćdziesięciolecia tego gimnazjum ten staruszek Potocki był obecny; całe gimnazjum było fetowane na raucie w pałacu wnuczki Potockiego — już Rosjanki, księżny Szczerbatowej, podówczas właścicielki dóbr Niemirowskich; staruszek kolator zbliżał się do grupki uczniów, łaskawie z nami rozmawiał, a był ubrany w jakiś jaskrawy frak, gdzie u boku wisały złote klucze, jako symbol jego urzędu szambelana cesarskiego. Duch Targowicy głęboko był widocznie zaległ w tej gałęzi rodu Potockich, gdyż jedyną swą córkę hr. Bolesław był wydał za hrabiego Stróganowa, który choć przeszedł na katolicyzm i dlatego musiał przebywać poza granicami Rosji i mieszkał w Rzymie, ale swą żonę, z domu Potocką, tak widocznie opętał swym duchem rosyjskim, że ich córka, Szczerbatowa, w czasach moich gimnazjalnych właścicielka Niemirowa, już się uważała i w istocie była tylko Rosjanką i w administracji, trzeba przyznać bardzo licznej, dóbr tych ugruntował się duch rosyjski.

Ziemian Rosjan już było po trosze wówczas i na Podolu. Posiadania ich miały źródło głównie w darowiznach carskich tych popolskich majątków, co były skonfiskowane za udział ich właścicieli w powstaniach i które otrzymywali jacyś wielmoże lub faworyci dworscy *za usmirenje miatieża* (za uśmierzenie buntu) lub które były nabyte za bezcen z rąk polskich przez Rosjan, wobec istniejącego prawa zabraniającego Polakom nabywania majątków ziemskich; więc, kiedy z jakiejś konieczności majątek polski musiał być sprzedanym, nabywcami bezkonkurencyjnymi byli tylko Rosjanie lub jakieś przechery sprawosławione, które tym bardziej udawały Rosjan... Tacy przede wszystkim charakter rosyjski wszczepiali w administrację tych majątków, bo rozumniejsi rdzenni Rosjanie orientowali się dobrze, że oni sami gospodarzyć nie potrafią, ani ich włodarze prowadzani gdzieś z głębi Rosji nie będą odpowiednimi do prowadzenia tych gospodarstw. Ukraiński bowiem chłop, jedyny pracownik na roli wówczas jeszcze „kacapów” nie znosił, a z Polakami bardzo był zżyty; stąd Rosjanie, nabywszy majątki na Ukrainie albo je dzier-

zawili Polakom, albo z konieczności w zastępstwie swoim oddawali je w zarząd Polakom i niektórzy inteligentni pracownicy rolni po wiele lat pozostawali na służbie u Rosjan obywateli i niektórzy wielce sobie stosunki służbowe z nimi chwalili. Rosjanin bowiem obywatel bywał popularniejszy w stosunkach swoich ze swoimi podwładnymi, niż wielcy magnaci polscy, którzy na stopie jeszcze jakichś feudałów utrzymywać się chcieli i w stosunki żadne, oprócz służbowych, z całą plejadą oficjalistów swoich wprost nie wchodzili. Polscy mieszkańcy pałaców a Polacy z dworków, ekonomii, fabryk cukrowych, z zarządu lasów itp. — to dwie różne bardzo, dalekie od siebie kategorie ludzi. Ci z dworków ażeby egzystować energie swoje i fizyczne i intelektualne przez całe życie nieśli w usłudze dla panów. Panowie, ponieważ bez nich obejść się nie mogli, to ich trzymali, ale popolitowanie się z nimi uważali za niegodne siebie. Spotykałem sam takich oficjalistów prywatnych, nawet dość wysoko czy to w swoim fachu lub zawodzie, czy na ogół w rozwoju umysłowym i duchowym stojących, co przez kilkanaście lat służąc u jakiegoś magnata ani razu z nim rozmowy prywatnej nie mieli. Stąd też rzadko się ze sobą zbliżali pan i oficjalista, a stąd też i mało się rozumieli, mniej jeszcze wzajemnie się kochali. A przysłowie ordynarne, z ust oficjalistów słyszane: „Służ panu wiernie, a on tobie pierdnie”, dosadnie chyba charakteryzuje te stosunki ówczesne. A bywali ziemscy obywatele i tacy, którzy zgłębiał gospodarką w swoich majątkach nie interesowali się. Chodziło im o to, aby mieć środki na przebywanie gdzieś za granicą lub w większych miastach, a łamanie sobie głowy często zawiązała gospodarką majątkową pozostawiali swoim pełnomocnikom i administratorom. Niejaki pan Małyński, właściciel na Polesiu Wołyńskim, w okolicach miasta Sarn, majątku, jeszcze w roku 1937 o przestrzeni dwudziestu kilku tysięcy hektarów, wciąż podróżował po całym świecie, nie wyłączając Japonii, Australii i południowych Indii, a kiedy na parę miesięcy miał zjechać do swej rezydencji w Dżurnem, to — opowiadał mi jego ostatni administrator, p. Władysław Brzozowski — że przed przybyciem zapewnił się listownie i wymógł słowo od p. Brzozowskiego, że przez czas jego pobytu w Dżurnem ani razu z nim o sprawach majątkowych rozmowa się nie nawiąże. Bo to jego i nudziło i mało obchodziło. Umierając jednak pięknie i po chrześcijańsku całą tę swoją fortunę zapisał Siostrzom Urszulankom ze zgromadzenia Matki Ledóchowskiej, swej kuzynki.

Ale wracając do stosunków gimnazjalnych w Niemirowie, nasamprzód muszę zaznaczyć w jakim rygorze nas uczono i wychowywano. Mieszkaliśmy na tak zwanych stancjach publicznych,

to znaczy że wolno było mieszkać prywatnie w domu rodzicielskim lub u najbliższych swoich krewnych, a wszyscy inni musieli sobie obrać jakąś stację publiczną. Publiczną nazywała się ona dlatego, że ją utrzymujący, czy utrzymująca byli zaakceptowani do tego przez dyrektorat gimnazjalny. Oprócz gospodarza takiego pensjonatu władza gimnazjalna potwierdzała jeszcze i jednego ze starszych uczniów w niej mieszkających jako korepetytora i starszego. Takiemu korepetytorowi właściciel stacji dawał bezpłatnie utrzymanie i miesięczną pewną gażę za przerebianie lekcji z uczniami, a władza gimnazjalna wyposażała go w pewną powagę i odpowiedzialność. Uczniowie, mieszkający na stacji obowiązani byli do posłuszeństwa w stosunku do takiego korepetytora, a on był przestrzegaczem tych reguł, które obowiązywały po stacjach. Między innymi na jego odpowiedzialność był wydawany z gimnazjum taki dziennik — „Kwartirnyj żurnał” — przesnurowana książka, na każdy rok inna, przepięczutowana i podpisana przez dyrektora, czy inspektora gimnazjalnego. W niej takie mniej więcej były przepisy i rubryki: notowanie wydaleń się uczniów ze stacji i do niej powrotu z dokładnością nie tylko kierunku pójścia i rodzaju potrzeby wyjścia, ale też i czasu co do godziny i minuty wyjścia i powrotu. *Notabene* po godzinie 9-tej wieczór nikt z uczniów na miasto wychodzić zgoda nie miał prawa. *Secundo*: notowanie tych, co z jakichś względów czy to choroba, czy nie posiadanie odzieży na wykłady iść nie mogli. *Tertio*: rubryka wizytatorów stacji. To znaczy, że bardzo często na publiczne kwatery uczniów zjawiał się dla lustracji — rzadko dyrektor, częściej inspektor, a najczęściej tzw. pomocnicy inspektora i gospodarze klas i swe nazwiska, daty i godziny wizytacji wpisywali do księgi. Wreszcie rubryka przewinień mieszkających uczniów ze względów zrozumiałych prawie nigdy nie wypełniana była, bo rodzice z takiej stacji pewno by rychło swe dzieci pozabierali. W niedziele i święta i uroczystości galowe cesarskie wszyscy musieliśmy bywać na Mszy św. w kościele. Dla sprawdzenia tej frekwencji o pół godziny przed wyruszeniem do kościoła trzeba się było stawić na podwórzu gimnazjalnym. Tam nas klasami ustawiano w pary i uczniowie z klasy ósmej specjalnie do każdej klasy przystawiani, czynili przegląd, notując nieobecnych dla zakomunikowania księdzu prefektowi, wówczas pospolicie zwanemu kapelanem. Po tym przeglądzie wyruszaliśmy wszyscy, od najmłodszych do najstarszych, razem do świątyni; po wejściu, w drzwiach zatrzymywał się towarzyszący nam pomocnik inspektora, bardzo przestrzegający, abyśmy się w kościele dobrze zachowywali i nikt przed końcem nabożeństwa z kościoła nie wyszedł. Kilka razy pamiętam, że nas

katolików wprost przemocą zapędzili do cerkwi gimnazjalnej prawosławnej, a to z okazji jakiegoś pogrzebu zmarłego nauczyciela, lub „panichidy” czyli egzekwii po członkach carskiej rodziny. Nasi koledzy prawosławni zachowywali się w tej cerkwi na ogół nie bardzo poprawnie, co nas gorszyło, a wprost i oni i myśmy się śmieli, gdy nam pop wtykał do ust po łyżce kaszy słodkiej ryżowej — tzw. „Kóliwo”. U prawosławnych, nie wiem skąd, na pogrzebach utrzymuje się zwyczaj niesienia w kondukcje pogrzebowym przed trumną miski tej kaszy i jedzenia jej przez wszystkich w cerkwi lub na cmentarzu. Nieboszczyka przy tym niosą w otwartej trumnie, co często jest niehigieniczne, a zawsze nieprzyjemne. W kościele w dni galowe podczas nabożeństwa śpiewał tylko organista po łacinie „Te Deum laudamus”. Tej jakiejś innowacji znanej w Królestwie, że kościół śpiewał za cara po polsku „Ciebie Boże chwalimy” — u nas na Kresach nie wprowadzono nigdy i po aspersji niedzielnej wnet po modlitwie za Papieża, była modlitwa za cesarski dom panujący, ale też po łacinie, a ponieważ ludowi nikt nie tłumaczył co to się śpiewa, stąd nikomu prawie po kościołach nie było wiadomo co to się śpiewa i większość obecnych nie wiedziała, że jakieś nabożeństwo za cara się odbywało.

Rząd carski był zwolennikiem uniformów i dlatego nasi nauczyciele zjawiali się na wykłady w ciemnogrnatowych frakach, rzadko w surdutach, ze złotymi guzikami z orłami, a i my — uczniowie — mieliśmy uniformy odświeżone granatowe z białymi wypustkami i srebrnymi guzikami, a na codzień popielate. Czapki i płaszcze też uniformowe. Nauczyciele nasi w dni galowe zjawiali się w stosowanych kapeluszach (pirogach), suto wyszywanych złotem kołnierzach i z małymi szpadkami przy boku. A niechby kto ubliżył tym przepisom, to już poniósł za to penę. Książki też trzeba było wszystkim, z ósmą klasą włącznie, nosić tylko w tornistrach na plecach. Władze robiły od czasu do czasu przeglądy generalne, a pomocnicy inspektora śledzili nas stale i za rzemyk urwany u tornistra, brakujący herb na czapce, za guzik oderwany lub nie zapięty siadywało się przynajmniej po godzinie w karcerze; za nieporządne też utrzymywanie swych książek i rzeczy na kwaterze lub rozkładanie się na łóżku poza godzinami nocnego snu — jeżeli lustrator to zauważył i chciał z tego wyprowadzić konsekwencje — to też można było jakąś nudną godzinę po lekcjach przesiedzieć w gimnazjum. Oprócz piłki ręcznej i jakichś łązów dla gimnastyki, sportów żadnych nie znaliśmy i nie uprawialiśmy; tylko w sezonie zimowym na ślizgawce na jeziorze popisywali się na łyżwach zręczniejsi chłopcy i uczennice, ale i na ślizgawce nie opuszczał nas dozór gimnazjalny. Pamiętam,

że i siostry moje miały pewien uniform. Głowa musiała być gładko uczesana, z warkoczem, sukienka brązowa z czarnym fartuszkim, a na galę z białym.

Gimnastyki nas uczył stary dymisjonowany wojskowy, podpułkownik Szamrajew, bardzo otyły i niewykształcony człowiek, stąd przedmiot naszych drwin; gimnastyki, tak zwanej wówczas szwedzkiej, uczył nas bardzo niewiele, ale za to poświęcał mnóstwo czasu na wyszkolenie nas w musztrach wojskowych. Znałem doskonale wszelkie obroty, marsze, tyralierkę itp. — wprost robiło się z nas jakieś przysposobienie wojskowe, a zamiast oręża były z drzewa dębowego masywne kije. Na urządzone bardzo rzadko wycieczki poza miasto pan Szamrajew, potem następcą jego Iwanow, dosiadali jakiejs pożyczonej szkapy, a my z własną dętą orkiestrą gimnazjalną kroczyliśmy pompacyjnie za naszym dowódcą i strażnikiem. Kiedy pewnego roku przybył na lustrację gimnazjum pomocnik kuratora z Kijowa, niejaki Musin-Puszkien, to nie pamiętam, aby był gdzieś na wykładach, ale za to na ogromnym podwórku gimnazjalnym na ostatnich dwóch lekcjach urządzono ceremonialny marsz. Chodzili uczniowie w tej defiladzie tak i owak, biegali, broń prezentowali i temu podobne czynili małpie rzeczy, a orkiestra na uboczu stojąca grzmiała. Ja, będąc jeszcze dość małym, należałem tylko do widzów, gdzieś się kręcąc poza plecami ciała nauczycielskiego; wtem spostrzegam, że stary tłusty dyrektor czegoś leci w kierunku orkiestry i, o zgrozo, uczeń ósmej klasy, dyrygent orkiestry Leśniewicz, leży na ziemi z przeciętym brzuchem, krwią się zalewając, a to go tak dźgnął nożem dobrze mi znany uczeń szóstej klasy, Kazimierz Markiewicz, nasz przez płot sąsiad, też muzykant, którego za przedłużenie jakiegoś taktu Leśniewicz obelżywym poczęstował słowem. Awantura, niemal zbrodnia pierwszej klasy, chociaż nie skończyła się śmiercią. Leśniewicza konie gimnazjalne wiozą do szpitala. Markiewicz trzy dni więziony w karczerze, wydalony z gimnazjum z „wilczym biletem”. Ledwie eksternistą zdaje maturę już w okręgu Odeskim, ale na uniwersytet nigdzie nie przyjeżdży, choć bardzo zdolny: wyjeżdża na wyższe studia do Paryża. Tam się w nim ujawnia nie tylko talent literacki, ale i zdolność do malarstwa. Pisze kilka powieści i ożeniwszy się z leaderką sufrażystek irlandzkich, mieszka czas jakiś w Irlandii, ma syna i maluje smętne krajobrazy irlandzkie. Widziałem jego chatę rybacką na wybrzeżu, przy której siedzi posępny jej mieszkaniec, stary rybak; dużego nastroju to był pejzaż, znany nawet na wystawach światowych. W czasie pierwszej wojny światowej Markiewicz przebywał w Kijowie i czasami się z nim spotykałem. Przychodził w towarzystwie Kornela Makuszyńskiego, a najczęś-

ciej ich w miłej parze (Markiewicz atletycznego wzrostu — Makuszyński zaś mały — razem litera „h”) widywałem siedzących przy oknie w pewnej restauracji przy ul. Michałowskiej w pobliżu okręgowego sądu. Na humorze i fantazji tym panom nigdy nie zbywało. Kiedy we wrześniu 1932 roku przybyłem do Polski z wymiany z więzienia sowieckiego, to Kazimierz Markiewicz umierał w szpitalu św. Rocha w Warszawie. Godnie Sakramenta św. przyjął i tym zakończył swe burzliwe życie, bo i uczestniczył w wojnach i z żoną się rozstawał i mnóstwo miał w życiu przygód.

Te ówczesne rygory wychowywania w szkołach rosyjskich, choć może były krępujące, ale sprawiały i pewien dobry skutek. Oto wszczepiały w nas rutynę porządku, ochędóstwa, poczucia pewnego majestatu władzy szkolnej, a po niej wszelkiej prawej w społeczeństwie, uczyły konieczności w życiu niejakiej kurtuazji, uprzejmości ofiarnej, a co najgłówniejsza — dużej obowiązkowości i odpowiedzialności za swe czyny. Jeżeli potem nie było mi trudne zastosować się do rygorów wychowania duchownego, przez cztery lata w Seminarium i przez cztery lata w Akademii, a wychowywanie to ówczesnych duchownych w porównaniu z dzisiejszym było o wiele surowsze — to może dlatego, że mam za sobą owo gimnazjalne, pedantycznie po żołniersku dyscyplinowane. Teraz w starości czasami księża młodszy ode mnie uważają, że jestem taki porządnicki, sobieradzki, regularny we wszystkim, że nigdy prawie w dzień nie przeciągnę się na łóżku, czemu wierny byłem nawet w mej samotni więziennej — to myślę, że to owoc tej mojej młodocianej tresury gimnazjalnej.

A jakże stały w tych gimnazjach nauki? Metody były prymitywne i ciężkie, bardzo mało tzw. pomocy naukowych, chemii i przyrody nie było wcale, a gabinety do nauki fizyki bardzo skąpo bywały wyposażone. Uczyli nas mocno starożytnych języków; już nawet w klasie pierwszej mieliśmy po siedem godzin tygodniowo łaciny; greka rozpoczynała się od klasy trzeciej. Francuski i niemiecki dość słabo wykładano i więcej teoretycznie. Dość wysoko stała matematyka, a przeważnie i przede wszystkim zamęczano nas językiem i literaturą rosyjską. I powiem, że z każdym rokiem więcej i więcej żądano od nas Polaków znajomości ruszczyzny: za parę błędów, w jakiejś czwartej klasie, zrobionych na małej stronicy pisma, już odmawiano promocji do klasy następnej. A ortografia ówczesna rosyjska naprawdę i dla Rosjan była trudna. Dopiero bolszewicy wcielili i upowszechnili przygotowaną jeszcze przez cesarską Akademię Nauk ortografię uproszczoną, tak że teraz każdy z łatwością już



pisze po rosyjsku bez błędów, bo właściwie uprawniono dawniejsze błędy. Kierunek jednak klasycyzmu, teraz często lekceważony, a nawet wyśmiewany, rozwojowi umysłowemu nie przeszkadzał, a powiem że nawet sprzyjał. Bywaliśmy może trochę rozpoetyzowani i romantyczni, ale świadomi jakiejś ciągłości myśli ludzkiej, nie lekceważący przeszłości, jakby wykuwacze ostatniego ognia jej łańcucha, co ciągnie się od pierwszych przebłysków myśli ludzkiej, wypowiedzianej czy pisanej; chronił nas od tego utylitaryzmu, co cechuje współczesne, nawet młode dusze ludzkie i ułatwiał znajomość terminologii przy rozmaitych dyscyplinach, gdzie wyrazy łacińskie i greckie lub ich pochodne od tych języków są w powszechnym użyciu.

W roku 1894 opuściłem gimnazjum Niemirowskie i wstąpiłem do Seminarium Duchownego w Żytomierzu, wychowującego kapłanów dla diecezji Żytomierskiej, Łuckiej i Kamienieckiej. Procedura z zatwierdzeniem mnie przez Jenerałgubernatora, gdyż biskup bez takiego zatwierdzenia nie mógł przyjąć nowego alumna, ciągnęła się nader długo, tak że już dobrze po rozpoczętym roku, dopiero 26 października, przekroczyć mogłem furkę seminarijną. Diecezja Łucka bardzo starożytna, sięgała swymi początkami aż do pierwszej połowy piętnastego wieku. Diecezja Żytomierska w tej nazwie istniała zaledwie od początków XIX-go stulecia, ale ona właściwie powinna nosić nazwę dawniejszej Kijowskiej, gdyż nią jest właściwie; to car Paweł wymógł na Papieżu zmianę tej nomenklatury, gdyż schizmatyccy biskupi zaczęli nazywać się biskupami kijowskimi od chwili usunięcia się z Kijowa po roku 1667 biskupów polskich katolickich do Żytomierza. Żytomierz od Kijowa jest odległy o 130 kilometrów. Po tym rozejmie Andruszewskim w roku 1667, Kijów tylko na dwa lata przechodził do Rosji, ale ponieważ potem nigdy do Polski nie wrócił, więc biskupi Kijowscy mieszkali w Żytomierzu — przerobiono w nim niewielki parafialny kościółek na tzw. prokatedrę; umowa Papieża z carem Pawłem usankcjonowała tylko *status quo*. Mniej więcej przed stu siedemdziesięciu laty, za biskupa Łuckiego Kaspra Ciecieszowskiego, Stolica Apostolska diecezje Łucką i Żytomierską (Kijowską) połączyła w jedną, unią tzw. kanonicznie *aequeprincipalis*, to znaczy że te dwie diecezje nadal zachowały swą oddzielną egzystencję, ale łączyły się tylko pod jednym zwierzchnictwem biskupa, zwanego już odtąd biskupem Łucko-Żytomierskim, a i Kapituła katedralna również przybrała tę nazwę i każdy biskup w jednej i drugiej katedrze odbywał ingres, a każdy kanonik katedralny podwójną instalację. Tak ta sytuacja przetrwała aż do roku 1925, w którym znowuż Stolica Apostolska te dwie diecezje rozdzieliła. Działo się to

przed wstąpieniem na stolicę biskupią Łucką biskupa Adolfa Szelążka; administratorem zaś apostolskim diecezji Żytomierskiej, pozostającej pod władzą Sowietów, zostałem ja, przedtem — jakoś od roku 1920 — pełniący obowiązki wikariusza generalnego z ramienia biskupa Łucko-Żytomierskiego, Ignacego Dubowskiego, mieszkającego od roku 1919 już nie w Żytomierzu, a w granicach powstałego państwa polskiego, w Łucku. Diecezja zaś Kamieniecka, istniejąca od XVI-go wieku, kanonicznie nigdy z diecezją Łucko-Żytomierską połączona nie była. To rząd carski w połowie XIX-go wieku sam jednostronnie był proklamował kasację tej diecezji. Stolica zaś Apostolska nigdy na ten krok nie przystała, ale ponieważ walki podjąć nie mogła, czy nie chciała, stąd biskupom Łucko-Żytomierskim zlecała stale diecezję Kamieniecką w administrację. Rząd traktował więc te trzy diecezje jako jedną, nie wzmiankując nigdy Kamienieckiej, a biskupi w drodze tajnej otrzymywali po swej prekonizacji na diecezję Łucko-Żytomierską i nominację na Administratorów Apostolskich Kamienieckich. Konsystorz zaś i Seminarium na te trzy diecezje przez dobrych lat kilkadziesiąt były jedne, i w praktyce wprost nie odczuwało się, że to są właściwie trzy diecezje. Z krańców Podola na krańce Wołynia lub Kijowszczyzny łatwo biskupi przerzucali księży i księżom było zgoła obojętne w jakiej z tych diecezji pełnić służbę. Zdaje mi się jednak, że przy święceniu Subdiakonatu myśmy otrzymywali tylko tytuły z parafii Łuckich i Żytomierskich. Ja przy tym święceniu, choć byłem rodem z diecezji Kamienieckiej, otrzymałem tytuł Cudnowa, a Cudnów przecież jest na Wołyniu. Kamieniecka diecezja na krótki czas zmar-twychwstała, otrzymując w końcu roku 1918 własnego Ordynariusza w osobie biskupa Piotra Mańkowskiego, ale rewolucja nie pozwoliła mu w niej rządzić; po kilku miesiącach od nominacji musiał umykać na terytorium Polski, czas jakiś rządził przez swego Wikariusza generalnego, księdza Jana Świderskiego, a w roku 1925 musiał, pobudzony przez Ojca św. zrzec się tytułu biskupa Kamienieckiego i otrzymał tytularną godność Arcybiskupią, a rządy diecezji Kamienieckiej przejął ten sam ksiądz Świdorski i nią rządził dopóki w roku 1930 nie został wywieziony do Charkowa i tam osadzony; przybył do Polski w 1932 roku razem ze mną w drodze wymiany personalnej więźniów politycznych.

Klerycy do Seminarium Łucko-Żytomierskiego rekrutowali się w swej większości z Wołynia, Podola i Kijowszczyzny; byli to synowie ze średniej sfery polskiej szlachty; z ludu polskiego z tych stron zaledwie zjawiały się jakieś jednostki, ale ze sfery chłopskiej przybywali do naszego seminarium alumni z Łotwy,

z Kowieńszczyzny i częścią z Wileńszczyzny, ale ci ostatni pochodzili z zagonowej szlachty i nie bardzo się kumali z Kowieńszczykami, poczytując siebie za coś większego, chociaż ci spod Kowna często bywali od nich zdolniejsi, zasobniejsi kieszenią i na ogół bardziej wartościowi. Szowinizmu żadnego litewskiego ci alumni do nas nie wnosili, nader rychło wyszkalali się w języku polskim, i decydowali się być już odtąd kapłanami polskimi i niemal Polakami.

W chwili mego wstąpienia rektorem Seminarium był prałat Karol Niedziałkowski, który po otrzymaniu sakry biskupiej został przeniesiony na sufragana diecezji Mohylowskiej i razem na rektora Akademii Duchownej w Petersburgu, a następnie został ordynariuszem w Żytomierzu i na tym stanowisku zmarł w roku 1912. Karol Niedziałkowski był to człowiek o dużym wykształceniu, wysokim poziomie umysłu i zamiłowaniu w naukach, rozporządzający wytwornym stylem w piśmie, pełen subtelnej dowcipu i humoru, człowiek iście katolickich zasad i w teorii i w praktycznym życiu. Słowem jednostką Niedziałkowski był nader wybitną w hierarchii kościelnej i w piśmiennictwie; jego artykułami, umieszczanymi w pismach, zachwycali się wszyscy, a kilka wydanych przezeń książek o apologetyczno-polemicznym kierunku i przepiękna „Pielgrzymka do Ziemi Świętej” zjednały mu poczytność, trwającą przez parę dziesiątków lat po jego śmierci. Przy mnie w Seminarium wykładał prawo kanoniczne; jego współpracownikami było kilku profesorów z inspektorem Seminarium Antonim Bajewskim na czele; wszyscy ludzie wyjątkowo szanowni i zacni, a niektórzy nawet bardzo zdolni, jak na przykład profesor homiletyki i patrologii, Kazimierz Stawiński. Seminaria wówczas do wyższych szkół nie zaliczały się, narzucone przedmioty historii powszechnej i literatury rosyjskiej, wykładane przez Rosjan, najczęściej profesorów gimnazjalnych, nie przekraczały swym zakresem szkół średnich i chociaż przedmioty specjalne wykładane były na poziomie niemal akademickim, alumn jednakże kończący Seminarium, otrzymywał jako świadectwo tylko „Atestat dojrzałości”, chociaż przy wstąpieniu już posiadał maturę gimnazjalną. Prawa publiczne ludzi o wyższym wykształceniu posiadali tylko ci księża, którzy skończyli Akademię Duchowną w Petersburgu. Nostryfikacja dyplomów i stopni akademickich zagranicznych wyższych zakładów duchownych była niedopuszczalna i na ogół rząd carski przeciwstawiał się wysyłaniu młodzieży duchownej na studia za granicę. Akademia Duchowna w Petersburgu powstała po roku 1840, po kasacie uniwersytetu Wileńskiego; gdy z innych fakultetów tego uniwersytetu i z Liceum Krzemienieckiego sklecono uniwersytet kijowski im. Św. Wło-

dzimierza, o fizjognomii już zupełnie rosyjskiej, fakultet teologiczny uniwersytetu Wileńskiego przeniesiono do Petersburga i tam, w pałacu byłego jakiegoś wielmoży, na wyspie św. Bazylego przy ul. „Linia pierwsza”, w pobliżu mostu Tuczkowa otworzono go pod nazwą „Rzymsko-Katolicka Akademia Duchowna”. W uczelni tej i mnie przypadło w udziale, po skończeniu Seminarium Żytomierskiego, przepędzić na studiach jeszcze cztery lata. Na moim kursie w Seminarium byłem w wieku najmłodszym i kiedy dobiegały me studia do kresu, to na święcenia kapłańskie (Prawo Kanoniczne wymaga 24 lat skończonych) wypadłoby mi czekać prawie lat parę, a ponieważ przy łasce Bożej nauka szła mi *eminenter*, to przełożeni moi zawyrokowali po czterech latach studiów wysłać mnie jako stypendystę do Akademii do Petersburga. Urządzono więc przyspieszone, jakby pięcioletnie zakończenie Seminarium i w roku jeszcze 1898 już pojechałem do tej posępnej stolicy carów. Do Akademii przybywali klerycy po ukończeniu duchownych seminariów, a nierzadko i kapłani po kilku już latach pracy kapłańskiej. Siedem było diecezji katolickich w Królestwie i pięć w Rosji — zjawiali się więc do Akademii koroniarze, Litwini i my, Polacy kresowi i nawet Niemcy z diecezji Saratowskiej; wszyscy już byli względnie teologami, chodziło tylko o pogłębienie nauki i zdobycie cenzusów naukowych dla możliwości piastowania bardziej odpowiedzialnych stanowisk w diecezji. Stypendystów rządowych było czterdziestu, nasza diecezja Łucko-Żytomierska posiadała pięć miejsc — inne mniej lub więcej; przypominam sobie, że diecezja Kielecka rozporządzała tylko jednym stypendium. Stypendyści i swojokontowi byli ze sobą zupełnie równani: i książki i bieliznę i wikt refektarzowy wspólny mieliśmy zupełnie jednakie; jedyną rzeczą, która nas wyróżniała, było to że przy wstąpieniu do Akademii i przy wyjeździe po jej ukończeniu, dostawaliśmy na podróż pieniądze rządowe i to liczone na parę koni pocztowych, stosownie do odległości. Ja otrzymałem po 87 rubli z kopiejkami w obie strony, gdy bilet kolejowy trzeciej klasy kosztował tylko rubli 12, więc to była pewna wygrana. Biskupi, wysyłając kleryków do Akademii na stypendia diecezjalne, bardzo nie lubili, jeżeli wysłany alumn Akademii nie skończył; szczególną surowością pod tym względem odznaczał się Arcybiskup warszawski Chrościel-Popiel; toteż warszawiacy czasami i zapadali na zdrowiu z powodu niezdrowego klimatu, nie uciekali jednak i uparcie trzymali się Akademii. A pobyt w tej Akademii, szczególnie w pierwszych latach, nie należał do ponętnych. Utrzymywano nas bowiem sztywnie: białe obrusy i serwety na stołach jadalnych, wikt zdrowy i dobry, w sypialniach często bardzo zmieniana bielizna i osobista

i pościelowa. Sutanny i płaszcze i obuwiu niemal eleganckie. W gabinetach oddzielnych od sypialni, oprócz stołów, dla każdego stojące biurko, współmieszkańców najwyżej trzech. Ale dni słonecznych mało w roku a i te w jesieni i zimą są dosyć krótkie. W aulach lampy się palą do jedenastej. Wstawać trzeba o piątą z rana. Duchowne Petersburskie Seminarium obsługiwało katedrę, więc akademik przez cały niemal rok poza obrębem wewnętrznej zakładowej kaplicy nawet kościołów i wspnianych obrzędów religijnych nie widzi. Wykłady wszystkie w języku łacińskim, czasami zbyt monotonna i nader spekulatywnie przez profesorów ciągnięte. Co miesiąc przypadają wyznaczone repetycje, więc kucie przygnebiające, a regulamin życia niemal klasztorny. Nawet do dentystry na miasto alumnowi towarzyszy ksiądz prefekt, zakupy wszelkie po sklepach załatwiać trzeba tylko przez służbę, która choć grzeczna i elegancko umundurowana, ale po polsku nie mówi, bo to są Łotysze, katolicy z Witebszczyzny przeważnie. We czwartki jest tylko spacer ogólny z księdzem prefektem lub inspektorem na czele — to rozrywające i pouczające. Muzea, galerie obrazów, pałace cesarskie, fabryki bardzo ciekawe, wreszcie samo miasto ogromnie rozległe, wspnianymi przecięte rzekami i połączone długimi mostami, monumentalne budowle i pomniki. Trzy większe kościoły katolickie i wspniane dwa sobory prawosławne: Isakowski i Kazański, wreszcie wybrzeże Zatoki Fińskiej na tak zwanej „Strielce” — to były punkty naszych czwartkowych wycieczek. Ale kiedy się napatrzy na ten blask, na tę werwę życia, kiedy po powrocie jeszcze długo migają w oczach światła wystaw, a w uszach zdaje się brzmiały syreny chyżych statków przewozowych na Newie i potężne głosy olbrzymów morskich, wchodzących Newą aż do Akademii Sztuk Pięknych, do mostu Kierbedzia, kiedy przez okna dolatuje dźwięk dzwonekó w tych tylko co widzianych, z metropolitenem na dachu, tramwajów, to się mimo wszystko uwytkła wrażenie, że jestem ptakiem wolnym, ale zamkniętym w klatce i wolałbym w ką t rzucić te studia i iść, jak moi kamraci z seminaryjnej ławy, po pięciu latach od razu w wir życia i pracy kapłańskiej, niż jeszcze przez lat cztery wędzić się w tej Akademii, a może i zdrowie stracić w tym wilgotnym i niezdrowym Petersburgu, a może i do diecezji wrócić nie z tak świetnym dyplomem, jakiego oczekują ode mnie biskup i moi seminaryjni wychowawcy. I dlatego niejedyn alumn od razu z pierwszego, drugiego roku z Akademii do diecezji swojej umyka pod byle pretekstem.

W roku 1898 przybyło nas z Żytomierza do Akademii trzech, ale w pierwszym roku szkolnym, koło Wielkanocy, wyjechał z powrotem do diecezji kolega Feliks Sznarbachowski. Był to

młodzieniec bezwarunkowo zdolny i obiecujący, ale wytrwałości mu brakło, był potem księdzem o bujnej inicjatywie, ale pomyślnie nigdy niczego do końca nie doprowadził. Rektorem Akademii już od roku przed moim wstąpieniem był były mój rektor z Seminarium, biskup Karol Niedziałkowski. Został powołany na rektorat po biskupie Albinie Symonie, też ongiś pracujące kapituły katedralnej w Żytomierzu i rodowitym żytomierzanie. Biskup Symon rektorat piastował przez 10 lat, ale kiedy zastępując jako sufragana w rządach diecezją Mohylofską Arcybiskupa Kacpra Kozłowskiego zasuspendował ostatnich rusorytualistów w Mińszczyźnie z Sedukowskim na czele, to rząd rosyjski — mszcząc się na nim, wywiózł go na deportację do Odessy, stamtąd go zwolnił za granicę i umarł biskup Symon w Krakowie, jako skromny proboszcz-infułat kościoła Mariackiego. O tych księżach rusorytualistach dużo by mówić; byli to księża niebezpieczni narodowo i kościelnie, gdyż godzili się wcielić w Mińszczyźnie projekt rządu o rusyfikacji rytuału katolickiego polskiego; wszystko, co w rytuale naszym obok formuł łacińskich mamy po polsku — było wydane po rosyjsku. Rząd ten rytuał narzucał głównie w Wileńskiej i w Mińskiej diecezji. Pewien ksiądz w Wilnie publicznie spalił ten rytuał na ambonie i za to naturalnie i on i wszyscy tacy inni, co odnieśli się do tego projektu negatywnie, podlegali prześladowaniu. Idea rządu całkiem upadła, gdyż i wierni jej nie chcieli się podporządkować. Ale w diecezji Mińskiej, która należała wówczas jako administracja Apostolska do Archidiecezji Mohylofskiej, utrzymało się jeszcze sześciu czy ośmiu księży, lichych obyczajów i gorliwości żadnej, którzy idąc na pasku rządu, wbrew woli biskupiej, ów „trebnik” — czyli rytuał forytowali. Staruszek arcybiskup Kozłowski z nimi sobie poradzić nie umiał, ale wyjeżdżając na kurację za granicę upoważnił swego sufragana, biskupa Symona, do ostatecznej z nimi rozprawy. Ten, niewiele się wahając, okólnym listem wszystkich ich zasuspendował. Naturalnie rząd zakopiał, na biskupie Symonie szukał pomsty. Ale cały projekt zrusyfikowania przez Kościół katolików na Białorusi upadł razem z raz na zawsze odsuniętymi i wzgardzonymi przecherami, rządowymi księżmi. Arcybiskup Kozłowski umarł w pierwszym roku mego pobytu w Petersburgu, był to bardzo wiekowy Pasterz. Za życia raz tylko jeden go oglądałem, kiedy po rekolekcjach, co były na początku roku szkolnego, przybył do Akademii, by nam pobłogosławić. Ubrany w purpurę, gdyż Arcybiskupi Mohylofscy jeszcze od Siostrzeńcewicz poczynając mieli przywilej purpury. Rząd dla tego swego adepta starał się o kapelusze kardynalski, a Papież zgodzić się nie chciał, bo Siostrzeńcewicz i duchem galikanizmu rosyjskiego był

przejęty i niewiele ufności wzbudzał, jako nawrócony z kalwinizmu. Papież więc zaspokoił rząd tym sposobem, że pozwolił Siostrzeńcowi i jego następcom nosić się po kardynalsku — w purpurze. Otóż siwiutki, jak gołąb, arcybiskup Kozłowski przepięknie wyglądał w tej purpurze i bardzo głębokie do nas wypowiedział myśli o Darach Ducha Świętego, co było jego — jak się potem dowiedziałem — najulubieńszym tematem. Pogrzeb miał wspaniały. Prowadziliśmy go z katedry aż na Wyborgski cmentarz, gdzie jego szczątki w podziemiach kościoła cmentarnego zostały złożone. Wikariuszem kapitulnym został obrany nasz rektor magnificus. Rządy tak rozległej archidiecezji absorbowały go ogromnie, tak że w początkach dużo opuszczał wykładów z apologetyki, której dawał — a w końcu profesury zupełnie zaniechał. Po dwóch latach przez Kurie Rzymską i rząd przynaglony do objęcia arcybiskupstwa Mohyłowskiego, wciąż tęskniąc do Żytomierza i ukochanego Wołynia, spowodował, że Ordynariusz Żytomierski, biskup Bolesław Kłopotowski, poszedł na Arcybiskupa, a on objął diecezję Łucko-Żytomierską. Bolesław zaś Kłopotowski na rektora Akademii powołał znowuż księdza żytomierskiego, prałata Kapituły Katedralnej, Longina Żarnowieckiego; przy tym już byłem tylko niespełna rok — rok czwarty, mój ostatni w Akademii. Longin Żarnowiecki w młodości swej przez lat kilka miał profesurę w Seminarium żytomierskim, a po zawieszeniu tego Seminarium, co trwało z niełaski rządu lat sześć, został proboszczem w Monasterzyskach pod Humanem i proboszczował lat 24, zupełnie jakby zapomniany. Dopiero, kiedy diecezję Łucko-Żytomierską objął biskup Bolesław Kłopotowski, to żywiąc wyjątkową cześć dla Żarnowieckiego, jako byłego swego profesora seminaryjnego, powołał go do Kapituły Katedralnej, powierzył mu ojcostwo duchowne alumnów, a przeniesiony na Arcybiskupstwo Mohyłowskie wezwał za sobą do Petersburga i uczynił rektorem Akademii. Longin Żarnowiecki władał bardzo biegle łaciną, przemawiając w tym języku, jakby zmartwychwstały Salustiusz. Oprócz tego miał już za sobą wiele dzieł z zakresu archeologii kościelnej. Z prawdziwie benedyktyńską wnikliwością, objeżdżając wszelkie kraje Europy, przespierał i przestudiował ważniejsze skarbcie i zakrystie, porobił zdjęcia fotograficzne ornatów, kap, stuł, kielichów, monstrancji — słowem wszelkich utensyliów kościelnych, rozkochał się w średniowiecznej paramentyce, ściany swego mieszkania obwiesił starożytnymi tkaninami, makatami i wydał kilka książek o bardzo kosztownym nakładzie, dostarczonym mu głównie przez późniejszego biskupa Kamienieckiego, księdza Piotra Mańkowskiego i kanonika Karola Zakusiły z Humania, świadczących nie tylko

o pracowitości ich autora, ale i wielkiej jego specjalnej erudycji. Dziełem jego, bardziej praktycznym, jakby *vade mecum* każdego duchownego, co musi zaopatrywać zakrystię swą, była pięciotomowa książka pod tytułem „Ozdoba Domu Bożego”, gdzie czytelnik nie tylko znajdował wskazania jakie powinny być paramenta i utensylia kościelne, ale miał też i gotowe wykresy jak kroić komże, ornaty, kapy, alby. Zawdzięczając tej książce, żywemu słowu i przykładowi księdza Żarnowieckiego w diecezjach naszych kresowych naprawdę paramentyka kościelna stanęła na poziomie jakimś wyższym, niż w innych diecezjach polskich, gdzie choć często spotykają się rzeczy nawet kosztowne, ale jakie niewygodne, nieartystyczne, wprost jakoś ześwieczone, wyzute z tej symboliki co wszędzie ma się przedzierać w rycie i obrzędzie kościelnym i tej cechy archaicznej, jakby historycznie stwierdzającej odwieczną ciągłość Kościoła naszego. Wielka szkoda, że rewolucja rosyjska, tak dokładnie niszcząca życie Kościoła katolickiego na Wschodzie, prawie cały nakład tych dzieł biskupa Żarnowieckiego gdzieś pochłonęła i zarzuciła; albo profani tymi książkami palili w piecu, albo razem z bibliotekami i księgarniami katolickimi zabrali komuniści je na makulaturę do swych piarni. Takich dzieł już nie napisze się łatwo i na tak drogi nakład zubożałe społeczeństwo katolickie nie zdobędzie się prędko... Jako osobistość Żarnowiecki to przede wszystkim asceta, skupiony, zawsze ubrany jak najstaranniej, bardzo obowiązkowy, uprzejmy, ale jakiś chłodny; mężczyzna dość regularnych rysów, postać posągowa prawie, ale jakaś martwa, do siebie nie pociągająca. W czerwonym płaszczu jego magnificencji rektora wyglądał jak staro-rzymski trybun, co wszedł na rostrum.

Właśnie taki moment staje przed oczyma mej pamięci. W sali konferencyjnej półkołem zasiedli profesorowie nasi, wszyscy w togach i biretach, głębiej sali wypełniają alumni, a przed nami umieścili się goście, na których czele książę Oboleński, delegat departamentu obcych wyznań, jakiś galowo wystrojony, ale o pocziwym wyglądzie staruszek. Obecni: Arcybiskup, Kapituła Mohylovska i Kolegium Katolickie: to znaczy przedstawiciele wszystkich diecezji Polski. Jego magnificencja rektor wstępuje na trybunę, ma wygłosić inauguracyjne pierwsze swe przemówienie. Uwaga wszystkich skupiona, wygląd przemówcy wspaniały, w insygniach swego dostojenstwa rektorskiego wprost wygląda pociągająco. Zaczyna mówić spokojnie, poważnie i ładnie. Jego klasyczna płynna łacina kaptuje słuchaczy. Ale jakież temat porusza? Całkiem nie naukowy, ale więcej programowy i instrukcyjny dla akademików. Za motto bierze napis figurujący na froncie Akademii: *Romano — Ecclesiastica Caesarea Academia*,



i z niego wysnuwa jakim ma być akademik, a więc rzymski — oddany prymatowi Papieża, a więc *ecclesiasticus* — kościelny — wysoce duchowny. Ale tu szkopuł — *caesarea* — akademie cesarskiej; może by dosyć było tyle powiedzieć, jeżeli ten tak niefortunny obrało się temat, gwoli obecności przedstawicieli rządu, że akademik lojalnym do państwowości rosyjskiej być musiał, ale gdzie tam. Rektor rozwodzi się szeroko, powiada, że jak wojskowy w pułku, którego szefem bywa jakaś wysoka osobistość, tym się chełpi i szczyci, tak każdy duchowny akademik petersburski za honor poczytywać sobie powinien, że jest w Akademii Cesarskiej i z dumą może mówić o sobie: *Caesareus sum* — Cesarski jestem... Boże mój, aż mrowie po skórze nam przeszło. Nie pamiętam już, jak on tam swoją orację zakończył, nie pamiętam jaki nam dali galowy obiad. Ale pamiętam, że zamiast słodczy mnóstwo zadali nam, żytomierzanom, koledzy gorczy: „Patrzenie — wołali — jakiego wasza diecezja przysłała nam gagatka”, — „On się nam każe szczycić tym, że jesteśmy pod rządem zaborczym carskim, on zaspokojenie naszych ambicji widzi w tym, że szefem akademii naszej jest cesarz, ten cesarz, co kościoły i beneficja nam pokonfiskował, ten co martwym prawosławiem zastąpić usiłuje nasz żyjący Kościół Boży katolicyzm. Ten tyran polskiego narodu i polskiego kleru. Wprost wstyd i hańba...”. I rzeczywiście wyglądało to na hańbę... Biskup Cyryl Lubowidzki, poprzednik na stolicy żytomierskiej biskupa Kłopotowskiego, znał pewno dobrze poglądy cezaro-papieskie Żarnowieckiego i dlatego go przez lat 24 trzymał na głuchej parafii w Monasterzyskach, gdzie wprawdzie był on nadzwyczajnie bogobojnym proboszczem i wiele dla parafii dobrego zdziałał, ale wstąpiwszy na szerszą widownię, od razu dokonał tak fałszywego kroku. Ale ten krok niestety nie był ostatnim. W parę tygodni potem przypadła galówka cesarska, zdaje mi się 6-go grudnia, dzień imienin cesarza. Były nasz rektor, biskup Niedziałkowski, w takie dni zwykle miewał sam cichą Mszę św., myśmy bywali na tej Mszy, a po Mszy odśpiewaliśmy „Te Deum laudamus”. Obiad musiał być o czterech daniach z piwem i wykładów nie mieliśmy. Ale tu raptem na tę galówkę wyznacza się asysta z sześciu alumnów i Mszę św. pontyfikalną ma odprawiać prałat Alfons Retke, inspektor Akademii. Może tak zarządzono dlatego, że rektor Żarnowiecki nie miał sakry biskupiej i chciał przynajmniej dodaniem asysty podnieść jej wyjątkowość isolemnność. No, ale my, nosząc żywo w pamięci jego słowa z mowy inauguracyjnej, zrozumieliśmy to zarządzenie jako drugi wylew rektorskiego cezaro-papizmu i zaczęliśmy... Diakonem miał być w tej Mszy akademik z Płockiej diecezji, ksiądz Tomasz Żółtowski.

Kiedy o 10-tej wszyscy stawiliśmy się w kaplicy, kiedy celebrans już jest w ornacie, subdiakon w dalmatyce i akolici gotowi, ale diakona nie ma. Któryś z alumnów ofiarowuje się, że go zastąpi, ale prałat Retke upiera się: „Naznaczyłem Żółtowskiego i niech Żółtowski przychodzi”. Rzuciliśmy się go szukać i wreszcie ja, co byłem infirmerem znajduję go w infirmerii; nadchodzi też któryś z profesorów i razem namówiliśmy poczciwego Tomka, że się zjawił w zakrystii — Msza wyszła. Ale kiedy po Mszy, na której siedział w swym sedesie i *rector magnificus* zaintonował celebrans „Te Deum”, to nikt z nas — chociaż żadnego porozumienia nie mieliśmy — nie odważył się wydać z siebie głosu. Organistą był pewien student z konserwatorium muzycznego, który mógł tylko grywać do akompaniamentu, ale nie śpiewał rzeczy kościelnych — te więc „Te Deum” odegrał bez żadnego śpiewu. Pamiętam wieczorem zjawił się ksiądz Retke w mieszkaniach czwartego kursu, przyganiał nam urządzenie tej jakiejś jakby obstrukcji i zaklinał nas wprost po ojcowsku, gdyż to był bardzo dobry i szanowny profesor i człowiek, abyśmy się wstrzymywali od wszelkich podobnych objawów... Ale nie przeszło nawet tygodnia, jak raptem spada zarządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych, że prałat Retke w ciągu trzech dni ma opuścić swe stanowisko profesora i inspektora i bez wszelkiej emerytury, choć miał już 24 lata profesury i wyjechać z Petersburga do warszawskiej diecezji, skąd pochodził. A biedny Tomasz Żółtowski wydalony z Akademii i w ciągu doby ma się znaleźć w Płocku. Skąd Ministerstwo dowiedziało się o tej małej awanturze naszego wewnętrznego akademickiego życia? Dotąd jest to dla mnie tajemnicą. Ale słyszałem gawędy, że to sam Żarnowiecki w obawie o los Akademii uznał był za stosowne udać się do dyrektora departamentu obcych wyznań, przed nim z tego wszystkiego wytłumaczyć się i zbagatelizować rzecz całą. Jeżeli w istocie tak było, to pewno miał najlepsze intencje, ale obróciło się to mu na zupełną utratę wśród akademików i poważania i przyjaźni, bo profesora Retkego żalowaliśmy szczerze, a Tomek Żółtowski, bardzo, bardzo prawego charakteru kolega, a lubiany na czwartym naszym kursie, że musi być wprost pomszczony. Zemstą tą zaś było odwrócenie się całej Akademii i większości tych biskupów, którzy posyłałi do Petersburga swych alumnów — od rektora Żarnowieckiego, jeżeli nie całkowite to ogromne... Arcybiskup Kłopotowski, który powołał na rektora Żarnowieckiego i który go znał i cenił, nie odsunął go jednak a nawet podtrzymał i Żarnowiecki po tych wypadkach jeszcze przez dziesięć lat utrzymał się na rektoracie w Akademii. I powiem, że dla Akademii jego rektorat był nawet owocnym. Wiele pożytecznych wpro-

wadził reform. Obok teologicznego ściśle wydziału wprowadził wydział prawa kanonicznego z mocą wydawania stopni naukowych, jak w dziedzinie teologii tak i kanonicznego prawa. Kilku wybitniejszych sprowadził profesorów i modernizował w dobrym kierunku sposób prowadzenia studiów. A swoim pracowitym ascetycznym życiem budował wszystkich. I dlatego papież Pius X nadał mu godność biskupią i uwalniając go z rektoratu nazaczył na biskupa sufragana do Żytomierza... Było to — o ile pamiętam — w 1911 roku, a ja ukończyłem Akademię wiosną 1902 roku. Akademia, jak już wspominałem, posiadała kurs czteroletni. Kto skończył Akademię i nie ubiegał się o żadne stopnie naukowe, ten miał tytuł „rzeczywistego studenta” — co odpowiadało tytułowi „bakalarza” w uniwersytetach zagranicznych. Po trzech jednak kursach ukończonych z dobrym wynikiem przynajmniej, wolno było ubiegać się o tytuł „kandydata teologii” — jakby licencjata za granicą. A posiadacz „kandydata teologii” po ukończeniu dobrym i czwartego kursu i po przedstawieniu dysertacji, wyznaczonej mu wnet po otrzymaniu „kandydata teologii” otrzymywał tytuł Magistra Teologii. Praca na Kandydata Teologii i Magistra pisała się w języku łacińskim, a oprócz tego musiało się jeszcze i po tym wszystkim opracować jakiś szerszy wyjątkowy temat z zakresu literatury rosyjskiej. Ja na Kandydata Teologii napisałem traktat „De iustitia et iure” — „O prawie i sprawiedliwości”, a na Magistra Teologii z dziedziny homiletycznej: „De oratione funebrii” — „O mowach żałobnych”, uwzględniając historię ich, zarzuty przeciwko nim, zasady ich i porównanie jako żałobnych mówców Bossueta ze Skargą na podstawie mowy Bossueta nad Marią Teresą i Skargi nad Anną Austriaczką. Doktoraty Akademia petersburska też wydawała, ale dopiero po kilkunastu latach po skończeniu i osobnikom co jakieś duchowne posiadali już poza sobą naukowe teologiczne prace. Doktorów więc z Akademią petersburską było nader mało i większość nawet profesorów Akademii tego tytułu nie posiadała. A Magister Akademii odpowiadał mniej więcej Doktoratowi czasów obecnych. Te wszystkie klasyfikacje naukowe posiadały potwierdzenie i Stolicy Apostolskiej i rządu. Jako odznakę Magisterium mieliśmy prawo nosić distingtorium złote z węzłem złożonym na prawej stronie piersi, a Doktorowie — to samo distingtorium na łańcuszku złotym na szyi i pierścień doktorski na palcu. Dyplomy akademickie rozróżniały się jako pierwszego, drugiego i trzeciego stopnia. Trzeci stopień uważany był za najniższy. Ja jednak miałem szczęście biskupowi swemu złożyć dyplom stopnia pierwszego — tak zwany *Eximiae laudis* — i dlatego wnet po skończeniu studiów naznaczono mnie na profesora Seminarium Diece-

zianego w Żytomierzu, jako wykładowcę Filozofii, Prawa Kanonicznego i iurisprudencji cywilnego państwowego prawa. I tu się rozpoczyna nowy rozdział mojego życia. Był to rok 1902. Święcenia jednak kapłańskie posiadałem już od dwóch lat. Kiedy przechodziłem na kurs trzeci, biskup Łucko-Żytomierski, Bolesław Kłopotowski, przybył do Petersburga dla złożenia przysięgi na wierność rządowi i dla przedstawienia się carowi. Taki był bowiem *usus*, że każdy biskup po swej konsekracji lub po objęciu diecezji w charakterze ordynariusza, musiał przysięgę lojalności składać i przedstawiać się carowi. Cesarz zwykle bywał uprzejmy, rozmawiał przez jakiś czas, a potem prosił biskupa na śniadanie, na którym jednak towarzyszył już biskupowi tylko minister dworu, albo Wielki Ochmistrz. Każdy też biskup po konsekracji otrzymywał w darze od rządu pastorał i pierścień i mitrę. Trzeba przyznać, że te przedmioty bywały wielce artystyczne i drogie. Kancelaria też Rzymska za bullę nominacyjną otrzymywała kilka tysięcy rubli. Ale to nie przeszkadzało temu, że rząd niekiedy przez lat kilka zwłóczył z obsadzeniem wakujących stolic, a diecezjami wakującymi rządili „wikariusze kapitulni”. Z konkordatu istniejącego bowiem pomiędzy rządem a Papieżem, rząd posiadał przywilej przedstawiania Rzymowi na wakujące biskupstwo kandydatów w liczbie trzech, z których jednego potwierdzał Papież lub odrzucał wszystkich, a ukaz nominacyjny, po nadesłaniu bull nominacyjnych do rąk rządu — wydawał cesarz. Rząd te bulle i te insygnia biskupie przysyłał nominatowi, upatrując w tym jakby spełnienie swego prawa owej historycznej inwestytury. Kandydaci rządowi często nie odpowiadali intencjom Stolicy Apostolskiej i dlatego pertraktacje ciągnęły się długo i rządy diecezjami bardzo na tym cierpiały. Właśnie i diecezja Łucko-Żytomierska była przez parę lat wakująca i biskup Kłopotowski rządził nią jako Wikariusz Kapitulny, bo był w tej diecezji biskupem sufraganiem, a kiedy w roku 1900 nastąpiła jego nominacja na Ordynariusza tej diecezji, to właśnie był przybył do Petersburga dla wykonania tej przysięgi i przedstawienia się cesarzowi. Naturalnie odwiedził Akademię, której był przez lat wiele doskonałym profesorem historii Kościoła i bardzo ją kochał. My, alumni żytomierscy, pospieszyliśmy złożyć mu swe hołdy. Po paru dniach niespodziewanie wezwano mnie przed oblicze biskupa; nie wiedziałem o co chodzi; a biskup mi mówi: „Na przedstawienie inspektora waszego, księdza prałata Retkego, postanowiłem cię wyświęcić. Masz już subdiakoniat — (rzeczywiście przed paru dniami, w Niedzielę Przewodnią, otrzymałem był to pierwsze wyższe święcenie z rąk rektora akademii biskupa Karola Niedziałkowskiego) — po zakończeniu więc roku

akademickiego przyjeżdżaj do Żytomierza i otrzymasz resztę święceń”. Uszczęśliwiony tą wiadomością i zarazem przerażony, oświadczam biskupowi, że kanonicznych lat jeszcze nie mam. „To ja cię dyspensuję” — odpowiada mi na to biskup, a ja mu na to: „Przecież nie ma kanonicznej *causy* (przyczyny), jeżeli mam kontynuować swe studia”. A biskup, jakby tym trochę dotknięty, odpowiada: „No, to już moja rzecz sądzić czy jest *causa*, czy jej nie ma; przyjeżdżaj, będziesz święcony”. I tak się stało: po skończonym roku szkolnym przyjechałem do Żytomierza i tam otrzymałem diakonat, a w pięć dni później już i samo kapłaństwo, ale nie w żytomierskiej katedrze, a w Łuckiej, biskup bowiem na św. Trójcę, święto tytularne katedry Łuckiej, jechał do Łucka, by tam odbyć swój drugi po katedrze Żytomierskiej *ingres*. A ponieważ ta katedra starożytna wobec rezydencji biskupów łucko-żytomierskich w Żytomierzu już od lat prawie stu nie działała była święceń kapłańskich, więc biskup postanowił mnie i dwóch diakonów, kończących Seminarium, księży Tadeusza Bączkowskiego i Dominika Łagowskiego, po swoim pierwszym ingresie w tej katedrze właśnie wyświęcić. Zabrał więc nas ze sobą do Łucka i tam, dnia 7 czerwca, w wigilię św. Trójcy 1900 roku, starego stylu, zostałem kapłanem Chrystusowym licząc lat 22 i dziesięć miesięcy życia; tego samego dnia na niesporach odpustowych, z największym strachem, słuchałem pierwszych ludzkich spowiedzi, korzystając z tej nadziemskiej władzy: „Komu odpuście grzechy — będą odpuszczone...”. Kiedy te słowa piszę to już dobiega 42 lata jak jestem kapłanem. A ileż przez ten czas Mszy św. odprawiłem, a ilem udzielił ludziom rozgrzeszeń. Ilem nauk i kazań wygłosił. I strach mnie bierze, bo nie wiem jak tom spełnił?... Bo „co pomoże człowiekowi, jeżeliby cały świat zyskał, a duszę swą stracił?...”. Nadzwyczajne jest stanowisko i zadania kapłańskie — ale i przerażające są kapłana odpowiedzialności...

Akademia jednak wydawała i mnogich godnych i wybitniejszych sług ołtarza. Jeżeli już nie do mnie należałoby wspomnieć o tych całych szeregach biskupów i arcybiskupów, co w Królestwie, na Litwie i Rusi w ciężkiej dobie popowstaniowej z największym poświęceniem sprawowali swój urząd apostolski, to powinienem jednak wzmiankować o tych, co na moich oczach z tej Akademii wyszli. Mój profesor dogmatyki specjalnej i mój spowiednik, arcybiskup Jan Cieplak — ten znany ze swych więzów w Butyrskim moskiewskim więzieniu, to przecież wychowanek i doktor Akademii petersburskiej. Wielkiej świątobliwości, Mińskiej i Pińskiej diecezji Pasterz, Zygmunt Łoziński, to również jeden z tych, co ukończyli Akademię duchowną w

Petersburgu. Ten, co umiał się zmierzyć z zachłannością legio-  
nowej w Polsce kliki, pasterz Kielecki, Łosiński — też wychodził  
z szeregów studenterii duchownej petersburskiej. A z tych, co  
byli mi w studiach współcześni należy wymienić jako gorliwych  
ksiąząt Kościoła choćby takie nazwiska: Mateusz<sup>1</sup> Matulewicz,  
arcybiskup Wileński<sup>2</sup>; Buczkis, na żądanie Papieża biskup obrząd-  
ku wschodniego, Jan Skworecki<sup>3</sup>, arcybiskup Litwy, Antoni  
Spryngowicz, arcybiskup Łotwy, Kazimierz Półtorakas, biskup  
Poniewieżski, Jan Kuchta, też biskup którejś z diecezji na  
Litwie<sup>4</sup>, Romuald Jałbrzykowski, arcybiskup wileński, Michał  
Godlewski, biskup sufragan Łucko-Żytomierski i obecnie profesor  
uniwersytetu krakowskiego, a również Aruchowski, choć nie bis-  
kup, ale również profesor uniwersytetu, śp. Wojciech Owczarek,  
bardzo świątobliwy sufragan we Włodawku\*, Włodzimierz Jan-  
kowski, znany bardzo w Warszawie Marianin. I wreszcie pasterz  
obecny naszej diecezji, najuczestszy może wśród Episkopatu współ-  
czesnego, Doktor Adolf Szelażek — to też wychowanek Akademii  
w Petersburgu.

## CZĘŚĆ II

Kiedy po ukończeniu Akademii w roku 1902 przybyłem  
do Żytomierza, biskupem Ordynariuszem był Karol Niedział-  
kowski, były mój rektor i z seminarium i z Akademii. Rektorem  
zaś seminarium pozostawał prałat Apolinary Wnukowski, póź-  
niejszy biskup Płocki, a następnie po śmierci metropolity Kłopo-  
towskiego, arcybiskup Mohyłowski; zastępcą zaś Wnukowskiego  
w wewnętrznym kierownictwie Seminarium od wielu już lat na  
tym stanowisku pozostawał prałat Antoni Bajewski, człowiek  
zacny i kiedyś energiczny, ale w chwili mego przybycia już  
prawie podeszły w leciech. I dlatego biskup, naznaczając mnie  
na profesora Seminarium, włożył mi jeszcze i obowiązek wycho-  
wawczo-kierowniczy, czyniąc mnie pomocnikiem prałata Bajew-  
skiego, z tytułem prefekta Seminarium. Skończyło się jednak

1. Bp Jerzy Matulewicz.
  2. Tylko biskup wileński do 1925 roku a arcybp wileński od 1925 roku.
  3. Skwireckis.
  4. Bp Jan Kuchna, bp Koszedarski.
- \* Biskup Czesław Sokołowski, sufragan Podlaski.

wnet na tym, że prałat Bajewski, zajęty jeszcze i w Kurii, jako asesor Konsystorza, wszelkie niemal swoje agendy w Seminarium przelał na mnie. Mieszkałem więc za furta Seminarijną, pędziłem regulamin klerycki życia, mordowałem się nad przygotowaniem się do wykładów, a drzwi mego gabinetu stale były otwarte i co moment alumn, lub sługa zakładowy wpadał do mnie z jakimś interesem; moim też obowiązkiem było wciąż kontrolować bieg życia seminaryjnego i kleryków dwukrotnie w tygodniu prowadzić na spacer. Stąd naprawdę byłem zapracowany, a niekiedy i przygnębiony, kiedy starsi klerycy, diakoni, często więcej ode mnie lat mający, zarządzani moim, zwierzchnikiem, nie liczącego jeszcze skończonych lat 26-ciu, podporządkować się nie bardzo chcieli. W refektarzu przydykowała ze zwierzchnikiem trzech: ja, jako prefekt, ojciec duchowny i ksiądz prokurator. Prokuratorem, czyli takim ekonomem seminaryjnym, był wówczas wielce kochany i wzbudzający zaciekawienie człowiek, kanonik Walerian Gromadzki. Ksiądz Gromadzki wówczas już liczył lat sześćdziesiąt kilka wieku. Bardzo młodym kapłanem z wikariatu w Horochowie na Wołyniu w czasie powstania 63 roku został deportowany na Syberię aż do Omska. W Omsku zastał generał-gubernatorem pewnego Francuza, który chociaż w służbie rosyjskiej, ale był katolikiem i czuł się stęskniony za pociechami religijnymi; ucieszył się więc z przybycia księdza wygnańca i najprzyjaźniej go potraktował. Ksiądz Gromadzki zbudował kościół w Omsku, a stamtąd na tarantasie kilkasetkilometrowe czynił nieraz wycieczki we wszystkie strony Syberii, niosąc posługę i pociechę religijną patriotom wygnańcom i tym, których poszukiwanie kawałka chleba zapędziło w stepy i tajgi Azji północnej. Drugą część trzydziestokilkuletniego swego pobytu na Syberii ksiądz Gromadzki przepędził w Tomsku, gdzie również zbudował kościół i najbożniej kierował parafią katolicką w dużym tym mieście przez lat dwadzieścia parę. Stare lata go jednak przyciągnęły do rodzimego Wołynia, a chcąc być zawsze użytecznym, kierownictwo gospodarki seminaryjnej jako prokurator przyjął na siebie. Nazywaliśmy go „Tatkiem”; bardzo lubił młodych księży; po obiedzie w jego mieszkaniu codziennie już szypiał samowar, a profesorowie ściągali, by razem ze sobą pogwarzyć, a szczególnie posłuchać miłych gawęd i opowiadań „Tatka” o przygodach jego wygnańczego życia. A jaka to była zajmująca i pouczająca nić tych jego opowiadań: prawdziwie palec Boży ręką satrapów carskich kierował i rozsiewał po morzu schizmatyckim i służył prawdziwego Kościoła Bożego i te owieczki katolickie, co miłością prawdy i prawa Bożego budowali i skostniałych w formalizmie religijnym urzędowego prawosławia i mało oświeconych jeszcze

w wierze, czasami po parę razy chrzczonej, tubylców Turkmenów mongolskiego pochodzenia. Ksiądz Gromadzki posiadał dużo humoru i swady, był nader cięty w swoich sądach i wrażeniach, nad sobą nigdy się nie roztkliwiał, nie znosił miękkich mazgajskich charakterów, wszelkie płaszczenie się było mu wstrętne i przed żadną butą nie schyliłby głowy, a o swój los, wygodę czy karierę nic a nic nie dbał. Kiedy tego zacnego Francuza generał-gubernatora zmienił ktoś inny, a wygnańców coraz przybywało więcej, to zatroskany ksiądz Gromadzki, że oni rozsypani pomiędzy bardzo obojętną religijnie i często niemoralną ludnością, też zapadali i psuli się — idzie w swej gorliwości może naiwnej do tego carskiego wielkorządcy i przedstawia mu prośbę, aby raczył bardziej zwartą masą osiedlać wciąż z Polski i Litwy przybywających zesłańców, gdyż takim sposobem łatwiej ich będzie mógł obsłużyć i ducha należytego w nich utrzymać. A generał-gubernator mu na to: „Czy ksiądz nie rozumie, że myślą przewodnią rządu imperatorskiego jest właśnie to, aby karani deportacjami Polacy i Litwini tu wśród elementów rosyjskich zapomnieli i o mrzonkach swych patriotycznych i o swojej, ledwie w Rosji cierpianej, katolickiej religii. I ksiądz — powiada — co też tu tylko za karę przybyłeś, a cieszysz się względną wolnością w spełnianiu swej misji kapłańskiej, raczej powinienes tłumaczyć swym współwyznawcom, że nie ma co żyć dawnymi kategoriami myśli, a czas już zasymilować się i pod względem narodowości i pod względem wiary z narodem rosyjskim prawosławnym”. Wysłuchawszy tej perory, ksiądz Gromadzki zapytuje: „Czy wolno mi, Eksceleńco, odpowiedzieć słów parę?”. — „Owszem, proszę mówić”. — „Panie Gubernatorze, jeżeliby mi ktoś, taki co się wyrwał z domu obłąkanych, taką mi rzecz zaproponował, abym ja, ksiądz katolicki, na prawosławie namawiał swoich wiernych współwyznawców — to bym temu się nie dziwił. Ale że Pan, Naczelnik Kraju, mi taką rzecz śmie mówić! — to się dziwię okropnie”... Generał-gubernator zawrzał gniewem: „Ja ciebie, księżu — wołał — ukarzę... ja ciebie na Syberię zeszlę”. A ksiądz Gromadzki najspokojniej na to: „A tutaj to co? — to Włochy może?” (było to w Omsku) — i wyszedł i gubernator nic mu złego nie wyrządził...

Brat księdza Gromadzkiego, późniejszy Jezuita, pozostawał profesorem matematyki na Uniwersytecie Kazańskim, w Kijowie polscy profesorowie nie byli dopuszczani. Tamten znał się dobrze ze znanym historio-filozofem rosyjskim, Włodzimierzem Sołowjowem. Wiadomo, że Sołowjow w swej pracy umysłowej doszedł był do przekonań katolickich i takowe w swych pismach szerzył. Otóż Sołowjow koledze swemu, temu bratu księdza Gromadz-



kiego opowiadał taki wypadek ze swego życia: jedzie on kiedyś z Moskwy do Petersburga, zajmąwszy skromne miejsce w wagonie drugiej klasy. Raptem przychodzi doń konduktor i prosi, by zechciał przejść do wagonu salonowego urzędniczego, w którym jedzie wielki wówczas i wszechwplywowy nadprokurator synodu prawosławnego, Pobiedonoscew. Nawiązuje się pozornie nader przyjazna ze strony Pobiedonoscewa rozmowa. Pobiedonoscew usiłuje nakłonić Sołowjowa, by zaniechał tych swych publikacji o jedynej prawdziwości Kościoła katolickiego, schlebia wielkim zdolnościom umysłowym filozofa, rokuje mu wielką karierę i przyszłość w państwie, ale bez ogródek oświadcza, że to jego stanowisko katolickie tamuje mu do nich drogę. Kiedy Sołowjow broni swoich przekonań, kiedy wykazuje całą strupieszalność oficjalnej cerkwi prawosławnej, to ten Pobiedonoscew, ten, co przez synod oficjalny kieruje życiem religijnym *matuszki Rossiji*, ten profesor wychowawca prawosławnego cara, ten wówczas najzacieklejszy wróg katolicyzmu, a rzecznik prawosławia, najcyniczniej Sołowjowowi oświadcza: „Wiadomo, że prawosławie to *ruchlad*’ (po polsku — strupieszalność). A przeciw zgrzybiałości, strupieszalności nie ma co pisać, bo ona i tak sama przez się w proch się obróci”... I należyte określenie dał stary Pobiedonoscew swej cerkwi. Przy jego następcy, Sablerze, jak mówiono synu pastora protestanckiego, a pochodzenia żydowskiego, cerkiew prawosławna rozkładała się dalej, a w czasie bolszewizmu, w parę lat po rewolucji już z niej były tylko strzępy. Żadnej mocy oprócz oparcia się o carat nie miała, a gdy tej zabrakło, to — jak zjedzona przez mole szuba — rozlazła się wprost od wewnątrz...

Ksiądz Gromadzki w swych misyjnych wycieczkach zatrzymywał się niekiedy na nocleg w namiotach Kirgizów, pasących swe trzody; z muzułmańską gościnnością — opowiadał — podejmowali go ci mieszkańcy stepów, przede wszystkim częstujący kumysem (wyrobem z kobyłego mleka). Zamożni też rosyjscy kupcy syberyjscy w swych faktoriach i urzędnicy carscy, spragnieni widoku nowej twarzy ludzkiej, po kilka dni nie chcieli księdza Gromadzkiego wypuszczać ze swych domów, tym bardziej że własni ich kapłani prawosławni wówczas należeli na Syberii do kategorii nader prostackich, a często pogrążonych w pijaństwie ludzi... Najwyszukańsze ryby, kawitory, pielmienie (takie kołduny, jakby litewskie, zamrożone w beczkach i *ad hoc* odgrzewane), orzeszki cedrowe, mięsiwa wszelkie najtłustsze, po pięć kopiejek wówczas za oko (to coś parę funtów naszych), głuszcze, cietrzewie, jarzabki z tajgi — to najzwyczajniejsze na stołach syberyjskich były potrawy. A domy Sybiraków — choć dREW-

niane — ale z takich bierwion potężnych, wołokiem wielbłądzim przekładanych budowane, że w nich pomimo czterdziestu kilku stopniowego mrozu ciepło bywało, jak w uchu. A podróż, to zawsze w „dasze”, w szubie podbitej lisami lub wilczurą, a z zewnątrz pokrytej skórami reniferów, żrebaków lub fok. Ksiądz Gromadzki dlatego też z Syberii wywiózł wszelkie znawstwo i zamiłowanie do pięknych futer. Kiedy aktualny szambelan dworu papieskiego, książe Adam Sapięha, został promowany na arcybiskupa Krakowskiego, a jego wuj, książe Roman Sanguszko ze Sławuty chciał mu zrobić upominek z futra, to ksiądz Gromadzkiego uprosił, aby w Kijowie u Skorokoumowskich takie futerko wybrał i księciu Sapięze do Rzymu zawiózł. Futro to przepiękne i jak piórko lekkie kosztowało księcia Sanguszkę kilka tysięcy rubli w złocie. Ksiądz Gromadzki zmarł w Sławucie w gościnie u księcia Sanguszki na tydzień przed zamordowaniem samego księcia przez cofających się z frontu zbolszewiczałych maruderów w roku 1918 lub 1917.

Pierwsze lata mej profesury w Seminarium przechodziły spokojnie i pracowicie. Kiedy rektora Seminarium, prałata Apolinarego Wnukowskiego, mianowano biskupem w Płocku, a pewien mój kolega, Jan Balejczys, który pełnił obowiązki wicedziekana katedry, czyli proboszcza Żytomierskiego, zmarł z suchoty na kuracji w Gries bei Boren, to mnóstwo ludzi, penitentów tych dwóch księży zaczęło oblegać mój konfesjonał w seminaryjnym kościele; dość prędko niektórzy z nich zapragnęli mnie poznać osobiście i w ten sposób nawiązał się pewien przyjazny kontakt pomiędzy mną a miastem. Rektoratu seminaryjnego po wyjeździe bpa Wnukowskiego doczekał się wieloletni inspektor Seminarium, prałat Antoni Bajewski, ja zaś pozostawałem w jednej osobie przez parę lat i prefektem i inspektorem adiutorem i dopiero po trzyletniej przerwie, w czasie której inspektorat zajmował kanonik Jan Zagórski, w r. 1909 zostałem naznaczony na prawdziwego inspektora Seminarium i na tym stanowisku bytowałem aż do mego przeniesienia na proboszcza do Kijowa. Od r. 1907 jednak miałem przez biskupa Niedziałkowskiego dodany jeszcze jeden obowiązek. Mianowicie uczyniono ze mnie i asesora Konsystorza. Tu trzeba, ku wiadomości współczesnych coś powiedzieć — czym właściwie w owe czasy był Konsystorz katolicki w diecezji. Rządził diecezją biskup, mając przy sobie tylko kanclerza i najwyżej dwóch kancelistów, z których jeden nawet był człowiekiem świeckim, ale wszystkim zarządzał jakby prywatnie. A cała procedura oficjalna wszelkich spraw diecezjalnych skupiała się w Konsystorzu, który z konkordatu z Papieżem miał taką

konstrukcję: była to instytucja kolegialna, jej prezesem bywał najczęściej biskup sufragan, a członkami czterech asesorów. Wszystkich członków Konsystorza mianował biskup, ale zatwierdzał sam cesarz, a sekretarza Konsystorza, którym był człowiek świecki, na prezentację biskupa zatwierdzał już tylko dyrektor departamentu wyznań w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, a cała kancelaria konsystorska stwarzała się z ludzi przedstawionych do departamentu z wyboru już tylko samego sekretarza Konsystorza. I my, asesorowie Konsystorzy, i cała kancelaria liczyliśmy się urzędnikami państwowymi; Panowie kanceliści, na ogólnych zasadach urzędowania w Rosji, otrzymywali pewne „czyny”, czyli stopnie służbowe, aż do radców włącznie i niektórzy z nich, bardziej wiernopoddańczy, nosili nawet jakieś uniformy i odznakę państwową na czapce. Wszystkie papiery, protokoły, dzienniki, rezolucje musiały być prowadzone w języku rosyjskim. Posiedzenia nasze odbywaliśmy w sali, gdzie na stole przykrytym długim zielonym suknem stało *zercadlo*, charakteryzujące powagę wszelkich carskich urzędów. Był to taki sobie niewielki kiosk, mający trzy strony oszklone w złotych ramach, w których oprawione były druki, streszczające postanowienia cesarskie o powadze urzędów państwowych. Potrójny orzeł dwugłowy z koroną carską na głowie — na osi ruchomej, wieńczył ten kiosk z trzech jego stron. Dopóki nie był zdjęty ze stołu sala urzędu uważana była za miejsce prezencji samego cara, nie wolno było w tej sali palić tytoniu, a broń Boże odezwać się obelżywie do osoby urzędującej w tym miejscu. Portret cara dominować musiał na ścianie, a gdy razu pewnego kazałem umieścić portret Papieża na miejscu bardziej bijącym w oczy, to już miałem ambaras i musiałem się tłumaczyć przed żandarmerią. Ochrona bowiem carska łatwo pozyskiwała sobie konfidentów w szeregach kancelistów konsystorskich, urzędników nędźnie płatnych, sprzedajnych i nie wysoko stojących moralnie. Biskupi też mieli krzyż prawdziwy z tymi swoimi Konsystorzami, a publiczność, miewająca interesy w Konsystorzach prawdziwe utrapienie, bo i niczego jej bez łapówki nie załatwią, a w sprawach — szczególnie rozwodowych — zupełnie bałamutnie i kanonicznie nieumiejętnie. A sprawy takie rozstrzygały się w Konsystorzu: dział nominacji duchowieństwa na wszelkie stanowiska w diecezji — biskup pisał do Konsystorza, że takiego a takiego księdza назнача na taką placówkę, a instrument назначania wydaje i podpisuje już Konsystorz; dział metryczno-archiwalny; dział spraw matrymonialnych; sądów wszelkich z duchownymi; karalność duchowieństwa; sprawy budowy i reperacji gmachów religijnych i wreszcie wszelka oficjalna diecezjalna koresponden-

cja z urzędami państwowymi. Każde ważniejsze rozporządzenie Konsystorza formowało się w ten sposób: „Z ukazu Jego Cesarskiej Mości, na mocy rozporządzenia biskupa diecezjalnego, Konsystorz Łucko-Zytomierski postanowił...”. Inicjatywa referencji spraw przez Konsystorz pochodziła od sekretarza Konsystorza, który przez specjalnych referentów, codziennie innych w tygodniu, te sprawy przedstawiał uchwałąm naszym, które zapadać miały większością głosów. W dzienniku zapisywała się też bezpośrednio nasza rezolucja, a dnia następnego podpisywaliśmy o tym i odpowiednie protokoły. Każdy ten papier, wychodzący z Konsystorza, musiał być podpisany przynajmniej przez jednego z asesorów. A było spraw mnóstwo, gdyż Konsystorz obsługiwał trzy diecezje: Łucką, Zytomierską i Kamieniecką. Niepodobna dlatego też było we wszystko wejrzeć detalicznie, a obawa, że te świeckie przechety, pisarze konsystorscy, mogą dopuścić się jakiegoś nadużycia, była wciąż aktualna... Pewien urzędnik konsystorski, co pobierał pensji miesięcznej tylko 37 rubli, kiedy umierał to pozostawił rodzinie piękną sadybę z domem i w papierach wartościowych około stu tysięcy rubli. Skąd więc to powstało? Asesorami bywali ludzie przeważnie starzy, uposażenie ich śmiesznie małe — pobieraliśmy według jakiejś przestarzałej pragmatyki tylko 17 rubli miesięcznie. Stąd każdy asesor musiał mieć jeszcze inne zajęcie, by zapewnić sobie utrzymanie, a Konsystorzowi nader mało czasu mógł poświęcić, a same posiedzenia decydujące zajmowały około dwóch godzin dziennie. Kancelaria więc konsystorska, składająca się z kilkunastu urzędników, robiła co jej się podobało i w końcu nawet nie znosiła ingerencji asesorów w bieg spraw kancelaryjnych. Naturalnie, że i Kościół i interesanci bardzo na tym cierpieli; pewna klientka konsystorska, hrabina Dzieduszycka, czternaście lat prowadziła swą sprawę rozwodową z mężem i w końcu uzyskała wykazanie nieważności swego ślubu, ale i to zawdzięczając łapówkom, przyspieszającym procedurę sądową. Biskup Niedziałkowski to wiedząc, bardzo nad tym cierpiał. I dlatego postanowił mnie, młodego trzydziestoletniego księdza, do Konsystorza wetknąć, co było zgoła przeciwne utartej rutynie i pamiętam, że nominując mnie w ten sposób się odezwał: „Naznaczam księdza, byś mi tych starych prałatów w Konsystorzu budził”. Przyjąłem więc i tę rolę budzika, wchodząc do kolegium konsystorskiego, które składało się z biskupa sufragana Karasia, najcichszego w świecie męża, prałata Erazma Szatrzyckiego, osiemdziesięcioletniego starca i kanonika Jordan-Dobrowskiego, zdziwaczałego i schorowanego człowieka; piąte miejsce asesora wakowało. Lwia część spraw konsystorskich więc oparła się o moje barki; pan sekretarz,

choć był zawsze dla mnie z grzecznością i szacunkiem, ale jako wielki rutyniarz biurowy i człowiek poważny przyzwyczajony był, że propozycje rezolucji on sugerował na posiedzeniach i takowe w większości były przyjmowane przez asesorów; było więc dla niego czymś niezwykłym, że ja miałem swój pogląd i zdanie własne, z którym starzy moi koledzy zaczęli się więcej niż z jego pomysłami liczyć. A referendarze nawet przeciw mnie poczuli jakąś wrogość. Złapałem jednego z nich, że wprost za darmo, w sprawie rozwodowej jakiejś kobieciny, *nota-bene* w sprawie kanonicznie nic nie wartej, wyciąga od niej pieniądze, że nawet krowinę ostatnią sprzedać musiała; drugiego nawet pana sekretarza skompromitowałem, że ziemię kościelną w Starym Konstantynowie wbrew woli gwardiana Kapucynów oddawali w dzierżawę na sześć lat komuś, co ich widocznie przekupił, po sześć rubli rocznie za dziesięcinę, kiedy cena wówczas dzierżawy w tej miejscowości wahała się od 18 do 20 rubli za dziesięcinę. Podniosłem więc gwałt, biskup Niedziałkowski stanął po mojej stronie, urzędnicy sprawę przegrali, choć współwotanci w Konsystorzu byli w swoim spokoju niewzruszeni i przed panem sekretarzem bierni. Referenci więc podnieśli przeciwko mnie ukrytą walkę, ale że nie czuli po swojej stronie słuszności i kiedy jeden z nich, jak potem wyszło na jaw, przyjął był skrycie prawosławie i należał do konfidentów władzy świeckiej (Stefan Fijałkowski), to nie przeszło dużo czasu, jak już w sprawie mojej sędzia śledczy do spraw ważniejszych politycznych, niejaki Karasiów, zaczął czynić dochodzenie. Szczęściem zapłatać mnie w nic poważniejszego nie potrafili i wyszedłem zwycięsko. Ale mnóstwo nerwów, wysiłków, prac i goryczy to urzędowanie moje prawie siedmioletnie w tym Konsystorzu mnie kosztowało i może dlatego właśnie łatwo się zgodziłem na objęcie parafii w Kijowie, ażeby się tylko wyrwać od tego przykrego i ciężkiego urzędowania konsystorskiego, bo warunki profesury mojej seminaryjnej i stosunek mój ze społeczeństwem polskim w Żytomierzu nie pozostawiał przez cały czas, i do samego końca, nic lepszego do życzenia.

Po wojnie japońsko-rosyjskiej w roku 1905 nastąpiły pewne zmiany w ustroju rządu Rosją, kiedy car pod naciskiem grożącej rewolucji, powołał do życia Sejm, zwany *Dumą* i pewne ulgi w stosunku do innych religii, poza prawosławiem, dopuścić. Mogli więc ci, którym ciążyła narzucona schizma, powrócić na łono Kościoła katolickiego. Pozwolono religię w szkołach wykładać w języku polskim, można było i z rdzennych prawosławnych przejść na katolicyzm, jeżeli miał pełnoletnie... Jawnie zaczęły się katechizacje dzieci w kościołach przed pierwszą Komu-

nią św. i księży poruszać się mogli swobodnie, zjeżdżając się nawet po kilkunastu na odpusty, rekolekcje i inne uroczystości kościelne. Wydanie tych ulgowych manifestów poprzedziły nie tylko niezadowolenie rosyjskiego narodu z rządu swego z powodu przegranej haniebnie wojny, ale też i ruchawki elementów wywrotowych. Nawet na takim małym terenie, jak Żytomierz (miasto za moich czasów liczyło około 80 tysięcy — w tym prawie połowa Żydów, a Polaków tylko 14 tysięcy) już niejaki ruch antyrządowy dawał się zauważyć. Chodziły manifestacje z czerwonymi płachtami i co moment ze sklepów wyrwał się jakiś subiekt żydowski i wygłaszał mowę w języku rosyjskim, którym bardzo słabo władał, a która zaczynała się i kończyła okrzykami: „Obywatele, czy wy wiecie co to jest wolność? Wolność to jest wolność!”. Rząd jednak, dopóki car nie ustąpił i manifestu o zmianie konstytucji nie ogłosił, czynił wszelkie możliwe represje. Ponieważ gmach Seminarium w Żytomierzu był w samym centrum miasta, więc raptem całe nasze podwórze wypełniło wojsko. Byli to dragoni kazańskiego pułku; ich patrole, objeżdżające miasto, chwytaly agitatorów i przemówców i wprowadziwszy na nasze podwórze, haniebnie ich biły. Patrząc na to z moich okien nie wytrzymałem i poprosiłem, aby przewodniczący temu wojsku rotmistrz zechciał wejść do mnie. I jakież było moje zdziwienie, kiedy rotmistrzem, *nota-bene* bardzo eleganckim i wytwornych form panem, okazał się Polak, Dowbór-Muśnicki. Swoich dragonów starał się tłumaczyć tym, że oni już są pomęczeni dwudziestogodzinnym trwaniem na posterunkach i że żywołowo tych socjalistów Żydów nie znoszą. Kazałem mu podać jakiś posiłek, on przez ordynansa dał rozporządzenie, aby miarkowano się w tych cielesnych rozprawach, ale już tego nie było potrzeba, gdyż wleciał jakiś zwiastun, że car już pogodzony z rewolucją. Wnet się dragoni uformowali w szwadrony, buńczuki podnieśli triumfalnie w górę, pan Dowbór-Muśnicki dosiadł przepięknego kasztanka i poprowadził ulicami miasta korowód swej konnicy przy akompaniamencie to muzyki, to wesołych śpiewów żołnierskich.

Reakcyjniści jednak i popi darować carowi tego ustępstwa nie mogli. Nie przeszło dwóch lat, kiedy w państwie uspokoiło się już, zaczęły się cofania i ograniczania danych lub przyrzekanych wolności. Liczbę polskich posłów do Dumy z trzydziestu kilku zredukowano do dwunastu przedstawicieli. Kadetów posłów, tj. przedstawicieli partii konstytucyjno-demokratycznej, aresztowano. Zawiązały się rozmaite związki jak: „Sojusz prawdziwych Rosjan”, „Bractwo Michała Archanioła” i inne, które mowami swych leaderów, prasą reakcyjną i ulotkami pobudzały

ciemne tłumy do walki w obronie jakoby wydzieranej carowi władzy. U nas, na Wołyniu, szczególnie w tym duchu działała Ławra Poczałowska. Dla okazania, że ten ruch reakcyjny jest prawie wprost żywiłowy, nie dający się zahamować i jak wulkan już wezbrany i dlatego musi być w państwie dominujący, dopuszczała policja organizację pogromów niby to rewolucjonistów, w rzeczy samej Żydów. Bo w owych czasach w oczach kacapów słowa Żyd czy rewolucjonista wydawały się synonimami. Takie pogromy przerzucały się z jednego miasta do drugiego, szczególnie w tak zwanym południowo zachodnim kraju. Widownią ich był Kijów, Kiszyniew, inne miasta no i wreszcie nasz Żytomierz. Był to może rok 1908, czas pięknej wiosny. Od kilku dni ktoś rozpuszczał wiadomości, że Żydów bić będą, bo oni głównie dążą do demokratycznego urzędzenia państwa. Nie zdawało się jednak, by te bajania miały głębszą podstawę i dlatego wybrałem się przed wieczorem odwiedzić pewną chorą przy ulicy Wilskiej. Zatrzymano mnie tam na kolację. Kiedy około godziny dziewiętej wracałem, przy zbiegu ulic Wilskiej i Cmentarnej bodaj, posterunkowy policjant zwraca mi uwagę, że w kierunku rynku, przy którym były i gmachy Seminarium, iść nie można; zбочyłem więc na ul. Starowilską; stojący tam dorożkarz odmówił się mnie wieźć; zadzwoniłem do domu pewnych mych znajomych przy tej ulicy, ale nikt mi nie otwierał, widocznie lęk ich ogarnął; przystanąłem więc tak w cieniu, trochę dalej od światła latarni, a tu widzę banda z kilkunastu ludzi zaczyna gromić jakiś dom żydowski, odłamują okienice, tłuką okna, starają się wtargnąć do wnętrza, ale w domu ani jednej lampy i gospodarze gdzieś się przyczaili. Więc pogromcy rezygnują i podążają w kierunku ulicy Cmentarnej. Ja wychodzę i kieruję się zupełnie opustoszałymi ulicami do domu. Tu i wszędzie w rynsztokach we krwi leżą żydowskie trupy, ale ofiary te nie wyglądają na postępowe socjalistyczne żydostwo. To zwykli chałciarze, przeważnie starsi o siwych brodach ludzie. Unoszonego przez wiatr pierza mnóstwo wszędzie, bo pierwszą czynnością pogromców, gdy wtargają do mieszkań żydowskich, to wynoszenie poduszek i piernatów, rozpruwanie ich i rozpuszczanie z wiatrem pierza. Używanie pierzyn nie jest rozpowszechnione u rosyjskich prostych ludzi i używają ich przeważnie tylko Żydzi. Dochodzę jakoś szczęśliwie do bramy seminaryjnej, a tu przez nią wyglądają profesorowie, moi koledzy z rektorem na czele. Cała zakładowa służba wita mnie jak zmartwychwstałego, bo byli zaniepokojeni, że mnie jednego nie było w domu. Na drugi dzień oglądamy spustoszenie miasta. Nie wszystkie żaluzje sklepów ustąpiły, więc mnóstwo kramów wspaniałych ocalało

a i zamordowanych Żydów jest zaledwie kilkanaście osób. Widać, że pogrom był robiony i inscenizowany, że żadnego żywiłowego wylewu nienawiści przeciwko Żydom nie było. To tylko ta niewielka banda, z którą się spotkałem, a może jeszcze jedna taka jakaś i druga wszystkiego tego, co się stało, dokonała. Ale Żydzi sami to tylko rozdmuchują — prasa rosyjska w większości pozostaje w ich ręku, podnosi wielkie larum, wyolbrzymia straty, a rządowi tego tylko potrzeba, bo on w tych pogromach szuka dowodów na to, do jakiego stopnia wszelkie reformy pozytywne w państwie są niepotrzebne i przez ogół obywateli nie poszukiwane...

Wszystkiego jednak, co przyniosły manifesty 1905 roku, rząd wycofać nie potrafił. Stworzyła się więc możliwość zawiązywania pewnych stowarzyszeń polskich, chociaż im nadawano miano raczej „rzymsko-katolickich”. I w Kijowie, i w Żytomierzu powstały więc na początek Rzymsko-Katolickie Towarzystwa Dobroczynności, a rozmaite przy nich tworzące się ochronki i sierocińce zastępowały początkowo polskie szkoły. Przy Dobroczynnościach urządzaliśmy biblioteki i wypożyczalnie książek, niby to dla członków, ale z których korzystali wszyscy, szczególnie żądne polskiej książki młode pokolenie. Wielką też popularnością cieszyły się kluby i domy polskie, gdzie Polacy, zbierając się niby dla towarzyskiego obcowania mogli szerzej się porozumiewać i w sprawach narodowych i w katolickich. Zaczęła też wychodzić w Kijowie polska gazeta — *Dziennik Kijowski* i popularne piśmko katolickie dla ludu — *Lud Boży*. Na szkoły polskie jednak, aż do roku 1914, uzyskać pozwoleń nie było można, a skryte szkolnictwo było surowo prześladowane. Pomimo to jednak prowadziło się rzeczywistą polską sieć szkolną. I na Wołyniu i w Kijowszczyźnie i na Podolu zawiązały się konspiracyjne tajne Stowarzyszenia Oświatowe; jedno jako „Oświata Narodowa”, drugie jako „Oświata Ludowa”; to ostatnie o zabarwieniu cokolwiek lewicowym, socjalistycznym. My, księża, należeliśmy przeważnie do „Oświaty Narodowej” i trzeba przyznać, że „Oświata Narodowa” bardziej była rozpowszechnionym towarzystwem, więcej owocnie działała i większymi rozporządzała sukcesami. Po 1915 roku przedzierzgnęła się w legalne, jawne stowarzyszenie „Macierz Szkolna”, a „Oświaty Ludowe” całkiem upadły. Społeczeństwo polskie naprawdę było bardzo hojne i w swoich ofiarach na filantropijne i oświatowe cele i w szafowaniu swej energii, trudów i bezpieczeństwa czysto osobistego. Bogate zapisy otrzymywały przede wszystkim Stowarzyszenia Dobroczynności, często z ukrytym wskazaniem, by jak najwięcej je wykorzystywać na cele oświatowe i narodowe. Toteż w samym



Żytomierzu prowadziliśmy kilka ukrytych szkółek początkowych i korzystało z nich może 400 dzieci polskich. I konspiracja tak była należyta, że w Żytomierzu nikt z nas nie wpadł. W innych miastach i parafiach, to księży rząd zawieszał w urzędowaniu, to dyscyplinarnie, bez sądów, na kilka miesięcy zamykał w więzieniu działaczy i nauczycieli oświatowych. A gdy jedni cierpieli, drudzy ich zastępowali i dalej szła praca. Kiedy przybyłem do Polski w roku 1932, to przysłano mi i przyznano prawo noszenia pewnej odznaki z napisem: „Za walkę o szkołę polską na Kresach” i przyznam się, że chociaż posiadam kilka dekoracji i nawet dwa ordery komandorskie — tę jednak oświatową odznakę cenię sobie najwięcej.

Na polu organizacji życia społeczno-katolickiego też się ujawniały jakby przebliski obecnej „Akcji Katolickiej” pod nazwą wówczas „Demokracji Chrześcijańskiej”. Jakoś koło tego czasu, zdaje się, że w roku 1907, wybrałem się do Księstwa Poznańskiego, gdzie działalność na polu społecznym księży Wawrzyniaka i Adamskiego tak szeroka i nam była znana i tam zapoznałem się trochę z tym ruchem. Owocem tej mojej podróży było założenie dwóch społecznych stowarzyszeń katolickich: „Stowarzyszenia św. Zyty” dla służących katolickich i stowarzyszenia „Dzwignia” dla żeńskiej inteligencji pracującej. Stowarzyszenia robotników męskich w żaden sposób jednak rząd mi zatwierdzić nie chciał. Dał mi też Pan Bóg łaskę, że udało mi się wskrziesić przy kościele Seminaryjnym, kiedyś kanonicznie erygowane, a potem zupełnie zapomniane „Arcybractwo wiecznej adoracji Przenajświętszego Sakramentu i uczynków miłosiernych dla ubogich kościołów”. Pobożni mieszkańcy Żytomierza chętnie do niego wstępowali, pewien emerytowany pułkownik był w bractwie sekretarzem, a kobiety wykonywały rozmaitą paramentykę, którą potem obdarzały najuboższe kościoły w diecezji. Godzina zaś adoracji, co miesiąc publicznie odprawiana, zawsze przeze mnie, ściągała tłumy, a klerycy na to patrząc tak się z tą praktyką pobożności zżyli, że wychodząc na parafie i sami wszędzie godzinę publicznej adoracji szerzyli. I jeżeli ten zwyczaj powstał w diecezji z mojej tylko inicjatywy, to może choć za to Bóg miłosierniejszy mi się okaże, kiedy sądy nade mną czynić będzie, a których — mówię szczerze — wielce się boję i mam, niestety, powody ich się lękać...

Ta cała moja akcja społeczna, konfesjonał i wielorakie kazania, choć przez biskupa błogosławione, pochłaniały mi czas i energię okropnie. Konsystorz też mnie zjadał i dlatego w kierunku naukowym, jako wykładowca seminarium, rozwijać się pomyśl-

nie nie mogłem. To co z siebie dawałem moim słuchaczom może im wystarczało, może nawet moje wykłady były dobre, a na lekcjach teologii pastoralnej szczególnie — tom wiedział jak zaabsorbowana była uwaga moich słuchaczy — ale ja z pewnym wyrzutem sumienia już spostrzegałem, że ujmując kursy teologii i prawa mniej więcej w trzyletnim terminie, gdy się rozpoczynało nowe trzechlecie, to zamiast coś nowego zdobywać, chętnie dawne swe skrypta tylko przeglądałem, przewertowywałem i tym zbywałem swój obowiązek wykładów. Dlatego, jako naukowiec, marnowałem się. *(Opuszczamy fragment o wakacjach na Zachodzie i w Ziemi Świętej).*

.....

Upłynęły jeszcze dwa lata na pracy mojej znoejnej w Żytomierzu; chociaż z natury jestem trochę jąkała, ale w mowie publicznej mówiłem dość płynnie, a przy żywości mojej wyobraźni — i dosyć obrazowo i żywo. Stąd słuchaczy miałem bardzo chętnych. A gdy ludzie nie rozumieją, że wiele kosztuje kaznodzieję jego kazanie, to i wierni i księża wciąż żądali ode mnie wszelkich przemów, kazań i konferencji rekolekcyjnych i chociaż się broniłem, że specjalność moja i rzecz pasjami umiłowana, to kadzenie trybularzem — jednak nie celebry, a kazania ciężkie były moim zwykłym udziałem. Ale to skaptowało mi wielu ludzi, a i biskupowi dało impuls do powołania mnie do życia bardziej odpowiedniego w diecezji. W 1909 roku, w lecie, bawiłem na kuracji gardła w Reichenhall, w okolicy Salzburga i tego Berchtesgaden, gdzie umiłowana rezydencja niemieckiego Führera Hitlera. [...]

.....

Do Żytomierza wróciłem jesienią. Nigdy nie chorujący kanclerz biskupi, prałat Paweł Kamiński, zapadł okropnie na nowotwór w pęcherzu; ksiądz Tokarzewski powiódł go na operację do Lwowa, a stamtąd przywiódł go już w trumnie. Wielceśmy go wszyscy żalowali, gdyż to była dostojna i zacna osoba. Z jego śmiercią już dwa miejsca wakowały w kapitule katedralnej. Biskup postanowił powołać do kapituły oprócz mnie jeszcze i księdza Jana Zagórskiego, ale trzeba było na to zyskać akceptację rządu. Co do mnie nastęrczały się pewne trudności i usunął je z Petersburga swymi stosunkami w departamencie obcych wyznań ksiądz Ignacy Dubowski, który wówczas pozostawał w Petersburgu w charakterze kapelana Metropolity Wnukowskiego. Ale ta zwłoka z odpowiedzią Departamentu sprawiła, że instalacja nasza mogła się odbyć dopiero 15 stycznia 1910 roku. Ksiądz Zagórski był starszy ode mnie o jedenaście lat, ale wprowadze-

nie mnie do kapituły, trzydziestotrzyletniego księdza, na dziesiątym roku kapłaństwa, ogromne wrażenie zrobiło w diecezji; nie brakło też niektórych, co zarządzenia tego nie aprobowali, a byli i tacy, którzy mi wprost zazdrościli. Kapituła bowiem Łucko-Zytomierska jakoś tradycyjnie składała się z samych starców; moich kilku w niej kamratów jeszcze, jak prałaci Adam Kruszyński, Erazm Szetrycki, Antoni Bajewski i bp sufragan Longin Żarnowiecki — pierwsi trzej po osiemdziesiąt lat, a dwaj ostatni po siedemdziesiąt kilka lat liczyli. Kapituła Łucko-Zytomierska od połowy XVIII wieku do czasów kardynała Czackiego, pochodzącego z Wołynia, który wyrobił kapitule przywileje fioletów i distinctoriów, a w chóralnym stroju — togi i muceum biskupiego — wabiła też tymi dekoracjami trochę i próżność ludzką. Przyznam się jednak zupełnie szczerze, że to jakoś na mnie najmniejszego nie czyniło wrażenia. Może dlatego, że nowe na mnie razem z tą promocją ciężkie spadły obowiązki, a potem i doświadczenia nader bolesne. Na kanclerza biskupiego wprost jakoś swoją przebiegłością wsunął się wikary katedralny młody ksiądz Michał Zdanowicz, młodzieniec dużej próżności i duchowo niewyrobiony całkiem — *nota-bene* taki, którego rada profesorska z ostatniego kursu w Seminarium chciała i zdecydowała się usunąć, a biskup wbrew naszej uchwale zaryzykował go wyświęcić. Rządy diecezją przechodziły już prawie w ręce sufragana, biskupa Longina Żarnowieckiego, człowieka o którego duchowej fizjonomii już miałem sposobność pisać, kiedy opisywałem ostatni rok moich studiów w Akademii Petersburskiej. Biskup Niedziałkowski, wyczuwając może już swój zgon niedaleki, pragnął wypoczynku i chciał, by go za życia już sufragan zupełnie zastępował. Czynił nawet starania u Papieża o przyjęcie rezygnacji swojej, a rząd biskupa Żarnowieckiego już przedstawił Rzymowi na Ordynariusza zjednoczonej Łucko-Zytomierskiej diecezji. Rządy więc już były właściwie Żarnowieckiego, ale ten surowy asceta doprawdy słabo bardzo we wszystkich się orientował — stąd ten spryciarz Zdanowicz doskonale go za nos wodził; sprawy na tym cierpiały, a duchowieństwo szemrało, że w ręku przebiegłego i niepewnego młokosa się znalazło. Zdanowicz zbyt ryzykownie w jakiś niepraktykowany dotąd kontakt zaczął wchodzić z Rosjanami, a szczególnie z naczelnikiem kancelarii Gubernatora i policmajstra miasta. Spijali z nim butelkami mocne koniaki i niby w taki sposób łatwiej rozwiązywał pewne konflikty; była jednak obawa, że nie on ich, ale raczej oni jego wyprowadzą w pole, gdyż w gruncie rzeczy Zdanowicz był i niepraktyczny i głupi, tylko zarozumialec. Gdy więc opinia duchowieństwa i miasta odwracała się od Zdanowicza, gdy w oczach wszystkich

rozumniejszych ludzi jego często bezsensowne, a demagogiczne, z pewną jednak swadą wygłaszane, kazania budziły już nawet oburzenie — to zapragnął on siebie podnieść otrzymaniem jakiegoś tytułu. Na przedstawienie więc sufragana Żarnowieckiego, powolnego zawsze intencjom Zdanowicza, wyszedł dokument, nadający mu tytuł honorowego kanonika Kapituły; *nota-bene* bez zasięgnięcia opinii rady kapitulnej, zgoła dla niej nieoczekiwanie. Był dzień św. Michała, patrona Zdanowicza; stosunki były takie, że nikt się nie spieszył z powinszowaniami, ale tu on sam zjawia się do niektórych z nas i prosi, aby być u niego na kolacji imieninowej. Gdy ja wprost odmawiam, to on mi mówi, że to nie on właściwie prosi, a sam biskup Niedziałkowski. No — odpowiadam — zaprosiny biskupa Niedziałkowskiego są dla mnie rozkazem. Więc przychodzę, dowiaduję się że i inni trzej jeszcze kapitulni tym samym sposobem co ja zostali sprowadzeni. Oprócz paru jeszcze księży z kancelarii biskupiej do stołu zasiadło i kilku świeckich gości, a w braku ich i naczelnik kancelarii Gubernatora i policmajster i znany z przychylności do kieliszka, też Rosjanin, dyrektor pierwszego gimnazjum. Wkrótce wszedł i biskup Niedziałkowski. Z grzeczności dla obecnych Rosjan rozmowa prowadzi się głównie po rosyjsku przez samego biskupa, my milczymy. Wreszcie po pieczęstym biskup powiada, że nie bez kozery zostaliśmy tu zaproszeni, gdyż na przedstawienie biskupa Żarnowieckiego, on w dniu dzisiejszym Zdanowicza obdarza tytułem kanonika honorowego Kapituły. Zdumienie nas ogarnęło, ale milczymy. Niezadługo siedzący obok mnie prałat Szetrycki, wielkiej prawości staruszek, zwraca się do mnie cicho: „Co mam robić? — powiada — ten młodzieniec, gospodarz, już dwa razy podchodził do mnie z prośbą, bym jego wznioł zdrowie, a przecież o nim wszyscy tak źle mówią w mieście?”. Mówię: „Sytuacja ciężka. Niech prałat, nie poruszając tej nominacji, wzniesie zdrowie solenizanta Michała”. I prałat tak wnet uczynił. Zdanowicz zaraz coś odpowiedział nam schlebiająco, ale zaledwie kolacja się skończyła, to my za czapki i wszyscy oburzeni idziemy do domu. Stańło na tym, że zaprotestujemy wobec biskupa, że z pominięciem zupełnym Kapituły narzuca się nam Zdanowicza na honorowego naszego członka. Ja pełniłem obowiązki sekretarza Kapituły i oprócz tego, jako wykładający głównie prawo kanoniczne, może jego mały znawca. Na mnie więc wypadło i konstruowanie i podanie tego protestu. Wówczas jeszcze *Codex Iuris Canonici* nie istniał, a według rozmaitych dekretów *Corporis Iuris Canonici* nominacja kanoników honorowych Kapituły, niosąca tylko czczy tytuł bez żadnych obowiązków, a stąd mogąca tylko schlebiać próż-

ności ludzkiej, bez uchwały zgadzającej się Kapituły była nieważna; teraz wobec kodeksu jest ważna, bo can. 406 wymaga już tylko rady Kapituły, a nie jej zgody. Ale wówczas, kiedy musiałem układać to protestujące memorandum, to kierowałem się jeszcze duchem prawa *Corporis Iuris Can.* Z najgłębszym szacunkiem dla biskupa i wyrazami czci najgłębszej wykazałem, że nominacja Zdanowicza na kanonika bez zgody Kapituły jest jednak nieważna kanonicznie i to biskupowi Niedziałkowskiemu złożyłem. Odpowiedział mi listownie, trochę cierpko, ale słuszności moim dowodom nie odmówił. Uznał jednak, że nasza obecność na Zdanowicza imieninach i podniesienie toastu przez księdza prałata Szetrzyckiego to objaw dostateczny naszej zgody. Zdawało się więc, że już kwestia wyczerpana. Ale sufragan Żarnowiecki i Zdanowicz czuli się strasznie moim protestem dotknięci. A stąd na mnie huzia. Było to w parę lat po Encyklice Piusa X o modernizmie. Encyklika rozróżniała modernistów naukowych i praktycznych; ze mnie robią modernistę praktycznego, takiego co nie rachuje się z powagą biskupią — i nastają na biskupa Niedziałkowego, by mnie usunął z profesury i inspektoratu w Seminarium, z asesora w Konsystorzu i by koniecznie mnie gdzieś zesłał na ludową ciężką parafię, bym się nie zadawał z żadną inteligencją, bo źródny tu na nią moję wpływ wywierać. I przygotowują dla mnie nominację do Latyczowa w diecezji Kamienieckiej, gdzie mnóstwo tylko jest przy cudownym obrazie Matki Boskiej odpustów, a żadnej duszpasterskiej pracy proboszcz nie wykonuje. A ja sobie spokojnie pracuję i o tym wszystkim zgoła nic nie wiem. A Zdanowicz musi całą noc pić z policmajstrem i naczelnikiem kancelarii gubernatorskiej, by mi nie odmówili akceptacji na stanowisko proboszcza, gdyż w carskiej żandarmerii nieszczególną markę miałem. Ale tymczasem o tych machinacjach dowiedziało się całe miasto, a biskup z dawnej dla mnie przychylności zaczął żałować, że ustępuje na moją banicję; oczekiwał, poczciwy, że ktoś zacznie o mnie u niego się wstawiać. I stało się, że kilkunastu panów we frakach pojechało do niego, a i biskup najzyczliwiej ich przyjął, a nominację moją na Latyczów kazał zniszczyć. Zdanowicz i Żarnowiecki wrzeli gniewem, ale ja nic a nic w stanowiskach moich nie straciłem. A im więcej przecierpiałem w tej walce ze Zdanowiczem, tym więcej i księży i alumni i społeczeństwo okazywali mi sympatii...

Tymczasem w Kijowie działy się rzeczy dla opinii kleru niepomyślne. Dawniejszy mój profesor i z Seminarium i z Akademii, ks. Kazimierz Stawiński, człowiek bardzo zdolny i energiczny, będąc już od kilku lat prałatem kapitulnym i probosz-

czem w Kijowie w kościele św. Aleksandra, zaczął zupełnie tracić sławę. Biskup Niedziałkowski, który był w największej przyjaźni ze Stawińskim i bardzo go cenił jako człowieka nader zdolnego i cywilizowanego, na wszelkie donoszone mu wieści o osobie Stawińskiego reagował odpornie, nie mógł niczemu wierzyć i wprost go bronił. A tymczasem Polacy z Kijowa niemal się uzuchwalali i wszelkie mało sprawdzone najgorsze rzeczy, a nawet potwarze na tego biednego człowieka miotali. On sam wydawał się zaślepionym do tego stopnia, że nawet zwołał liczny wiec do sali Klubu Polskiego, gdzie w oczy pozwolił socjalistom i bezbożnikom rzucać na siebie i na kler obelgi. Biskup Żarnowiecki, będąc kiedyś w Kijowie, przyjął od kogoś skargę na Stawińskiego na piśmie, gdzie były wyłożone główne czynnione mu zarzuty. Tę skargę wniósł potem na posiedzenie Konsystorza; asesorowie starsi wyrazili opinię, że nie należy puszczać tego płazem. Stało na tym, że będzie delegowana komisja śledcza; a ja byłem na tyle nierozważny, że podsunąłem nazwiska tych księży, którzy razem z dziekanem kijowskim mieli zrobić w Kijowie dochodzenie; wszyscy trzech księży należeli do kategorii najporządniejszych. Ale znalazł się między nimi jeden surowy asceta, ale z usposobienia nie bardzo taktowny i cokolwiek Torquemada. Ten zepsuł sprawę jeszcze więcej, rozmazując ją i ujawniając przed opinią publiczną. Kiedy Niedziałkowski wrócił z urlopu, a Stawiński zaskarżył przed nim działalność komisji, biskup Niedziałkowski zawrzał gniewem i naturalnie swemu sufraganowi Żarnowieckiemu musiał czynić jakieś wymówki za wszczęcie tej sprawy — ten się przedzierzgnął w wielkie niewiniątko i na mnie, co skład komisji mu tylko podsunąłem, wszystko złożył. A ponieważ wszyscy mnie mieli za najczynniejszego asesora w Konsystorzu, więc dotknięty Stawiński, a i jego kreatura Zdanowicz i Żarnowiecki na mnie bij — zabij... Dobry kwartał ta nagonka trwała, a tymczasem społeczeństwo katolickie w Kijowie, którego ja jeszcze wówczas zgoła nie znałem i wspólnego z nim niczego nie miałem, nie ustawało w swych wysiłkach, by Stawińskiego wyrugować z Kijowa. Wreszcie biskup Niedziałkowski dał się przekonać, zgoła od Stawińskiego się odwrócił i z Kijowa mu kazał odejść. Potem się okazało, że Stawiński pochodził z rodziny, gdzie wszyscy jej członkowie po kolei wariowali, a i on sam, będąc już przy Kolegiacie w Ołyce, dostał ostatecznego obłędu i zmarł po parotygodniowych ciężkich objawach w domu umysłowo chorych w Winnicy. Widocznie i to wszystko, co robił w ostatnich latach swego proboszczowania w Kijowie, pochodziło już od nienormalnego, ukrycie już obłąkanego człowieka. Ale ani jego

parafianie, ani duchowna władza, na nieszczęście, w czas nie byli zorientowani co do tego. Ten wypadek, kiedy mnie chciano z Żytomierza usunąć do Latyczowa, był właśnie w tym okresie awantur Stawińskiego w Kijowie i kiedy, jak podałem wyżej, te zabiegi i intrygi wrogów moich spełżyły na niczym, w tygodniku pewnym katolickim, redagowanym przez Stawińskiego w Kijowie, w którym umieszczał swoje artykuły i sam biskup Niedziałkowski, które to pismo przeciwstawiało się stronnictwu Narodowej Demokracji i jej organowi *Dziennikowi Kijowskiemu* — pojawił się mały artykułik pióra Stawińskiego, nie podpisany jako redakcyjny, omawiający moją niedoszłą translokatę do Latyczowa, dzięki ingerencji ludzi świeckich i określający taką ingerencję jako niekatolicką i złowrobną dla życia kościelnego. Uboocznie i mnie w ten sposób dotykano, insynuując myśl, że to ja mogłem być impulsem do stworzenia takiej ingerencji, co było rzeczą zgoda z palca wyssaną... Przykro mi się zrobiło, gdy to przeczytałem, ale potraktowałem to, jako jeszcze jeden dopust Boży. Tymczasem w parę dni po tym artykule Stawińskiego zjawia się odpowiedź, cięta — jak zawsze — biskupa Niedziałkowskiego i to w *Dzienniku Kijowskim*, w tym piśmie zwalczanym przez organ Stawińskiego, w tym *Dzienniku Kijowskim*, z którym solidaryzowali się ci wszyscy, co walczyli właśnie ze Stawińskim. Prawy i zacny biskup Niedziałkowski od wszelkich posądzeń mnie oczyszcza i podkreśla wielkie swe zadowolenie, że należę do kapłanów, których czci i szanuje społeczeństwo, a nie z nimi walczy, jak to czasem widuje się gdzie indziej. Każdy zrozumiał, że Pasterz na względzie miał stosunki kijowskie. I Stawiński to tak zrozumiał i na drugi dzień swój organ zamknął.

Na następcę Stawińskiego on sam i Żarnowiecki ze Zdanowiczem forytowali księdza Stanisława Żukowskiego, ale kiedy rząd po paru miesiącach po przybyciu do Kijowa go zawiesił w urzędowaniu, proboszczem kijowskim w kościele św. Aleksandra został dziekan kijowski, proboszcz w Fastowie, Stanisław Szeptycki... I tak więc upłynęło ze dwa lata, w okresie których w roku 1911, jakoś na wiosnę, zmarł biskup Karol Niedziałkowski. Obłożnie chorował niedługo, bo lekarze dopiero w ostatnich tygodniach jego życia określili, że ma raka w żołądku. Pielęgnował go tylko wierny poczciwy kamerdyner, Stanisław Markuś, a Żarnowiecki ze Zdanowiczem zapobiegali, aby księży kapitulni do swego chorego Pasterza dostępu nie mieli. Sami zaś nie postarali się nawet, aby biskup sporządził testament i tylko zawdzięczając Markuśowi w ostatnią noc krytyczną biskup wyśpowiadał się i otrzymał Oleje św., bo Komunii św. już nawet

przyjąć nie mógł. Ponieważ, jak już wzmiankowałem, biskup Niedziałkowski na kilka miesięcy przed swą śmiercią wdrożył był podanie do Stolicy Apostolskiej o przyjęcie jego rezygnacji, a rząd zaprezentował na jego miejsce Żarnowieckiego, więc on sam, Stawiński i Zdanowicz rachowali za rzecz nie podlegającą dyskusji, że Żarnowiecki zostanie najpierw powołany na Wikariusza Kapitulnego, a potem już na pewno zostanie Ordynariuszem i wszyscy oni razem rozprawią się ze swoimi przeciwnikami. Zdanowicz zaś zaczął wprost rozpowszechniać, że Żarnowiecki już jest przedstawionym przez rząd Rzymowi, myśląc że wywrze to pewną presję na Kapitułę przy głosowaniu na Wikariusza Kapitulnego właśnie nie na kogo innego tylko na Żarnowieckiego. Nie wiedzieli zaś oni, biedacy, że istniała ekskomunika *ipso facto incurrenda* na kapitulnych, dających swój głos na przedstawionych kandydatów rządowych. A Katedralna Kapituła oprócz tego miała wiele uprzedzeń do osoby Żarnowieckiego i ze względu na jego dużą ugodowość rządową i ze względu, że tak ulegał wpływowi tego niefortunnego kanclerza Zdanowicza. Nie mogliśmy więc kanonicznie, a subiektywnie nie chcieliśmy wotować na Żarnowieckiego. Ale zrozumieliśmy, że to wyglądać będzie na pewną kompromitację Żarnowieckiego, ale i że rząd też poczuje się dotknięty. Nim więc odbywał się pogrzeb, zdołaliśmy porozumieć się telegraficznie z Kurią Rzymską i byliśmy uszczęśliwieni, kiedy od aktualnego wówczas szambelana Papieskiego, Adama Sapichy, obecnego Księcia Metropolity Krakowskiego, nadeszła depesza, wskazująca Kapitułę, że Wikariusza Kapitulnego powinna tego obrać, którego uważała za najodpowiedniejszego, nie oglądając się na żadne dostojęstwa. Wybory więc się odbyły, Żarnowiecki sam przyznał, że on — jako już przedstawiony przez rząd — kanonicznie wybrany być nie może i wota nasze padły na dostojnego i godnego prałata Antoniego Bajewskiego. W tydzień, w dwa tygodnie potem Zdanowicz z kanclerstwa został usunięty, ale wyjednał sobie najlepsze może z probostw, parafię św. Barbary w Berdyczowie. Rząd zaś carski, chociaż musiał się zgodzić, że prałat Bajewski będzie rządzić diecezją przez czas jej wakowania, ale uzbroił się nader wrogo przeciw nam, kapitulnym i od kandydatury Żarnowieckiego na Ordynariusza nie odstępował. Stało się jednak, że biskup Żarnowiecki nigdy Ordynariuszem Łucko-Żytomierskim nie został, a Michał Zdanowicz uczynił apostazję *ab ordine* i zamieszkał z Rosjanką, cudzą żoną. Suspendowany najpierw przez Arcybiskupa Cieplaka w Ufie, a potem przez biskupa Dubowskiego, zamieszkał w Australii jako świecki i nie liczący się z Prawem Bożym człowiek. Kanclerzem *de nomine* został ksiądz Andrzej



Fedukowicz, który będąc prefektem w drugim gimnazjum żytomierskim, nader mało czasu kancelarii biskupiej mógł poświęcać i dlatego wszelkie funkcje wypełniał ksiądz Piotr Mańkowski, późniejszy biskup Kamieniecki i arcybiskup tytularny aż do śmierci, którego rząd był świeżo zawieszony w urzędowaniu z probostwa katedry kamienieckiej i który dlatego tylko urzędowym kanclerzem być nie mógł. Wikariusz więc kapitulny, prałat Bajewski, otoczenie i bezpośrednią pomoc pozyskał bardzo pewną i cieszącą się całkowitym zaufaniem w diecezji, a wszyscy zdawało się odetchnęli od matactw Zdanowicza. Ale to tak się zdawało. W dniu swoich imienin, 13 czerwca, prałat Bajewski podpisał takie pewne upomnienie dla rządzonych przezeń diecezji. Nazwane to było skromnie nie listem pasterskim, a tylko Memorandum. Autorem tego pisma był głównie ks. Seweryn Wiśniewski, pracujący wówczas w kancelarii biskupiej, jako też ksiądz Fedukowicz i ksiądz Mańkowski. Myśli poruszone w tym Memorandum ksiądz Wiśniewski czerpał głównie ze świeżych wspomnień swoich, jako mój były uczeń na wykładach teologii pasterskiej i prawa kanonicznego. Było to miłe, pocziwe upomnienie starszego, czasowo rządzącego diecezją kapłana, by kler się godnie w czasie wakandy zachowywał. Nie wiem dlaczego podejrzewano, że autorstwo tego Memorandum było moje; może dlatego, że i Zdanowicz cośkolwiek miał w pamięci z moich wykładów. Postanowiono więc z tego ukuć broń przeciwko mnie. Zjechało się więc tych kilku malkontentów w Równem z prałatem Stawińskim, który siedział wówczas na banicji w niedalekiej od Równego Ołyce i już zaczynał na dobre wariować, i umyślili napisać jakieś takie contre-memorandum: ułożyli i napisali jakąś taką niemal buntowniczą ulotkę, wykpiwając i powagę Wikariusza Kapitulnego i treść jego Memorandum, a co najpodlejsze — pod tym świstkiem umieścili moje nazwisko i pocztą, nadawaną z wagonów pocztowych, rozesłali wszystkim księżom. Zdumienie ogarnęło diecezję, a niektórzy nawet z tego gorszyć się poczęli. Nikt jednak nie rozumiał i nie wierzył, abym naprawdę ja mógł coś podobnego skomponować i rozsyłać po diecezji. Nim jednak jeszcze do moich rąk to doszło pismo do mnie przezacny były mój profesor filozofii z Petersburga, ksiądz Feliks Drzewiecki, że Żarnowiecki ze Zdanowiczem bawią w Petersburgu obrabiając jakieś sprawy w departamencie obcych wyznań i że Zdanowicz rozpowszechnia ten świstek pomiędzy duchowieństwem, a może i wśród figur rządowych, jako dowód, że w Żytomierzu ksiądz Teofil Skalski jest wprost buntownikiem kościelnym, nie uznającym prawowitej władzy i podburzającym przeciw niej ogół księży. Nie wiem, może to i do Rzymu przez

Departament posłali, by udowodnić, że to tylko z niekarnośći duchowej mojej i zarażenia się innych kapitulnych stać się mogło, że Żarnowieckiego pominięto przy wyborach na rządcę diecezji. Odpisałem naturalnie wówczas profesorowi Drzewieckiemu, że inni profesorowie akademicy nie wierzyli jak i on w to, żebym mógł dopuścić się podobnego głupstwa; przedstawiłem jak się rzecz ma rzeczywiście i że tylko ci, co to rozpowszechniają sami wiedzieć mogą, dlaczego to czynią.

Prałat jednak Bajewski z sekretarzem swym Piotrem Mańkowskim wzięli to bardzo do serca. Urzędowo ogłosili całej diecezji, że ja nie jestem i nigdy być nie mogłem autorem podobnego herezytyckiego niemal pisma i że na tych wszystkich, co brali udział w komponowaniu i rozpowszechnianiu tego bezceństwa rzuca się *suspensa nemini reservata*. Przegrali więc bezceń w tym kierunku. Ale chodziło im też i o skompromitowanie mnie wobec narodowo usposobionego społeczeństwa, a podniesienie w oczach jego Żarnowieckiego, jakoby ofiarę pewnej nawet rządowej nań nagonki. I otóż ten naiwny i śmiesznie łatwowierny biskup Żarnowiecki ni stąd ni zowąd zaczął z oburzeniem głosić, że posiada wiadomość z ust bardzo pewnych, że ja na niego napisałem denuncjację do Departamentu, kompromitującą go bardzo wobec rządu. Tu wszyscy mieliśmy go za figurę rządowo niebezpieczną — a tu on, biedny, pada ofiarą mojej przewrotności, co go oskarżam o pewną nielojalność wobec rządu. Powtórzył mi te słowa Żarnowieckiego pan Mikołaj Dubrawski, sekretarz Konsystorza. No, już nie wiedziałem do czego może dojść podłość i głupota ludzka.

Na Niepokalane Poczęcie biskup Żarnowiecki celebrował, a na mnie przypadła tura być przy nim archidiaconem. Po skończonym nabożeństwie czekam na niego w skarbcu i zapytuję: „Co to za potwarz okropną Wasza Eksceleńcja na mnie rozpowszechnia? Przecież ja nie mogę na to nie reagować, przecież jestem wicerektorem i głównym wychowawcą w Seminarium, przecież Konsystorz głównie na mnie stoi, ale jestem do tego Polakiem i katolickim księdzem; jakże można o mnie takie rzeczy głosić”. — „A cóż mam robić — odpowiada — kiedy mi bardzo poważna osoba o tym, że ksiądz tak postąpił, powiedziała. Tu już moc wycierpiałem, będę się bronić i nie pozwolę się hańbić”. — „A Waszej Eksceleńcji tego nigdy nie daruję i proszę pamiętać, że miłość bliźniego bardziej jeszcze was, biskupów, niż nas zwykłych księży obowiązuje”. — „O proszę mi tego nie brać za złe, bo ja tylko powtarzam to, co mi mówiono”. — „Właśnie, że niesprawdzonych i godzących w sławę bliźniego rzeczy powta-

rzać nie wolno”. — „No, no, proszę się na mnie nie gniewać” — powiedział i z tym rozstaliśmy się. Mańkowski z Bajewskim zainterpelowali o tej mojej denuncjacji Departament i ten odpowiedział, że żadna skarga nigdy od księdza Skalskiego na biskupa Żarnowieckiego nie wstępowała do Departamentu i oni w ogóle o podobnej sprawie nie słyszeli. Wziąłem tę odpowiedź i pokazałem Żarnowieckiemu. Był trochę stropiony, ale dodał: „Po co było to wszystko tak brać do serca, lepiej by należało w porzeczce ducha na chwałę Bożą to znieść spokojnie”. — U niego widoczne zasady ascetyczne mogły się nie opierać na zasadach teologii moralnej i zasadach prostego naturalnego prawa...

Prałat Bajewski był człowiekiem starym i podciętym wielce sklerozą, która z każdym dniem postępowała i w końcu doprowadziła do nagłej jego śmierci. Pewnego wieczoru nawiedził go Żarnowiecki (byli kolegami ze studiów) i wmówił w niego, że ma obowiązek złożyć Kurii Rzymskiej sprawozdanie o stanie umysłów księży w diecezjach przezeń rządzonych, właśnie z encykliką o modernizmie. Prałat nie pamiętał, że biskup Niedziałkowski jeszcze na rok przed swą śmiercią z tego obowiązku był się wywiązał i oświadczył Rzymowi, że żadnego modernizmu wśród powierzonego jego pieczy duchowieństwa nie znajduje. Zgodził się jednak wysłuchać odczytania przygotowanego już w ręku Żarnowieckiego projektu takiego sprawozdania. Wyszukana łacina, wszystko już było napisane w takiej formie, że tylko brakowało podpisu prałata, który zwalczając stale go męczącą drzemkę nie wszystko rozumiał i zapamiętał, ale uległ sugestii i podpisał. Przypuszczam, że projektodawcą i autorem tego sprawozdania był Kazimierz Stawiński, a Żarnowieckiego użyto tylko za narzędzie, by uzyskać podpis prałata Bajewskiego. Prywatną drogą, przez granicę pod Kamieńcem, moi wrogowie posłali to sprawozdanie do Rzymu. A tymczasem prałat Bajewski w sumieniu swoim czuł się zaniepokojony i zwierzył się z tego przed Gustawem Jełowickim, przyjaznym mu księdzem. Więc na spytki biednego administratora i okazuje się, że on pamięta, że w tym sprawozdaniu był jakiś ustęp, gdzie czwórka wyjątkowych przyjaciół — ja, ksiądz Fedukowicz, ksiądz Nosalewski i Mańkowski — zdradzamy instynkty modernistyczne, ale główną ostoją i sprężyną tego ruchu nie jest kto inny, jak tylko ksiądz Teofil Skalski. Prałat Bajewski zdawał sobie sprawę, że zrobił rzecz wielce nieogłędną podpisując bez głębszej rozważki to sprawozdanie, i że nas — a szczególnie mnie — tym sposobem skrzywdził. Nie mógł sobie wprost darować. I najrychlej wyekspediował do Sekretarza Stanu Kurii Rzymskiej depeşe, w której odwoływał zupełnie to swoje wysłane sprawozdanie.

Ale tym się nie kontentując wysłał też do Rzymu dla ustnego wytłumaczenia całej sprawy kanonika Waleriana Gromadzkiego, o którym pisałem wyżej i księdza Kazimierza Nosalewskiego. Ci byli przyjęci przez kardynała Delai nie tylko na oficjalnej audiencji, ale też i prywatnie w jego domu na herbatce. Ten dwukrotny akt prałata Bajewskiego — wpieryw podpisującego sprawozdanie, które nie bardzo rozumiał, a potem w swej poczciwości to sprawozdanie odwołującego — ogromnie ubawił i do śmiechu pobudził kardynała; dodał on jednak poważnie: „No widzicie, księża, trzeba wybaczyć staruszkowi Bajewskiemu, bo to istotnie — jak wasza przewielebność ksiądz Gromadzki go określa — jakaś „kura obmokła”; ale że znalazł się taki biskup Żarnowiecki, który dla załatwienia się ze swoimi antagonistami potrafił tak podejść prawowitego Wikariusza Kapitulnego w czasie wakandy diecezji, to tego Kuria Rzymska nigdy nie zapomni i zapewniam was, że on już nigdy waszym biskupem diecezjalnym nie zostanie”. I nie został też nigdy. W końcu roku 1916 ten uparty człowiek o takiej jakiejś swoistej jemu jednemu orientacji, jednym ulegający ślepo, a drugich nie będący w stanie zrozumieć, przelewający na moich oczach rzewne łzy, kiedy przed forum Konsystorza toczyła się bardzo przykra sprawa pewnego proboszcza, a miażdżący wprost stopami swymi tych, o których ubzdurzyło mu się w głowie, że są heretykami i jego wrogami — zmarł nagle, zjadłszy w suche dni wrześnieowe grzybów i innych niezdrowych potraw postnych. Ale Żarnowiecki, odchodząc tak z tego świata uczynił diecezji jeszcze ostatnią krzywdę. Szykując się wciąż sam na ordynariusza promował sobie na sufragana niejakiego księdza Ignacego Dubowskiego, człowieka o którym nikt inny nawet pomyśleć nie mógł, że może być kandydatem na biskupstwo. Wyrobił mu atestację arcybiskupa Kakowskiego i Zdzitowieckiego i on też niespodziewanie wyszedł na biskupa naszego, kiedy promujący go Żarnowiecki już nie żył i rząd już stracił powód oporu. Biskup Ignacy Dubowski był już ostatnim biskupem Łucko-Zytmierskim, gdyż po jego rezygnacji w roku 1925 diecezja Łucka, pozostająca już w Polsce, od Żytmierskiej — będącej nadal w Rosji — kanonicznie została odseparowana. Biskup Ignacy Dubowski jest moim seminaryjnym kolegą. Wykształcenia większego nie miał. Serca jest dobrego, sprytu posiada dużo. Ale jako następca po Niedziałkowskim wydawał się nam wszystkim niemal karłem. Kapituła się z nim zharmonizować nie mogła, rząd też polski jemu, jako Litwinowi, wiele rzeczy zarzucał, powynajdowano przeciwko niemu jakieś fakty, wynaleziono jakieś sprawy rozwodowo niekanonicznie i zbyt liberalnie traktowane, tak że w końcu Papież

Pius XI wezwał go do Rzymu i kazał podpisać rezygnację. Odtąd mieszka prywatnie w Rzymie i odnosi się do mnie zupełnie przyjaźnie. Ja go też traktuję życzliwie i serdecznie, jako dawnego kolegę i człowieka w gruncie rzeczy dobrego, a teraz nieszczęśliwego, bo lepiej by mu było nigdy biskupem nie zostać. W walkach z nim Kapituły i rządu polskiego nie brałem żadnego udziału, gdyż już od roku 1913 mieszkałem w Kijowie i zajęty po uszy byłem obowiązkami myimi w parafii. W roku 1917 na konsekracji biskupa Dubowskiego i mianowanego jego sufragana, Michała Godlewskiego, też mego kolegę, tylko o kurs starszego w Akademii, jeździłem w charakterze delegata Kapituły do Petersburga i zachowałem wszystkie względy i w kurtuazji i koleżeńskiej rewerencji należne prawowicie wstępującemu na stolec kochanej przeze mnie diecezji. Po wyjeździe jego z Żytomierza do Polski i zamieszkania w Łucku przy drugiej swej katedrze, od maja 1920 roku pełnić zacząłem obowiązki jego Wikariusza Generalnego nad diecezją Żytomierską; kontakt mój z tym moim mocodawcą był nader trudny, czasami niemożliwy i na ogół bardzo luźny. A władze mi sam nadawał i w Rzymie wyrabiał — jak najszerze. W warunkach rewolucji bolszewickiej to moje rządzenie diecezją obszerną i ludniejszą, niż ta część co odeszła była do Polski, stało się początkiem dalszego martyrologium mojego życia. Ale o tym już będę pisał na następnych kartkach.

5 marca 1913 roku, w dniu św. Teofila biskupa Cezareńskiego, z rana otrzymałem telegram od księdza dziekana Stanisława Szeptyckiego z powinszowaniami imienninowymi, bo tego św. Teofila czczę jako swego chrzestnego patrona; a w godzinach południowych nadeszła do Kurii depecha z Kijowa, że on już nie żyje. Byłem na jego pogrzebie, miałem mowę i wyrwało mi się słowo, że po raz pierwszy przemawiam z tej ambony, jakbym czuł, że przemawiać z niej często i przez długie lata będę. Ledwie wróciłem z Kijowa, udałem się zdać sprawozdanie rządcy diecezji, prałatowi Bajewskiemu, o tej strasznej, niespodziewanej śmierci, a on mi oświadcza: „Wiesz, że postanowiłem, że ty musisz objąć parafię św. Aleksandra w Kijowie”. Nie było rady — nominację przyjąłem, ale ze względu na mitrężenie rządu z akceptacją tej nominacji i moje stanowisko asesora konsystorskiego, z którego zwalniał sam cesarz, w faktyczne urzędowanie w Kijowie wszedłem dopiero 15 sierpnia 1913 roku.

Parafia św. Aleksandra w Kijowie była wybitna, ale też zarazem i bardzo ciężka i odpowiedzialna placówka. Kijów, centrum przemysłowe i naukowe kraju, siedziba generałgubernatorstwa, najwyższych sądów i ekonomiki państwa. Samych wyż-

szych zakładów akademickich było cztery, mnóstwo klinik uniwersyteckich, szpitali i wszelkich zakładów leczniczych. Oprócz stałej ludności miasta wciąż w nim goszczą ludzie dla załatwiania interesów. Koncentrujący się w Kijowie przemysł cukrowniczy i bankowość kraju przepełniają pasażerami te liczne pociągi, co ze wszech stron krzyżują się w Kijowie. Ludzi fachowych, rzemieślników, pracujących w fabrykach, inżynierów, przedsiębiorców, adwokatów, lekarzy i nawet kupców wyznania katolickiego, w ogromnej większości Polaków — choć było trochę Litwinów, Czechów, Francuzów i Ormian — Kijów posiadał wielu. Parafia moja w 1913 roku liczyła oficjalnie tysiące ze trzydzieści, ale skupiało się przy niej daleko więcej, gdyż kościół św. Aleksandra, jako najstarszy i znajdujący się w najruchliwszym punkcie miasta, ściągał na swe nabożeństwa i wiernych z innych parafii. W roku 1916 Kijów liczył 87 tysięcy ludności wyznania rzymsko-katolickiego, a na parafię mego kościoła przypadało już ze 40 tysięcy, a uczęszczało do niego na pewno z 55 tysięcy. Wojna, co wybuchła jesienią 1914 roku zamknęła drogę do a kiedy rewolucja podburzyła chłopstwo po wsiach, to już stale Warszawy, Krakowa i za granicę całemu zamożnemu ziemiaństwu i arystokracji polskiej, więc wszyscy na zimę ściągnęli do Kijowa, mieszkali w Kijowie. Bardzo też dużo Polaków przybyło do Kijowa jako wygnańcy z terenów Królestwa Polskiego i Wileńszczyzny, okupowanych przez Niemców i Austriaków; było między nimi sporo majątnych, ale też nie brakło zgoła zrujnowanych, potrzebujących wybitnej pomocy społeczeństwa. Spostrzegając to, a szczególnie litując się nad niedolą paru tysięcy Polaków spędzonych ze wszech stron jako poddanych austriackich lub pruskich, chociaż od całych pokoleń mieszkających w Rosji, a umierających w zimną jesień w pawilonach na placu powystawowym — nieopalanym i nieprzygotowanym na mieszkania ludzkie — zwołałem do siebie wybitniejszych działaczy polskich, szukając u nich porady i pomocy. Stało na tym, że musimy zawiązać komitet ratunkowy, który zajmowałby się oficjalnie tymi nieszczęśliwymi. Miejscowe katolickie Towarzystwo Dobroczynności, mając swoje stałe funkcje, temu zadaniu sprostać już nie mogło. Wybrano delegację z misją, by się udała do generał-gubernatorstwa i wyjednała co prędzej, bez zwykłych formalności, potwierdzenie tego ratunkowego komitetu. Do delegacji weszli mecenas Jordan Pereświat Sołtan, generał emerytowany Mikołaj Bagiński, radny miasta Michał Bukowiński i ja. Przyjął nas grzecznie adiutant generał-gubernatora, rotmistrz żandarmerii i za chwilę wprowadził nas przed oblicze generał-gubernatora. Był nim Piotr Trepow, człowiek już starszy, ubrany wojskowo jako generał

adiutant kawalerii. Z opinii ani dobry, ani zły. Zwykły carski satrapa. Ale — jak mówiono — maltretowany i niemal terroryzowany przez swą małżonkę, która wciąż jakoby miewała na swych ustach te łaskawe dla małżonka słowa: „Fiedia, ty durak”. Nie wiedzieliśmy, że właśnie p. Trepow w ostatnich dniach miał mocno przez małżonkę mytą swą dostojną głowę. W Kijowie w czasie wojny mieszkała w pałacyku cesarskim cesarzowa wdowa, Maria Fiodorowna, a z nią przybyły do Kijowa i Rosjanki z arystokracji i innych wiele też zjawiało się wielkich i wpływowych dam rosyjskich. Wszystkie one poczuwały się do obowiązku pracowania albo w szpitalach dla rannych, lub we wszelkich innych instytucjach filantropijnych. Pani Trepowa dotąd jako żona najwyższego urzędnika, była pierwszą osobistością i oć niej szła inicjatywa najszlachetniejsza, wykonywana w równi najszlachetniejszy sposób — ale tylko przez podległych mężow. policjantów... Petersburskie i moskiewskie panie ożywiała jednak orientacja cokolwiek świeższa. Było to już po odezwie do Polaków Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza, już wielki ziemianin z Podola, hr. Michał Sobański, rzucił na Czerwony Krzyż 100 tysięcy rubli, już nie wypadało wszystkiego osiągać „policyjskimi mierami” (środkami policyjnymi). I to postępowo-arystokratyczno-rosyjskie towarzystwo odsuwało w kąt panią Trepową i spowodowało nawet jakąś rewizję tak zwanych instytucji „marijskich”, których prezeską była pani Trepowa. Dlatego też zamierzała rozpocząć coś szlachetnego, co dałoby jej możliwość znów wypłynąć na powierzchnię. I w takim momencie my się zjawiamy u jej męża, generał-gubernatora, i prosimy o zaakceptowanie „Komitetu polskiego ratunkowego dla ofiar wojny”. Pan Trepow zawrzał gniewnie: „Jakto — krzyczy do nas — wy w takim momencie, kiedy cała Rosja skupia się, by pobić wroga, jakieś swoje polskie chcecie zaprowadzać separatyzmy, wy tym zdradzacie swoją nielojalność. Ja tego wam darować nie mogę. Panie rotmistrzu proszę zapisać ich nazwiska. A ty, generale, generale rosyjskiej służby, śmiałeś wmieszać się w taką delegację?”... Nie pożegnał się i rozżłoszczony usunął się do sąsiedniego pokoju. Wyszliśmy: ja z Bukowińskim śmiejemy się z głupoty generał-gubernatora, a biedny generał Bagiński przerażony, że go może pozbawią emerytury, a Sołtan bajecznie rozżłoszczony i coś przemyśliwujący. Wrócił do domu i całą tę scenę opisał posłowi Lednickiemu, bawiącemu w Moskwie; Lednicki opowiedział Rabuszyńskiemu, wielkiemu magnatowi rosyjskiemu, ten zaś to podał do wiadomości Wielkiego Księcia, wówczas głównodowodzącego Mikołaja Mikołajewicza. Wielki Książę oburzył się okropnie i powiada cesarzowi: „Kiedy my walczymy na teryto-

rium polskim, kiedy ja wydaję odezwę taką do Polaków, w Kijowie siedzi jakiś stary szczur Fiodor Trepow i podgryza naszą inicjatywę”. W dwa tygodnie potem Trepow usunięty z urzędu. A pan Lednicki uzyskuje zatwierdzenie „Wszechrosyjskiego Polskiego Komitetu Pomocy Ofiarom Wojny”. I my w Kijowie zawiązujemy już tylko oddział tego Komitetu i rozwijamy jak najszerszą działalność. Pan Trepow fantuje się i wyjeżdża z Kijowa, a mnie proponuje kupno bardzo pięknego po nim powoziku. Powstaje też „Wszechrosyjski Komitet Pomocy Ofiarom Wojny” imienia Tatiany, córki cesarza. Jest w nim i Nikodem, archierej prawosławny, ale jestem i ja; posiedzenia odbywamy pod przewodnictwem głównie-dowodzącego okręgu wojennego kijowskiego, generała Trockiego, a pieniądze i artykuły rozmaite sypią się z tego komitetu, jak z rogu obfitości. Czerpie z niego i nasz Komitet Polski ratunkowy i Komitet Obywatelski Królestwa Polskiego, wyrażający główną swą działalność nad uciekinierami z Królestwa i wszelkie inne Towarzystwa Dobroczynności — bo komitet Tatiany tylko dostarcza środków, a sam żadnej akcji filantropijnej nie prowadzi. Nasza działalność polska jest bardzo piękna i szeroka. Prowadzimy dom, niby aresztu, gdzie na naszą odpowiedzialność oddają aresztowanych wywiezionych głównie z Galicji i księży i wybitniejszych ludzi i leaderów rozmaitych politycznych stronnictw; policjanci do nich przystawieni głównie śpią i dobrze jedzą, a nasi pupile spacerują sobie po mieście, a w tym domu aresztu korzystają jakby z wygodnego pensjonatu. W ochronach naszych utrzymujemy przeszło sześćset dzieci. Biuro nasze samo zatrudnia kilkunastu pracowników, a bez zapomogi nie pozostaje nikt z prawdziwie potrzebujących.

W czasie wojny ulegalizowały się, pracujące dawniej konspiracyjnie, Towarzystwa Oświaty, pod nazwą Macierzy Szkolnych. Rozmach kijowskiej Macierzy Szkolnej jest może największy. Na wzór pierwszej szkoły początkowej jawnej, powołanej do życia przeze mnie w Kijowie na Podole, jako szkoły parafialnej i utrzymywanej przy pięciu siłach naukowych ze środków kościelnych — przy instytucji Macierzy powstaje cała sieć takich szkół parafialnych, najczęściej czteroletnich, ale gdzieniegdzie są i gimnazja — jak w Kijowie i Zytomierzu na przykład.

Rozproszona a tak wzmózona działalność wszelkich polskich i katolickich instytucji domaga się wprost pewnego scentralizowania. Z inicjatywy wybitniejszych działaczy zwołuje się do Kijowa zjazd wszelkich towarzystw polsko-katolickich z Wołynia, Podola i Ziemi Kijowskiej. Stawili się działacze, przedstawiciele coś około 180 organizacji, towarzystw, a nawet najwy-



bitniejszych bractw kościelnych. Zjazdowi przewodniczył hrabia Zdzisław Grocholski z Pietniczan pod Winnicą. Ja też należałem do Prezydium. Debaty były kilkodniowe i wyłoniliśmy „Polski Komitet Wykonawczy na Rusi”... Część lewicowa zjazdu, niezadowolona że nie mogła odegrać decydującej roli na posiedzeniach, urządziła na końcu zjazdu secesję, kilkunastu przedstawicieli opuściło salę posiedzeń — a na sali było parę tysięcy ludzi — urządziła jakieś inne przedstawicielstwo ochrzczone mianem „Centrala Demokratyczna”. Tak powstały dwa niby bliźniacze organy centralizujące i wykonawcze polskiego społeczeństwa. Komitet jednak Polski Wykonawczy był w rzeczywistości reprezentacją Polaków, a Centrala Demokratyczna skupiała koło siebie niewielu, a co głównejsze nie miała pieniędzy. Przeciwnie — na Komitet wszyscy się dobrowolnie opodatkowali i dlatego rozporządzał on naprawdę okazałymi środkami. Dlatego też on, a nie Centrala Demokratyczna stał się jakby organem — surogatem małej politycznej, społecznej i oświatowej autonomii Polaków na Rusi na te cztery lata wojny. „Komitet Wykonawczy” miał wiele sekcji; w głównym wydziale był nasz biskup sufragan, Michał Godlewski, zaś ja w wydziale miejskim kijowskim. Widząc jednak, że moi parafianie są podzieleni — a szczególnie inteligencja, gdyż niektórzy adwokaci i przemysłowcy należeli do Centrali Demokratycznej — lawirowałem swoją akcją w ten sposób, że jedni i drudzy nie mogli mnie liczyć za przeciwnika. Toteż i Centrala Demokratyczna i Komitet Wykonawczy zapraszali mnie na swoje ważniejsze posiedzenia. I jak trzeba było dotrzeć do czyjej duszy, czy to w przedślubnej spowiedzi, czy w wypadku choroby, dobrze mi się to — przy pomocy Bożej — udawało, nawet i z osobnikami, co pozornie za lewicowców i postępowców uchodzili. Kiedy za czasów hetmana Skoropadzkiego był powołany specjalny minister do spraw polskich, to został nim jednakże członek Centrali Demokratycznej, adwokat Mickiewicz. Ten pan Mickiewicz potem, przy odrodzeniu Polski, był czy ministrem, czy wojewodą, ale gdy wróciłem już nie żył. Żałowałem, że go już na ziemi nie zastałem, bo był mi przyjaznym człowiekiem i dobrym katolikiem.

Komitet Wykonawczy we wszystkich swych poczynaniach był dosyć szczęśliwy, ale najlepiej mu szło z szerzeniem oświaty. Odcięci od Warszawy, Krakowa nie mogliśmy mieć dla rodzącego się szkolnictwa polskiego potrzebnych podręczników. Wygnane na Ruś, często wybitniejsze siły pedagogiczne zajęły się ułożeniem takich książek, a Komitet był ich nakładcą i wydawcą. Brakowało też książek do nabożeństwa; ofiarą kilkunastu tysięcy rubli hrabiego Grocholskiego odnowiono wydanie książeczki do

nabożeństwa, wydanej ongiś w Wilnie za czasów Powstania Styczniowego, a bardzo przydatnej dla wszystkich nastrojonych patriotycznie, a szczególnie dla żołnierzy Polaków, wnet po rewolucji lutowej 1917 roku wydzielonych z pułków rosyjskich w specjalne polskie formacje... Tego nakładu w swoim czasie Komitet nie zdążył rozpowszechnić całkowicie, a kiedy wszystko pękło po rewolucji październikowej i ustąpieniu hetmana w 1918 roku, to kilku tysiącami tej książki do nabożeństwa — wydanej porządnie, oprawionej w płócienko z Orłem Polskim — zawiązałem jakoś szczęśliwie i sam, przez zależnych ode mnie księży, rozpowszechniłem między lud. I to dziwne, że bolszewicy ani mnie, ani nikogo z księży na tym nie przyłapali. A oni przecież z taką zaciętością tropili wszystko, co było polskie, narodowe i katolickie. Tak samo bezkarnie puściłem w obieg obrazki, pozostawione w byłej księgarni Idzikowskiego, gdzie z jednej strony był wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej, a z drugiej Polski Orzeł. Postępowałem w tych wypadkach tak nie dlatego, abym był jakimś ryzykantem, lub jakąś bolszewikom chciał wyrządzić frondę, ale dlatego, że wprost lud nie miał gdzie kupić ani książeczki do nabożeństwa, ani dostać jakiegoś obrazka. Dużo też i podręczników szkolnych i innych wydawnictw, wyłapanych ze składnic Komitetu Wykonawczego, za pośrednictwem moim i innych księży rozeszło się po diecezji. Czego nie udało mi się wyrwać z tych składnic, to zabrali komuniści polscy czy też Żydzi polscy i czego przekupnie za obwijanie nie rozsprzedali, to trafiło do fabryk papieru i poszło na tak zwaną komunistyczną bibułę agitacyjną.

Lata wojny przechodziły mi w Kijowie w wytężonej ustawicznie pracy nie tylko kościelnej, ale i społecznej. Nie było prawie dnia, żebym całego wieczoru nie miał zajętego długim jakimś posiedzeniem... Do kościoła też mego, św. Aleksandra, frekwencja była wprost nadzwyczajna. Nawet w dni powszednie wychodziły regularnie Msze św. od szóstej rano do jedenastej. Dwóch utrzymywałem organistów i chór kościelny zachwycał wszystkich, zawdzięczając to szczególnie pracy organisty, Albina Jesionowskiego, absolwenta Warszawskiego Konserwatorium Muzycznego. Stałych nas księży mieszkało na plebanii trzynastu, a z Galicji Rosjanie, od razu jakoś w początkach wojny, deportowali w głąb Rosji wielu księży, z których kilkunastu udało nam się zatrzymać w Kijowie. Stąd regularnie przez kilka lat, aż do 1918 roku, miewało codziennie Mszę św. w kościele od 24 do 26 kapłanów. Pamiętam z tego czasu jedno u mnie „Święcone” w dniu pierwszym Wielkanocy, kiedy nas do stołu zasiadło było samych kapłanów 33-ch, a wśród nich i zacny

Ojciec Jezuita Stanisław Sopuch i O.O. Jezuici z Tarnopola, po wyjściu z więzienia kijowskiego, i wielu innych księży świeckich, a między nimi i paru obrządku wschodniego. Kiedy przypominam sobie postacie tych ludzi, tak tęskniących do swoich stron i tak zgoła niesłusznie cierpiących z warunków wojny, to mimo woli przyrównywał ich los ówczesny do obecnego mego, kiedy jak oni przy mnie w Kijowie, tak ja teraz w Nowym Targu przy tak łaskawym dla mnie proboszczu nowotarskim, Franciszku Karabule, od dwóch lat już znajduję egzystencję wygnańca i otuchę wśród otoczenia miłych tutejszych kilku księży. A kiedy tym w Kijowie podawałem rękę, to nie przypuszczałem, że i mnie kiedyś o cudzą rękę oprzeć się wypadnie. Rosyjskie przysłowie — *Ot tiurmy i surmy nie otriekajsia* („Torby żebraczej i więzienia nie zarzekaj się”) — spełniło się i na mnie dosłownie.

W czasie wojny diecezja nasza, od kilku lat osierocona, wreszcie w roku 1917 doczekała się nominacji biskupów: Ordynariuszem został Ignacy Dubowski, a sufraganiem Michał Godlewski. Konsekracja ich odbyła się w Petersburgu w kościele św. Katarzyny. Wkrótce potem nastąpiły też nominacje Kapituły Katedralnej, gdyż ze zwykłych jej dziewięciu członków pozostało przy życiu zaledwie trzech: ksiądz Józef Muraszko, Jan Zagórski i ja. Obdarzono mnie też tytułem Prałat, gdyż dotąd byłem tylko kanonikiem kapitulnym gremialnym i biskup Ordynariusz zaproponował mi powrócić do Żytomierza i objąć stanowisko rektora Seminarium, ale wymówiłem się ze względu na czasy brzemienne już wówczas mnóstwem rzeczy nieoczekiwanych. I w istocie niezadługo przysłyły rzeczy i nieoczekiwane i okropne, a i dla mnie doświadczeń Bożych pełne...

### CZĘŚĆ III

Parafianin mój, pan Marian Zarębski, w pierwszych dniach lutego 1917 roku, około dziewiątej z rana, odzywa się do mnie przez telefon: „Księżę Proboszczu, carat upadł. Cesarz Mikołaj II podpisał zrzeczenie się tronu i ta wiadomość jest zupełnie pewna i prawdziwa”. Boże mój. Co za piorunujące wrażenie. Cara nie ma — to zachwiany fundament całej Rosji, co w karbach przemocy tyle narodów obcych jej krwią i ideologią zatrzymywała w jednym politycznym zlepku... Że carat na glinianych stał nogach dawało się już odczuć, gdy w połowie stycznia bawiłem w Petersburgu na konsekracji naszych biskupów. Ale naj-

śmielsze horoskopy głębszych polityków nie rokowały, że to nastąpi tak szybko. Strupieszakość i zgniliznę tego absolutnego dominium pokrywały jeszcze takie skorupy pozornie mocne i lśniące, że przypuszczać upadek *Biławo Caria* w tym narodzie zdawało się niedorzecznością. A jednak ku wieczorowi tego samego dnia, w którym car abdykował, publiczność rozchwytywała nadzwyczajne biuletyny gazet i nawet najbardziej reakcyjne i wiernopoddające koła społeczeństwa rosyjskiego przyjmowały tę wiadomość o zrzeczeniu się berła rosyjskiego przez „Pomazańca Bożego” najspokojniej, jakby jeszcze jeden z jego *ukazów*. Widocznie tak jest dobrze i tak potrzeba, kiedy sam car manifestował i podpisał swoją abdykację — to uczucia, które ożywiały absolutną większość rosyjskiego narodu, wychowanego w zaślepieniu i największej politycznej bierności. A ci, co nakłonili cara do abdykacji, to koła inteligencji urzędniczej, karmione literaturą rosyjską, stale tylko ujemne strony upatrującą wszędzie, ci zwolennicy Tołstoja, Dostojewskiego, Szczedrina, Leskowa, Gorkiego — nawet Gogola i samego Puszkina, co w swoim „Eugeniuszu Onieginie” nie zdobył się na taki dodatni typ jak nasz „Pan Tadeusz” u Mickiewicza — przeniknięci byli tylko chyba przekonaniem, że trzeba było jakiejś zmiany dokonać; ale jak ich duchowi wieszczowie nigdy prawie i nigdzie, oprócz krytyki najostrzejszej, nie wskazywali ścieżek pozytywnych, dodatnich, po których należało kroczyć społeczeństwu, tak i oni nie wiedzieli, nie rozumieli co i jak po ustąpieniu cara w Rosji dzieć się będzie i co jest w tej Rosji dodatnim, koniecznym do utrzymania. Z punktu widzenia naszego dobra narodowego polskiego rosyjski przewrót lutowy, to rzecz dla nas najpomyślniejsza. Ale z punktu politycznego rosyjskiego ten przewrót wydaje się rzeczą najmniej oględniejszą i najgłupszą... Przy duchowych składnikach Rosjan — Rosja rządna, odpowiadająca pragnieniu narodowego szczęścia rosyjskiego jest nie do pomyślenia bez cara. No, ale stało się — krańcowość duszy rosyjskiej wzięła górę. Brat cara, Wielki Książę Michał, na rzecz którego car abdykował, nie zdobył się na odwagę przyjąć koronę — za to doktryner zatumaniony, niekonsekwentny lewicowiec, poseł do Dumy Kiereński, o duszy awanturniczej ale słabej, zasiadł na krześle prezydialnem w rosyjskim rządzie tymczasowym i to on swoją słabością i głupotą doprowadził Rosję do bolszewizmu.

Polskie społeczeństwo nigdy nie upatrywało w Kiereńskim męża stanu. A ja osobiście miałem nawet bardzo ściśle o jego nicości informacje od jego własnego szwagra, pewnego — zdaje mi się — nawet generała rosyjskiego, który odwiedził mnie nie pamiętam już dla jakiej sprawy i przy sposobności całą swą żółć

wyczerpał pod adresem tego swego powinowatego, jego zdaniem najnikczemniejszego grabarza Rosji.

Gdy jednak Polski Komitet Wykonawczy w sali Polskiego Klubu Ogniska zebrał się na walne zgromadzenie dla omówienia nowej stwarzającej się sytuacji politycznej, to nie wiem dlaczego parę tysięcy zebranych tam Polaków uważało za krok polityczny na dobre przesłać właśnie do Kiereńskiego gratulacje dla państwa rosyjskiego z powodu zmiany jego ustroju i zapewnić tę teatralnie komiczną osobistość, że społeczeństwo polskie zamierza wszelkim postępowym poczynaniom nowego rządu szczerze i z oddaniem sekundować. Na mnie ta depesza zrobiła niemiłe wrażenie. Ale taka jeszcze wówczas była polityczna dezorientacja...

Mało kto wówczas mógł przeczuwać odrodzenie Polski; rozumieliśmy, że ustąpienie caratu przynosi nam zrównanie praw politycznych, swobodę rozwoju narodowości i religii, ustąpienie tych wszystkich ucisków obywatelskich, które tak dotkliwie dawały się odczuwać nie tylko nam, Polakom, ale na ogół wszystkim szczerzej myślącym i czującym ludziom. Toteż pełno było w społeczeństwie polskim radości, otuchy i nadziei. I może nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że ci którym przy caracie dobrze się działo, że ci którzy przez parę wieków nasiąknęli ideologią panujących Romanowych, do dzielenia się prawami i przywilejami z innymi narodowościami nie bardzo będą skłonni, ponieważ dotąd te prawa i przywileje były ich monopolem i wyłącznością. A z drugiej strony wszędzie z kątów życia poczęły się przez skorupę społeczną przedzierzać jak grzyby po deszczu, elementy zazdrości i klasowej nienawiści. Ale pierwszych kilka miesięcy to i w prasie rosyjskiej i na ustach wszystkich — braterstwo, współpraca, poszanowanie każdego i tolerancja każdej idei — były codziennymi sloganami i hasłami. I dlatego można się nie dziwić, że kiedy powstał projekt urządzenia defilady manifestującej zadowolenie ze zmiany ustroju, to wszystkie narodowości, zamieszkujące Kijów i nawet stronnictwa socjalistyczne spod sztandaru Międzynarodówki zgłosiły ochoczo swój udział w defiladzie. Po dłuższym okresie przygotowań nadszedł oczekiwany dzień defilady swobodnej obywatelskiej, dotąd w Rosji nieznaney. Za caratu widywano tylko ceremonialne marsze rosyjskie wojskowe i zbiegowiska hołoty, ciągnącej za wszystkim co było policyjne i rządowe. A tu mają wystąpić sztandary, transparenty niczym nie krępowane. Już dolatywały wiadomości, jak to wszędzie po innych miastach uroczyste i swobodnie przeszły te pochody. Nawet dzieci ze szkół początkowych wystąpiły, jak słyszeliśmy, w Petersburgu z transparentem swego pomysłu, gdzie najwyraż-

niej figurowało hasło: „*Dołoj gimnastika i czistopisanije*” (precz z gimnastyką i kaligrafią)... Już o godzinie jedenastej zająłem dobry punkt obserwacyjny w oknie u pewnych moich znajomych przy najgłośniejszej ulicy, Kreszczatiku na przeciwko ul. Proreżnej. A defilady miały iść od ul. Wasilkowskiej od kościoła św. Mikołaja, przejść cały Kreszczatik i na placu przed pomnikiem cara Aleksandra II rozwiązać się i rozchodzić bocznymi ulicami. Przeszły wojska garnizonu kijowskiego, przeszli przedstawiciele wszelkich urzędów i instytucji, dwugłowy czarny orzeł niesiony — ale bez korony, a za nim ogromne zespoły wszelkich narodowości: Rosjanie, ale ci coś swego trójkolorowego sztandaru się wstydzą i nie podnoszą; Ukraińcy z żółto-błękitnymi ich kolorami, nawet Łotysze, Litwini, Czesi jakies specjalne przybrali odznaki i sztandary. Wreszcie idą nasi, Polacy: jeden z najpoważniejszych ludzi w mieście, pan Karol Komarnicki, boć stary, to ledwo dźwiga sztandar amarantowy na którym z jednej strony powiewa polski orzeł, a na drugiej wizerunek naszej Matki Boskiej Częstochowskiej, u piersi wszystkich polskich uczestników defilady kokardy amarantowo-białe. Naprawdę wielu widzom Polakom łzy stanęły w oczach, w tych oczach polskich co za sponiewieranie swych idei narodowych tyle strumieni łez na głowy ciemieżców carów przez przeszło stulecie wylewać musiały w cichości...

Od hotelu Europejskiego defilada polska zwróciła na ulicę Trzech Świętych; kiedy dochodzą do panoramy Golgoty w parku św. Włodzimierza, tuż przy moim kościele św. Aleksandra, wypada szajka obdartusów, między którymi są i jegomoście o twarzach semickich i akcencie rosyjskim, rzucają się na nasz sztandar, chcą go zmiążyć i wołają: „Precz z tą gęsią”. Defilada, będąca w ogromnej większości, naturalnie się obroniła i odpędziła natreków i wszyscy weszli do kościoła. Mój zastępca, ksiądz Roman Maliszewski, zaintonował „Boże coś Polskę...” i „Pod Twoją obronę...” i wszyscy nasi rodacy, uspokojeni i rozczuleni rozeszli się do domów... Ale w duszy każdego pozostał jakiś zgrzyt, jakiś niesmak i niepokój, że zaraza, idąca z rosyjskiego społeczeństwa, co mnogie i czysto czerwone sztandary na ten pochód było wysłało, chce wziąć górę nad wszystkimi innymi kierunkami myśli i choćby przemocą wybić się na czoło tej rewolucji wyzwalającej... I istotnie niezadługo gazety zaczęły powiadamiać, że w Piotrogradzie z ulicznymi przemówieniami występuje jakiś jegomość niewielkiego wzrostu, z kozią ryżawą brodą, nazwiskiem Lenin, i nawołuje do obalenia rządu tymczasowego i do zawładnięcia Rosją przez maksymalistów (bolszewików) czerwonej Międzynarodówki. Obiecuje żołnierzom rozwiązanie frontu

wojny, a chłopów uprawnia do zawładnięcia ziemią agrariuszy. „Proletariusze łączcie się” — to jego hasło. Na stacji Korosteń do wagonu, którym jechałem, wpadł bosy Poleszczuk z broszurkami w rękę i ofiarowywał je wszystkim za bezcen, mówiąc, że to „Jakieś pany socjaliści” kazały mu to rozpowszechnić. Przeczytałem jedną z tych broszur — treść jej była najbardziej krańcowa i wywrotowa. Rząd Kiereńskiego nie przeciwstawił się temu; rozlało się po Rosji zarzewie agitatorów. W armii, mającej wroga przed sobą, mniej są niebezpieczne gazy trujące i padające szrapnele, niż przemowy agitacyjne. Już armia nie słucha i obala korpus oficerski, a rady — „Sowiety żołdatskich deputatów” mają go zastąpić. Wkrótce i we wszystkich fabrykach i przedsiębiorstwach zjawiają się „Sowiety raboczych deputatów”, a z tych dwóch rad uformują się jakieś centrale pod nazwą „Sowiety żołdatskich i raboczych deputatów”. Te „Sowdepy” pretendują do zastąpienia rewolucyjnego rządu tymczasowego, a tymczasem stwarzają coś doń równoległego. W samym zaraniu tej akcji miałem sposobność zetknąć się z przedstawicielem takiego „Sowdepu” kijowskiego. Komitet Polski Pomocy Ofiarom Wojny, który operował głównie funduszami czerpanymi od rządu przez tak zwany Komitet Wielkiej Księżniczki Tatiany, po ustąpieniu caratu pozostał bez środków i dlatego musiał ogromnie zmniejszyć i skurczyć swoją działalność. Klienci niektórzy tego Komitetu, nie wrywając się w każdym razie do pracy, często męty społeczne z Królestwa i z Galicji, pozbawieni zapomóg, z których przez parę lat korzystali, zaczęli się burzyć. Wymagali nasamprzód aby ich przedstawiciele wprowadzono do Zarządu Głównego i komitetu rozdzielczego zapomóg; w tym im ustąpiono, ale gdy to nic nie pomogło, bo w kasie były pustki, to pewnego dnia nieurzędowego napadli na biuro Komitetu, skradli kilka maszyn do pisania, trochę innych rzeczy i może gotówki i z czerwoną płachtą uroczyście przeszli przez całe miasto. Ale gdy i to niedużo im przyniosło, to zaskarzyli bezradny Komitet do Sowdepu, że siedzący w nim burzuje ich krzywdą. Ja wcale nie byłem prezesem tego Komitetu, ale należałem do wydziału kierowniczego i pewnego dnia otrzymuję telefonogrammę, że mam na jutro stawić się w byłym pałacu cesarskim, jako w biurze zarządu „Sołdatskich i raboczych deputatów”. Widząc jaka jest sytuacja i nie wiedząc kto jest silniejszy — rząd czy sowdepy — po namyśle pojechałem. Już u bramy pałacu spotkali mnie trzej jegomości, między którymi rozpoznałem niejakiemu Gallera, uciekiniera z Galicji, człowieka nader wyszczerkanego, który był u mnie kilkakrotnie prosząc o poparcie jego petycji do Komitetu i który, pamiętam, na moją uwagę, że on

jako ślusarz i zupełnie jeszcze silny, mógłby raczej pracować, niż szukać zapomóg, odpowiedział: „O jakże ubolewam, że takie słowa słyszę z ust księdza”... Ta więc trójka przez paradne wejście wprowadziła mnie do pięknego salonu, gdzie stały cudne wyłaczane meble i puszysty błękitny dywan pokrywał całą posadzkę, ale już ręka proletarska rozlała po samym jego środku atrament czyniąc szkaradną, wielką plamę. Po kwadransie wy-czekiwania otworzyły się drzwi z sąsiedniego gabinetu i w towarzystwie moich znajomych wyszedł jakiś jegomość w nader wytartej marynarce i przedstawił mi się jako członek wydziału Sowdepu. Szkoda, że nie pamiętam teraz jego nazwiska, wiem jednak że pół roku później był już jedną z czołowych osobistości rewolucyjnej rady kijowskiej. Ten więc pan zaczął mi przedstawiać, że towarzysze z Gallerem na czele zanoszą doń na mnie skargę w imieniu proletarskiej uciekinierskiej rzeszy polskiej, że są w Komitecie Polskim Wykonawczym krzywdzeni... Kiedy mu tłumaczę, że ja nie jestem właściwie odpowiedzialnym za działalność Komitetu i że w tym Komitecie kasa jest pusta — on nie bardzo zdaje się rozumieć i bardziej przychyła się do dość już gwałtownych instancji tych trzech autodelegatów. Poczynam więc rozumieć, że bezpieczniej będzie dla mnie jeżeli ich zaspokoję, bo było mi jasnym, że nie są oni żadnymi delegatami, a tylko zasłaniają się krzywdą innych, szukając własnych korzyści. Więc powiadam: „Towarzyszu szanowny, ja jak i wy współczuję ciężkiej doli proletariuszy polskich, ale gdy publicznym grozłem żadnym w obecnej sytuacji rozporządzać nie mogę, to towarzyszy niech pozwoli, że na ręce jego złożę dla nich 300 rubli, które właśnie mam przy sobie”. I podałem mu te pieniądze. Na profesjonalnym hołszu to wywarło niespodziewanie dobre wrażenie. Rozdał więc tym panom po storubłównce i powiedział im, że muszą się tym kontentować. Wyszedłem a pan Galler i jego kompanowie rozsypują się dla mnie w grzecznościach, podają płaszcz, podsadzają do powozu...

W więzieniu kijowskim na Łukijanówce przebywał od dłuższego czasu ojciec jezuita Miskiewicz, superior z Tarnopola i jeszcze pięciu innych jezuitów, też przez władze okupacyjne rosyjskie wywiezionych z Tarnopola. Los ich tam był ciężki, ktoś nawet z nich w więzieniu zmarł. Gdy więc nastąpił przewrót październikowy, zażądaliśmy ich wypuszczenia i w tym celu razem z Ojcem Stanisławem Sopuchem, wywiezionym ze Lwowa w charakterze zakładnika, ale już od dłuższego czasu korzystającego z wolności udaliśmy się na Łukijanówkę i zapukaliśmy do furty więziennej. Zamiast uniformowego strażnika drzwi uchylił jakiś człowiek świecki z czerwoną kokardą na piersi i zarekomendował



się nam jako przedstawiciel komitetu więźniów. Wyłuszczyliśmy mu powód naszego przybycia; odpowiedział, że pójdzie porozumieć się z „Sowietem tiuremny”. W międzyczasie swobodnie rozglądamy się po więzieniu: wszelkie zapory i kraty w korytarzu wywalone, wszędzie się snują postacie z czerwonymi kokardami co parę dni temu ciężkie kajdany kryminalistów mieli na rękach i takie też łańcuchy ciągnęli na zakutych nogach. Teraz są to towarzysze aresztanci, a towarzysze strażnicy siedzą przestraszeni po kątach i sami nie wiedzą jaka jest ich rola. Za chwilę zjawiają się decydujące władze w samorządzie więziennym i naszych Jezuitów nam oddają, a my uszczęśliwieni więziemy ich do mnie na obiad.

W kilka dni potem towarzysze aresztanci urządzają też swój pochód — niby to na „czestne słowo” aresztanta mają sami wrócić do więzienia, ale tylko głupi i bardziej niewinni dotrzymali słowa. Gdy wilk wilka pilnuje, wilk nie przestaje być wilkiem. Wyszedł też w tym czasie z więzienia pewien ksiądz z Galicji nazwiskiem Klejn, zdolny muzyk, o którego przebywaniu w więzieniach nawet nie wiedziałem; wiem, że w odrodzonej Polsce zmienił swe nazwisko na inne, bardziej polskie. W więzieniu przebywał z nim w jednej celi młody Żyd, Czudnowski; ten po wyjściu z celi więziennej został pierwszym gubernatorem rewolucyjnym Kijowa na miejsce hrabiego Ignatiewa, ostatniego gubernatora carskiego w Kijowie. Zawdzięczając tej znajomości księdza Klejna z Czudnowskim udało się nam przesać depeszę do biskupa Dubowskiego do Żytomierza z zapytaniem, czy równoległe z zarządzeniem rewolucyjnym mamy przejść i w kościele na kalendarz nowego stylu, bo do przewrotu październikowego jeszcze styl stary był utrzymywany w całej Rosji. Niestety, odpowiedź żadna nie nadeszła; po naradzie więc z księżmi, a szczególnie z taką powagą jak Jezuita Sopuch, postanowiłem na własną rękę przejść na kalendarz gregoriański. Wielkanoc w roku 1918 według starego juliańskiego kalendarza przypadała coś dość późno, a według nowego stylu prawie o miesiąc wcześniej; pomimo to odważyłem się karnawał skrócić i ogłosiłem zaczynający się post i łącznie z tym wielkopostne nabożeństwa wprowadziłem. Biskup Dubowski jak okazało się potem, moją depeszę otrzymał, ale widząc że cerkiew prawosławna uparcie trzyma się starego stylu, wahał się czy wprowadzenie w Kościele nowego stylu nie spowoduje pewnego rozłamu i nieporządku w obchodzeniu świąt i dlatego mi nie odpowiedział; a może i nie miał możliwości wysłania listu czy depeszy, bo i telegraf i poczta normalnie nie funkcjonowały, przejazdy kolejną były niemożliwe, a bandy napały na drogach kołowych. Choć Kijów jest odległy od Żyto-

mierza tylko o 130 kilometrów, ale jedno miasto od drugiego było w czasach rewolucji często zgoła odcięte na dłuższe nawet okresy czasu. Nie bez obawy więc, czy nie podejmuję się rzeczy przeciwnej myśli biskupa, na ten krok poszedłem. Ale poszedłem wiedziony jakąś intuicją, że i biskup musi takie zarządzenie uczynić. Prawosławny wołyński archierej Eulogiusz usiłował ze swej strony na biskupa Dubowskiego wpływać, aby nie wprowadzał nowego stylu, a tymczasem w Kijowie i w Kijowszczyźnie, zawdzięczając zuchwałstwu memu, nowy styl w Kościele stał się faktem i biskup w końcu, zgromiwszy mnie trochę, ale łagodnie, sam rozesłał okólnik że styl nowy stał się już obowiązujący w Kościele w całej diecezji. Dziś, kiedy to piszę, zarzucam sobie — słusznie — że wówczas przekroczyłem kompetencje szeregowego księdza, ale przejście na nowy styl wydawało mi się wprost obowiązkiem katolickim nie podlegającym dyskusji. W pierwszych latach bolszewizmu w dni przypadających świąt chrześcijańskich rząd nie zmuszał jeszcze ludzi do pracy, a tylko w dni świąt według kalendarza gregoriańskiego. Katolicy więc mogli obchodzić święta jak należy, a prawosławni, obchodząc swoje święta według kalendarza juliańskiego musieli w te dni pracować. Potem, gdy komuniści zapytywali czy chcą i będą obchodzić święta według nowego stylu, bezczelnie trochę odpowiadali, przypochlebiając się tym bezbożnikom, że uchwalają te dni za dni robocze i tym sposobem katolików forsowali do pracy. Obrzydliwa bowiem ta zarozumiała schizma uważa stary błędny styl za niemal coś dogmatycznie świętego. Mam wrażenie, że gdyby prawosławni od razu, jak my, wstąpili w nowy styl i nie wynieśli tych przecherynych swoich uchwał, że gotowi są pracować w dni świąteczne nowego kalendarza, to bolszewicy nie mieliby atutu wołać, że ludność sama świętować nie chce i nie ciągaliby w te dni ludzi do pracy. Trzeba jednak przyznać, że wina nie leży po stronie ludności prawosławnej, a ich popów, którzy tak się obawiają posłuchać Papieża Grzegorza, który skorygował błędną rachubę astronomiczną; od wiernych prawosławnych często słyszy się głosy, że bezsensowne jest trzymać się tak uparcie starego błędu...

Utwierdzenie się jednak na Ukrainie rządów bolszewickich, chociaż prawie bezkrwawo wprowadzonych w końcu 1917 roku po przewrocie październikowym w Piotrogradzie, nie było trwałe. Towarzysz Lew Trocki, jak wiadomo, podpisał pakt brzeski i w marcu 1918 roku wojska niemieckie poczęły wkraczać na Ukrainę, prowadząc za sobą parę tysięcy ubranych po starokozacku mołojców ukraińskich. Bolszewicy gdzieś znikli; jedni — jak wojsko i rząd jawny — wycofali się w głąb Rosji, inni

dali nura w nurt stałej ludności. Pod opieką wojsk niemieckich zaczęły się rządy Petlury przy pomocy Dużej i Małej Rady Ukraińskiej. Mała Rada to był organ stały; zajmowała gmach Muzeum o dachu okrągłym przy ul. Wielkiej Włodzimierskiej w Kijowie i składała się z kilkudziesięciu członków o fizjonomii politycznej bardzo mało czym różniącej się od ideologii bolszewików. Tylko arcy nacjonalistyczne ukraińskie zabarwienie specyfikowało ją od Rad bolszewickich. O ile bolszewicy byli nieznośni dla wszystkich, o tyle Mała Rada dawała się we znaki głównie Rosjanom i Polakom. Żydzi od razu zaczęli ją kocietować i wielu z nich uznało się za szczyrych Ukraińców. Niemcy z początku rządy Małej Rady tolerowali, ale gdy się opatrzyli, że program gospodarczy Małej Rady, tak samo jak program bolszewicki, niesie krajowi tylko ruinę gospodarczą i nie zapewnia Niemcom korzyści ekonomicznych, jakich się spodziewali okupując Ukrainę — to bez ceremonii Radę tę całą zaarrestowali, czyniąc przewrót i dając po piętach szwiniście Petlurze ogłosili Hetmanem Ukrainy Skoropadzkiego, z pretensjami niemal małego carka nad ziemiami ruskimi. Skoropadzki to ziemianin z Połtawszczyzny i wyższy rosyjski oficer sztabowy, naturalnie od wszelkich wywrotowych tendencji był daleki i dlatego przy nim się było uspokoiło w kraju. Tymczasem bolszewicy dążeń swoich nie zaniechali: ich wysłannik, Rakowski, niby to prowadził ze Skoropadzkim pakt, mające uformować stosunki Rosji Sowieckiej do hetmańskiej Ukrainy, a w czasie tych paktów, przewlekających się bez końca, głównodowodzący wojsk niemieckich, Eichhorn, został przy wysiadaniu z auta zabity bombą przez zamachowca-komunistę, a arsenał i pociągi z amunicją wyleciały w Kijowie na Pieczersku w powietrze. Wybuchy trwające kilka kwadransów były tak silne, że zdawało się nam, że na górze Pieczerskiej eksploduje krater wulkanu. W kościele naszym św. Mikołaja przepiękne w oknach gotyckich witraże bardzo ucierpiały. Tymczasem wojna z Niemcami na Zachodzie też się zakończyła. Wilhelm ustąpił z tronu. Wojska niemieckie wycofały się z Ukrainy i hetman Skoropadzki, kreatura niemiecka, jakoby w przebraniu żołnierza niemieckiego ulotnił się z Kijowa. Nastąpił dla Kijowa i Kresów naszych czasy okropne. Zmieniały się w Kijowie rządy i władze. Byli oficerowie, zgrupowani w jakiś nieokreślony rząd, byli Ukraińcy Konowalca, byli Haliczanie, byli parokrotnie bolszewicy przez kogoś usuwani i znowuż powracający, były wojska Denikina, były parę miesięcy wojska polskie i na kilka godzin Piłsudski był gościem Kijowa i wreszcie po roku 1920 ustalili się bolszewicy. O ile pamiętam przeszliśmy przez 11 władz i rządów. Każdy z nich utwierdzał się nie bezbo-

leśnie dla miasta, niekiedy nawet po parogodzinnym bombardowaniu, każdy coś rekwirował, terroryzował ludność, mordował swoich przeciwników rzeczywistych, ale częściej urojonych, konfiskował złoto, obalał starą walutę i na czas krótki wprowadzał swoje bezwartościowe papierowe pieniądze; doszliśmy do tego, że zamiast bilonu kursowały pocztowe znaczki, rwące się, brudne i cuchnące. Wartość pieniędzy była tak nędzna, że operowaliśmy miliardami rubli, a w roku 1925, kiedy chciałem kupić cytrynę dla chorej, umierającej mej matki, to przekupka żądała ode mnie 16 miliardów rubli za jeden owoc, a ja posiadałem w kieszeni tylko 14 i dlatego pamiętam, że transakcja nie doszła do skutku. Po wsiach ludzie wprost unikali wymiany pieniężnej i wszelkie obrachunki ustateczniały się na funty pszenicy lub na inne wartościowe rzeczy. Chłop jechał na targ do miasta siedząc na paru workach mąki a wracał na umieszczonej w poprzek wozu otomanie lub nawet siedząc na klawiaturze fortepianu. Serwety, obrusy, platory, srebra, saskie serwisy, wykwinną bieliznę — wszystko to ludzie oddawali na wieś w zamian za otrzymane kilo słoniny, jakąś tuszkę mięsa, wór kartofli... Ale to jeszcze pomyślnie, jeżeli chłop swe produkty sam dowiózł do miasta — częściej wymagał, by zapłacono rzeczami naprzód, a on już potem, bez żadnego ryzyka dowoził produkty jako cudze. Wszędzie bowiem po drogach podmiejskich stały tak zwane zastawy żołnierskie i bez pardonu wszystko odbierały ludziom, jeżeli ich nie uprzedziły bandy, napadające na furmanki w lasach i miejscach bardziej odludnionych. Miałem piękny kozuch wyjazdowy dla mego furmana; chłop, nawet Polak, zabrał u mnie ten kozuch, przyrzekając przywieźć w zamian pół tuszy wieprza, ale kiedy wiozł, to mu po drodze skonfiskowano. Pozbyłem się więc i kozucha i moi księża nie pokosztowali wieprzowinki. A tak już liczyliśmy i na omastę i jakiś lepszy kawał mięsa — konina bowiem miała zastosowanie szerokie. Pewna stara panna oskarża się przede mną jak z wielkiej swojej winy, że razem ze swą siostrą zjadła ulubionego i wiernego swego pieska, a głodowe śmierci nie były rzadkością i te panie kosztem życia tego pieska uratowały własne życie. W tych wyrzutach wzruszający dowód przywiązania biednego ludzkiego serca...

A tymczasem z frontu zachodniego samowolnie cofające się wojska, zaszeregowani w nich chłopci pospieszają, by ich nie uprzedzono w podziale ziemi pańskiej. Oficerów już między nimi nie ma, przewodzi im co zuchwalszy towarzysz żołnierz. Rewolucja agrarna, a nie żadna społeczna: przywódcy komunistyczni pociągali za sobą Rosję w 90 % przecież chłopską. Chłop pożąda przecież ziemi i to na indywidualną dla siebie własność, o żadnym

kolektywizmie nic nie słyszał, nie rozumie tego i nie chce. Ale tymczasem na młyn komunistów pracuje, niesie ze sobą z frontu granaty ręczne, kolumioty, obcięte karabiny i pała żądzą zemsty nad tymi większymi właścicielami ziemi, co to przez wieki całe tą ziemią władali z krzywdą tych rąk, co są powołane wprost przez niebo własnoręcznie na niej pracować i stąd ją posiadać. Śmierć więc i zagłada tym krwiopijcom... Pod pałac sędziwego księcia Romana Sanguszki w Sławucie na Wołyniu podchodzi taka dwutysięczna maruderów banda. Oni jego nie znają, w niczym on im nie zawinił, stosunek jego z włóściaństwem był jak najlepszy i najsprawiedliwszy. Ale kiedy on książę i magnat, więc ci maruderzy uważają za swój ścisły obowiązek go zamordować, siedzibę jego splondrować, a rozdawszy miejscowym chłopom jego folwarki, zyskać sobie adherentów przynajmniej takich, którzy po zagarnięciu cudzego mienia będą się ich trzymać choćby z obawy, aby nie powróciła jakaś inna władza, która by na nich, rabusiach, szukała wymiaru sprawiedliwości... I osiemdziesięcioletni książę Sanguszko, dobrodziej naszego duchownego seminarium, pada pierwszą w Kraju ofiarą zbuntowanego żołnierstwa i chłopstwa... A po nim w perzynę idzie cała większa na Ukrainie własność polska, ta ostoja tam polskości. Bo przy latyfundiach magnatów polskich trzymały się całe rzesze uboższej polskiej ludności. Zabrakło ziemian Polaków — znikły też zastępy grupujących się przy nich oficjalistów, przedsiębiorców ich obsługujących i wreszcie ich sług niższych. Kościół też, który w większości parafii nie na ludzie opierał swą egzystencję, ale czerpał albo subwencje dobrowolne ze dworów, albo korzystał ze starych serwitutów, obciążających majątki, od razu po rewolucji agrarnej znalazł się w ciężkich bardzo warunkach. Oficjalistów też rolnych, broniących własności swych pracodawców, zginęło niemało od morderczej ręki chłopów chciwych ziemi. W majątku Tymków, w powiecie Bałckim, własności Rusanowskich, od dawna właściciela nie było; rządził tym dużym folwarkiem niejaki pan Sandaldzi, spolszczony Syryjczyk, szlachetny człowiek i katolik. Tymków należał do parafii Kodymy, gdzie proboszczem był mój stryjeczny brat, ksiądz Antoni Skalski. Otóż z ust jego czerpię następujący epizod rewolucyjny. Wieś Tymków składała się w połowie z Rusinów i w połowie z Polaków; ani jedni ani drudzy żadnych uraz do p. Sandaldziego nie żywili, a sami — posiadając dosyć ziemi i będąc zamożnymi — do zawładnięcia cudzą własnością nie dążyli. Stąd też ten majątek wyjątkowo długo pozostawał nietykalny. Ale tu nadchodzi banda cofających się z frontu maruderów, są zdziwieni i oburzeni, że własność ziemiska dotąd stoi nierozgromiona. Uformowują się

więc przed gankiem i żądają, by rządca im się ukazał. Tymczasem pan Sandaldzi cierpi na migrenę i leży w łóżku; znajdujący się zaś u niego w gościnie brat decyduje się wyjść do tłumu i zastąpić brata. Wnet pada strzał i ten drugi pan Sandaldzi, nieznajomy nawet w Tymkowie, kona, a właściwy rządca majątku umyka przez okno i tym salwuje swe życie. Majątkowe auto leci po mego brata, ale nim ksiądz nadaża, zamordowany już wyzionął ducha. Część wsi prawosławna, bo katolicy tu jakoś wszędzie gdzie indziej powstrzymują się od rabunku, grabi dwór i folwark. I mój brat, ten proboszcz kodymski, nie mający czym dojechać do Kodymy, jest mimowolnym świadkiem tego, co tam się dzieje. Ci, co w kilka lat potem mają być skolektywizowani, tymczasem jeden przez drugiego co może i z domu i z folwarku ciągnie na swoje obejście. W godzinę już wszystko wyniesiono z domu, ale tu wpada jakaś spóźniona kobieta, ręce łamie, że dla niej nic nie pozostało. Wnet jednak spostrzega, że pod katafalkiem zamordowanego jest piękna fajansowa miednica, wprawdzie na wpół krwią ściekającą z rany postrzałowej napełniona, ale ona sobie ją wymyje, więc prędzej chwytą za to naczynie z krwią ludzką i w nogi. Wreszcie para pięknych spienionych koni nadwozi z Bałty metalową trumnę. Woźnica zszedł z wozu, by przywołać kogoś na pomoc do zniesienia trumny. Ten moment wyzyskuje pewien starowina, co stał pod płótem i zdawał się tylko wszystko obserwować obojętnie. Jak kot na wóz wskoczył, zaciął konie i wkrótce zniknął we wsi. Nie ma rady, z desek najprostszą zbijają trumnę i mój brat prowadzi ciało na cmentarz. Tu ktoś jedzie na folwarcznym koniu, tamten prowadzi woła, ta gęś dusi pod pachą, a tamta prosię kwiczące zarzuciła w worku na plecy, ale wszyscy zatrzymują się z czcią przed konduktem pogrzebowym, zegnając się trzema palcami i potrójnie, a usta szczechą: „Spasi Hospodi duszu usopszago raba twojewo” (Zbaw Panie duszę zmarłego sługi Twojego). Bogu przypisują tę łaskę, że tak niespodzianie mogli się obłowić cudzym dobrem, a objawu ich chrześcijańskiego współczucia dla niewinnej ofiary odmówić przecież nie można. Kiedy w roku 1918 niemieckie wojska czyniły rewindykacje w Tymkowie i trumnę z wozem i końmi musiał zwrócić ów staruszek. Okazało się, że był to jeden z najpoważniejszych ludzi we wsi, starosta cerkiewny, który nie miał najmniejszej intencji zagrabiać cudze. Ale kiedy naraz ujrzał tak pięknie lśniąca trumnę, to powiedział sobie: „Toteż i ja niezadługo umrę, to sam Pan Bóg daje mi okazję posiadania takiej pańskiej na śmierć dubowyny (po ukraińsku — trumny), a razem jeszcze gotowy wóz i konie i dlatego wówczas tym zawładnąłem” — zeznawał jak najniewinniej po-

zornie, a może i szczerze. Bo o muzyku ukraińskim przecież mówi ich własne przysłowie: „Durnyj jak worona, a chytryj jak czort” (Głupi jak wrona, a chytry jak czart).

Tymczasem i Kijów jest widownią równie strasznych i charakteryzujących dobę początkowej rewolucji rzeczy. Głównie o to miasto walczą ze sobą Rosjanie i Ukraińcy. Fizjognomia ich polityczna i społeczna bardzo podobna, ale przywódcy ich różnią się: bolszewicy rosyjscy wprost dla Rosji, wciąż w ich pojęciu „jedinoj i niedielimoj” pożądamy żywej Ukrainy, a przywódcy zbuntowanych chłopów ukraińskich już marzą o stworzeniu samodzielnej — „samostijnej” — Ukrainy, a jedni i drudzy wyzyskują żywiołową chciwość chłopów do posiadania ziemi i wytwarzającą się na tym gruncie pewną rewolucyjną energię. Wplątują się i Rosjanie, autoramentu Rosji carskiej, którzy w postaci formacji wojskowych oficerskich lub wojsk Denikina też — przynajmniej na kilka miesięcy — potrafiły zawładnąć miastem, a częściowo i Krajem. Wreszcie przenikliwi komuniści rosyjscy wpadają na pomysł utworzenia tak zwanej U.K.P. (Ukraińska Komunistyczna Partia), która podnosi hasła i szowinistyczne i krańcowo demagogiczne. Samostijnicy więc przegrywają i następuje zagłada wszystkich sił, dążących do restauracji starego porządku. Chłop ukraiński w gruncie nie chce oddzielać się od Rosji, koncepcja U.K.P. go zadowala; Kreml Moskiewski przez ufudę republiki ukraińskiej, wchodzącej do związku wszelkich republik sowieckich, niemal po staremu „samodziernawnie” rządzi i Ukrainą, wyzyskując o wiele więcej niż to czynił kapitał ziemiański i siłę moralną i siłę fizyczną i moc materialną tego narodu słowiańskiego, w każdym razie jeszcze wówczas nie dojrzałego do utworzenia i utrzymania własnej państwowości... Wśród tego zaś kotłowania się i fermentowania pojęć i wytwarzania się stalszych form politycznych ileż się nacierpieli i przenieśli wszelkich udręk ci, co postanowili stać na uboczu, jak my, Polacy i tak drogi duchowi naszemu katolicki Kościół, tego i na wołowej nie wypiszesz skórze... Pewne udręki niósł ten system i te dążenia do zaprowadzenia lub krańcowo szowinistycznego lub krańcowo socjalistycznego porządku, a pewne wielkie też udręki zadawali nam ci, co się zgrupowali niby to pod sztandarami czerwonymi lub błękitno-żółtymi ukraińskimi, a w istocie byli tylko najordynarniejszymi opryszkami.

Każde nowe wtargnięcie dokądkolwiek jakiegokolwiek oddziały, który nazywa siebie wojskiem, jest połączone z mnóstwem rekwizycji. Kancelarie jakieś, szumnie nazywające siebie sztabami, najczęściej nie rozporządzają niczym; ci więc, co noszą broń,

czują się upoważnieni do samozaopatrywania się kosztem tej miejscowości i tych ludzi, gdzie i wśród których znaleźli się przypadkowo, czy celowo. Oni są wyrazicielami nowych idei i nowych porządków, wszyscy inni niech nawet zgina, byle by tylko oni utrzymywali się na powierzchni. Dziesięć dni Kijów jest bombardowany zza Dniepru: to bolszewicy usiłują wykurzyć z Kijowa jakąś inną władzę. Już elektrownia stanęła, nie działają wodociągi. Kilkanaście wielopiętrowych nowoczesnych domów spłonęło do cna. A mój kościół św. Aleksandra, stojący na wzgórzu, osiem trafiło pocisków, przedziurawioną mam kopułę, na ulicach leżą zabici, do małej krypty kościelnej zniesiono z pobliza siedem trupów, bo odbywać eksportacji na cmentarz niepodobna. Ciało śp. pani Colonna-Czosnowskiej, zmarłej na serce z powodu tych strasznych wyc i huków, jakie sprawiają lecące i rozrywające się pociski armatnie, ledwośmy zaprowadzili na cmentarz, posuwając się tylko pod ścianami domów. Apropowizacji wszystkim braknie, a wody — choć to styczeń — i ze śniegu natopić nie można, bo wyjątkowo jest zima bezśnieżna. Pozamykawszy okiennice siedzimy wszyscy w ciemnym korytarzu, gdzie nam się wydaje bezpieczniej. Gotujemy się na śmierć, odmawiamy wspólnie drogę krzyżową i wszelkie inne modlitwy. Siedzący obok mnie Madziar, ksiądz Kapca, wierzy w nadzwyczajną skuteczność litanii do Imienia Jezus — odmawiamy więc i tę litanię. A ze Mszą to bywamy nie wszyscy, bo tylko bardzo rano, kiedy zanika gra armat i klekot kulomiotów, niektórzy ryzykują przebiec przez podwórze do kościoła, w którym są zupełne pustki. Ja nadrabiam odwagę i bywam ze Mszą św. codziennie, komunikując zaledwie kilka — kilkanaście osób. Służący mój, Groński, wchodzi do sali jadalnej błądy i drżący, bo kiedy niósł na kolację przez podwórko z kuchni tych mizernych klusek półmisek, błąkająca się kula wprost bzyknęła mu nad uchem, jakby zapytując — czy chcesz śmierci?... U mnie w domu wiele dniuje i nocuje postronnych osób, bo wychyliwszy się na miasto już nie ryzykują wracać. Jacyś szlachetni obrońcy miasta we czterech pakują się do furty i proszą o udzielenie im posiłku; każą ich wpuścić, zaprowadzić do oficyny i nakarmić. Po spożyciu tego, czym im mogliśmy służyć, dobijają się do mego mieszkania, a podnosząc broń i granaty ręczne oświadczają, że muszą u mnie zrobić rewizję, gdyż według ich wiadomości przechowuję u siebie oficerów i pierwszym schowkiem, gdzie miał siedzieć oficer jest torebka pewnej ubogiej pani, co siedziała w pokoju mojej matki i wyciągają z tej torebki zamiast oficera kilkanaście ostatnich jej rubli. Jeden z mołojców już ma na głowie drogą moją karakułową czapkę i wciąga na siebie mój



ciepły płaszcz. Ksiądz wikary Franciszek Bujalski zaczyna go wstydzić, a on mu mówi: „Milcz i zdejmij swój kozuch” i ledwo się mógł wyprosić od tej patriotycznej usługi. A tymczasem ja, niby z zimną krwią, patrząc jak mój płaszcz pasuje do figury nowego jego posiadacza, bąknąłem: „No i wspaniały z ciebie rycerz, wyglądasz zupełnie jak pop, co włóczy za sobą długą riasę”. Oglądnął się i spuścił na ziemię mój płaszcz mówiąc: „*Czort s tobój*”, ale na tym ucierpiał tylko mój zacny sąsiad, altarysta kanonik Pomirski, który był niskiego wzrostu i jego futro na pięknych tchórzach już pasowało w sam raz do bark tego opryszka. Wyszli wołając: „My krew przelewamy, a wam żal dla nas futra”.

Mężczyzn po mieszkaniach własnych bywało mało, bo w nich obie strony walczące upatrywały wrogów — chronili się więc gdzieś po przedmieściach. W tym właśnie okresie do jednego z mieszkań przy ulicy Rejtarskiej, czy Stołypinowskiej — już nie pamiętam — wtargają niby z rewizją nocną, zastają bezradnych kilka kobiet, rabują co mogą, a co najwstrętniejsze — gwałcą je. Między innymi jest pewna starsza panna, przezacna i świętobliwa, a do tego głucha, ta nie tylko pada ofiarą zmysłowości tych bestii, ale jeszcze i poczyňa dziecko. Sam ją musiałem pocieszać, bliską rozpaczy, podnosić na duchu. Ochrciłem potem jej synka...

Z walk na peryferiach miasta bitwa przenosi się wreszcie do samego jego centrum. Na placu przed moją plebanią, w dołku ziemnym na pagórku umieścił się z kulomiotem jakiś jegomość i praży z niego w kierunku ulicy Michajłowskiej, gdzie są szeregi bolszewickiego wojska. Naraz drgnął, podrzucił się jakby w konwulsjach, rozciągnął ręce — kona, a ja mu z okien ganku daję rozgrzeszenie. Czy to go ktoś kulą trafił z którego balkonu na przeciwko, czy to mu odpowiedziało tak celnie to wojsko — nie dowiedziałem się nigdy. Bolszewicy są panami sytuacji. Na ulicach dokonują się wprost rzeznie; szczególnie mordują tych, co mają na swej odzieży jakieś znaki byłej szarzy oficerskiej. Jakiś starsuszek, pułkownik, co od dawna na emeryturze siedząc, według zwyczaju jednak rosyjski zachował uniform — dostał kulę z rewolweru i leży, biedaczysko, niedaleko od nas na chodniku. Od bramy do bramy chodzą oddziały zwycięzców i żądają oddania broni. Ledwo siedliśmy do obiadu, a tu szwajcar daje znać, że są pod kościołem żołnierze i żądają ukazania się mego. Wychoďę w towarzystwie mojego zastępcy, księdza Maliszewskiego. Kilkanaście, a może do trzydziestu ponurych postaci mnie otacza. Okopceni dymem armatnim, jacyś znużeni, może od tych okrop-

ności sami do swego człowieczeństwa wstąpić czujący. „Ty proboszcz jesteś?” — pytają. „Otwieraj kościół. My mamy wiadomości, że posiadasz w kościele nadawczo-odbiorcze radio. Jak je znajdziemy wiedz, że ci głowa z karku zleci”. Z całą szczerością im odpowiadam: „Ależ nic podobnego. Możecie szukać”. Wchodzą. Na głowach „papacy”, te futrzane syberyjskie czapy. A ksiądz Maliszewski śmiało do nich: „Towarzysze, czapki z głowy — nie widzicie, że to świątynia Pańska?”. I pozejmowali i przeprowadzają powierzchowną rewizję. A tu jeden z nich raptem się do mnie po polsku oświadcza: „Wśród zdobywców Kijowa jest nas sporo Polaków, jesteśmy z formacji polskich, z pułku co stał pod Charkowem, w Biełgorodzie. Połączyliśmy się z moskalami znowuż, żeby raz koniec położyć też burżuazji”. — „A skąd pan jest?” — pytam. — „Ja z Łodzi, robotnik”. Minęło lat prawie dwadzieścia, jestem w 1938 roku w Warszawie na walnym zjeździe wychowanków akademickich szkół kijowskich. Mnóstwo czułych koleżeńskich powitań, ale są i znacznie młodszy ode mnie. Jeden z nich, inżynier, rzuca mi się w objęcia i mówi: „Oto dopiero teraz powiem swemu proboszczowi, cośmy mu urządzili w Kijowie. Czy pamięta ksiądz, jakieśmy technicy przyszli do niego i mówiliśmy, że piorunochron na kopule kościelnej jest nie w porządku i że my go zupełnie bezinteresownie zreperujemy. I reperowaliśmy, pewnie ksiądz pamięta?”. — Pamiętam. — „Otóż piorunochron nie potrzebował reperacji, ale kopuła kościelna była doskonałym punktem dla ustawienia nadawczego radia i my właśnie go tym wybiegiem ustawiliśmy w kościele”. O Boże mój, jaka to była Twoja łaska, że ja tego zgoła nie przypuszczałem, bo bym się zdradził wobec tej rewizji i już by od dawna moje ciało czerwiałoby...

Innym znów razem przeżyłem taki wypadek: wchodzę z podwórza do sieni naszego domu, a tu ona przepętlona żołdactwem bolszewickim i od razu niektórzy z nich poczynają mi czynić zarzuty, że jakoby jestem odpowiedzialny za postęпки społeczeństwa polskiego, że jakiś konsul polski, nazwiskiem Zdziechowski, z karabinem w ręku, razem z oficerstwem rosyjskim bił się z nimi na ulicach Kijowa. Tego p. Zdziechowskiego nawet nie znałem i prawdziwym konsulem go nawet mianować nie można; był to jakiś wojskowy, który przy zaczątkach odradzania się Polski grał rolę emisariusza legionistów i zajmował się ekspedycją wojskowych Polaków z rozpadającej się armii rosyjskiej do formującej się armii polskiej. Wydawał też jakieś dowody osobiste ludziom, co pragnęli mieć coś w rękę, świadczącego, że są Polakami. Tym dowodów jednak, wkrótce potem ustalony Rząd Polski nie uznał. Czy ten pan Zdziechowski walczył z bolszewi-

kami — nie wiem, ale coś słyszałem, że tak. Że jednak wówczas mnie owi żołdacy nie rozszarpali, zawdzięczam jakiemuś młodemu Żydowi, który był w ich gronie i który ich wrzaski przekrzyczał, wołając: „*Towariszczy, pri czom tut ksiądz?*” (Co ksiądz ma do tego?) — że nieco się oni jakoś uspokoili i moją argumentację zrozumieli, że w każdym razie za postępkami p. Zdziechowskiego nie odpowiadam i przedpokój mój opuścili. Jak będę miał sposobność i gdzieś poniżej zaznaczyć — w dobie tak zwanego wojennego komunizmu Żydowie, pomimo wstrętu do nich Ukraińców i Rosjan, jakiś rozsądniejszy pierwiastek w szeregi tej rozkołysanej rzeszy wprowadzali. Przypuszczam, że i ten p. Zdziechowski musiał wprawdzie należeć do korpusu oficerów Rosji i dlatego razem z oficerami stawił czoło wtargającym do Kijowa bolszewikom, choć może i wbrew swojej woli. Bo pamiętam i taką scenę, kiedyś do zatarasowanych drzwi wejściowych naszych dobiega się ktoś gwałtem z ulicy, na której co moment słychać salwę karabinów. Wchodząc rzuca w kąt karabin: „O, już mam dosyć tej walki” — woła — „od trzech dni ścieram się z tymi gadami, na litość Boską gdzieś mnie schrońcie i ten karabin uprzątńijcie”. Skierowałem go do mieszkania zakrystiana, gdyż tam było bezpieczniej niż u mnie; przebywał tam przez trzy dni, a był to profesor uniwersytetu, p. Sianożęcki, niedawno zmarły w Warszawie — chluba i sława naukowa na polu chemii w Polsce. Był też rezerwowym oficerem rosyjskim i dlatego musiał razem z oficerstwem rosyjskim walczyć. W tym mniej więcej czasie odwiedził mnie z bronią w ręku, wprost oderwawszy się od walk ulicznych, niejaki książę Massalski i serdecznie się ze mną, jakby na śmierć idąc, żegnał. A znajomość moja z tym panem miała taką historię: książę Massalski pochodził ze znanej polsko-litewskiej rodziny książąt Massalskich; przodkowie jego przy Katarzynie II-giej, jako Targowczanie, wyemigrowali z Polski i otrzymali duże majątki w głębi Rosji i z biegiem czasu skoligacili się z wybitnymi rodami arystokracji rosyjskiej, sami się sprawosławili i zrusyfikowali. Książę Massalski, o którym wzmiankę miał szarżę generała wojsk rosyjskich i czuł się Rosjaninem. Stary jeszcze nie był — miał lat najwyżej czterdzieści pięć. Wspomnienia rodowodu polskiego w nim kielkowały jednak, a kiedy przyszła rewolucja, kiedy to dom carski i cała arystokracja rosyjska i inteligencja i stan urzędniczy i nawet urzędowa cerkiew nie wykazywały żadnej przed falą komunizmu odporności, a przeciwnie mnodzy z nich ujawnili całą duszy swojej małoduszność, a niekiedy wprost jej nikczemność, to książę Massalski poczuł największy wstręt i do narodowości rosyjskiej i do tej religii, do której oficjalnie należał.

Najgłębiej to wszystko przemyślał i przeczłował i zjawił się u mnie z prośbą — jak się wyraził — by mu przywrócić przynależność do Kościoła katolickiego i do polskości. Wykonał więc przede mną wyznanie wiary katolickiej, wypowiadał się i komuś pokłonił gorąco. Kiedy potem bywał u mnie, to kaleczył po polsku, a gdy by go nie krępować zaczynałem z nim mówić po rosyjsku, to, pamiętam, powiedział: „A niech ksiądz mi nie robi przykrości i rozmawia ze mną po polsku, przecież ja nie tylko się czuję, ale już jestem Polakiem”. Nie wiem jaki był dalszy los tego prawego i szlachetnego człowieka, gdyż to spotkanie się z nim, o którym piszę, było ostatnie. Może i trupem poległ w czasie tych okropności... Że ja wówczas ocalałem, to tylko wyjątkowej opiece nade mną Boga przypisywać muszę. Bo — proszę — i taką przeżyłem chwilę: do gabinetu mego wtarga marynarz, a wiadomo jakie okrucieństwa okazywali marynarze w pierwszej dobie rewolucji. Ma czapkę z napisem jakiegoś okrętu, na nim skórzana kurtka, dwa pistolety zatknięte u pasa z pendentami rzemiennymi kręconymi w sznurek, w obu rękach rewolwery. W ślad za nim wchodzi kilkunastu ludzi, a widzę przez okno, że do domu wdiera się tłum cały. Przystąpił do mnie okrutnie naszożony, obie lufy rewolwerów przystawił mi do piersi i krzyczy: „Otwieraj szafy i kufrы, bo na pewno ukrywasz oficerów. Zdawajcie oręż”. — Mówię mu, że broni żadnej nie posiadam, że jest jeden rewolwer u stróża nocnego, ale na jego posiadanie mam zezwolenie na piśmie, które mu prezentuję. — „W tej chwili oddawaj mi ten rewolwer. Ja ci pokażę...” — wrzeszczy, a na twarzy jego i tych co z nim weszli i wchodzi maluje się straszna nienawiść i chciwość. Myślę sobie — zgubiony jestem i całe moje przepaństwo mienie... A tu naraz okropny huk, jakby uderzenie piorunem, jakby eksplozja szrapnela... Marynarz rewolwery od mojej piersi opuścił, zbladł, zmieszał się na chwilę, a potem wrzasnął: „Chowajcie się do suteryn, bo bateria armatnia w dom wali” — i wyskoczył z mieszkania, a za nim wybiegli i jego kompani. Okazało się, że to tylko jednemu z nich na samym moim ganku eksplodował granat ręczny, oderwał mu u ręki palce i taki spowodował huk i idące za tym przerażenie wszystkich. Po zorientowaniu się marynarz wskoczył tylko jeszcze do nocnego stróża i zabrał mu rewolwer i poniechawszy już rewizji gdzieś dalej podążył, a za nim cała czereda, widocznie na duchu speszona i niechętna. Kazałem co prędzej tak zwanemu domowemu komitetowi u drzwi zrobić wywieszkę, że rewizja już dokonana i broń oddana i nikogo pod żadnym pretekstem do domu nie wpuszczać. I to okazało się pomysłem skutecznym.

Na dzień potem może trzeci, kiedy się już trochę uspokoiło w mieście, wyszedłem na Kreszczatik, główną ulicę w Kijowie, ludzi na chodnikach mnóstwo. Kiedy byłem w pobliżu gmachu zarządu miasta, tak zwanej Dumy, nadjechało jakieś auto, naturalnie z czerwoną chorągiewką, co znaczy rządowe, a innych już nie widzano. Rozparty w aucie też jakiś marynarz raptem się zerwał i stanąwszy na siedzeniu zaczął wrzeszczeć: „Ach ty burżujski prichwostje. Ja, komendant miasta Kołupanow, was wszystkich wygłodzę, wygubię, ja was wszystkich wystrzelać każę. Wiedźcie, że teraz władza proletariatu a wam wszystkim koniec”. Auto ruszyło, by za chwilę gdzieś znowuż się zatrzymać, by znowuż ludność z usta samego Kołupanowa takie perory i groźby wysłuchać mogła. Wolę tego straszego krwawego człowieka sami komuniści musieli ukrócić... Opowiadano, że sama Czerez-wyczajka w ciągu kilku dni położyła mu koniec. Zresztą i wszyscy marynarze zniknęli z widowni rewolucji — widocznie nawet dla niej byli zbyt krwawi i kompromitujący...

Po zdobyciu Kijowa wnet się tworzyły i przed sklepami i przed wszelkimi bolszewickimi urzędami przydługie „ogony” — tak nazywaliśmy te szeregi ludzi ustawionych w kolejki dla załatwienia nawet najbanalniejszych swoich spraw. Te ogony, to wprost jakieś znamię zmonopolizowanego w Sowietach zarządu i handlu. Przez moje trzynaście lat pozostawania w granicach sowieckiego raju nie widziałem miasta i nie było pewnie takiego periodu czasu, w który by te ogony nie męczyły ludności. Ustrój, co tak dużo śpiewa o najbardziej korzystnym wyzyskiwaniu ludzkiej energii i pracy, złamawszy inicjatywę indywidualną prywatną, choruje na nieuleczalny biurokracyzm i z tą chorobą ogonów poradzić sobie nie umie i z konieczności bezradnie patrzy na to straszne marnowanie czasu, połączone z tymi wszystkimi kolejkami i wyczekiwaniem dla załatwienia każdej sprawy. Choć tak takiej plejady urzędników, jaką powołuje ustrój sowiecki — mówmy ogólnie — socjalistyczny, żadna inna forma rządu i nie potrzebuje i nie zna, ale w Sowietach, trzeba przyznać, że najmarudniej się wszystko w moje czasy załatwiało...

Pierwszy kontakt mego kościoła z tym systemem ogonów wypadł dość komicznie i niebezpiecznie: stróż kościelny, ogładając dach po ustaniu strzelaniny, znalazł na blasze na kościele dość duży i ciężki niewypał armatni. W naiwności swojej go podniósł i przyniósł do mnie, do mego gabinetu; przyznam się, że i ja nie zdawałem sobie sprawy z niebezpieczeństwa noszenia się z taką „kukłą”; więcej się bałem, że znowuż wtargną bolszewicy i zarzucą nam posiadanie amunicji. Więc powiadam

do księdza Maliszewskiego: „Proszę wyjść na miasto razem ze stróżem i oddajcie tę cace w pierwszym lepszym miejscu, gdzie zobaczycie bolszewików”. Tak też oni czynią i tuż po zejściu z góry kościelnej widzą przy zarządzie miasta szereg ogromny ludzi, sięgający daleko aż na chodniki, podają ten pocisk pierwszemu z brzegu, prosząc by podawał kolejce dalej aż do miejsca, gdzie urzędują bolszewicy. I tak pocisk z rąk do rąk wędruje. Opatrzność wprost strzeże, że go nikt nie opuścił i wreszcie zjawia się na biurku bolszewika. Ten, zobaczywszy, zerwał się z miejsca z przerażenia: „Co to jest?” — woła. — „A to amunicję ktoś zdaje”. Tak przez cały *chwośt* to przeszło. „Ale on mógł wybuchnąć i was wszystkich porozrywać”. — „A kto tam wiedział” — odpowiadają obojętni mieszczanie i mieszczki: „Jest *prikaz* zdawać *orużje* — tak wam ludzie i przynoszą”. — „*Ach duraki, duraki* — on woła — *chotia i nastojaszczyje proletarij* (choć i prawdziwi proletariusze)”. Widocznie nie był złym człowiekiem, a może i bolszewikiem nie był, bo dochodzenia żadnego nie wszczynał. Po rewolucji, gdy w wielu miejscach znajdowano nieeksplozowane pociski i kiedy przy pierwszym ich poruszeniu następowały katastrofalne wybuchy, to zrozumiałem co by to było i czy mógłbym to sobie kiedy wybaczyć, jeżeli by ten pomysł księdza Maliszewskiego posyłania pocisku przez ręce kolejki w tłumie był się zakończył eksplozją i śmiercią i kalectwem wielu ludzi. „Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi” — sprawdziło się i tutaj.

Kiedy awangardy bolszewickie rozprawiły się krwawo ze swoimi przeciwnikami, a chorągiew czerwona umieszczona na każdym urzędzie, a nawet Stołypinowi, stojącemu przed Dumą na pięknym pomniku przyczepiono czerwony krawat, zapowiedziano triumfalnie wkroczenie do Kijowa głównego dowództwa i armii Sowieców. Wiedziony ciekawością umieściłem się w oknie pałacu pani Karoliny Jaroszyńskiej, przeznaczonej mojej sędziwej parafianki, mieszkającej, jak wiadomo, przy głównej arterii kijowskiej, Kreszczatiku. Może ktoś by podawał w wątpliwość tę moją opowieść, ależ kiedy podaję rzetelnie, to mi wiercie: na ogromnych karych, długoogonych bucefalach, przez długie lata chodzących pod forsyjami, ubranymi w habity wschodnie, a zaprzęganych do karety archijereja Czernichowskiego, teraz skonfiskowanych na usługi bolszewików, jedzie kilku średniowiecznych rycerzy: okuci w blachy, przystrojeni w hełmy używane na turniejach, u boku ich muzealne wiszą karabele, a przez przyłbice, najbardziej marsowo uwypuklone, wyglądają ich rycerskie oczy. Z muzeum widocznie jakiegoś porwali te stroje, obecnie ich już tak teatralnie przedstawiające. Ale oni, widocznie nie zdają sobie

z tego sprawy i pewni są imponującego wrażenia, które wywierają na publiczność. Marna jakaś, zbierana drużyna, przygrywa orkiesterka, a za nią konnica na koniach odmastkach, kucych i ogoniastych, spędzonych z rozmaitych folwarków, ledwie z pługów wyprężonych. A jacy jeźdźcy? Ten w uniformie ułańskim, tamten w czapce baraniej z czerwonym denkiem i szerokich czerwonych lampasach u spodni kozackich, tamten nie zdążył jeszcze niczego zdobyć — w zwykłej huni ukraińskiej, zwykłym *orzku-rem* (rzemykiem) z surowca się podpasał, i szablicę widocznie od jakiegoś urzędnika lub kolejowego żandarma odebraną przytroczył do boku i kawał wstążki czerwonej do wysokiej swej baraniej czapy ukraińskiej przyczepił. Potem ciągną sterane szkapy, dział kilka, jedzie kilka wózków rekwirowanych z furazami i na tym defilady koniec.

Będąc długie lata w więzieniu sowieckim przeczytałem pewną ilość pamiętników; zdarzali się pamiętnikarze i z czołowych osobistości rewolucyjnych, jakże oni wydrwiwali nieraz wojskowość carską, co nie miała odwagi przeciwstawić się bojownikom rewolucji, co bywali często garstką w porównaniu z garnizonami wojskowymi, bez żadnego ekwipunku wojennego, wprost zbieraną hołotą, bez żadnej wojennej umiejętności, a jednak ci a nie tamci odnosili triumfy.

W pierwszych momentach rewolucji w Petersburgu — zdaje się, że są to słowa sławiącego się tam wówczas rewolucjonisty, z zawodu dziennikarza i Żyda, Stieklowa — kiedy rewolucjonistów, przeważnie fabrycznych robotników, zebranych było w okolicach Smolnego najwyżej szesnaście tysięcy, to samych oficerów i podoficerów w Petersburgu znajdowało się w tym momencie około 200 tysięcy — no niech połowa mniej — niech nawet o dwie trzecie mniej, a jednak oni nie wytoczyli armat i nie sformowali szeregu bagnatów przeciw tym, co ich w parę tygodni potem wprost wyrzynali, jak baranów w rzeźni. Jakaś psychoza władała narodem rosyjskim. „*Nie soprotiwłajsia złu*” Tołstoja kierowało umysłami większości. Zahipnotyzowani prasą i propagandą żydowską, byli widzami klęski swojej ojczyzny — do odpornego czynu ludzi brakło. Ustąpienie cara, klęska na froncie zachodnim były tym obuchem, jakim rzeźnik wali w łeb bydlę, by potem łatwiej nóż wsadzić mu w serce. Rewolucjoniści z narodem rosyjskim uporali się względnie łatwo. Po pierwszym oszołomieniu zjawił się wprawdzie Kornilow, Judienicz, Wrangel, Denikin, Kołczak; pewną hekatombę krwi ofiarnej Rosjan pobudzili oni do wylania, a nie wskórali niczego: rozkład duchowy w ich formacjach był tak wielki, że oficerowie

w kieliszku i kokainie topili rozpacz, a prosty żołnierz był już w anestezji od ogromnej dozy wchłoniętych hasań komunistycznych, jak od ogromnej dozy odurzającej narkozy. I dlatego nie dziwić się, że i takie wojsko sowieckie do Kijowa wkraczać mogło z dumną pozą zwycięzców, tym bardziej że za nimi sunęły na tyłach tysiące byłych żołnierzy i czepiających się do ich marszu ochotników. Bohuński, Taraszczeński, pułki naraz wypełniały swymi szeregami całe miasto. Kto oni byli, kto im przewodził odgadnąć było trudno, ale zrozumieliśmy i odczuliśmy od razu, że straszna czerń zalewa ulice, gmachy i domy prywatne. Od domu do domu przeleciała wieść, że mołojcy z tych pułków w pewien wieczór poczeli czynić „rewizję”. W ślad za rewidującymi szły ładowne wozy, na które zwalali wszystko, co im się w mieszkaniach ludzkich podobało i z jakiegoś względu przydatnym wydawało. Znikały więc srebra, obrusy, naczynia, wszelka odzież i męska i kobieca, znaleziona gotówka, szczególnie w złocie i srebrze, swoimi banknotami pomiatali i przenosili ponad nie papiery wartościowe i obligacje carskie; niszczyli portrety cesarskie i fotografie rodzinne oficerskie. Najjapczywszymi byli na zegarki, szczególnie kieszonkowe; ci, co przewidywali może, że zostaną komisarzami rzucali się na skórzane portfele i teki. Całą noc nie spałem oczekując i u siebie tej wizyty. Ale obeszli w pobliżu kościoła św. Aleksandra ogromny kwartał, kierując się ulicą Trzech Świętych, Wielką Żytomierską, Michałowską, ale kiedy tę kończyli i mieli powrócić na Kościelną, dzień się już robił, zmęczeni, syci łupów, na szczęście mojej „rewizji” zaprzestali. Ocalałem. Ale po południu zjawiono się kilku dla zarekwirowania moich koni. Żal mi się zrobiło bystronogich moich kasztanków, kiedyś mi podarowanych za mowę pogrzebową przez p. doktorową Żywanowską po śmierci jej męża, lekarza wojskowego przy formacjach już polskich. Ale co było robić — i karmić ich już prawie nie miałem czym. Wdałem się jednak w rozmowę z przywódcami rekwizytorami i okazało się, że przede wszystkim są głodni, więc pokarmiliśmy i ugościliśmy kieliszkiem. Język przywódcy się rozwiązał, dowiedziałem się, że jest adiutantem naczelnika kulomiotowej kompanii, rozlokowanej tuż w pobliżu przy ulicy Michałowskiej w domu parafianina mojego Leona Podhorskiego. Opowiedział też mi bez ogródek, że uważa siebie za wyjątkowo uzdolnionego i wyróżniającego się pomiędzy towarzyszami, że w wojsku — nawet na dziesięć tysięcy — ledwie znajdzie się jeden, który by z nim wytrzymał porównanie. Zagaduję więc go, skąd w nim tyle przymiotów? A on mi na to odpowiada też pytaniem: „A ty, towarzyszu księżę, ile lat się uczyłeś, nim zostałeś kapła-



nem?” — Odpowiadam, że lat czterdzieści. — A on: „No i wszystko *naprasno* (na próżno). Bo wam wszystkim po staremu nabijali Bóg wie czym głowy. Co innego z wykształceniem moim, gdzie wszystko przeszedł na praktyce”. Zaczyna mnie ta rozmowa wprost bawić, sonduję więc dalej i dowiaduję się, że mój interlokutor rozpoczął swoją życiową karierę od kuchcika w kuchni pierwszorzędnego hotelu w Charkowie, że potem postępował w karierze hotelowego posługacza dość rychło i że rewolucja go zastała na stanowisku kelnera restauracyjnego, gdzie posługując i przy wielkich kupcach i przy magnatach, oficerach, nawet generałach i przy sferze urzędniczej i profesorskiej wszystkiego w bród się naprzysłuchiwał i tym sposobem zdobył wiedzę wielką praktyczną, o jakiej byle wieśniak z jego kompanii naturalnie nawet marzyć nie może. Naturalnie nie oponuję i z wywodami tymi muszę się zgadzać, nawet z boleści milczę, kiedy w trakcie tych wyburzeń i wielkie bluźnierstwo w kierunku Matki Boskiej wrywa się z plugawej gęby. Ale udobruchany w końcu mi powiada: „Wiesz, towarzyszu księżo, pójdz do mego naczelnika kompanii, to może ci koni nie zabierze, kiedy posługujesz się nimi w jeździe do szpitali i chorych na tyfus plamisty”. Staje na tym, że ja z nim i z księdzem Bujalskim udajemy się do sztabu kompanii... Wchodzę na dobrze mi znane podwórze, zupełnie jakby się na nim odbywał małomiasteczkowy jarmark: pełno wózków ukraińskich i rosyjskich kibitek, rzą i biją się konie, stoją zdobyte na rzeź krowy i barany, pełno nie tylko mężczyzn, ale i kobiet dziwnie odpychająco wyglądających. Słyszę jak jedna z nich woła w kierunku oddalającego się plutoniku: „*A nie забуд', Wańka, rekwirował' mnie gdieniebud' botinki*” (Nie zapomnij, Janku, zarekwirować gdzieś dla mnie bucików)... Towarzysz adiutant prowadzi nas w kierunku oficyny, która była prywatnym mieszkaniem pp. Podhorskich i podprowadza nas do stołu, przy którym urzęduje sam p. naczelnik, wyłuszcza powód naszego przybycia i trochę jakby popiera naszą sprawę. Towarzysz naczelnik oświadcza, że w tej chwili jest zajęty, co i sam widzę, ale traktuje mnie dosyć przyjaźnie, powtarzając po kilka razy: „*No choraszo towariszcz ksiondz*”, a tymczasem prowadzi dyskusję ze swoim otoczeniem. A otoczenie to jakże charakterystyczne, jakby kubek w kubek odtwarzające znany obraz Repina z galerii muzeum Aleksandra w Petersburgu pod nazwą „*Narada kozacka*”. Sam naczelnik rozwalony w fotelu, na głowie droga — widocznie zdobyczna wysoka czapka karakułowa, a dalej jeszcze ubranie chłopskie. Przed nim prawie, trochę z boku dużego biurka, ale na nim siedzi dyndając nogami, zwrócony twarzą do mnie ogromne chłopsko, widocznie inten-

dent, bo wciąż krzyczy: „*U mnieńia stolko łoszadiej, stolko ludiej*”... (U mnie tyle koni, tylu ludzi...). Z drugiej krawędzi stołu, oparty o parapet okna, z piórem w rękę i nachylony nad papierem, w każdej chwili gotowy do rozpoczęcia urzędowego pisma, ale wśród tego chaosu płaczących się głosów nie orientujący się co właściwie napisać, siedzi blady, szczupły, milczący wysoki Żyd, ubrany w jasnobłękitny z białymi szamerowaniami mundur gwardzisty; a tu jeszcze dokoło biurka stoi i siedzi kilkanaście postaci, każdy to inny typ, ale doskonały tzw. „góloworieza” (ścincacza głów). Wszyscy mówią jednocześnie, jeden przekrzykuje drugiego. Wreszcie naczelnik, spostrzegając, że ja nic nie wiem o co chodzi, wyprowadza mnie łaskawie w tok dyskusji: „Bo oto widzisz towarzyszu księżę — powiada — u nas ze trzystu ludzi, kilkadziesiąt koni, a główna intendentura nam liczy taki drobiazg — tyle chleba, słoniny, kaszy i paszy, co nam na jeden zab” — a wszyscy wybuchają śmiechem — „to my im piszemy, ile nam rzeczywiście potrzeba”. — „No bardzo słusznie — powiadam — ale to długa sprawa, może towarzyszu zechcecie w międzyczasie załatwić moją”. — „No, powiedziałem — jednego konia zabieram, a drugiego pozostawiam dla posługi chorych”. — „Dziękuję bardzo, ale proszę mi to napisać, bo przyjdą inni i tego drugiego mi zarekwirują”. — „Ocho cho. Chciałbyś księżę, bym tobie jeszcze pisał, napisz sobie sam co chcesz, a ja podpiszę”. Nie ma rady, odchodzę od urzędowego stołu i idę w głąb mieszkania pp. Podhorskich szukać papieru i pióra; naturalnie gospodarza ani śladu, ale co za spustoszenie, co za ohyda wszędzie... Pod stołem resztki jadła, wywrócone wypite butelki, łóżka bez prześcieradeł, poduszki bez poszewek, zaduch niewietrzonych pokoi i smród palonej najgorszej machory. Wreszcie napotykam jakąś książkę, wyrywam z niej jakąś przy oprawie czystą kartę i piszę sobie urzędowo, że jeden koń u mnie zabrany, a drugi z postanowienia naczelnika kulomiotowej kompanii pozostawiony katolickiej parafii do użytku przy obłudze chorych. Naczelnik wcale nie czytając pisma coś ołówkiem wykonał w rodzaju podpisu i wyszliśmy z księdzem Bujalskim ze „sztabu”. A tu znowu obok nas staje znany adiutant i powiada: „Et głupstwo co on tam postanowił, niech ksiądz nam zaufa i na jutro pożyczmy nam swoich koni, bo jutro wykonujemy wielką paradę na placu obok pomnika Chmielnickiego; konie księdza są śliczne i bardzo nadają się na defiladę, a potem ja je księdzu zwrócę”. Nie mam wyjścia, więc się zgadzam i obiecuję jeszcze, że jeśli dotrzyma słowa, to dam mu kilka butelek wina. Z rana, kiedy mój stangret konie odprowadzał, to adiutant, troskliwy o dobro parafii, pożyczył

nam niewielkiego i nawet dobrego, ale z parchą na szyi, karego konika. Wieczorem zaś, kiedy z pięciu butelkami posłałem po konie, to mi je zwrócili, ale co najwspanialsze — nie chcieli przyjąć swego karego, mówiąc: „A na czorta on nam”. Wprost musiałem ich prosić o przyjęcie, że jest u kogoś zrabowany, a ponadto zarazy parchą i mógłby nią zarazić moje konie. A ja konie pasjami lubię. Był to zdaje się piątek; w niedzielę, kiedy ludzie wychodzą ze sumy i ja wracam po celebrze, raptem widzę, że nie przez bramę wjazdową, ale przez furtkę obok kościoła, jakieś draby wyprowadzają moje konie. Z paru parafianami podchodzę do stajni, mój furman z okrwawioną twarzą mówi, że przyszli, podrzucili mu paczkę naboń, jakoby przez niego przechowywanych i konie przemocą zabrali, a jego samego porządnie przy okazji potłukli. No, utrapienie mam z tymi końmi, dobrze że ich już nie ma, bo to jedna zgryzota ich posiadanie. Stangret jednak tej straty odżałować nie mógł; twarz obmywszy i oprzytomniawszy, znowuż sam poszedł do „sztabu” i o dziwo — szkapy przyprowadził. Ci sami, co go zbili, co mu inkrynowali kontrrewolucję podrzuceniem tych naboń — konie spokojnie oddali najgrzeczniej mówiąc, że to nie była żadna rekwizycja, tylko sposób wyłudzenia ode mnie jeszcze wina... I musiałem się znów opłacić winem, a konie co prędzej sprzedałem za bezcen spekulantowi, a właściwie oddałem za darmo, bo w tej walucie pieniądze rychło straciły swą wartość...

Po paru dniach, kiedy z gabinetu rzucam okiem na ulicę, aż struchlałem, gdy ujrzałem przywiązujących lejce do słupa latarnianego „adiutanta z naczelnikiem”. Stała piękna na gumach dorożka z zaprzężonym wspaniałym ogierem. Adiutant był woźnicą, a naczelnik panem. Za chwilę zadzwonili i weszli: „A my do ciebie, towarzyszu księżu. Chcieliśmy ciebie odwiedzić, a razem pokazać ci świeżo zdobyty ekwipaż i konia”. — „A piękne, wspaniałe. Widzę, widzę” — powiadam. Rozsiedli się na otomanie, ale w czapkach — a ja na to: „Możecie towarzysze zdjąć czapki, w pokoju ciepło”. Ulegle pozdejnowali. Mówią mi, że i Bohuńscy i Taraszczeńscy niezadługo opuszczą Kijów: „Już jesteśmy z grubsza zaopatrzeni i wyruszamy w pościg za nieprzyjaciółmi”. Myślę sobie: O dzięki Ci, Boże, ale tymczasem ukradkiem dzwonię na służącego, gdyż sam w ich towarzystwie pozostawać truchleję prawie. Każę podać wina i duże kielichy, jak do piwa prawie. Lokaja proszę, by nie odchodził i razem z gośćmi przysiadł się do poczęstunku. Wychylali duszkiem za moje zdrowie, potem powtórzyli za swoje i najgrzeczniej odeszli. Przed odejściem jeszcze naczelnik musiał mi się pochwalić pokazaniem pieczętki, gdzie było jego nazwisko i że

on tym wyszukany sposóbem, odciskając pieczęć na poduszeczce z tuszem, od razu, nie męcząc się podpisuje papiery. Naturalnie podziwiałem pomysłowość naczelnika. To nie byli źli ludzie, a tylko zbałamuceni, na wpół dzicy prostacy, mówili po rosyjsku z ukraińskim akcentem, pochodzili przeważnie z nadnieprzańskich małoruskich guberni. W masie bywali straszni, w pojedynkę dawali się obłąskawić. W salonie p. Julii Zdanowskiej w Grzebieniach, niedaleko od Rżyszczowa i Kaniowa szablami pocięli duże malowidło, doskonałą kopię Magdaleny Rubensa, mniemając, że to portret burżujki, ale jej samej z córkami nie zaczęli, gdy przeciwnie p. Hieronimowej Sobańskiej, czyniącej ze swego pałacu w Sumówce na Podolu zbrojną przeciwko nim cytadelę, nigdy nie przebaczyli i spotkawszy w Raszkowie nad Dnieprem jej męża i syna najokrutniej ich rozstrzelali. Siedmiu też księży w tym okresie na Kijowszczyźnie, Wołyniu i Podolu padło ich ofiarą, przeważnie gdy się sprzeciwiali rabunkowi. Był to okres bardzo straszny, pełen niepowetowanych nigdy klęsk i nieszczęść, podobny do gwałtownej niszczącej burzy, do szalejącego pożaru. Ale usystematyzowany komunizm — to dopiero ziemskie piekło. Ale o tym już w rozdziale następnym.

(*d.c.n.*)

*Ks. Teofil SKALSKI*

Mieczysław KRZEPKOWSKI

## WSPOMNIENIA DZIENNIKARZA Z CZASÓW OKUPACJI

(Wilno 1939-1941)

Po tułaczce na ziemiach wschodnich, która trwała do 5 października 1939 r., obraliśmy na chwilową przystań Wilno. Znałem je zaledwie z dwukrotnego w nim pobytu. Po raz pierwszy zetknąłem się z tym miastem, które tak bardzo się skojarzyło z Mickiewiczem, filomatami i filaretami, Zanem i „Dziadami”, jako młody dwudziestokilkoletni człowiek. Jakimś tam sposobem po wojnie 1920 r. dostałem przydział do 6 p.p.leg. i do Wilna zostałem wezwany jedynie raz na miesięczne ćwiczenia. Drugi raz przybyłem do Wilna na dwa czy trzy dni.

Ładne miasto, położone jakby na dnie ogromnego zielonego spodka. Ale oglądane w dżdżysty październikowy wieczór nie sprawiało miłego wrażenia. Ulice były puste. Pod ścianami przemykali się nieliczni przechodnie mimo, że była dopiero piąta po południu.

Marzyliśmy o jakimś dachu nad głową. Wyglądaliśmy napisu „hotel”. Spytaliśmy się wreszcie. Już nie pamiętam, na której ulicy znaleźliśmy hotel, łączący w sobie dodatkowo drugi cel użytkowy, jak to można było łatwo wywnioskować z widoku kilku uszminekowanych dziewcząt i młodych ludzi udających elegantów. Zażądano od nas 5 zł za pokój. Znaleźliśmy wreszcie inny, spokojniejszy przy ulicy Zawalnej i w dodatku tańszy.

Już następnego dnia spotkaliśmy znajomych: Grzegorza Załęskiego, Ukraińczyka, który pracował w *Ostatnich Wiado-*

mościach. Józefa Rosena z redakcji *Kina*. Henryk Liński zaraz złożył wizytę konsulowi litewskiemu, którego poznał w Warszawie jako radcę poselstwa litewskiego. Od tego konsula otrzymał szereg informacji, a przede wszystkim o rokowaniach litewsko-radzieckich w sprawie oddania Wilna Litwie. Na ten temat krążyły też wśród uchodźców pogłoski, że Litwa zajmie pas ziemi z Wilnem i Święcianami.

Z żywnością w Wilnie było tylko nieco lepiej niż w Pińsku, ostatnim naszym miejscu postoju przed Wilnem: mleko — 50 gr., kilo kartofli — 1 zł. Dobry obiad kosztował 2 zł. Wieczorem zapłaciliśmy 13 zł za jajecznicę, herbatę z mlekiem, cztery kawałki szarlotki. Mieliśmy pieniądze, bo Liński sprzedał złotą obrączkę za 150 zł jubilerowi Andrukowiczowi.

Grzegorz Załęski okazał nam wiele serca, zapraszając do swego mieszkania; mieszkali już u niego inżynierowie Forber i Greniewski oraz dziennikarz Henryk Wachberger, współpracownik *Czasu*. Nie długo mieszkaliśmy u Grzegorza, gdyż za 20 zł miesięcznie dostaliśmy pokój u pani Krahelskiej.

Zaczęliśmy się rozglądać.

A gazeta bardzo była potrzebna. Kiedyśmy przejeżdżali przez Baranowicze, wpadło nam w rękę jednokartkowe piśmko w trzech językach: rosyjskim, jidysz i w jakimś przypominającym polski. Zapamiętałem (i zanotowałem) wyrażenia: „oficerowie polscy uważali się za białą kość”. Naturalnie, nie ma co już mówić o straszliwej ortografii. W Pińsku natrafialiśmy czasem na *Poleską Prawdę* w wersji rosyjskiej i białoruskiej. W Wilnie wychodziła *Wileńska Prawda* po białorusku, ale dość trudno było na nią natrafić, podobnie jak na importowane z Moskwy *Izwestia* i *Prawdę* sprzed 4-5 dni albo i tygodnia.

Dni miały powoli. Drożyzna rosła, ale można było jeszcze dostać jajko za 20 gr, kilo mięsa kosztowało od 2 i pół zł do 4, kilo kartofli — 35 gr. Mąki jednak nie było i o chleb było bardzo trudno.

Przyglądaliśmy się od czasu do czasu antyfaszystowskim

---

Mieczysław KRZEPKOWSKI, ur. w Skarżysku-Kamiennej 16. II. 1900. Absolwent Wyższej Szkoły Dziennikarskiej w roku 1928 (Warszawa). 1922-1930 sekretarz wydawnictw Związku Nauczycielstwa Polskiego. Od 1930 red. nac. dziennika *Ostatnie Wiadomości*, od roku 1934 dziennika *Dzień Dobry*, od 1938 *Dziennika Powszechnego*. Autor licznych publikacji podróżniczo-przygodowych (pseud. M. Żyw., M.K., M.K. rz, mk, M. Żywicki, Michał Żywicki i inne). Zmarł w Warszawie 14 września 1971 roku.

demonstracjom ulicznym i słuchaliśmy okrzyków wznoszonych w języku polskim, rosyjskim i żydowskim.

Już 9 października Henio Liński „złapał” z Włoch informację radiową o zakończeniu rokowań radziecko-litewskich. Dopiero 11 października potwierdziło się to na miejscu. Rosjanie mają w szeregu miejscowości zachować swe garnizony, a dnia 13 października władze litewskie zajmą Wilno. Wiadomość tę uchodźcy przyjęli raczej z zadowoleniem. Liński udał się zaraz do konsula Trimakasa, ale niewiele tam się dowiedział.

Zaczęliśmy rozmowy z Latourem, czy po zajęciu Wilna przez Litwinów nie dałoby się uruchomić gazety. Były współpracownik *Polonii*, Waldemar Babinič, z którym zbliżyliśmy się w Wilnie, zaproponował, abyśmy rozpoczęli starania o wyjazd do Danii. Nie bardzo wiedziałem, jak się do tego zabrać. Z nudów zacząłem pisać jakąś powieść, opartą na przeżyciach wrześnieowych.

Liński słuchał codziennie radia i mówił mi, co usłyszał. Wysłuchał więc przemówienia Zaleskiego i streszczenia jego rozmów z Chamberlainem i Halifaxem. To wszystko działo się tak od nas daleko! Interesowaliśmy się głównie zasadą „niepodzielności pokoju” tzn., aby któreś z państw walczących nie zawarło pokoju z Hitlerem.

Nasze rozmowy na temat gazety tak się już posunęły naprzód, że planowaliśmy z Latourem skład redakcji, do której poza nim, Lińskim i mną miał wejść Rafał Mackiewicz oraz Załuski — Żyd, który by objął kronikę miejską.

13 października umarł w Wilnie Władysław Buchner, redaktor *Muchy*. Miał lat 80. Wyruszył z Warszawy tym samym pociągami, co i my. Wysiadł również pod Łaskarzewem i jakoś dobrnął do Wilna. O jego śmierci dowiedzieliśmy się zbyt późno, aby wziąć udział w pogrzebie. Już nie pamiętam, jaką drogą dotarła do nas ta wiadomość, bo o druku klepsydr trudno było nawet myśleć.

Przyszła oczekiwana sobota, ale o zajęciu Wilna przez Litwę nie było mowy. Jak dotychczas, dużo osób wyjeżdżało z Wilna i tyle samo przybywało. Mówiono nam w ową zapowiedzianą sobotę, że dwadzieścia tysięcy uchodźców wyjechało z Wilna i nie mniej przywędrowało. Dużo osób jeździło z Wilna do Lwowa i ze Lwowa do Wilna. Wielu szukało jakiejś szpary, aby się nią wydostać na zachód: z Wilna przez Litwę do Szwecji, ze Lwowa przez Rumunię do Francji. Inni szukali dróg na Węgry. Jeszcze inni przemysłali się do Warszawy lub

uciekali z Warszawy na Wileńszczyznę. Odbywały się ciche, a liczne aresztowania. Brakowało już w mieście mięsa, mąki i tytoniu.

Władze radzieckie zaczęły demontować i wywozić niektóre urządzenia. Ruchomości uniwersytetu miały, jak mówiono, wywędrować do Białegostoku. Rozmontowano dwie maszyny rotacyjne. U Latoura na razie tylko opisano dobrą maszynę płaską. Latour niecierpliwie więc wyglądał Litwinów, obawiając się wywiezienia maszyny.

Z dnia na dzień przesuwano datę zajęcia Wilna przez Litwinów. Wiązały się z tym coraz to nowe pogłoski. Dnia 16 października gruchnęła wieść, że Litwini będą odstawiali uchodźców do granicy. Skłoniło to niejednego do panicznej ucieczki z Wilna. Jeden po drugim zamykały się sklepy, a w tych, które nadal były otwarte, nie było nic do nabycia. Dwie maszyny rotacyjne i kilka płaskich wywieziono. Drukarnia Latoura jakoś ocalała. Dnia 16 wieczorem zniknęły autobusy miejskie.

Uchodźcy coraz bardziej głodowali. Tylko szczęśliwym trafem można było dostać kawałek kiełbasy w cenie 5 zł za kilo, Niektóre jadłodajnie wydawały obiady po 2 zł. Na obiad składa się bardzo wodnista zupa z kaszą i kawałek wygotowanego mięsa z kalafiorami.

Dnia 18 października, w środę, Wilnianie spodziewali się już wkroczenia Litwinów, wylegli więc dość tłumnie na ulice. Kręcący się żołnierze radzieccy żartowali:

— Czego się tu tłoczyć? Dosyć się jeszcze napatrzycie na Litwinów!

Dochodziły też wieści ze świata. Jakiś przyjezdny z Brześcia opowiadał, że po zajęciu miasta Niemcy wyznaczili godzinę policyjną na szóstą po południu. W dwa dni później wywiesili ponoć na magistracie kartkę, że godzinę policyjną przesuwają się na 4 min. 30. Oczywiście, nikt o tym nie wiedział. Punktualnie o 4,30 wyjechali żandarmi samochodami i na motocyklach, pędząc ludzi do domów. W śródmieściu złapano kilkadziesiąt kobiet, załadowano je do samochodów i zawieziono na dworzec. Tam w wagonie sanitarnym zrobiono każdej zabieg dezynfekcyjny i oddawano do sąsiednich wagonów żołnierzom na zabawę. Późnym wieczorem wypuszczono je do domów.

Wiele było opowiadań o paleniu wsi przez Niemców i ostrzeliwaniu z samolotów ludzi ratujących swój dobytek.

Z samego rana sterczeliliśmy z Lińskim w ogonku po gliniasty chleb razowy. Stawało się w kolejce już o piątej rano, a odcho-



dziło z chlebem koło ósmej. Ja w ogonku zacząłem uczyć się hiszpańskiego, Liński — litewskiego. Trzeba się było też zarejestrować w Komitecie Uchodźców, na którego czele stał adwokat wileński, Zagórski. Rejestrująca panienska poinformowała nas, że za kilka tygodni będzie można wyjechać do Francji.

Na własną rękę usiłowaliśmy zrobić spis naszych dziennikarzy, znajdujących się w Wilnie, biorąc również pod uwagę nie należących do organizacji. Zanotowałem nazwiska: Broncel, Swierzewski, Sobolewski (sprawozdawca wyścigowy), Miasztecki, Ukrainczyk, Kiersnowski, Klibański, Babinicz, Dąbrowski, Mierzejewski, Olcha, Zahorska. Skontaktowałem się z prezesem Syndykatu Dziennikarzy Wileńskich kol. Szydłowskim, proponując, aby — tutejsi dziennikarze i my, uchodźcy — zastanowili się wspólnie nad dalszym postępowaniem. Szydłowski obiecał w najbliższym czasie zwołać zebranie zarządu.

Dnia 21 spotkaliśmy się z przybyłą do Wilna Marią Zawadzką, członkiem zarządu Klubu Sprawozdawców Lotniczych. Przybyli ponadto: Bongart, Grzymała z *Gazety Polskiej*, Kazimierz Kretowicz z Pomorza, Kafel, Mikułowski. Ze Lwowa przywędrował Aleksander Maliszewski z żoną. Opowiadał, że przebywają tam: Grostern, Grek, Wajnryb, Saliński, Melodysta, że są w bliskim kontakcie z Syndykatem Lwowskim.

Chociaż Wilno sprawiało wrażenie umierającego miasta, władze litewskie nie przestały przygotowywać się do jego zajęcia. Gdzieś koło 22 konsul Trimakas otrzymał od swego rządu pełną władzę cywilną.

Litwinów nadal wypatrywaliśmy bezskutecznie. Tłumaczono, że formacje radzieckie nie wychodzą z Wilna, bo koszary w Mińsku nie są jeszcze gotowe. Od paru dni wisały w mieście chorągwie litewskie i mokły na częstych, przewlekłych deszczach. Brak władz poważnie ograniczał legalną migrację uchodźców: jedni chcieli jechać do Kowna, inni do Warszawy lub do Lwowa. Wielu nie liczyło się z legalnością i ci wędrowali na własną rękę. Ustaliła się nawet pewna taksa za nielegalny wyjazd: 6.000 litów przez Kowno do Francji lub Anglii, a przy tym podobno ustalono już oficjalny kurs lita: 1 lit = 5 zł = 2 ruble, czerwonec = 5 litów.

Nie mogliśmy marzyć o takiej sumie. Nie mieliśmy w ogóle pieniędzy i jedni drugich ratowali „pożyczkami”. Nas ratowała Marysia Zawadzka i Waldemar Babinicz. Ponadto wyprzedawało się co było można: obrączki, srebrne papierosnice (moja poszła za 20 zł chociaż kosztowała 150!).

U tzw. „czerwonego” Sztrala zbierało się nieznanie nam

towarzystwo, załatwiającej jakieś sprawy. W cukierni Rudnickiego — tylko zamożniejsza publiczność.

Inżynier Forber wpadł na pomysł założenia kursu spawania elektrycznego. Specjaliści byli poszukiwani. W ciągu dwóch miesięcy można było wyuczyć każdego. Chodziło o 12 osób przynajmniej. Kurs taki miał kosztować 50 zł. Musieliśmy zrezygnować z nauki ze względu na zbyt wysoką dla nas cenę.

Dopiero 27 października po dwutygodniowym wyczekiwaniu, rozeszła się wieść, że wojsko litewskie przekroczyło dawną granicę Polski i następnego dnia wkroczyło do Wilna.

W pochmurny, dżdżysty dzień nastąpiło to uroczyste wejście Litwinów. Widziałem cztery czołgi, kilku żołnierzy na motocyklach, siedmiu żołnierzy konnych. Na Zwierzyńcu miały się znajdować liczniejsze siły. Na placu Katedralnym stały za katedrą ciężarówki z żołnierzami radzieckimi. Na ulicy Mickiewicza, mimo niepogody, zebrało się dużo ludzi.

Defilada trwała długo. Odbierał ją na ulicy Mickiewicza gen. Witkauskas. Rzeczono miała ona odbyć się na placu Katedralnym. Przeniesienie ośrodka defilady tłumaczono tym, że za dzwonicą stało kilka samochodów ciężarowych z żołnierzami radzieckimi, uzbrojonymi w karabiny z nasadzonymi bagnietami. Ludzie opowiadali sobie, że ci sami żołnierze litewscy jeżdżą w kółko i dlatego defilada trwała aż do zmierzchu. Być może, że tak było. Żołnierze paradowali w hełmach, podobnych do szturmowych hełmów niemieckich, ale w uniformach zupełnie przypominających umundurowanie naszych żołnierzy.

Z armią litewską przywędrował Leopold Marschak, który z początku był w Wilnie i przedostał się do Kowna oraz Orzech z *Dziennika Ludowego*. Marschak mówił nam o tym, jak bardzo trudno wydostać się z Litwy na zachód. Liński nawiązał rozmowę z urzędnikiem litewskiego MSZ, Junavitskasem, którego poznał w Warszawie. Na czele Wileńszczyzny postawiono Antoniego Merkisa, burmistrza Kowna, który nie tak dawno gościł w Warszawie.

Z okazji zajęcia Wilna Litwini wypuścili parę jednodniówek: „Nasza Depesza” po polsku i po żydowsku — „Niech żyje Litwa”. Ukazało się specjalne wydanie kowieńskiego dziennika *Lietuvos Aidas*, które zresztą nie znalazło popytu w Wilnie, mało bowiem było tam Litwinów.

Wpadło mi też w tym czasie w ręce kilka dzienników warszawskich, między innymi *Kurier Czerwony* z 19 września. Widziałem z podpisów, że pisał Kazimierz Pollack (kp), Karolina Beylinówna (kb). Numer zawierał wiadomość o śmierci

aktora Hnydzińskiego, który zmarł od oparzeń, spowodowanych przez bombę zapalającą, senatora T. Karszo-Siedleckiego, literata Potockiego, o zbombardowaniu zamku i śmierci jego kustosza od wybuchu bomby.

Przy okazji przyjazdu do Wilna korespondentów zachodnich dziennikarze nawiązywali z nimi kontakty. Mieliliśmy trochę żalu do Broncla za niektóre sformułowania w rozmowie z przedstawicielami *Petit Parisien* i jakiegoś pisma amerykańskiego. Przy rozmowie obecny był Liński i on to mówił mi o owych niedokładnościach. Nie pamiętam, czy nie chodziło o akcenty antyżydowskie, czy też o takie, które tak zrozumiał Liński.

Oczywiście, wzmógł się też ruch wśród dziennikarzy. Przyjechał Kobyłecki ze Lwowa z wieścią, że Rogosz z *Gazety Polskiej* wpadł w melancholię. Regnis, czyli Bernard Singer z *Naszego Przeglądu*, ujawnił się teraz, bo siedział w Wilnie właściwie od dziesięciu dni, ale nie pokazywał się, bojąc się aresztowania. Twierdził, że NKWD specjalnie czyhało na niego. Wyjechali do Warszawy Stanisław Majewski i Olchowicz. Spotkałem też cichego, szczupłego Lubierzyńskiego, sprawiającego wrażenie jakby się ustawicznie usuwał każdemu z drogi; był to człowiek wielkiej prawości i uczciwości; ciążył ku mistycyzmowi.

Poznałem wówczas dyrektora Rosnera, organizatora międzynarodowych festiwali muzycznych i tanecznych. Zupełnie już siwy, kiedyś zapewne przystojny, miał zawsze niemało gotówki. Otaczał się aktorami i aktorkami. Przebywał przeważnie na zachodzie, w Polsce znalazł się bodaj przypadkiem. Rozmowny, pewny siebie, dużo mi opowiadał, a między innymi o tym, że był u... wróżki, podobno żony byłego generała rosyjskiego. Naplotła mu o wielkich sukcesach Związku Radzieckiego i Niemiec, twierdziła, że Polska będzie wskrzeszona dopiero za lat pięćdziesiąt. W przeżywanych przez nas tragicznych chwilach nawet bzdurne wróżby wpływały na humor ludzki. Przepowiednie jednak owej znakomitej wróżki niewielkie na mnie zrobiły wrażenie.

Dużo godzin przesiadywało się nadal u Sztrala i słuchało plotek. Ktoś przybyły z Warszawy opowiadał, że Umiastowski, który ogłosił przez radio słynny apel o opuszczenie Warszawy przez mężczyzn zdolnych do noszenia broni, został aresztowany i rozstrzelany jako szpieg. Głośno mówiono w Warszawie, że cały ten apel był dywersją wroga: niedość, że szosy już przepełniali uchodźcy, to apel Umiastowskiego wypędził nowe ty-

siące z Warszawy i wzmógł panikarską gorączkę. Tłumy ochotników oblegały Komendy Uzuppełnień, a te nie miały broni i nikogo nie brały do szeregów, stąd więc myśl, że ci, którzy pójdą na wschód dostaną broń i umundurowanie.

Natrafiliśmy na jakiegoś młodego podchorążego, który przeżył oblężenie w Warszawie. W mieście zgromadziło się, jak mówił, ponad 300.000 żołnierzy z rozbitych dywizji. Wszystkie ataki niemieckie były odparte z dużymi dla Niemców stratami. W jednym z ataków, w którym brało udział 200 czołgów hitlerowskich, rozbito ich 80. Ostatnie trzy dni były najcięższe, a zwłaszcza ten, kiedy obrońcy Warszawy szli składać broń na placu Krasiańskich. Naokoło pożary. Ostatnie prezentowanie broni przed grobem Nieznanego Żołnierza na placu Marszałka. Na placu Krasiańskich jeden z oficerów palnął sobie w łeb. Żołnierze rozchodzili się. W czasie bombardowań zginęło co najmniej 60.000 osób.

Człowiek wybiegał myślą do swoich... Przybyły niedawno z Warszawy Orzech, który wyjechał za ledwie w czwartek, widział moją rodzinę żywą. Wraz z nim przybyli dwaj nowi dziennikarze: Zagórski z *Gazety Polskiej* i Rawicz z *Republiki Łódzkiej*.

Uroczystości połączone z zajęciem Wilna trwały i następnego dnia, w niedzielę 29 października. Zawieszono sztandar litewski na zamku Giedymina, urządzono defiladę na placu Katedralnym, pełnym kałuż i błota. Wokół baszty zamkowej krążyła awionetka RWD ze znakami litewskimi. Wieczorem iluminowano katedrę, a na baszcie zapłonęły lampki elektryczne, tworząc litery SLK (*Sveiki Lietuvinske Karionome*).

Zaczęliśmy bardziej konkretnie myśleć o wyjeździe. Kolega Babinicz proponował pomoc, ale piętrzyły się ogromne trudności formalne. Przemycano i słusznie, przede wszystkim lotników i ludzi wyćwiczonych w broni pancernej. Obok planowania wyjazdu trzeba też było myśleć o doraźnym organizowaniu życia. Postanowiliśmy utworzyć samopomoc dziennikarzy i literatów. Na zebraniu u jednej z koleżanek, nie pamiętam już u której, wybraliśmy wydział wykonawczy. Dziennikarze wybrali: Marię Zawadzka, Henryka Lińskiego i mnie. Uzyskaliśmy jakiś stolik w Komitecie Uchodźców i wyznaczaliśmy przyjęcia na godzinę czwartą po południu w cukierni Rudnickiego. Cukiernie Sztralów i Dormana zostały zamknięte wobec nieustalenia relacji lita do złotego.

Samochodami, otoczonymi konną policją przyjechało w

poniedziałek z Kowna grono panów w cylindrach. Być może, że pomiędzy przybyłymi był też wielkorządca Merkis.

We wtorek 31 października wybuchły w Wilnie awantury. Według relacji, które udało mi się zebrać, jacyś osobnicy zaczęli podburzać ludzi stojących w ogonkach po chleb, aby nie płacili 90 gr. za kilo. Nie było chyba tak trudno o posłuch, kiedy jeszcze wczoraj płacono 40 gr, onegdaj 35, a trzy dni wstecz nawet 20 gr. Policja chodziła po piekarniach i nakazywała sprzedawać chleb po 50 gr albo po 25 centów. Ogromna większość sklepów była zamknięta, w otwartych sprzedawano według relacji 1 lit = 5 zł, w innych 1 lit = 8 zł, w Kownie bowiem dawano 12 centów za złotówkę. Jakies szumowiny zaczęły wykorzystywać zamieszanie, kierując je przeciwko Żydom. Bito ich na ul. Mickiewicza, tłuczono szyby w dzielnicy żydowskiej, wdzierano się do mieszkań, pruto poduszki, wyrzucano pierze. Policja i żołnierze ruszyli na tłum. Dano parę salw. Zwłaszcza na ulicy Niemieckiej wybito dużo szyb: chodziło się tam po grubej warstwie szkła. Kiedyśmy z Lińskim dotarli do Niemieckiej, było tam już spokojnie. Na ulicy stał czołg i karetka Czerwonego Krzyża. Na Sadowej ujrzelśmy kałużę krwi. Na Mickiewicza jakieś wyrostki wyciągnęły z dorożki pasażera Żyda i ciężko go pobiły rozkradając przy okazji jakieś jego towary. Policja litewska rzuciła się na pomoc pobitemu, tłukąc pałkami i kolbami karabinów każdego, kto się tylko nawinął. Aresztowano też kogo popadło.

Zamieszki trwały do piątej po południu. Wobec braku informacji prasowej, po mieście krążyły niełatwe do sprawdzenia pogłoski o zamordowaniu czterech studentek, policjanta litewskiego i żołnierza. Inni opowiadali, że baby pobiły policjanta oraz że żołnierza tylko poturbowano, ale nie zabito.

„Maistas” — litewska spółdzielnia spożywców, dostarczyła już wygłodzonemu miastu nieco produktów: masło po 8 zł za kilo, jaja po 30 gr sztuka, skondensowane mleko po 2 zł, boczek, smalec, szynkę, kiełbasy. Żywność sprzedawały nieliczne tylko sklepy, więc tworzyły się przy nich kolejki, liczące setki osób.

Ukazało się wreszcie ogłoszenie Ministra Skarbu, ustalające, że za 1 lita płaci się 2 złote. Otworzono więc niebawem cukiernie, ale szklanka herbaty kosztowała już złotówkę zamiast 50 gr. U Dormana mały kawałek czarnego chleba z cieniutkim plasterkiem sera lub dwoma jeszcze cieńszymi plasterkami kiełbasy sprzedawano po złotówce, ale za to herbata była tam tańsza, bo kosztowała tylko 70 gr.

Złożyliśmy z Lińskim wizytę żydowskiemu Towarzystwu Ochrony Zdrowia (TOZ) przy ul. Sadowej. Dzięki opiece tego towarzystwa dziennikarze i literaci żydowscy mogli urządzić się całkiem znośnie.

W środę o godz. 6 wieczorem odbyła się znów manifestacja przed gmachem województwa. Grupa młodzieży wznosiła okrzyki: — precz z Litwą! Dajcie nam Sikorskiego!

Policjant złapał jakiegoś wyrostka, ale demonstranci zaraz go odbili. Jakiś przejeżdżający żołnierz wystrzelił na postrach w powietrze. Przyjechało kilku konnych policjantów, ale manifestujący już się rozbiegli.

Litwini nadal wydawali codziennie jednodniówki. Ukazały się: Witaj Litwo, Niech żyje Litwa, Braterstwo. Dnia 1 listopada nie ukazała się żadna, ponoć z braku papieru. Do Wilna zaczęło dochodzić z Rygi *Sjegdnia*, sprzedawane po złotówce. Było to pismo starannie redagowane. Otrzymałem numer z przemówieniem Mołotowa, które poświęcił Niemcom, były też informacje o propozycjach radzieckich złożonych Finlandii, o zmianach w rządzie włoskim.

Litwini usiłowali wprowadzić stopniowo porządek. Ukazały się zarządzenia o podwojeniu zarobków w złotych, o godzinach otwierania sklepów, o zamianie złotych na lity. Na tle cen od czasu do czasu dochodziło do awantur. U Sztrala publiczność zbuntowała się. Wezwano policjanta, który kazał brać za herbatę 70 gr, nie złotówkę, a za ciastka 50 gr. Wszyscy obecni uregulowali należność według tych cen i wyszli.

„Maistas” przywoziła żywność z Litwy, mającej znakomite spółdzielnie, w skład których wchodziłi zamożni gospodarze. Bodaj nie było tam małorolnych. Oprócz „Maistas” (mięso) działała „Pienocentras” (spółdzielnia mleczarska). Obie miały znakomite produkty, ale sprzedawało je niewiele sklepów. Toteż zawsze tworzyły się przy nich olbrzymie kolejki, a w tych warunkach łatwo było o niesnaski, które w sposób brutalny uśmierzali policjanci litewscy. Byłem np. świadkiem, kiedy przed sklepem na ul. Zamkowej policjant wyrzucił pałką w głowę jakiegoś człowieka, który zachowywał się zupełnie spokojnie.

Dnia 2 listopada za zezwoleniem Merkisa odbyła się po południu wielka manifestacja na cmentarzu na Rossie, gdzie pochowano serce Piłsudskiego. Zebrało się dużo osób, wszystko jednak miało spokojny przebieg.

3 listopada poszliśmy z Lińskim i Latourem do min. Merkisa. Oficjalnie, w imieniu dziennikarzy-uchodźców, prosiliś-

my o azyl, a Latour o zezwolenie na wydawanie gazety. Merkis postawny, przystojny siwy pan, wydał mi się przemęczony. Z pewnością nie miał łatwego życia! Przyjął nas mile. Rozmawiał swobodnie po polsku. Co do gazety, obiecał za kilka dni udzielić odpowiedzi.

Następnie udaliśmy się do Trimakasa, który przy Merkisie kierował sprawami uchodźców. Obiecał Latourowi poparcie w sprawie wydawania gazety, a dziennikarzom-uchodźcom — ułatwienia wyjazdowe. Dokąd? Odpowiedź na to pytanie raczej wisiała w powietrzu. Z pewnością nikt z kolegów-Żydów nie myślał o wyjeździe pod panowanie hitlerowskie.

Sprawa gazety obchodziła nie tylko Latoura, ale i nas, widzieliśmy w niej bowiem możliwość zahaczenia się choćby czasowego. Nie mieliśmy już co sprzedawać. Doraźnie poratował nas Babinicz pożyczką 30 złotych. Odżywialiśmy się bardzo nędźnie, prawie samym chlebem. W butach chlupała nam woda. Marziliśmy w letnich sakpaltach... Chodziliśmy na ulicę Jagiellońską czy Zawalną, gdzie jako uchodźcy z początku mogliśmy dostać talerz zupy za 35 gr, a wkrótce potem już za 50 gr. Były to jakieś krupy gotowane na mięsie. Na początku listopada władze litewskie, nie mogąc czy nie chcąc opanować sytuacji na rynku artykułów spożywczych, zapowiedziały wprowadzenie kart żywnościowych. Może tą drogą chciały wyeliminować z akcji wyżywienia darmozjadów — uchodźców?

Jeśli chodzi o gazetę, to mając już nawet zezwolenie na jej wydawanie, niełatwą sprawą była jego realizacja, gdyż 500 arkuszy papieru kosztowało 13 litów, a zecerowi trzeba było płacić 96 litów tygodniowo. Niewiele pozostawało po pokryciu kosztów druku, farby i papieru zwłaszcza, że trudno było liczyć na większy nakład.

W dniu, w którym składaliśmy wizyty, ukazał się pierwszy numer *Kuriera Wileńskiego*, wydany przez dziennikarzy wileńskich. Dobry artykuł wstępny, reportaż z obrony Warszawy, cennik wileński z omówieniem. Wyeksponowano na pierwszej kolumnie układ sowiecko-litewski i przemówienie Mołotowa.

O wydawaniu pisma myśleliśmy wszyscy, ale koledzy wileńscy mieli naturalnie pierwszeństwo. Sprzedawali numer za 40 gr lub 20 centów. Papier mogli dostać tylko za lity i to z trudem. *Kurier* często więc wychodził na kolorowym papierze.

Nastroje były kiepskie. Leopold Marschak siedział w Kownie i radził kontynuować w Wilnie zabiegi o wydawanie pisma. Sam z pewnością sondował możliwości wyjazdu na Zachód, ale widocznie nic z tego nie wychodziło. Aktorzy —

Perzanowska i Chmielewski, z którymi byliśmy w kontakcie — planowali powrót do Warszawy.

Dowiedzieliśmy się o pobycie jakiejś misji amerykańskiej w Kownie. Lińskiemu udało się wybrać do Kowna i zetknąć z tą misją. Znalazł w niej swego znajomego, P. Redferna, warszawskiego korespondenta *Time*. Redfern zaprosił Lińskiego na obiad i zapowiedział swój przyjazd za tydzień do Wilna. Dał Lińskiemu jednego funta, ćwiartkę masła, trochę chleba, mięsa.

Nasz kolega nie dowiedział się od korespondentów rzeczy, które by mogły budzić nadzieje. Sądził oni, że wobec braku żywności, za trzy miesiące „całe Wilno będzie stać w kolejkach po chleb”.

6 listopada wybraliśmy się znowu do Trimakasa, który oświadczył nam, że uchodźcom nie będzie się zmieniało złotych na lity i że nie wolno jeździć do Kowna. Natomiast zarówno on, jak i kierownik wydziału prasowego (a może politycznego?), Czeczota, b. wicekonsul, robili pewne nadzieje, że uda się uzyskać zezwolenie na wydawanie pisma.

Wiedzieliśmy, że *Kurier Wileński* jest pod ścisłą cenzurą i źródłem wiadomości były nadal pogłoski albo wręcz plotki. Krążyły więc wieści o runie na sklepy w Kownie, o spadku wartości lita na rynku, o starciach sowiecko-niemieckich, o bliskim wybuchu wojny fińsko-sowieckiej, o dążeniu Niemiec do uzyskania protektoratu nad Litwą.

Kiedy dostaliśmy funta angielskiego, sądziliśmy, że będzie to ze 100 litów, a na czarnej giełdzie funt równał się już wtedy 2.000 zł.

Czarna giełda walutowa mieściła się na Rudnickiej. Stały tam po bramach gromadki Żydów, którzy handlowali walutami. Za funta proponowali nam 300 zł. Wydawało mi się to mało, a ponadto obawiałem się, że w jakiś sposób zostaną oszukani i stracę nasz jedyny banknot. Niestety, ani Liński, ani ja nie mieliśmy talentów kupieckich!

Liński rozpoczął starania o przepustkę do Kowna łącznie z Singerem. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że Sekcja Żydowska dziennikarzy była u Merkisa i uzyskała legalizację.

Kilka osób spośród nas, a więc Maliszewski, Liński, Maria Zawadzka, odbyło rozmowę z Przyłuckim, prezesem żydowskiego Pen-Clubu oraz z członkami Sekcji Żydowskiej — Szefnerem, Rosenem i kilku innymi osobami. Postanowiliśmy wystąpić o globalną wymianę złotych na lity i w tej sprawie Zawadzka miała się udać z Przyłuckim do odpowiednich władz.

Istniejące wśród nas napięcie nerwowe potęgowały coraz to



nowe plotki. Dnia 8 listopada doniesiono nam o starciach sowiecko-niemieckich. Już od trzech dni było słycać strzały artyleryjskie na granicy w rejonie Białegostoku i Grodna. Mówiono o bliskim wkroczeniu Niemców do Wilna, ale jednocześnie tłumaczono tę plotkę chęcią wystraszenia z Wilna Żydów-uchodźców. Rozpoczęły się też szeptania na ucho, aby „nie uciekać od złotego”.

Dnia 9 listopada dowiedzieliśmy się z radia, że Hitler w przeddzień przemawiał w Monachium, a w pół godziny później wybuchła w tym miejscu bomba, zabijając dwie osoby, 33 zaś raniąc.

Zaczęliśmy rozmowy z Komitetem Uchodźców, żeby ułatwić nam zorganizowanie stołówki dla dziennikarzy i literatów. Ale jakoś mijały dni i obietnice pozostawały obietnicami.

Liński dostał przepustkę i znów wyjechał do Kowna, aby tam może dogadać się z amerykańską misją pomocy i Czerwonym Krzyżem.

11 listopada, w rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę, Wilno przybrało odświętny wygląd. Kościoły były przepełnione, na ulicach tłummy. Dzień jednak przebiegł w zupełnym spokoju.

Najszybciej udało się zorganizować aktorom. Właśnie z okazji tego święta odbyła się wieczorem rewia teatralna. Występował Conti, Żejmówna, śpiewał Garda (z czarną opaską na oku). Sala była przepełniona. Tego samego dnia Merkis wygłosił przemówienie, w którym powiedział, że Polacy nie zdają sobie sprawy ze zmiany sytuacji politycznej, może jednak pozwolić im na świętowanie dnia 11 listopada w takich samych rozmiarach, jak kiedyś Polacy pozwalali Litwinom obchodzić ich święto narodowe. Nie słyszałem tego przemówienia, ale relacjonowano mi je obszernie.

Czekałem na powrót Lińskiego, któremu nie sporo było wracać. Niewiele mógł załatwić. Napisał tylko pocztówkę, że przywiezie paczkę od Redferna. Dobrze było o tym wiedzieć, kiedy chodziło się o pustym brzuchu.

Dnia 13 listopada odbyło się zebranie naszej grupy. Obecnych było przeszło 20 osób. Ostro krytykowano Komitet Uchodźców, na czele którego stał adwokat Zagórski, profesor Pelczar i p. Petruszewiczowa. Zarzucano im przede wszystkim, że starają się oszczędzać. Ponoć otrzymali od władz sowieckich 100.000 zł, a wydali tylko 3.000 i to na administrację. Nie wiem w jakim stopniu zarzuty te były słuszne. Komitet nie miał, oczywiście, łatwego zadania, gdy chodziło o wielką gro-

madę ludzi podenerwowanych, niezatrudnionych, a naciskany był na pewno przez Litwinów, którzy chcieli jak najszybciej rozładować napięcie, stwarzane przez uchodźców, nie mogących pogodzić się z klęską Polski. W tym stanie rzeczy koledzy — Żydzi poradzili nam, abyśmy nawiązali rozmowy z Jointem. Beckelman, przedstawiciel tej organizacji, potraktował nas z całą przychylnością i skierował dla ostatecznych rozmów z miejscowymi działaczami, Gitermanem i Matzem. Joint postanowił, że założy nam internat w lokalu, który mieliśmy wyszukać, i będzie finansował stołówkę, dostarczając artykuły żywnościowe.

Sprawa stawała się pilna. Litwini ogłosili, że złotówki wycofuje się z obiegu. Za mąkę, którą wydawano na kartki, żądali tylko litów. Jednocześnie w prasie litewskiej poczęły się ukazywać artykuły o Polsce w coraz bardziej nieprzyjemnym tonie.

Dnia 15 listopada o godzinie pierwszej w nocy Wilno zostało tak pocięte kordonami, że z jednej części miasta nie można było przedostać się do drugiej. Na mieście poruszenie. Okazało się, że odbywa się przesuwanie wojsk sowieckich. Litwini obawiali się, jakiejś niespodzianki ze strony Wilnian. Oczywiście, nie odbyło się bez plotek, że są to przygotowania do akcji przeciw Niemcom.

Wynajdywaliśmy sobie różne zajęcia. Pisałem jakąś powieść uchodźczą, układaliśmy żywy dziennik i na ten temat Aleksander Maliszewski rozmawiał z kierownikiem teatru, Kielanowskim. Próbowałem pisać jakiś utwór sceniczny. Jednocześnie koledzy z *Kuriera Wileńskiego*, chcąc nam przyjść z pomocą, zaproponowali dorywczą współpracę.

Dopiero po ośmiu dniach Liński wrócił z Kowna. Przywiózł paczkę żywnościową.

Zajęliśmy się żywo zrealizowaniem propozycji Jointu. Znaleźliśmy przy ul. Zygmuntowskiej obszerny lokal po Związku Nauczycielstwa Polskiego za 175 litów miesięcznie. Joint obiecał nas przyodzianić, a więc mieliśmy otrzymać ciepłe palta i obuwie. Zaczęliśmy rozglądać się za umeblowaniem, a przede wszystkim za łózkami. Wyszukaliśmy 7 dość kiepskich łóżek, 20 nowych stolików, 2 duże stoły i trochę krzeseł. Internat zaczynał nabierać „rumieńców życia”.

Joint wyasygnował nam 1000 litów na dalsze urządzenie — na garnki, naczynia, narzędzia.

Dnia 23 listopada było święto armii litewskiej. Odbyła się defilada. Nad miastem latało 9 „erwudziaków” i 3 zdaje

się „karasie”. Jeden z lotników robił dobrą akrobację. Defiladę odbierał gen. Rasztkis. Policja litewska, specjalnie czuła na kpinki antylitewskie, aresztowała kilka osób spośród przyglądających się defiladzie i robiących uwagi.

Krzętailiśmy się dalej. Młodego Mieczysława Kafła, byłego pracownika Polskiej Agencji Agrarnej, zrobiliśmy gospodarzem. Towarzystwo Literatów postanowiło oddać nam bibliotekę i urządzenia biurowe. Dyrektor Kochański przekazał 12 krzesel od aktorów.

Dnia 15 listopada ukazał się numer *Słowa*, który wydali Józef Mackiewicz brat Cata, i adwokat Szyszkowski.

Tęgi przymrozek skuwał od kilku dni ziemię i popadywał śnieg. Dnia 26 już dość grubą warstwą pokrył dachy i ulice.

Przyjechała tego dnia narzeczona Broncia, Alina Kwiecińska, córka Franciszka, byłego dyrektora drukarni „Ars” w Warszawie, przy ul. Siennej, gdzie drukowaliśmy *Ostatnie Wiadomości*. Wędrowała z Warszawy 8 dni. Przyniosła nieco wiadomości o kolegach, o tym, że Hieronim Wierzyński, Stanisław Majewski, Mirosław Borkowski siedzą w więzieniu, że Roman Wasilewski zmarł w szpitalu po tym, jak pocisk urwał mu nogę podczas obrony Warszawy.

Pod koniec listopada zaczęliśmy uruchamiać internat. Mimo spraw związanych z internatem, rozmów z literatami wileńskimi, którzy chcieli jakoś utrzymać swój lokal i gotowi byli przyjąć kilku uchodźców na mieszkanie, miałem jeszcze dość czasu, aby pisać. Napisałem w tym czasie jakiś trzyaktowy reportaż sceniczny w kilku odsłonach. Nie dochował się i nie wiem, co się z nim stało. Był też czas na słuchanie radia i zbieranie wiadomości oraz pogłosek.

Wiadomości głosiły o wybuchu wojny fińsko-sowieckiej. Wywołało to duże wrazenie. Armia sowiecka zaczęła bombardować Helsinki, Wyborg, Abo.

W Kownie Litwini aresztowali Orzecha i odstawili go do granicy, co groziło mu, jako Żydowi zamordowaniem przez hitlerowców. Wskutek interwencji posła amerykańskiego zabrano go znad granicy, ale zatrzymano w więzieniu.

W końcu listopada zarobiliśmy z Lińskim 27 litów za dwa artykuły, zamieszczone w *Kurierze Wileńskim*. Ja napisałem o tym, jak znaleźliśmy się w Wilnie, Liński ogłosił wywiad z posłem amerykańskim w Kownie.

1 grudnia internat został oficjalnie otwarty. Odwiedzili go poseł amerykański z Redfernem, przedstawicielami Komitetu Uchodźców — Pańskim i Petruszewiczową oraz przedstawicie-

lem Litewskiego Czerwonego Krzyża, Szeiniusem. Następnego dnia odwiedzili nasz internat współpracownicy *Gazety Codziennej*, która zamieściła artykuł o naszym internacie oraz dziennikarze z pisma *XX Wiek* z Kowna. Przedstawiciel *XX Wieku* był żołnierzem polskim i brał udział w obronie Modlina.

Na początku stołówka wydawała 30 obiadów, a w internacie zamieszkało 16 osób. Liczby te szybko wzrastały już 5 grudnia mieliśmy zarejestrowanych około 90 osób, obiadów wydawało się około 50 i mieszkało 20 osób.

Kupiliśmy gruby zeszyt, aby prowadzić w nim kronikę internatu, jak gdyby miał on istnieć co najmniej przez kilka lat! Zeszyt ozdobił rysunkami Łuckiewicz. On też urządził w internacie pierwszą wystawę prac-akwareli wywieszonych w jadalni. Codziennie wieczorem Liński, znakomity poliglota, referował wiadomości, które udało mu się złapać po angielsku, francusku, włosku, niemiecku, hiszpańsku, rosyjsku... Tak to życie internatu wkraczało na „normalne” tory.

Teraz dopiero zainteresował się nami Komitet Pomocy Uchodźcom. Być może, że zainteresowanie to zostało wywołane przez nasze dawno złożone podanie o przydział żywności. Dnia 7 grudnia zjawił się na Zygmuntofskiej p. Puhacz, żeby przyznać nam żywność dla 18 osób. Nie mieliśmy oczywiście zamiaru rzec się naszych opiekunów z Jointu.

Dnia 8 grudnia, chcąc uczcić wielki wkład pracy Marii Zawadzkiej przy organizowaniu internatu i stołówki, zebraliśmy na pantofle dla niej skromną sumkę 30 litów. Jej własne spadały już z nóg, głównie dlatego, że tak bardzo nabiegała się w naszych sprawach. I tego samego dnia stojącą na chodniku koleżankę Zawadzką uderzył przyczepą motocykla jadący po kawalersku żołnierz sowiecki. Marysia dowlokła się jakoś dorożką na Zygmuntofską, a stamtąd zabrała ją karetka do szpitala św. Jakuba. Okazało się, że ma złamaną nogę w udzie. Tak została wytrącona z „szeregów” najenergiczniejsza obok Ignacego Klibańskiego (z *Robotnika*) łączniczka z Jointem. Marysia, chociaż pracowała w endeckim piśmie, nie ujawniała nigdy jakichś antysemickich nastrojów. A i nasi koledzy — Żydzi bez złośliwości żartowali z „endeczki”, tak kumającej się z Żydami!

Ignacy Klibański, niewielki, bardzo czupurny, ale ogromnej zacności kolega, mówił po polsku z wyraźnym akcentem żydowskim, ale pisał dobrze. On też robił co mógł, aby nakłonić

Joint i gminę żydowską do udzielania pomocy polskim dziennikarzom, literatom i artystom.

Graficy ozdobili nam lokal, zwłaszcza kol. Łuckiewicz, znakomity papieroplastyk i drzeworytnik.

Odwiedził nasz internat prof. Muszyński, świetny „zielarz”. Przyniósł nam torbę soi, zachęcając do spożywania i obiecał trochę leków ziołowych. Koło Przyrodników i Geografów Uniwersytetu Stefana Batorego ofiarowało nam trochę książek, dwie szafy biblioteczne, stoły, 7 krzesel.

W dniu 11 grudnia otrzymałem pierwszy list z Warszawy. Dowiedziałem się z niego, że wszyscy moi bliscy żyją z wyjątkiem Karola Szustra, który zmarł na rozpadową gruźlicę. Wielka przyjaźń łączyła mnie z tym świetnym pianistą.

Na parę dni przed moim wyjazdem z Warszawy, już po wybuchu wojny, Karol dał znakomity koncert dla mnie i mojej siostry w składzie fortepianów swego znajomego przy ul. Chmielnej. Chociaż nie znam się na muzyce, byłem oczarowany.

Rozpamiętywałem swą znajomość z Karolem, jego ogromną wrażliwość, rzetelność i solidarność. Pisano mi z Warszawy, że przed swą śmiercią grał na moją cześć „Cortège” Marczewskiego, utwór, który bardzo sobie upodobałem w wykonaniu Karola...

Marzliśmy coraz bardziej. W Wilnie zima zagościła już na dobre. Nie chciało się wychodzić z ciepłego internatu, ale trzeba było wciąż załatwiać jakieś sprawy, pilnować „kształtu organizacyjnego” ogniskującego się w nim życia. Nie bawiąc się w biurokrację, należało ustalić normy obcowania. W stolówce koledzy sami obsługiwali się na zmianę.

Nie obyło się, jak w każdej gromadce ludzkiej, bez intryg. Wiele kłopotów mieliśmy z niejakim Wielochem, nie wiem czy tylko plotkarzem, czy też może czyjś „wtyczką”. On sam rzucał na niektórych kolegów podejrzenia, że są szpiegami. Oprócz Wielocha było jeszcze kilku innych niespokojnych, nerwowych kolegów, którzy łatwo pomawiali innych o niewłaściwe postępowanie. Łagodziliśmy to jak się dało, rozumiejąc, że pierwszą przyczyną kwasów i nerwowości jest bezczynność i poczucie zawieszenia w próżni. Chcieliśmy nawet odseparować z 10 osób, urządzić ich jakoś przez stworzenie dodatkowego Ośrodka w YMCA, do tego jednak nie doszło.

Musieliśmy się w dalszym ciągu opędać przed Komitetem Pomocy Uchodźcom, któremu nie w smak chyba było, że „pokazowy punkt uchodźczy” ma żydowskiego patrona. Ta

„pokazowość” coraz to sprowadzała nam gości. Tak więc koło połowy grudnia odwiedził nas redaktor naczelny *Dnia Polskiego* w Kownie, Paszkiewicz. Była też u nas Mackiewiczowa (Józefowa), namawiając do współpracy. Aleksander Maliszewski dał fragment powieści, ja reportaż pt „Pociąg Lublin-Włodzimierz”.

Tak doczekaliśmy pierwszej wigilii na uchodźstwie. Wieczera zgromadziła 90 osób. Była sałatka śledziowa, zupa grzybowa, ryba, kompot. Odśpiewaliśmy *Boże coś Polskę*, kilka osób przemawiało, składając coś w rodzaju wyznania politycznego i nastąpił ogólny *bruderschaft*. Wieczór uczciliśmy szopką „Joint-rewellersów”. Autorem, nie pamiętam czy nie wyłącznym, był Maliszewski, który wykonywał też rolę speakera. Piosenki śpiewali: Liński, Marschak, Kiersnowski i Grzymała.

Koniec roku zaznaczył się drobną awanturą z Kretowiczem. Poznałem go kiedyś, przed paru laty, jako przedstawiciela Agencji Morskiej i wahał się chyba, na którym stołku usiąść: dziennikarskim czy adwokackim. W Wilnie niezbyt przyjemnie zapisał się w mojej pamięci. Zrazu oponował przeciwko dyżurom, które pełnili wszyscy koledzy. Potem zaczął wygadywać na zarząd internatu. Zażądaliśmy, aby swe zarzuty wysunął publicznie. Nie chciał, natomiast zagroził nam policją litewską. Wśród okrzyków: Szantaż! Tchórz! — opuścił zebranie. Okazała się więc potrzeba powołania sądu koleżeńskiego, do którego koledzy wybrali: Mergla, Kindlera, Salmana, Broncla i Kryńskiego.

W święta zaprosił Lińskiego i mnie Marek Latour, a na Sylwestra zaprosił kilku z nas *Kurier Wileński*. Był Wit Święciecki, Kiszki i inni. Spędziło się kilka godzin przy wódce na koleżeńskich pogwarkach, z trudem odpędzając myśli o smutnej terażniejszości.

Żydzi uciekali nadal spod okupacji hitlerowskiej — przede wszystkim przez granicę litewską, narażając się na niemałe trudności.

I nas policja litewska nie zostawiła w spokoju. W pierwszej dekadzie stycznia musieliśmy wypełniać sężniste druki rejestracyjne. Naturalnie po rejestracji nie spodziewaliśmy się niczego dobrego. Około dwunastego nastąpiły w Wilnie liczne aresztowania, według krążących pogłosek w skutek nacisku G.P.U. Opowiadano to o jakiejś prowokacji, to znów o tym, że u dziennikarza-poety Teodora Bujnickiego znaleziono jakąś podejrzaną listę a u innego — kwitariusz z 250 pozycjami ofiar na rzecz wyzwolenia Wilna.

Wśród aresztowanych znalazł się były kierownik oddziału PAT — Patrycy pod zarzutem tajnego posiadania krótkofalówki. W przeddzień jego aresztowania agencja Elta dała notatkę, oskarżając go o niedozór, skutkiem czego zginęły jakieś przedmioty z inwentarza PAT.

Aresztowano Wielocha, Sławoniewskiego i jeszcze jakiegoś jegomościa pod zarzutem wyłudzenia pieniędzy na opłaty za wyjazd na zachód.

W internacie odbyła się rewizja. Policja zabrała kartotekę, dowody kasowe, ale dzięki wstawiennictwu Trimakasa wszystko zwrócono. Mimo to policja zaczęła wyznaczać poszczególnym uchodźcom miejsce osiedlenia, co wywołało poważny niepokój w naszej sporej już gromadce. Chcąc jakoś odwrócić uwagę kolegów, zorganizowaliśmy wieczór koleżeński z wódką. Grzymała opowiedział przy kieliszku o oryginalnym reportażu w *Gazecie Polskiej* — na temat gazety więźniów; Liński — o Wandzie, co nie chciała Niemca, a wymyślił to, aby podkreślić niewłaściwość obcowania z wrogiem; Ryszard Kiersnowski mówił o powstaniu Ozonu, jak wiózł dla Rydza do Zakopanego deklarację Koca, którą zapomnieli zabrać Koc i Miedziniński; wreszcie Mieczysław Kafel — o tym, jak sanacja nie dopuściła do jednego z rozłamów w Stronnictwie Ludowym.

Mimo wszystko, stan zdenerwowania przybierał na sile. Bezcynność skłaniała jednych do oskarżenia innych o „nie-moralne” prowadzenie się. Oczywiście, nie obyło się bez jakichś flirtów czy wzdychań. Było przecież w tym towarzystwie sporo młodych mężczyzn i młodych kobiet czy dziewcząt. Bardziej jednak do zdenerwowania przyczyniała się sytuacja polityczna i niepewność jutra.

18 stycznia odwiedziło nasz internat pięciu dziennikarzy litewskich z prezesem Litewskiego Czerwonego Krzyża na Wilno, Szeiniusem i Trimakas. Liński błysnął swymi talentami językowymi: w ciągu trzech miesięcy tak nauczył się trudnego języka litewskiego, że wygłosił do naszych gości przemówienie po litewsku. Pisywał również artykuły po litewsku. Podziwiałem jego zdolności! Sam zacząłem się uczyć litewskiego, dość prędko jednak zrezygnowałem, nie tylko dlatego, że byłem zbyt zajęty internatem, ale i z powodu trudności tego języka.

Nasi goście wygłosili do nas uspokajające przemówienie o opiece i przyjaźni itd. Ale już 20 stycznia Liński przetłumaczył nam z *Lietuvos Aidas* zarządzenie o uchodźcach, składające się z samych zakazów, m.in. np. z zakresu współpracy w jakichkolwiek pismach krajowych (litewskich) i zagra-

nicznych. Twórcą tego zarządzenia był p. Alekna, „opiekujący się” uchodźcami. Trimakas usiłował nas uspokajać, że zarządzenie takie musiało się ukazać wskutek silnych nacisków niemieckich i radzieckich.

W prasie, zwłaszcza w *Lietuvos Aidas* i *Dvidesimts Amzius*, zaczęły się znów coraz częściej ukazywać niemiłe dla nas felietony i notatki, w brutalny sposób atakujące Polaków. Dnia 22 stycznia np. *Lietuvos Aidas* zamieścił artykuł o prasie polskiej w Wilnie, pełen niezdarnych dowcipów i nieścisłości.

Widać było, że Litwini chcieli jakoś rozwiązać problem dziesiątków tysięcy uchodźców, czemu się trudno dziwić. Nie łatwo to było osiągnąć w małym państewku, liczącym niewiele ponad milion mieszkańców.

W końcu stycznia Litwini wymyślili nową rejestrację uchodźców, tym razem spod okupacji niemieckiej. Rejestrowani powinni byli podać powody, dla których nie chcą wrócić do miejsca zamieszkania. Budziło to, rzecz jasna, obawy, aby karty rejestracyjne nie trafiły do rąk Gestapo i nie wywołały prześladowań rodzin, pozostających pod okupacją.

Atmosfera stawała się z każdym dniem coraz duszniejsza. Trwały dalej aresztowania. Obeszło mnie bardzo aresztowanie Waldemara Babinicza. Wzmagały się też wśród kolegów plotki i kwasy.

Mimo zakazu współpracy większość z nas usiłowała coś pisać, coś zarabiać. Czasem temu lub owemu kapnęło kilka litów.

Udało się nam nawiązać kontakt z kolegami na Zachodzie: otrzymaliśmy list od Władysława Bestermana z Paryża, donoszący o tworzeniu się syndykatu.

Z Warszawą również nawiązywała się korespondencja. Listy szły tydzień do 10 dni. P. Rogowiczowa, żona Wacława, odbywała co parę dni „kurs” do Warszawy i z powrotem. Przywoziła stamtąd różne nowiny, na ogół nieprzyjemne, zniechęcające do powrotu. A i w Wilnie atmosfera stawała się coraz przykrzejsza. Korzystałem długi czas z biblioteki Wróblewskich, gdzie zacząłem pracować nad dziejami Anny Jagiellonki. Litwini — nie wiem z jakich powodów — zamknęli Bibliotekę. Może w następstwie walki prowadzonej z polskością. Kazali zmienić szyldy w sklepach, otwieranych przez spółdzielnie, ostentacyjnie nie chcieli mówić po polsku. Żądali, abyśmy listy adresowali po litewsku. W adresie musiał figurować „Vilnius” zamiast Wilno, grożono bowiem w przeciwnym wypadku, że listy nie będą doręczane. Pogarszała się też sytuacja



żywnościowa. Żandarmi litewscy, dobrani chłop w chłopa, w granatowych mundurach z czerwonymi wypustkami, byli wobec Polaków brutalni i pod lada pretekstem chwyтали za pałki. „Wdzięczna” ulica nazwała ich z litewska *kalakutas* czyli „indorami”. To ich znowu obrażało i tym bardziej tłukli przy byle okazji.

Patrycego i Babinicza wypuścili z więzienia i umorzyli śledztwo, nie mieli bowiem żadnego dowodu, aby oskarżeni organizowali jakiś spisek przeciwpaństwowi.

W końcu lutego odbyła się jeszcze jedna rejestracja połączona z wydawaniem jakichś litewskich legitymacji uchodźczych. Alekna, komisarz uchodźczy, człowiek niezbyt wielkiej kultury, coraz ostrzej zapowiadał wysiedlenie uchodźców.

Uchodźcy kręcili się nadal. Przybył Feliks Gross (w Wilnie właśnie przeczytałem jego książkę *Proletariat i kultura*), Gostyński z Lublina z żoną i dzieckiem, Kamieniecki z agencji PID (Polska Informacja Dziennikarska), kiedyś wydawca, redaktor, reporter i goniec w jednej osobie. Na szczęście ten ostatni zabawił u nas krótko, gdyż denerwował wszystkich swym zachowaniem i bezceremonialnością. To on, nie pamiętam przy jakiej okazji, na oficjalnym przyjęciu poklepał po ramieniu jakiegoś ministra i zamknął sobie dostęp nie tylko na oficjalne przyjęcia! Kindlera tak wyprowadził z równowagi, że ten ledwie się powstrzymał od spoliczkowania go.

Przez cały czas z wielkim napięciem śledziliśmy wojnę Związku Radzieckiego z Finlandią. Wojna ta skończyła się 23 marca. Wiele na ten temat było między nami rozmów.

Oburzenie budziły w nas artykuły Singera w prasie litewskiej. Pisał on o rządach sanacji, jak to Regnis, w sposób bardzo złośliwy, o samych minusach, co do reszty pacyzło i tak nieświetny obraz rządów minionych czasów. Ponadto jakiś Piwosz zamieścił w *Lietuvos Aidas* jak zanotowałem, „obrzydliwie niekulturalny” reportaż z Kalwarii, z obozu internowanych oficerów polskich. Wymyślań na Polaków i Polskę nie brakowało w całej prasie litewskiej.

24 marca, w niedzielę wielkanocną, do stołu w naszym internacie zasiadło sto osób. Od Komitetu dostaliśmy dodatkowo 200 litów. Do ozdobienia pokoju najwięcej przyczynił się kol. Łuckiewicz: pomalował kafle pieca na wzór holenderski, zrobił piękny abażur, świetne bibułkowe firanki na okna. Wielkanoc obfитоścią śniegu przypominała Boże Narodzenie; padał przez kilka dni.

Ze Lwowa zaczęto w tym chyba czasie wywozić ludzi i znacznie wzmógł się ruch uchodźców. Zjawili się w Wilnie: Atkin (z Łodzi), profesorowa Arnoldowa (profesor był już w Wilnie), brat Bongartów, prof. Iwanowski z córką, Stanisław Rogowicz, inżynier, brat Wacława, Malinowscy.

Wyjazdy udawały się jakoś. Na razie przez Kowno i Połagę. Z Kowna samolotami do Szwecji. Uzyskiwało się tam wizy włoskie być może niezupełnie autentyczne. Zawsze trzeba było mieć na to jakieś pieniądze. Tylko lotników i żołnierzy broni pancernej wysyłało, oczywiście, w tajemnicy przed władzami, na koszt Polski, na razie za angielskie pieniądze. Część ludzi wybrała się do Warszawy, część do krewnych na wsi. Zaczęły odchodzić transporty z uchodźcami do okupacji hitlerowskiej.

W drugiej połowie kwietnia wyruszył taki transport składający się z 700 osób, chociaż nie było wiadomości, jak dotarł pierwszy, który wyruszył o kilka tygodni wcześniej. Ludzie na ogół dość nieufnie traktowali te wyjazdy i tylko zupełna bezradność skłaniała ich do rejestracji na powrót. Głód zresztą panował i w Warszawie, chociaż szybko rozkręcała się organizacja szmuglu.

Otrzymałem wiadomość, że Międzynarodowa Federacja Dziennikarzy pisała w mojej sprawie (chodziło o ułatwienie wyjazdu) do Zw. Dziennikarzy Litewskich, ale nie miało to żadnego wpływu. Natomiast nieznośny Kretowicz napisał epistołę do Związku Dziennikarzy Polskich w Angers, a odpis tego listu otrzymał Kindler. Kretowicz oskarżał nas o wystugiwanie się Żydom, pisząc o Maliszewskim, Lińskim, Kiersnowskim i o mnie, domagał się postawienia nas przed sądem koleżeńskim i skreślenia z listy dziennikarzy. Odbyliśmy na ten temat specjalne zebranie i napisaliśmy list do Angers.

Właśnie Niemcy zajęli na początku kwietnia Danię. Szykowała się inwazja na Norwegię, która też znalazła się w stanie wojny z Niemcami. Dania przyjęła protektorat niemiecki, co — jak oświadczył Ribbentrop — miało światu zapewnić pokój. Niemcy dokonali pierwszych nalotów na Norwegię.

W nocy na 10 kwietnia siedzieliśmy w internacie przy radiu nasłuchując wieści ze świata. Wiadomości z Londynu tchnęły optymizmem; desanty niemieckie zostały podobno odcięte w Norwegii. Belgia i Holandia przygotowywały się do odparcia spodziewanej agresji hitlerowskiej. W ciągu kilku dni wiadomości z Norwegii były pomyślne: według komunikatów leciały na ziemię bombowce niemieckie, tonęły hitlerowskie okręty. Z zadowoleniem słuchaliśmy komunikatów o brawurowych wal-

kach Polaków na ziemi norweskiej. Działała tam dywizja Podhalańska.

Ten optymizm, płynący z radia wcale nie poprawiał jednak naszej sytuacji. Litwini mieli nieodwołalnie wysiedlać wszystkich, którzy nie mają własnych środków utrzymania. Punkt Bundu, w którym znaleźli się Zbigniew Mitzner i Jan Dąbrowski, mieli w najbliższym czasie przenieść bodaj do Połagi.

Ryszard Kiersnowski krzątał się coraz bardziej nerwowo koło swego wyjazdu z żoną. Mieli pieniądze i wreszcie udało im się zniknąć z Wilna. Rozmawiałem z konspiracyjnym delegatem naszego rządu, hr. Michałem Tyszkiewiczem. Nie wiele mógł zrobić. Myślał przede wszystkim o wysyłce oficerów i podoficerów na zachód. A Komitet Pomocy Uchodźcom robił pono bokami. Mówiono, że Litewski Czerwony Krzyż otrzymał 100 tysięcy litów od Jointu dla Żydowskiego Komitetu Uchodźców, z czego 30 tysięcy litów Żydzi byli gotowi przeznaczyć na Komitet ogólny.

Dnia 21 kwietnia biskup Jałbrzykowski odwołał sumę w Katedrze z powodu śpiewania litewskich pieśni cywilnych, podobno zakazanych zresztą w całej Litwie. Kilkuset Litwinów zebrało się pod opieką policji przed pałacem biskupim, aby demonstrować przeciwko zarządzeniu kurii. Przy okazji doszło nawet do komicznych manifestacji: oto jakiś policjant obciął niewielkiemu chłopcu guziki ze znakiem polskiego orła. Wprawdzie Waldemarasa już nie było, ale działali szaulisi. M.in. dnia 24 kwietnia cała ich gromada przysłała do operetki. Na samym początku „Zemsty nietoperza”, kiedy zaczęła śpiewać Halmirska, podniósł się wrzask, aby śpiewała po litewsku. Spuszczono kurtynę. Szaulisi obrzucali scenę kamieniami i zgniłymi jajkami. Policja nie mogła sobie z nimi rzekomo poradzić. Przedstawienie odwołano.

Na tym tle doszło do pogłosek o zamierzonym pogromie Polaków. A prasa litewska judziła. W Wilniaus Balsas zaatakowano nawet polskie księgarnie! Jednocześnie zaczęły krążyć pogłoski o radzieckich przygotowaniach do zajęcia Litwy z powodu... nieporządków.

W dniu 1 maja 1940 r. zmarł Światopełk Karpiński w wieku 31 lat. Sekcja zwłok wykazała arteriosklerozę, pęknięcie naczynia krwionośnego, wylew krwi do mózgu. Pochowaliśmy go na tzw. Górze Literackiej na Rossie. Szedłem za trumną z Hanką Ordonówną-Tyszkiewiczową jako przedstawiciel naszego internatu. Tyszkiewiczowie żyli w przyjaźni z Karpińskim. Wiele wieńców i wiązanek kwiatów pokryło grób poety. Ludzi

było na pogrzebie dużo, a otaczał nas wianuszek licznych policjantów, którzy wszędzie czyhali na antylitewskie wystąpienia. Pogrzeb Karpińskiego nie spełnił jednak ich nadziei.

W maju zaczęły się zewsząd sypać hiobowie wieści: o klęsce w Norwegii, o zajęciu Belgii, Holandii i Luksemburga przez Niemców, o masowych wywózkach ludzi z Białorusi w głąb ZSRR.

W Wilnie Litwini zabrali się do do zapowiadanego od dawna wysiedlania: usiłowaliśmy interweniować.

5 maja zaczęły się brzydkie awantury pod kościołami. Policja i szaulisi walili pałkami wychodzących Polaków. Jak mi mówiono, od litewskiego policjanta dostał przypadkiem pałką po głowie sekretarz nuncjusza papieskiego, p. Perron. Literaci litewscy ogłosili list otwarty, potępiając awantury. Niewiele to pomogło. Litwini 14 maja urządzili demonstracyjny pogrzeb policjanta zastrzelonego rzekomo przez Polaków. Po pogrzebie bandy wyruszyły na miasto. Efektem tego były prawdziwe pogromy w Ostrej Bramie, na ul. Orzeszkowej, gdzie zebrał się tłum, aby wysłuchać komunikatu radiowego w języku polskim, na Zamkowej, na Mickiewicza. Banda wpadła nawet do kościoła św. Kazimierza, gdzie potwornie zbito i skopano jakiegoś mężczyznę. W „Lutni” na ul. Mickiewicza wybito szyby i zmasakrowano dwie osoby. W cukierni Sztrala (tzw. zielonego) jakiś łobuziak chwycił p. Kiersnowską z naszego internatu za włosy, przewrócił ją na ziemię i skopał. W cukierni Rudnickiego podarto na strzępy gazety polskie. Stłuczono szyby w cukierni „czerwonego Sztrala”. Jeden z kolegów był świadkiem, jak policjant uderzył pałką jakiegoś ucznia, któremu od razu krew rzuciła się z ust, a drugi policjant uderzył tego chłopca pałką w twarz.

W końcu maja wysiedlenia zaczęły się na dobre. M.in. nakazy natychmiastowego wyjazdu otrzymali Babiniczowie, Wojtkowski z dwiema siostrami, Szczęsny, Salmanowie, Olcha, Jordanówna, Chancerelle, Kiersnowski, Jagielski, Sobolewski, Proszowski, Orenburg, Liński. Litwini kierowali wysiedlonych przeważnie do Żagar, samotne kobiety do Wojtkiszek.

W owe dni nastąpiła kapitulacja Belgii. Byliśmy pewni, że niepomysłne wydarzenia na zachodzie odbijają się też na nas: Litwini srożyli się coraz bardziej, a w Warszawie Niemcy urządzali łapanki. Obserwowaliśmy również niepokój w stosunkach litewsko-radzieckich. Poseł litewski w Moskwie przyjechał do Kowna; był natychmiast przyjęty przez min. Urbszysa. Nie wiedzieliśmy, co zaszło, ale wyczuwało się zdenerwowanie.

Do internatu przychodziły dalsze nakazy o wysiedlaniu. Chodziliśmy z interwencjami, które zbywano niczym. Wysłaliśmy projekt przeniesienia całego internatu do Poniewieża, nie otrzymaliśmy jednak odpowiedzi i na tę propozycję. Jeździłem w tej sprawie nawet do Kowna, gdzie spędziłem pięć dni. Odbyliśmy tam szereg konferencji, m.in. z posłem angielskim, Prestonem, amerykańskim Norenem i z „dyktatorem” uchodźców Alekną, który zrobił na mnie nieszczerzone wrażenie: młody człowiek wygłaszał do nas przemówienia, upajając się własną wymową. W delegacji uczestniczyli Feliks Gross, Henryk Liński i ja. Plątał się koło nas Górski. Alekna obiecywał że przeniesie internat, ale było to czeże gadanie.

7 czerwca rankiem przyszło 8 policjantów egzekwować nakazy wyjazdów wobec tych, którzy nie ruszyli się z miejsca stało się to, mimo że Alekna obiecywał odroczyć im wyjazd do 1 lipca, przez ten czas miał załatwić przeniesienie internatu. Policjanci zatrzymali Orenburga, aby odstawić go ciupasem, nie miał bowiem *leidimasu*. Zebraliśmy dla niego 15 litów na drogę i delikwent wyruszył. Policja oskarżyła nas o sabotaż. Nie pomogły telefony Szeiniusa do Alekny.

W połowie czerwca Niemcy zajęli Paryż. Trudno sobie wyobrazić przygnębienie, jakie nas ogarnęło na wieść o upadku Francji! Usiłowaliśmy się mimo to jakoś trzymać. Zacząłem w czerwcu pracę jako redaktor techniczny i depešowiec w *Gazecie Codziennej*. Zaangażował mnie tam miły, starszy kolega Hryniewicz, oczywiście w porozumieniu z redaktorem naczelnym. Siłą rzeczy odsunąłem się od grupy internatowej, która zaczęła się rozsypywać. Górski okazał się przy tym wcale zręcznym demagogiem. Postanowiliśmy złożyć mandaty i zaproponować kolegom, aby wybrali „poniewieski” zarząd.

Ale wówczas na Litwie nastąpił przewrót.

W piątek po południu rząd radziecki wysłał do rządu litewskiego notę, którą ten przyjął o 9 rano, a więc na godzinę przed upływem terminu. Nota zawierała trzy punkty: 1) oddanie pod sąd Skuczasa i dyrektora departamentu Min. Spraw Wewnętrznych, 2) utworzenie nowego rządu i 3) wprowadzenie na Litwę wojska radzieckiego. Smetona — prezydent Litwy — zbiegł do Prus wraz z wieloma dygnitarzami. Jego obowiązki zaczął pełnić Merkis. Litwa chciała się podobno oddać pod opiekę Niemiec. Przeciwstawił się temu Związek Radziecki, obsadzając Litwę swoim wojskiem. W Wilnie rozeszła się pogłoska, że Niemcy wysłały do Moskwy ultimatum, żądając, aby wycofała swe wojska z Litwy, Łotwy i Estonii. Jednakże

była to tylko pogłoska... Widzieliśmy znaczne oddziały wojska radzieckiego, ciągnące w stronę granic zachodnich.

Wydarzenia te, rozgrywające się w pobliskiej strefie, odciągały naszą uwagę od wieści, napływających z zachodu: o kapitulacji Francji, rządzie Pétaina, o przemówieniu Churchill'a zapowiadającego dalszą walkę z Hitlerem. A te bliższe wydarzenia oglądaliśmy na własne oczy. Na ul. Orzeszkowej byłem świadkiem demonstracji młodych rzemieślników żydowskich, którzy jadąc samochodem, wznosili okrzyki. Policja chciała ich schwytać, wówczas jakiś młodzieniec dzielił policjanta drągiem przez łeb.

Rząd litewski utworzył dziennikarz Paleckis, komunizujący ludowiec; wicepremierem został Kreve Mickiewiczus, literat.

Ostatnie wydarzenia we Francji bardzo obniżyły jej prestiż. Chancelle kłóciła się więc ze wszystkimi występując w obronie honoru swej ojczyzny, która okazała się taka niezdolna do jakiegokolwiek czynu w porównaniu z Polską. Do najostrzejszej kłótni doszło z p. Zahorską, która sprawę skierowała do sądu koleżeńskiego.

Zastanawialiśmy się w redakcji, co robić. Niejaki Hałburda, b. oenerowiec, proponował wystąpienie z deklaracją pro-radziecką. Redaktor naczelny, Wenckowicz, przedtem redaktor *Tygodnika Rolniczego*, człowiek małomówny, nie wypowiadał się wcale. Kol. Hryniewicz, były korespondent IKC, pełniący funkcję sekretarza, nie myślał o deklaracjach, tylko wraz ze mną o wprowadzeniu ładu w redakcji, w której nie wiadomo po co kręciło się dużo starszych panów. Chyba chcieli jak najprędzej otrzymywać wiadomości ze świata. Sam bardzo rzadko zachodziłem już do internatu na Zygmuntofską. Złożyłem prezesurę i zamiast mnie wybrano Adama Grabowskiego z *Czasu*. Dnia 28 czerwca przestał wychodzić *Kurier Wileński*, a ukazała się *Gazeta Ludowa*.

Związek Radziecki rozwijał dalej akcję: dnia 28 o godz. pierwszej Tass podał wiadomość o zajęciu Besarabii i północnej Bukowiny, o wkroczeniu armii radzieckiej do Czerniowiec, Kiszyniowa, Akermanu. Dochodziły też wieści o rozmowach niemiecko-radzieckich.

Czy można się dziwić, iż w tych warunkach namnożyło się... wróżek? Krążyły dziesiątki przepowiedni, bardziej jednak optymistycznych niż ta, którą rozpowszechniał Rosner. Wróżby wypadały zgodnie z tęsknotami ludzkimi za domem, własną ojczyzną i pokojem!

Na Litwie szykowano wybory. Plakaty obwieszczały o masówkach i zebraniach. Nocami trwały nadal aresztowania i to liczne, pod zarzutami prowokacji, rozsiewania fałszywych pogłosek, przygotowywania do „powstania polskiego”. Z Litwy wywieziono na wschód całą bodaj armię i wielu obywateli.

Już po miesiącu nastąpiły zmiany w redakcji *Gazety Codziennej*, redaktorem naczelnym został Michał Marcińczyk (Iwaszko), kolega Teodora Bujnickiego. Młody człowiek, lat około 30, b. nauczyciel szkoły powszechnej, dość miły ideowy komunista, nie mający pojęcia o dziennikarstwie.

Wiece przedwyborcze odbywały się w nowy sposób, do którego ludzie nie byli przyzwyczajeni: wysuwano kandydatów, których wyborecy przeważnie nie znali. Kandydatury zgłaszane z sali pomijano milczeniem. Wśród kandydatów z Wilna znaleźli się m.in. Jędrychowski, Dziewicka-Sztachelska, Budionow. W dniu 21 lipca Sejm Ludowy uchwalił zmianę ustroju Litwy i przyłączenie Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej do Związku Radzieckiego. Odpowiednie uroczystości przyłączenia nastąpiły dopiero 3 sierpnia. O dzień wcześniej przyłączyła się Mołdawia.

Mimo zmian w redakcji (wymówiono pracę Hryniewiczowi i Chomińskiemu), przed 20 sierpnia władze zamknęły obie polskie gazety wileńskie: *Gazetę Codzienną* i *Gazetę Ludową* i stworzono nową *Prawdę Wileńską*, dobierając pracowników z obu redakcji: Bujnickiego, młodego uśmiechniętego poetę, powierzając mu dział kulturalno-oświatowy, ja miałem łamać numery, Alfreda Łęskiego, Joannę Wyszkowską, kierownikiem administracji został Józef Jurkiewicz. Kolegium redakcyjne tworzyli: Stefan Jędrychowski, Andrzej Nowicki i Karosas. Zespół redakcyjny był przez kilka dni płynny. Kolegium zastanawiało się nad dalszym skompletowaniem zespołu. Lińskiego przyjęto tylko na wierszówkę, powierzając mu dział „fizykultury”, co nie robiło mu żadnej różnicy, zawodów bowiem w owym czasie nikt nie organizował, a o wychowaniu fizycznym Henio mógł pisać!

Już po paru dniach szowiniści litewscy zaczęli podnosić głowę. Zapowiedzieli przeniesienie stolicy do Wilna w terminie do 1 maja 1941 roku.

W dniu 28 sierpnia nastąpiło jakieś nieporozumienie: rozplakatowano zarządzenie o obronie przeciwlotniczej i już następnego dnia naczelnik miasta Wilna, Kazanoviczius zarządzenie to odwołał.

Pracowałem nadal w *Prawdzie Wileńskiej*. Kolegium ustąpiło i miejsce redaktora naczelnego zajął Władysław Sokołowski, członek WKP(b), drobny, szczupły, podający się za potomka Kościuszki po kądzieli. Redaktor nie mówił po polsku i kolejny dyżurny dziennikarz musiał mu całą gazetę tłumaczyć z polskiego na rosyjski; po każdej poprawce odbywało się kolejne czytanie. Sokołowski sprowadził żonę, tęgą, młodą, źle ubraną kobietę, która była korespondentką *Izwestii*.

Co dzień o 3 po południu redaktor organizował *lietuczki* — zebrania redakcyjne, które formalnie miały być krótkie, a w rzeczywistości trwały po kilka godzin. Poświęcone były samokrytyce pracowników, połączonej z krytyką kolegów, ocenie numeru i planowaniu następnego.

Redakcja ustaliła już swój skład: Teodor Bujnicki objął sekretariat, zastępując Jędrzychowskiego, który prowadził dział kultury. Nowicki został zastępcą redaktora naczelnego, chociaż o dziennikarstwie niewiele miał pojęcia, przy tym był z niego wielki nerwus. Zarobki kształtowały się nie najgorzej: Sokołowski otrzymywał tysiąc rb., Nowicki i Jędrzychowski po 750; Bujnicki, Stefan Świerzewski — kierownik działu informacji, ja, jako redaktor techniczny — po 600 rb; Kazimierz Namysłowski — kierownik działu przemysłowego (też 600 rb), Alfred Łęski, Kazimierz Rubinstein, zawsze uśmiechnięty Jakub Kowarski, Maria Żeromska-Namysłowska, Alina Rebane, Minkowski (nasłuch radiowy dyktand Tassa), Antoni Olcha — kier. działu wiejskiego. Ponadto spora gromadka pracowała na wierszówkę: Gross, Liński (tłumaczenia z litewskiego), Załkind (pseudonim Romek), Konstanty Szychowski, Maśliński, Mikułko (poezja), Kurski.

Korektorkami były Rzeuska i Abramowiczówna, Joanna Wyszowska czuwała nad poprawnością polszczyzny.

Administrację objął Chmielewski, księgowość — jego siostra Alina Jędrzejczakowa, była też maszynistką; nie wiem jakie stanowisko objął poczciwy Borysowicz, Halina Z. i jeszcze kilka innych osób. Nakład sięgał 30.000 egz.

Poza zebraniem i pracą w redakcji musieliśmy jeszcze wykonywać prace połączone z wyborami, ogłoszono bowiem wybory do Rady Związku i Rady Narodowości, tworzących razem Radę Najwyższą ZSRR. Występowaliśmy bądź jako agitatoży, bądź też jako mężowie zaufania. Tryb pracy w redakcji który zabierał mi co najmniej 12 godzin na dobę, a niekiedy nawet 20 — z powodu żmudnego tłumaczenia dziennika na rosyjski, bardzo wielu poprawek właśnie na kolumnach już



po złamaniu, uwolnił mnie od tych dodatkowych obowiązków. Raz tylko przydzielono mnie do Olchy, który miał wystąpić w szpitalu św. Jakuba z jakimś przemówieniem agitacyjnym. Siedziałem wśród chorych w kitlu lekarskim. Zupełnie nie pamiętam przemówienia Olchy, nic mnie bowiem te wybory nie obchodziły: nie znałem kandydatów, ani też, co będą mieli robić.

Na początku grudnia 1940 roku za kilo masła płacono się 8 rb, za czarną kawę 1 rb, za obiad — 3 rb, za pudełko papierosów II gat. 1 rb. 20 kop., za zapalki — 5 kp, za buty od 100 do 150 rb; za ubranie od 400 do 1000 rb, za cukier rb 2,80 kp (przy tym trudno go było dostać), za chleb czarny — 65 kp, za mleko — 90 kp litr. Zecerzy w tym czasie dostawali 300 do 400 rb. Mimo niezłych zarobków, drożyzna dawała się coraz bardziej we znaki.

Wszyscy musieli należeć do związku zawodowego. Tworzyliśmy grupy zawodowe (do 20 osób). 10 procent pensji potrącano nam na Związek. Wszystko było planowo przewidziane, zorganizowane, poszufladkowane aż do najdrobniejszych szczegółów i przez to pozbawione życiowej elastyczności, łatwo się rozłaziło, a wkraczał nieustanny bałagan. W owej przeludnionej redakcji powstało co niemiara komitetów. Działał więc delegat ubezpieczeń społecznych, na którym ciążyła moc obowiązków, jak odwiedzanie chorych w domu i w szpitalu, troska o leki, o właściwe odżywianie chorego, kontrolowanie szpitali i poliklinik, współdziałanie z inspektorem pracy w zakresie higieny pracy i profilaktyki. Byli delegaci do spraw kulturalnych, płac i produkcji, warunków bytowych itp. Każdy miał wyliczone tyle obowiązków, że gdyby się tylko im poświęcił, też by im nie podołał, czego przykładem wymienione funkcje delegata do spraw ubezpieczeń. Cała redakcja była teoretycznie wprężenią do tej pracy społecznej, ale nikt nie miał czasu na wykonywanie czegokolwiek w tym zakresie. A przy tym gazeta przecież miała wychodzić codziennie.

Na jednej z „lietuczek” zwróciłem uwagę na złą pracę redakcji. Skłoniło mnie do tego opóźnienie ukazania się numeru o... 36 godzin! Dwie doby spędziłem w drukarni, drze miąc tylko od czasu do czasu, „kiedy przelewało się setki wierszy z powodu zmian w tłumaczeniu. Być może, że chodziło o jakąś poważniejszą enuncjację. Wkrótce potem dostałem wyświadczenie na 1 kwietnia. Sokołowski dopisał uwagę, że jestem dziennikarzem burżuazyjnym, który nie może się przebudować. Bzdura była z tym przebudowaniem się. Pracę ową traktowałem

rzetelnie i miałem najlepszą wolę, nie mogłem się jednak pogodzić z wyrzucaniem całych kolumn składu z powodu niedostatecznego przygotowania materiału do druku, z dokonywaniem gruntownych zmian w tekstach po złamaniu kolumn. Na olbrzymie koszty takiej organizacji pracy zupełnie nie zwracało się uwagi. Ale żeby numer nie wyszedł na czas, to w ogóle chyba nie mieściło się w głowie żadnego dziennikarza!

Razem ze mną zredukowano Lińskiego, Minkowskiego, prof. Arnolda i Alinę Rebane. Wszystkie te redukcje motywowano względami... oszczędnościowymi, koniecznością przystowania dziennika do ram gazety miejskiej, staliśmy się bowiem organem (już wcześniej, gdyż od połowy lutego) Komitetów Miejskiego i Powiatowego KP(b) Litwy oraz wileńskiego miejskiego i powiatowego Komitetów Wykonawczych. Zwalniając nas, nie szczędzono deklaracji na temat troski redakcji o znalezienie dla nas innej pracy. Owa troska ograniczyła się do tego, że Nowicki napisał list do Karosasa, a ten polecił mi złożyć podanie o zatrudnienie na kursach dla analfabetów. Było to więc po prostu klasyczne „odfajkowanie”.

W tym okresie, kiedy praca w *Prawdzie Wileńskiej* zabierała mi tyle czasu, nastąpił rozkład środowiska uchodźczego. Zrazu działał jeszcze Joint, ale wkrótce działalność jego została przekreślona. Jeszcze przed likwidacją internatu wyjechała poważna część jego mieszkańców. Niektórzy przedostali się do Warszawy, ale dzięki fałszywym wizom japońskim i pieniądzom, którymi można było opłacić „Inturista”, sporo osób dotarło do Japonii. Tak samo jak Orenburg wyjechał też Kiersnowski. Niektórzy socjaliści dostali się przez Szwecję do Anglii. Inni czepiali się jakiejś pracy, np. Domański w biurze planowania u Jędrzychowskiego, Marschak jako „pomocnik” Nowickiego w nadawaniu korespondencji do kowieńskiego *Truženika*.

Nasłuchiwaaliśmy wieści z pola walk. Niestety, nie były budujące. W pierwszych dniach kwietnia Niemcy przekroczyli granicę Jugosławii. Nie brak było pogłosek, m.in. o utworzeniu z Polski 17 republiki radzieckiej na podstawie porozumienia rządu radzieckiego z Niemcami. Coraz to rodziły się nowe plotki na temat stolicy Litwy: Kowno czy Wilno? Ci, którzy twierdzili, że stolicą pozostanie Kowno, byli uważani przez Litwinów za wrogów ludu. W każdym razie nie było żadnych oznak że nastąpi przeniesienie stolicy. Coraz to zjawiały się pogłoski o koncentracji wojsk radzieckich na granicy niemieckiej, o zbliżającym się nieuchronnie konflikcie zbrojnym.

W Wilnie było już niewielu kolegów. Spotykałem się najczęściej z Babiniczem, który wziął sobie bardzo do serca pozbawienie mnie pracy i szukał dla mnie zajęcia. W Wilnie zapowiedziano trzydniowe ćwiczenia obrony przeciwlotniczej, w związku z czym poważnie obawiano się aresztowań i wywożenia, jak to już było we Lwowie. W charakterze bezrobotnego czułem się szczególnie zagrożony.

Liński, Szychowski i ja zapisaliśmy się na kursa rzemieślnicze w dziale instalacji centralnego ogrzewania. Na kursie uczono nas litewskiego, arytmetyki, marksizmu-leninizmu, trochę kreśleń. Nie mając wielkich nadziei na uzyskanie pracy, Liński poszedł do pracy w kancelarii FZO (kształcenia przemysłowo-fabrycznego). Brat Teodora Bujnickiego, Paweł, obiecywał mi pracę przy budowie jakiegoś garażu.

Gdzieś koło pierwszego maja jeden z naszych kolegów, Irza, powiesił się w ustępie cukierni Dormana. Śmierć ta zrobiła w naszym topniejącym świątku przybębniąjące wrażenie. W Białymstoku powiesił się Mieczysław Rozenbaum, gdyż nie mógł znieść wstrząsu, jakim była dla niego utrata niepodległości przez Polskę. We Lwowie, jak mi mówiono, zagłodził się w więzieniu Stefan Grostern.

Koło 1 maja wraz z Konstantym Szychowskim i Marią Borkowską przyjęto mnie na kurs inwentaryzatorów. 20 maja dostaliśmy już pracę, polegającą na rysowaniu planów domów, które przechodziły na własność publiczną. Miejscem naszej pracy były Troki. Kostek dostał pracę kontrolera, ja — inwentaryzatora.

Troki to piękne miasteczko, położone nad jeziorem. Mieszkańcy — Karaimi, byli cierpliwi i spokojni. Nie okazywali żadnych uczuć, kiedy odmierzaliśmy taśmami ich drewniane domy, łaziliśmy po ich mieszkaniach, chyba wszyscy staraliśmy się robić to w sposób grzeczny.

Już w maju stosunki między Związkiem Radzieckim a Niemcami zaczęły się wyraźnie zaostrzać. W Niemczech zorganizowano „rządy” dla Ukrainy, Litwy, Łotwy i Estonii. Na czele „rządu” litewskiego stanął ambasador litewski w Berlinie, a przedtem w Warszawie — Szkirpa.

Koło połowy czerwca radio londyńskie doniosło o poważnej koncentracji wojsk niemieckich na granicy z ZSRR, aż 130 dywizji, a na granicy bułgarsko-niemieckiej 39 dywizji.

Wczesnym rankiem w niedzielę 22 czerwca jakieś huk wyciągnęły mnie na podwórze. Patrzę i oczom nie wierzę: nad lotniskiem dość daleko na Porubanku — lecą samoloty, po

kolei pikują, bucha kłęb dymu; dociera do mnie huk wybuchu. Nalot! Obok mnie staje jakiś oficer rosyjski, dopinając kurtkę. Patrzy.

— Ćwiczenia — mruczy.

— To nalot! — mówię.

Spojrzał na mnie niepewnie. Po chwili pobiegł do mieszkania. Dzień był pogodny, leciutko zamglone niebo, ale samoloty były doskonale widoczne. Nad lotniskiem unosiły się już kłęby dymu. Niebawem rozpoczął się też nalot na samo Wilno.

Ruszyłem przed siebie. Wybuchy rozlegały się od strony kolei. Warkot samolotów coraz wyraźniej zbliżał się do śródmieścia. W okolicy mostu Zielonego zaczęły padać bomby. Zajrzałem tam do znajomych, w chwili, kiedy kilka bomb spadło w pobliżu. Parterowy domek dygotał, sypał się tynk, brzęczały szyby.

Idąc powoli, wydostałem się poza obręb miasta. Znalazłem się w lesie pod Zameczkiem, na wzniesieniu, którym zainteresowali się lotnicy niemieccy. Chociaż z górki roztaczał się widok na całe Wilno, nad którym w wielu miejscach kłębiły się dymy pożarów, musiałem przesunąć się w głąb lasu, zaczęły bowiem padać bomby. Być może, że na wzgórzu były jakieś obwarowania czy też stała artyleria przeciwlotnicza i dlatego Niemcy rzucali tam bomby. Późnym już wieczorem usiadłem pod drzewem.

Wojna między Niemcami a ZSRR wybuchła. Otwierała się nowa karta.

Mieczysław KRZEPKOWSKI

## DOKUMENTY

### HISTORYCZNE WYWIADY SPRZED 40-tu LATY

*W okresie międzywojennym, od 1930 roku, ukazywał się w Warszawie dwutygodnik Bunt Młodych (od 1937 roku przekształcony na tygodnik Polityka). Kultura jest w pewnym sensie kontynuacją tego pisma ze względu na osobę redaktora i wydawcy. Jest to pismo dziś dość gruntownie zapomniane. Między innymi w Buncie Młodych był dział specjalny — Wywiady z czołowymi działaczami 2-ej Rzeczypospolitej.*

*W 36tym Zeszycie Historycznym z 1976 roku zamieściliśmy wywiad z Stanisławem Grabskim oraz rozmowę z Aleksandrem Ładosiem.*

*Obecnie drukujemy wywiady z profesorem Olgierem Górką i pośtem Z. Dreszerem.*

M. P.

### ROZMOWA Z PROF. GÓRKĄ

Kierując się krokiem gimnastycznym ku mieszkaniu dr Olgierda Górki, położonemu w Alei 3 Maja, zadawaliśmy sobie pytanie, jak przedstawia się ten człowiek, o którym można bez przesady powiedzieć, że jest dziś najbardziej zniechodzony przez wszystkich co zatechłe i kołtuńskie w historiografii polskiej. Każda nowa

teza Górki powoduje prawdziwy ryk wściekłości w tych sferach, powoli jednak staje się kapitalnym i ogólnie uznanym nabytkiem wiedzy polskiej. Najzabawniejsze jest jednak to, że rozmaici samoucy zarzucają brak metody historycznej jednemu uczonemu polskiemu, który wyszedł z głośnej paryskiej „École de Chartes”, a prace jego szczególnie często są tłumaczone na obce języki. Jednemu zaś z nielicznych polskich historyków, który jednocześnie jest majorem dyplomowanym i kawalerem „Virtuti Militari” rozmaici patrioci od obchodów zarzucali brak zrozumienia dla polskiej tradycji wojskowej. Młode pokolenie — myślimy wdzierając się na 6 piętro — powinno te sprawy postawić na swoim miejscu.

Nawiązanie rozmowy ze znakomitym uczonym nie jest rzeczą zbyt trudną. Okazuje się od razu, że mój towarzysz jest krajanem p. Górki, gdyż dziedziczny majątek jego rodziny leży w powiecie graniczącym z powiatem w którym zamieszkuje ten pierwszy. Co więcej, uczęszczali oni obaj, choć w odstępach dobrych 20 lat, do tego samego gimnazjum we Lwowie, niegdyś im. cesarza Franciszka Józefa I. Każdy, kto wie jak galicjanie na terenie Warszawy cenią sobie te więzy, zrozumie, że pierwsze lody zostały od razu przełamane.

### *Młoda generacja endecka to owoc fałszywie wykładanej historii polskiej*

— Ile jest prawdy — zaczynamy — w tym, co się pisze, że Pan Profesor dąży do odbrażowienia dziejów Polski?

— Jest to najzupełniejszy fałsz. Moim dążeniem jest nie odbrażowanie ale przewartościowanie sądów o historii polskiej. Niewątpliwym obowiązkiem historyka jest stworzenie konstruktywnego obrazu dziejów swego narodu. Chodzi o to, by z przeszłości wydobyć te momenty które mogą naprawdę posłużyć przy budowaniu myślenia terażniejszości narodowej. Pod tym względem piękny przykład dają nam niewątpliwie Włochy faszystowskie. Nawiązywanie przez nich od „Carta di lavoro” do cechów średniowiecznych miast lombardzkich jest niewątpliwym pragmatyzowaniem dziejopisarstwa. Tak, ale to pragmatyzowanie oparte jest na podstawie prawdziwej. Już inaczej dzieje się w Niemczech hitlerowskich, a wręcz odwrotnie w Rosji sowieckiej, gdzie historia przestaje się różnić czymkolwiek od publicystyki i roi się od najoczywistszych, tendencyjnych fałszów. To co zwalczam — to „krzepienie ducha w obecnej Polsce drogą fałszu historycznego”.

— Czy jednak metoda ta występowała dotąd silnie w sposobie wykładania dziejów Polski?

— Oczywiście. Naciągano, gdzie się dało, względnie pokrywano milczeniem. Cała walka z tezami szkoły krakowskiej o upadku Polski z własnej winy, była jednym wielkim zniekształceniem i ustawianiem fałszywej perspektywy dla owego sposobu pojmowania nacjonalizmu dla celów rzekomo patriotycznych. Młoda generacja endecka — to owoc fałszywej historii polskiej, wykładanej przez ostatnie dwudziestolecie w naszych szkołach. Gdyby ta młodzież zapoznała się z tym czym naprawdę była taka konfederacja barska i czym naprawdę była konfederacja targowicka, przekonałaby się z przerażeniem jak wiele haseł łączy ją z tymi kartami dziejów Polski XVIII-go wieku. Gdy jednak jeden z najwybitniejszych naszych uczonych zaczął w pewnej chwili odsłaniać w swych wykładach prawdziwe oblicze konfederacji targowickiej, oblicze aż obłędne w swym niewątpliwym, prapolskim „patriotyzmie”, wykłady wywołały taki sprzeciw, że je wstrzymano, by publiczność nie dowiedziała się prawdy.

A przecież w dziejach Polski nie brak bogactwa momentów i postaci, których wspomnienie jest naprawdę konstruktywne. Nie potrzebujemy fałszu i grubego retuszu, by stworzyć potrzebny nam dla celów narodowych obraz naszych dziejów.

### *Ossoliński to największy mąż Polski przedrozbiorowej*

— Czy mógłby Pan Profesor wskazać nam na tego rodzaju postacie w dziejach Polski?

— No, przede wszystkim taki Jerzy Ossoliński. Wprawdzie postać ta została zniekształcona przez monografię Kubali, której nie wahać się nazwać niezamierzonym pamfletem, lecz czas już najwyższy, by przywrócić jej miejsce należne w naszym Panteonie, jedno z pierwszych miejsc w naszej historii. Co właściwie zarzucano Ossolińskiemu? Bobrzyński widział w nim niezainteresowanego w sprawie kozackiej parweniusza. Zapomniał, że Ossolińscy to przecież ta sama rodzina co prastarzy polscy Tenczyńscy. Majątkowo również był Ossoliński jednym z największych panów w Polsce i nigdy nie wahał się — w przeciwieństwie do tylu innych — do tego stopnia zapominać o swych prywatnych majątkach, np. właśnie na Ukrainie, że aż historycy o nich zapomnieli. Że urósł w służbie polskiej w majątek, to naturalne, bo dawna Polska każdego, nawet Żółkiewskiego, za służbę Państwu niesłychanie hojnie wynagradzała. Zarzucano mu,

że znał zbyt wiele języków zagranicznych i zbyt dobrze, by być dobrym Polakiem! Istotnie, ten twórca wielkiego programu południowo-wschodniego mocarstwa polskiego, z tendencjami w polityce wewnętrznej na polskiego Richelieu, był w swoim czasie jednym z największych erudytów. Wystarczy przypomnieć, że w połowie XVII-go wieku rozumiał zagadnienie autarkii gospodarczej i jego znaczenie dla Polski.

Nieszczęściem Ossolińskiego było to, że był zbyt wielkim legalistą. Myślał, iż środkami legalnymi uda się jeszcze uzdrowić ustrój polski. Był to ciężki błąd, często niestety przewijający się po kartach naszych dziejów. Gdy Maria Ludwika zaczęła myśleć o nielegalnych drogach ratunku — okazało się za późno. Dlatego też nie cofnę się przed twierdzeniem, że jeżeli osoby Chodkiewicza, Żółkiewskiego i Piłsudskiego są mi najdroższe w dziejach Polski, to również dlatego, że ci trzej ludzie w „potrzebie” potrafili zbić swoich rodaków. Są chwile, w których naród musi być ratowany środkami siły.

Zarzucano Ossolińskiemu fanatyzm religijny. Niewątpliwie był ultrakatolikiem, ale przecież równocześnie był on w stosunku do Żydów wyjątkowo tolerancyjny. Pozwalał Żydom, zmuszanym na Ukrainie do chrztu, na powrót do dawnego wyznania. W stosunku do Kozaków reprezentował również najlepszą linię polityczną.

### *Wiśniowiecki a... Żydzi*

— Czy mógłby Pan Profesor wskazać nam na ciekawsze aspekty sprawy żydowskiej w tym okresie?

— Oczywiście. Sprawa ta rzuca bardzo charakterystyczne światło na osobistość, którą się dotąd żywo zajmowałem, a mianowicie na Jeremiego Wiśniowieckiego. Można o nim powiedzieć, że był wraz z powodem buntu Koniecpolskim, największym protektorem Żydów na ziemiach ukraińskich. Odbiło się to we współczesnym kronikarstwie hebrajskim, a po zapiskach kahałnych pełno wzmianek o olbrzymich długach Wiśniowieckiego u miejscowego żydostwa. Pewien młody historyk żydowski jest w tej chwili w trakcie rewelacyjnych studiów, które rzuca dużo światła na genezę i na tę stronę ruchu Chmielnickiego. Był to ruch o wiele bardziej antysemitki, jak antyślachecki. Był to jeden z największych na świecie pogromów żydowskich. Powody jego staną nam jasno przed oczyma, gdy przypomnimy sobie, do jakiego stopnia taki Wiśniowiecki lub chorąży Koniec-



polski uzależniali ludność ukraińską od swych dzierżawców żydowskich.

— Czy ten stosunek Jeremiego do Żydów nie mógł jednak wpłynąć częściowo i na wybór jego syna?

— Aby móc ocenić wpływ żydostwa na dzieje opinii w dawnej Polsce musimy uprzytomnić sobie, jakie były źródła informacji, którymi rozporządzała szlachta w dawnej Rzeczypospolitej. Jednym były uniwersały królewskie. Proszę sobie jednak wyobrazić, czy nawet dziś uzasadnione, a optymistyczne komunikaty oficjalne rozlepiane na ulicach, znalazłyby pełną wiarę. Ubocznym jednak źródłem były informacje Żydów. Jeśli teraz uprzytomnimy sobie, jak olbrzymim dłużnikiem żydowskim był Michał Wiśniowiecki, nie będzie wykluczone przypuszczenie, iż ten moment wpłynął na tak niespodziewany jego wybór, który zresztą był wyborem nieokreślonego indywidualnie Piasta, dopiero reżyseria Olszowskiego podsunęła nieznaną osobę Wiśniowieckiego pod ten enigmatyczny wybór.

— Czy jednak taki Jan Zamoyski nie był większą postacią dziejową od Ossolińskiego?

— Jan Zamoyski był świetnym wykonawcą bardzo złej linii politycznej. Pod względem ustrojowym był on jednym z inicjatorów i współtwórców błędów, które stały się główną przyczyną upadku Polski...

— Polityka Zamoyskiego w stosunku do Habsburgów i do księstw naddunajskich uchodziła jednak dotąd za jeden ze szczytów polskiej myśli politycznej?

### *Rola historiografii katolickiej w Polsce*

— Ostatnie badania wykazały jednak, że w pewnych motywach polityki zagranicznej Zamoyskiego grał także rolę osobisty interes. Gorzej jednak znacznie jest jeszcze z inną osobistością, którą również usiłowano pasować na wielkiego polskiego męża stanu — z kardynałem Zbigniewem Oleśnickim. To była postać przez swą działalność w końcowym okresie życia wybitnie ujemna w naszych dziejach. Zgadzam się w zupełności z Kolankowskim, iż był on absolutnie niezdolny do perspektywicznego ujęcia wydarzeń. Zagadnienie „wielka Polska” i „mała Polska” jest stałym zagadnieniem naszych dziejów. Ci, którzy podnoszą hasła wielkiej Polski pracują bardzo często mniej lub bardziej nieświadomie dla

małej Polski. Typową postacią jest tu Oleśnicki i jego piastowski, przeciwjagielloński obóz. Przecież ci ludzie chcieli w pewnej chwili wprowadzić na tron brandenburczyka przeciw Kazimierzowi Jagiellończykowi. Dostęp do morza został przez Polskę zdobyty właściwie wbrew Oleśnickiemu, który posiadłości zakonne uważał za własność kościelną...

— Jak rewizja dziejów Polski, przeprowadzana przez Pana Profesora, odbije się na ocenie roli kościoła katolickiego w naszych dziejach?

— Proszę Panów, ja niedawno rozmawiałem z jednym bardzo mądrym jezuitą i powiedziałem mu swoje zdanie w tej sprawie. Kościół Katolicki powinien zwrócić baczniejszą uwagę na wydobywanie konstruktywnych momentów ze swoich dziejów w Polsce, a nie wysilać się na apologię epizodów, których z narodowego punktu widzenia obronić nie sposób. Weźmy np. taki „Zakon Niepokalanego Poczęcia”, organizowany przez Władysława IV-go i Ossolińskiego, a z drugiej strony, taki Związek „Najświętszej Marii Panny” Pułaskiego. Pierwszy był jednym ze zdecydowanych przejawów twórczej myśli państwowej i konstruktywnego stosowania katolicyzmu w polityce, drugi natomiast, jak w ogóle cała postać Kazimierza Pułaskiego, której ze względu na Polonię amerykańską lepiej nie poruszać w świetle krytyki i prawdy, był przejawem nadużywania haseł, a skończył się na próbie królobójstwa. Tego rodzaju rewizjonizm byłby tylko zmianą nomenklatury z dodatniej na ujemną i odwrotnie, a zawsze zgodnie z prawdą historyczną. Co tymczasem robiła historiografia katolicka? Usiłowała gloryfikować Pułaskiego, pozostawiając ujemne światło na poczynaniach Ossolińskiego, to jest przecież świat do góry nogami! Np. taki jezuita Bohomolec lepiej się orientował w tych sprawach 150 lat temu, aniżeli wielu współczesnych badaczy. Można powiedzieć, że historia Kościoła w Polsce jest oczywiście zbieżna z całością dziejów Polski i zyska tylko na wydobywaniu i gloryfikowaniu momentów konstruktywnych, mimo bezwzględnego tępienia przejawów destrukcji.

— Jak jednak wytłumaczyć sobie, że tak wybitny bądź co bądź historyk, jak Ludwik Kubala, tak ciężko pomylił się w swej ocenie osoby Ossolińskiego?

— Proszę Panów, Kubala był moim profesorem gimnazjalnym przez szereg lat. To był człowiek ogromnych zdolności, który jednak w dziedzinie metody historycznej był w dużej mierze samoukiem. Pierwsze jego prace opierały się na metodach mocno „domowych”. Dziwnym trafem te właśnie prace cieszyły

się zawsze największą popularnością i uznaniem. Natomiast gdy na starość zyskał pewną metodę i zaczął pisać takie rozprawy, jak np. świetny szkic „Zaprzepaszczona kraina”, stracił dużo na poczytności. Wiem zresztą z własnego doświadczenia, że najłatwiejszym i najszybszym sposobem do uzyskania popularności byłoby iść utartymi szlakami dawnych błędów.

### *Wielkość historycznej szkoły krakowskiej*

— Czy ostry sąd Pana Profesora odnosi się do całej historiografii polskich dziejów nowożytnych?

— Bynajmniej. Podziwiam cały szereg dzieł i badaczy. Np. ogromnie wysoko cenię Szajnochę, który jednak był zjawiskiem odosobnionym. Poza tym najgłębszy mam szacunek do szkoły krakowskiej zarówno dla jej metody, jak i odwagi cywilnej, której to szkoły w dużej mierze jestem uczniem. Pesymizm tej szkoły był może niezbyt pożyteczny w okresie niewoli. Wielcy historycy krakowscy jednak zdawali sobie sprawę, że pracują dla umysłowości, które miały rządzić Polską odrodzoną. W czasie uchwalania konstytucji marcowej jedyne dwie grupy, które umiały się przeciwstawić szaleńczym nawrotom do dawnej „złotej wolności” — to byli konserwatyści klubu Baworowskiego i socjaliści, czyli te grupy, które wyszły spod historycznego wpływu szkoły krakowskiej.

— Czy jednak można mówić o jakiejś jedności polskiego charakteru narodowego na przestrzeni wieków?

— Charakter narodowy polski zmieniał się, zyskując może stutysięcznie na walorach w stosunku do wieku XVIII-go. Niemniej ciągle spotykamy przejawy prób regeneracji dawnej psychiki XVIII-go wieku. Jeżeli czytamy dziś manifesty konfederacji targowickiej, aż zdziwienie bierze do jakiego stopnia przypominają one czasami deklaracje niektórych naszych stronnictw politycznych. Jakkolwiek mentalność Targowicy jest mi szczególnie obca, Targowiczanie w ogromnej większości nie byli żadnymi zdrajcami. Wprost przeciwnie. Byli to idealisci tradycyjnych poglądów i wierzeń, którzy chcieli dobrze dla Polski. Matejko przedstawił Suchorzewskiego leżącego na ziemi, by zaprotestować przeciw konstytucji Trzeciego Maja, z kartami wypadającymi mu z kieszeni. A przecież ten Suchorzewski potrafił zaprotestować przeciw drugiemu rozbiorowi, przechodząc na Wołoszczyznę ze swą brygadą jazdy. Gdy czytamy dziś listy Szczę-

nego Potockiego do takiego Złotnickiego, gdy czytamy, jak Szczęsny pisze, że nadchodzi dzień zwycięstwa, w którym do ich grupy ideowej przyłączają się zastępy chciwych orderów karierowiczów, to najlepiej rozumiemy dobrą wiarę tych obrońców dawnej Polski szlacheckiej, a w ich złośliwościach nie zabraknie posmaku analogii do nowoczesnych politycznych marszów i kontrmarszów. Oczywiście, były w konfederacji i zdecydowanie ciemne typy, jak kasztelan Cz., który szpiegował z ramienia Rosji innych targowiczów i donosił o nadmiernej samodzielności ich przekonań, lub regimentarz Puł., czy cały szereg innych. Na ogół jednak byli to typowi nieuświadomieni politycznie Polacy, zakochani w tradycji wolnościowej i we frazesach ideologicznych. Ten typ psychiczny, niestety, ciągle u nas wraca na widownię dziejów. Jedynie tylko nauczaniem bezwzględnej prawdy dziejowej i walką bezwzględną z tromtadracją możemy dojść do wychowania bardziej państwowo myślących generacji.

— Prace Pana Profesora na temat liczebności wojsk tatarskich i tureckich, walczących z wojskami polskimi, istotnie raz na zawsze rozwiewają niejedną legendę. Boy napisał, że Pan Profesor powoli ale nieubłagalnie zbliża się do Sobieskiego. Czy wolno na zakończenie spytać się jeszcze, co myśli Pan Profesor o tej postaci naszych dziejów?

— Zagadnienia liczebne wojsk to tylko kwestia właściwych źródeł i wprowadzenia statystyki do historii wojskowości dawnej Rzplitej. O ile chodzi zaś o Sobieskiego to był on niewątpliwie doskonałym kawalerzystą z dużym poczuciem rzeczywistości bojowej i wybitnych talentach, zwłaszcza w wojnie ruchowej. Jako wódz zawiódł jednak najzupełniej właśnie pod Mątami, gdzie dał się najhaniebniej pobić Lubomirskiemu. Tam właściwie załamały się ostatnie szanse naprawy ustrojowej dawnej Rzeczpospolitej, przedsięwzięte przez Marię Ludwikę.

Ponieważ minęło już kilka godzin i zbliża się pora nocna, więc żegnamy się z profesorem Górką — pozostawiając go przy pracy nad zarysem całości dziejów naszych — ale wynosząc obietnicę nowej rozmowy, już po rychłym ukazaniu się, w druku będącej, jego pracy, poświęconej tym razem nie historii, ale zagadnieniom z zakresu teorii o państwie pod kątem widzenia naszych aktualnych problemów.

M. P.

*BUNT MŁODYCH*, 25 grudnia 1936 r. Z cyklu wywiadów „Buntu Młodych”.



## CZY ZAMACH MAJOWY BYŁ DZIEŁEM TAJNEJ ORGANIZACJI

Rozmowa z p. Zygmuntem Dreszerem

— A więc, zdaniem Pana, w niedawnej dyskusji „masońskiej” jest wiele rzeczy niedopowiedzianych, wiele spraw nie poruszanych?

— Niewątpliwie. Dyskusja ta nie idzie w kierunku wyjaśnienia czegokolwiek komukolwiek. Z wyjątkiem może Wacka Budzyńskiego, który, zgodnie zresztą ze swą przeszłością i wychowaniem „demo-liberalnym”, boć przecież jest to dawny Filareta, „postępowiec”, jak to nazywano w dawnych czasach, „załatwia” sprawy masońskie z dziwną prostolinijnością, z gracją młodego słonia w składzie porcelany, wszyscy inni z zagadnienia masońskiego robią rozgrywkę polityczną. A w ten sposób nie podobna zorientować się w tak skomplikowanym zjawisku.

— W czym widzi Pan tendencje „rozgrywkowe” w tej dyskusji?

— Choćby z pewnej, świadomej taktyce w oświeclaniu niektórych osobistości, niektórych wypadków. Weźmy na przykład, pod uwagę rewolucję majową z 1926 roku. Jedni — przeciwnicy Piłsudskiego z tzw. prawicy, ściślej — z endecji, jeszcze ściślej — ludzie, ulegający inspiracji b. członków Ligi Narodowej, a może i obecnie istniejącej organizacji zastępczej — usiłują wmówić w społeczeństwo, że rewolucja ta była dziełem tzw. szkotów — inni znów, chcąc podnieść wpływy swoje wśród wyznawców, nie przeczą temu, choć wiedzą, że nie jest to prawda.

— A więc twierdzi Pan, że ani w przygotowaniu, ani w przeprowadzeniu zamachu majowego tajne organizacje nie miały roli kierowniczej?

— Moi panowie! Moja bezpośrednia współpraca z Komendantem skończyła się, gdy zostałem posłem na Sejm Ustawodawczy. Ale aż do tej chwili przez cały czas byłem w kontakcie z Komendantem. Przez 1915 r. i połowę 1916 r. brałem udział w akcji politycznej Komendanta w Warszawie. Następnie zamieszkałem w Lublinie, gdzie objąłem stanowisko Sekretarza Wydziału Narodowego, a potem od grudnia 1916 r. do „wybuchu” Polski niepodległej redagowałem jedyne pismo codzienne,

które Komendant miał bez zastrzeżeń do swej dyspozycji — *Dziennik Lubelski*. W tym też charakterze otrzymywałem niejednokrotnie rozkazy wprost od Komendanta. Przyznacie chyba, że w tych warunkach mogłem i musiałem poznać metody pracy Józefa Piłsudskiego, a trochę i Jego samego. Poza tym nie zapominajcie i o tym, że w maju 1926 roku najbliższym wykonawcą rozkazów Marszałka był brat mój Gustaw, a choć, obaj byliśmy dyskretni nawet względem siebie, to jednak niewątpliwie wiem w tej materii dosyć, by sobie sąd własny w tych sprawach wyrobić, tym bardziej, że dni majowe spędziłem przeważnie w dzielnicy robotniczej, wysłany tam przez Ignacego Daszyńskiego.

Zacznijmy od dni Majowych. Otóż pewni ludzie, pewne odłamy sugerują, że dni Majowe były dziełem organizacji, że Komendant uległ wpływom tej organizacji. Zacznijmy od ludzi, którzy „robili Maj”. Dowódcą sił zbrojnych Marszałka był mój brat. Historia tego dowództwa jest ciekawa. Gdy w listopadzie 1925 roku oficerowie przybyli do Sulejówka, brat mój Gustaw wygłosił przemówienie, które wtedy tyle złej krwi narobiło: słynne przemówienie o szablach, w boju zaprawianych. Trzeba stwierdzić stanowczo, że na mowę Gustaw był wybrany przez Marszałka, że przemówienie zostało podyktowane przez Marszałka Wieniawie w obecności Gustawa. Czy była to już nominacja na przyszłego rebelianta? By odpowiedzieć na to pytanie, trzeba przytoczyć parę „niewinnych” pytań, jakie w grudniu 1925 roku i styczniu 1926 roku zadał Gustawowi Marszałek.

— „Czy znacie gen. Małachowskiego?” (ówczesny dowódca dywizji łódzkiej). „Czy wiecie, co on myśli?”. „Trzeba to wiedzieć!” — I takie same pytania były zadawane co do generała Stanisława Wróblewskiego (dowódca dywizji częstochowskiej) i paru innych wyższych wojskowych. Czy nie było to czasem przygotowywanie planu akcji?

— Istotnie. Ale przecież odbywały się przed majem zebra-  
nia?

— Tak jest. Jedno z nich odbyło się nawet w mieszkaniu mego brata młodszego, Juliusza. Ale na tych zebraniach omawiano akcję bieżącą, polityczną, ściśle zaś powiedziawszy, Komendant wydawał uczestnikom rozkazy co do pracy bieżącej. Odnosiły się te rozkazy do pracy agitacyjnej ustnej i prasowej, do wywiadu, kontaktów z rozmaitymi osobistościami, z całą jednak pewnością nie było tam mowy o akcji wojskowej.

— Kiedyż więc, zdaniem Pana, zapadła decyzja walki?

— Powiedzmy, nie walki, ale demonstracji zbrojnej. Twierdząc z całą stanowczością, że Komendant walki nie chciał. Walka została sprowokowana strzałami artylerii konnej z Placu Zamkowego. Gdy padły te strzały, Komendant zwrócił się do mego brata ze słowami: „Orlicz, mamy za mało wojska!”. Było to bezpośrednio po rozkazie: „Niech Krok (gen. Paszkowski — wówczas dowódca siedleckiego pułku piechoty) wysunie na czoło orkiestrę i poczet sztandarowy: idziemy do Warszawy”. I wówczas Gustaw zameldował Marszałkowi, jakie i kiedy przyjdą oddziały wojskowe.

*Kto robił zamach?*

— Ale kiedyż był moment decyzji Marszałka?

— Nim do tego przejdziemy, trzeba pewne sprawy wyjaśnić. Otóż do nich należy właśnie kwestia, czy Marszałek chciał walki. Gdyby Komendant liczył się z możliwością wybuchu walki, nie wątpię, że skupiłby koło siebie swoich najbliższych i najlepszych oficerów, w pierwszym zaś rzędzie znalazłby się przy nim gen. Rydz-Śmigły, dzisiejszy następca Komendanta. Tymczasem Komendant, demonstrując, liczył się z tym, że może przegrać, i chciał armii zostawić swego następcę. Spośród wybitnych generałów wybrał tylko Gustawa. Zresztą część znaczna oficerów i generałów nie od razu zorientowała się w sytuacji i nie brała udziału w Dniach Majowych, lub nawet była po przeciwnej stronie barykady. Nie wpłynęło to na ich losy i zostali oni wszyscy zużyci wedle swych zdolności przez Marszałka. Ale właśnie ten fakt mówi wyraźnie, że nie tylko nie było spisku, ale nawet najbliżsi Marszałkowi nie przewidywali Jego decyzji. Brat mój, który był gotów z organizacją wojska, działał, jak to podawał komunikat urzędowy rządu Witosa, „sfalszowanymi rozkazami” ściśle powiedziawszy, wydawał rozkazy nie tylko swojej dywizji, ale i oddziałom innym. Były to nie „sfalszowane rozkazy”, ale uzurpacja władzy nad wojskiem przez jednego z dowódców dywizji. A nastąpiło to po historycznej rozmowie Marszałka z bratem moim w dniu 10 maja o godzinie 4 m. 30 rano w mieszkaniu mego brata na Ułańskiej. Marszałek przybył sam, kazał obudzić brata i oświadczył mu, że postanowił rozpocząć demonstrację wojskową. I natychmiast zaczął namawiać Gustawa, by ten „wycofał się” z całej akcji, bowiem może się ona nie udać, a wówczas zdejmą Gustawowi mundur, a może nawet rozstrze-

lają go. Dodał przy tym Marszałek szereg opinii swoich o zdolnościach wojskowych mego brata, bardzo pochlebnych dla Gustawa. Odpowiedź była jasna: „Panie Marszałku — oświadczył Gustaw — odznaki generalskie zawdzięczam Panu Marszałkowi, z Panem Marszałkiem spędziłem wojnę, jestem wychowankiem Pana Marszałka, śmierci się nie boję, a w razie zdjęcia munduru na życie zarobić potrafię. Zresztą — w moje odsunięcie się i tak nikt nie uwierzyłby!”. „To dobrze” — odpowiedział Komendant — i wydał rozkazy, które zostały wykonane w poniedziałek i wtorek — 10 i 11 Maja. Zresztą, Gustaw, polegając na swoim wywiadzie politycznym, licząc się z pewnością walki, rozkazy te uzupełnił i rozszerzył. I to — o ile mamy mówić o organizacji „spisku” — powiedzieć musimy o ludziach Maja. Byli nimi: płk Jan Głogowski z I pułkiem Szwoleżerów, płk Piotr Głogowski, płk Strzemiński (dziś generał brygady w st. spocz.), płk Kulesza, dowódca garwolińskiego pułku Strzelców Konnych, płk Lenwicz, który wbrew woli swego dowódcy brygady przeprowadził płocki pułk strzelców konnych do Warszawy, płk Kazimierz Sawicki (dziś gen. bryg.), płk Żurkowski, gen. Bończa-Uzdowski z dywizją zamojską i jeszcze paru innych. Otóż stwierdzić należy, że byli to przeważnie dawni oficerowie armii rosyjskiej. Zaledwie paru i to spontanicznie, jak gen. Bończa-Uzdowski, wyruszyli z kwater, nie będąc bezpośrednio wezwani. Poza Warszawą działali: gen. Małachowski w Łodzi, gen. Stanisław Wróblewski — w Częstochowie — znów nie legionieści. I może groteskową — ale do pewnego stopnia słuszną oceną sytuacji było zdanie jednego z dowódców brygady kawalerii na Kresach: „No i cóż, Austrijca pobili”. Jeżeli kładę nacisk na pochodzenie wojskowe dowódców oddziałów, walczących po stronie Marszałka w maju, to czynię to umyślnie — bowiem tacy oficerowie do spisku żadnego należeć nie mogli. Byli oni jednak żołnierzami Komendanta, poza tym wierzyli Gustawowi, bo uważali go za swego: był przecież „mitawskim huzarem” — „zapasowym” oficerem 14 Mitawskiego huzarskiego pułku.

— Ależ przecież w Komendzie Miasta u generała Dreszera było wielu legionistów? A poza tym Strzelec, PPS?

*„Powieм wam prawdę, nie tylko część, prawdy”*

— Proszę Pana, z tych legunów wojskowo wybitną rolę odegrali — gen. Burchardt-Bukacki, z początku szef sztabu brata, następnie dowódca Cytadeli, gen. Krok-Paszkowski, dowódca



mińsko-mazowieckiego pułku ułanów, gen. Kmicic-Skrzyński, który „zbierał” oddziały wojskowe, rotm. Platanoff i szereg oficerów młodszych. Dużą rolę w sztabie odegrał płk Beck, który chyba doszedł do granic wytrzymałości ludzkiej w pracy, gen. Sławoj-Składkowski, z początku obrońca Ministerstwa Spraw Wojskowych, a potem Komisarz m. st. Warszawy — i szereg innych. Ale proszę równocześnie zwrócić uwagę, że gen. Konarzewski otrzymał rozkaz nieangażowania się, że szereg innych generałów również się nie angażowało. Nawet w takim momencie Komendant dbał o armię, dbał o to, by jej nie pozbawić elementu ideowego i bojowego. I proszę zwrócić uwagę na to, że tylko bardzo niewielu spośród wymienionych przeze mnie psychicznie zniosłoby konspirację i spisek. Gdy dodamy do tego, indywidualność Komendanta, który nie znosił narad, a kochał odprawy, który raz, rozmawiając ze mną w Krakowie w 1916 r. powiedział: „Powiem Wam prawdę”... w tej chwili poprawił się: „Nie, powiem Wam część prawdy, bo całej prawdy nie mówię nikomu: jeszcze by mi ją ukradli!” — to stanowczo stwierdzić musimy: Maj był dziełem Komendanta, przemyślanym dawno, zdecydowanym ostatecznie w nocy z 9 na 10 maja, wszyscy „ludzie Maja” byli tylko wykonawcami Jego woli, żadna organizacja w tej sprawie nie miała nic do gadania, a jej członkowie, stając przy Komendancie, mogli tylko wykonywać rozkazy.

— Ależ nie wyświetlił Pan jeszcze sprawy Strzelca, PPS?

— Sprawa Strzelca jest prostą. Prezesem Związku był dr Kazimierz Dłuski, jedna z najciekawszych postaci naszego ruchu socjalistycznego i niepodległościowego. Człowiek o przekonaniach bardzo radykalnych, wybitny lekarz, którego dom i sanatorium były przed wojną zarodkiem ruchu niepodległościowego. Nie lubił Witosy, nie lubił i wielu innych polityków. Nienawidził endecji. Człowiek z jednej bryły, a przy tym — śmiem twierdzić — przyjaciel prawdziwy Komendanta. Drugim czynnikiem decydującym w Związku był Komendant Związku, mjr Kazimierz Kierzkowski. Wiele się o nim mówiło i ostatnimi czasy. Ale jedno stwierdzić należy — jedynym ośrodkiem dyspozycji dla Kierzkowskiego była wola Komendanta. Często w walce z „pułkownikami”, zawsze gotów był stanąć na baczność wobec rozkazu. Tu konspiracja była zbyteczna...

*Gdy socjaliści chcieli zamachu stanu...*

— A PPS?

— No, to sprawa bardziej skomplikowana. Śmiem twierdzić,

że PPS nie przewidywała dni majowych i skłonna była, przynajmniej w części, akceptować rząd Witosa. Idea „rewolucji w majestacie prawa” głęboko utkwiała w duszach Niedziałkowskiego i Czapińskiego. Osobiście człowiek wysokiej wartości, świetny organizator, doskonały znawca życia robotniczego, Zygmunt Żuławski, nie mógł być zwolennikiem Rewolucji Majowej, bo był zawsze i konsekwentnie przeciwnikiem Piłsudskiego. Mniej więcej to samo zachodziło i u Hermana Libermana, choć impulsywna jego natura nieraz ponosiła go w rozmaite strony. Trudną była sytuacja „Antka” Jaworowskiego, który chciał pogodzić swoje stanowisko kierownika roboty pepesowskiej w Warszawie z Krzyżem I Brygady. Nie mieli najmniejszych wątpliwości i stanęli wyraźnie po stronie Komendanta Moraczewski, który zresztą od razu udał się do Komendanta, Medard Downarowicz, Tadeusz Szpotański. O stanowisku PPS zdecydowały dwa czynniki: Ignacy Daszyński i robotnicy.

Ignac! Można było się z nim często nie zgadzać, ale nie podobna było nie odczuwać, nie podziwiać tego wielkiego wychowawcy robotników. Człowiek ten był zawsze młodym: Kto nie wierzy, niech przeczyta jego „Wielkiego człowieka...”. Ignac w 1920 roku podczas inwazji akceptował stanowisko Klubu Socjalistycznego, domagającego się stworzenia rządu obrony, złożonego nie z delegatów klubów, a z ludzi z charakterem. To „majowe” w lipcu 1920 roku stanowisko przedstawił Komendantowi, stając na czele delegacji Klubu, do której poza nim weszli Mieczysław Niedziałkowski i ja. Ignac, gdy myśl zamachu stanu odrzucił Piłsudski, wszedł do pierwszego rządu Witosa, choć gorzko mu się tam żyło! Ignac w maju 1926 roku z całym entuzjazmem poszedł na rewolucję. Z jego dyspozycji siedziałem w domu związków zawodowych na Lesznie, jemu zdawałem raporty o akcji komunistów, kontrakcji naszej, o „robotnikach” ówczesnego komisarza rządu p. Płuchowskiego i komendanta policji p. Borzęckiego. Z jego inicjatywy wysunęliśmy wraz z „Antkiem” Jaworowskim kandydaturę gen. Sławoja-Składowskiego na komisarza rządu. Wreszcie on kazał mi bratu zwrócić uwagę we czwartek, że „czas kończyć, bo może zabrać głos ulica, a karabiny łatwo dać, trudno odebrać tłumowi...”. I, doprawdy, jednym z przykrzejszych momentów dla mnie była późniejsza bezlitosna walka z Ignacem. To nawet dla żołnierza Komendanta było bardzo trudne do strawienia!

Otóż konsekwencją właśnie tego stanu rzeczy w PPS był fakt, że strajk powszechny wybuchnął we środę rano, odezwa Okręgowego Komitetu ukazała się popołudniu, a odezwa CKW późnym wieczorem. Tak samo, kolejarze na własną rękę uprawiali strajk

włoski wobec transportów rządowych, a przyspieszali transporty Marszałka, a dopiero we środę wieczorem Kuryłowicz za moim pośrednictwem rozmówił się z moim bratem Gustawem.

I tu więc o spisku, o wpływie jakiejś organizacji mowy nie było. Było coś innego: żołnierze Komendanta bez względu na swoje stanowisko polityczne stanęli do Jego, ale tylko wyłącznie do Jego dyspozycji...

— A więc Pan stanowczo przeczy, jakoby ktoś inny, prócz Marszałka Piłsudskiego był autorem Rewolucji Majowej?

— Stanowczo. Należy oddać Cesarzowi, co jest Cesarskie...

— Ale chyba w innych momentach wpływ organizacji tajnych na akcję Komendanta istniał?

— I tak, i nie. Komendant liczył się z realnymi siłami, i musiał liczyć się i z istniejącymi tajnymi organizacjami, nie tylko z masonerią. Ale decyzja w tych sprawach była wpływem tylko Jego woli.

*POLITYKA*, 25 września 1938 r. Z cyklu wywiadów „Polityki”.

## CI CO ODESZLI

Z. S. SIEMASZKO

### STANISŁAW SZABUNIA

Miękkość i dźwięczność nazwiska Szabunia wskazują na to, że jest ono związane z kresami północno-wschodnimi, ale rodzice Stanisława mieszkali przed pierwszą wojną światową w Pietropawłowsku, gdzie jego ojciec był pracownikiem magistrali transsyberyjskiej. W okresie drugiej wojny światowej Pietropawłowsk był centralą najbardziej na północ wysuniętej siewiero-kazachstanskiej obłasti, do której wywieziono w kwietniu 1940 roku wiele rodzin z polskich wschodnich województw. Ale przed pierwszą wojną światową sytuacja była nieco inna. Polacy na terenie własnego kraju w zaborze rosyjskim byli poważnie ograniczeni w swych możliwościach i nieraz nie mogli znaleźć odpowiedniego zatrudnienia. Natomiast w głębi Rosji dostawali często odpowiedzialne stanowiska, a niekiedy byli nawet faworyzowani, jako przedstawiciele wyższej, w pojęciu wielu Rosjan, europejskiej kultury i cywilizacji.

W miarę przebiegu pierwszej wojny światowej ilość Polaków w głębi Rosji coraz to wzrastała. Przybyli nie tylko jeńcy wojenni, głównie z armii austro-węgierskiej, ale również liczne rzesze uciekinierów, bądź ewakuowanych przymusowo przez władze carskie z polskich terenów oddawanych Niemcom, bądź dobrowolnych, którzy decydowali się schronić przed niebezpieczeństwami wojny w Rosji, która przynajmniej w początkowym okresie, wydawała się ostoją bezpieczeństwa i trwałości. Jednak rok 1917 i lata późniejsze, przyniosły wielkie i niespodziewane zmiany, które poważnie zaciążyły na losach Polaków w głębi Rosji, a szczególnie tych, zamieszkujących miasta i miasteczka

położone przy magistrali trans-syberyjskiej. Wzdłuż tej magistrali odbywały się walki pomiędzy czerwonymi i białymi admirała Kołczaka, przy którym była polska dywizja syberyjska. Życie w Pietropawłowsku stawało się coraz trudniejsze. A tam, daleko, na polskich terenach, spełniło się marzenie pokoleń, odrodziło się państwo polskie, które przeciwstawiło się siłom bolszewickim i zdołało odeprzeć Czerwoną Armię. Ten okres był dla Polaków w Rosji wybitnie ciężki, gdyż uważano ich, i nieraz traktowano, jako wrogów władzy bolszewickiej, sprzyjających *panskiej Polsce*.

Zakończenie wojny polsko-bolszewickiej dało jednak możliwość powrotu do Polski. Szabuniowie, którzy mieli już troje małych dzieci — Stanisław (ur. w maju 1917), Leon i Bronisława — zarejestrowali się na repatriację, ale zanim doszła ona do skutku, Szabunia zmarł. Los młodej wdowy z trójką małych dzieci jest zawsze ciężki, a powrót do Polski wycieńczonej przewlekłym okresem wojny najpierw światowej, a potem bolszewickiej, nie zawsze spełniał marzenie repatriantów, którzy zdołali wyrwać się spod władzy sowieckiej. Szabuniowa wraz z dziećmi przyjechała do Polski dopiero w 1924 roku i zamieszkała w biednej chatynie na skraju Nieświeża. Na pomoc rodziny nie mogła zbyt liczyć, a opieka społeczna nie była dostateczna. Walcząc o utrzymanie małych dzieci, Szabuniowa zachorowała i zmarła. Nietletnią trójkę sierot oddano do sierocińca. Prawdopodobnie zakład ten znajdował się pod opieką pani Jeleńskiej, znanej działaczki katolickiej. Jednak, mimo ciężkich warunków, najstarszy Stanisław uczęszczał do gimnazjum, gdzie był aktywnym harcerzem i gdzie zdał maturę.

W okresie niepodległości wielu młodych ludzi marzyło o dostaniu się na posady państwowe, a kariera wojskowa cieszyła się szczególnym powodzeniem. Dlatego konkurencja była wielka i jedynie wyselekcjonowani młodzieńcy dostawali się do zawodowych podchorążówek. Szabunia, pomimo, iż nie miał stosunków i nie mógł liczyć na poparcie, dostał się jednak w sierpniu 1935 do Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej. W podchorążówce zaprzyjaźnił się z kolegą o kresowym nazwisku, Jankiem Borysewiczem. Po uroczystym zakończeniu kursu defiladą na Polu Mokotowskim w dniu 11 listopada 1938, Stanisław odjechał do 41 pułku piechoty im. Józefa Piłsudskiego, który stacjonował w Suwałkach.

W czasie mobilizacji w sierpniu 1939 najmłodszych podporuczników przeważnie przydzielono do nowoformowanych jednostek. W ten sposób Stanisław znalazł się w rezerwowej 33-iej dywizji piechoty. Szefem sztabu tej dywizji był mjr dypl. Antoni Olechnowicz. Wchodziła ona w skład Samodzielnej Grupy Ope-

racyjnej „Narew”, na którą zważyło się główne uderzenie niemieckie z Prus Wschodnich. Celem tego uderzenia było odcięcie Warszawy od wschodu.

We wrześniu 1939 większość zawodowych oficerów zajęła stanowisko legalistyczne i uszeregowana poszła do niewoli, czy to niemieckiej, czy też sowieckiej. Indywidualiści, którzy zdjęli gwiazdki, pozostając wśród szeregowych, lub zrzucili mundur dołączając do tłumu cywili, należeli do rzadkości. Wśród nich znalazł się młody podporucznik Szabunia, który uciekł z niewoli i przedostał się do Wilna, należącego w tym początkowym okresie do „kapitalistycznej” Litwy. Tam również znalazł się jego młodszy brat Leon. Natomiast ich kilkunastoletnia siostra Bronisława pozostała w Baranowiczach „pod Sowietami”. Leon przeprowadził ją wkrótce na stronę litewską, ale przy następnej wyprawie przez zieloną granicę „wpadł” i przeszedł potem dobrze znaną drogę przez łagry sowieckie i 2-gi Korpus we Włoszech, a po wojnie osiedlił się w Stanach Zjednoczonych.

Tymczasem w Wilnie Stanisław starał się urządzić swą siostrę jak najlepiej i w tym celu nawiązał kontakt z żoną przedwojennego redaktora *Słowa Ciała* Mackiewicz, która miała dwie córki w podobnym do Bronisławy wieku. Sprawy te naświetlał Stanisław w czasie naszych rozmów w 1971 roku w sposób następujący:

„Pani Mackiewiczowa zgodziła się przyjąć do swego domu naszą siostrę i zająć się jej wychowaniem. Dużo było obietnic, które potem nie sprawdziły się i pod pewnymi względami siostra była bez mała traktowana później jak służąca w domu pani Mackiewiczowej. Ale wówczas lepszego rozwiązania nie widzieliśmy. W każdym razie na początku sytuacja wyglądała pomyślnie.

Przez panią Mackiewiczową poznałem wileńską przedwojenną elitę intelektualną, a między innymi następujące osoby: prof. Witold Świda, kustosz biblioteki Wróblewskich Waław Studnicki, Józef Mackiewicz i Barbara Toporska, sędzia i kawaler *Virtuti Militari* Waław Cywiński i jego żona Jadwiga z domu Rudzka, jego brat Tadeusz Cywiński itd. Nawiasem mówiąc, siostra Cywińskich, Helena, była żoną Bolesława Krzyżanowskiego, który wkrótce został komendantem wileńskiej bazy akcji „Wachlarz”.

W tym intelektualnym towarzystwie, które poznałem w Wilnie w czasie wojny, przeważali ludzie raczej niezaradni życiowo. W warunkach okupacyjnych zarobienie na życie było dla nich nielada problemem. Ale były wyjątki, a między innymi Tadeusz Cywiński, który został aresztowany przez Niemców pod zarzutem handlowania dolarami. Cywiński mówił biegle po niemiecku i robił wrażenie człowieka światowego. Dlatego w czasie badań w Gestapo na ulicy Ofiarnej oficer niemiecki pozostał z nim sam na sam. Cywiński wykorzystał tę sytuację, wyrzwał Niemca w głowę karafką i wyskoczył przez okno z pierwszego piętra chwytając się za druty telefoniczne, które zresztą urwały się pod jego ciężarem. Wylądował więc nieco potłuczony na dziedzińcu sąsiedniej posiadłości i skrył się w pobliskiej budce. Jakaś typowa wileńska baba, która widziała ten wypadek, skierowała patrol

Gestapo na Górę Boufałową, mówiąc im, iż zbieg uciekł w tamtym kierunku, a w międzyczasie ponagliła Cywińskiego, żeby udał się w przeciwną stronę. Wypadek ten miał miejsce w 1943 roku”.

Na początku wojny Stanisław Szabunia był związany z ruchem konspiracyjnym w Wilnie, ale jak długo, w jakim charakterze i dlaczego stamtąd odszedł, nie wiadomo. W międzyczasie przyjął pracę stróża nocnego we dworze Gojcieniszki, kilka kilometrów na wschód od Bieniakoń, którą wykonywał bez mała dwa lata. Jego warunki bytowania w Gojcieniszkach przedstawia St. Truszkowski (*Partyzanckie wspomnienia*, Warszawa, 1968), w sposób następujący:

„Znaleźliśmy go w jakiejś na pół zapadłej w ziemię oficynie nad stawami rybnymi. Jego klitka oraz znajdujący się w niej okropny barłóg przedstawiały wręcz żałosny widok, a sam podporucznik robił wrażenie abnegata. Dość wysoki szczupły blondyn, należycie zagłodzony; z całej twarzy wyraźnie zaznaczały się tylko oczy, szaroniebieskie, o chłodnym, spokojnym spojrzeniu, utkwionym gdzieś daleko. ... Był zniechęcony i rozczarowany do konspiracyjnych poczynań w Wilnie, a trudno go było usposobić optymistycznie; miał swoje powody do pesymizmu. Ciężkie warunki materialne i przewlekły niezbyt kieszek przy niemożności zastosowania jakiejś diety wy-czerpały tego młodego człowieka” (str. 20).

Rzeczywiście szary połysk oczu Szabuni zwracał na siebie uwagę.

Truszkowski przedstawia sprawy w ten sposób jakby on zaangażował Szabunię do nowogródzkiego okręgu AK. Tymczasem z pracy komendanta okręgu nowogródzkiego, Prawdzica-Szlaskiego (*Nowogródzczyzna w walce*, str. 25 i 121) wynika, że najprawdopodobniej wiosną 1943 Szabunia był dowódcą kompanii konspiracyjnej Bieniakoń w ramach obwodu Lida, która w marcu 1944 zamieniła się na kompanię partyzancką. Stała się ona zaczątkiem 5-go batalionu dowodzonego przez Truszkowskiego w maju i czerwcu 1944.

Można podejrzewać, że Szabunia nie był zachwycony tym, iż sam nie został dowódcą 5-go batalionu, tym bardziej, że jego kolega, por. Borysewicz dowodził sąsiednim 2-gim batalionem. Jednak ani Prawdzic-Szlaski nie przypomina sobie żadnych pretensji ze strony Szabuni, ani też w rozmowach ze mną we wrześniu 1971 sprawa ta nie wyłynęła. Nie wyrażał żalu, że został podporządkowany Truszkowskiemu.

Szabunia przyjął pseudonim „Licho”, który pochodził z ulubionej w jego dzieciństwie „Sierotki Marysi” Konopnickiej, gdzie jeden z krasnoludków nazywa się Licho. Ale w ustach ludzi podwileńskich brzmiało to raczej jak „Lichi”, czyli sprytny, udaty, co było dla nich o wiele bliższym pojęciem, niż nieznanne na

tych terenach „Licho”, a poza tym ich zdaniem „Lichi” dobrze pasował do Szabuni.

Szabunia był szczególnie zainteresowany szkoleniem i dlatego w 1943 roku z zamiłowaniem prowadził w ramach swej kompanii „Kursy dla niższych dowódców do działań partyzancko-dywersyjnych”. Szczególny nacisk kładł na przygotowanie akcji na lotnisko Porubanek, lub też na koszary oddziałów wykonujących egzekucje na Ponarach, ale akcje te nie doszły do skutku. Szabunia interesował się nie tylko wyszkoleniem ściśle wojskowym, ale również i wychowywaniem młodych chłopców na dobrych obywateli w sensie bardziej ogólnym. Chciał wyrzucić na tych „malców” wpływ osobisty i zaszczerpić im głębokie poczucie obowiązku i prawdopodobnie miał pozytywne osiągnięcia w tej dziedzinie. Umiał do tych chłopców przemówić i był przez nich lubiany, czemu dał wyraz Truszkowski (str. 21).

Niewątpliwie obcowanie z tamtejszym „ludem” i wywieranie nań wpływu sprawiało Szabuni przyjemność, a zresztą uważał on to za swój obowiązek.

Od czasu do czasu Szabunia wrywał się z okolic Bieniakoń do Wilna, „wielkiego miasta”, aby odwiedzić siostrę, podleczyć swój zbolały żołądek, spotkać się z intelektualnym środowiskiem i zasięgnąć języka tak w sprawach lokalnych, jak i światowych. W drodze do Wilna odwiedzał w Czarnym Borze Józefa Mackiewicza, o którym w czasie naszych rozmów we wrześniu 1971 mówił tak:

„Za czasów okupacji litewskiej (jesień 1939 - czerwiec 1940) Mackiewicz pisywał felietony w dzienniku wydawanym po polsku. W jesieni 1939 opublikował artykuł o klęsce wrześniowej, w którym potępiał wyższych dowódców i gloryfikował szeregowych, którzy w przeciwieństwie do dowódców walczyli dzielnie. Tym artykułem spowodował wielkie poruszenie i sprzeciw nawet w swoim środowisku, które jednak nie wykluczyło go, a jedynie traktowało go jako *enfant terrible*. Pod koniec 1942 przybył do Wilna, za zezwoleniem Niemców, Władysław Studnicki w celu przeprowadzenia rozmów politycznych, dążących do jakiejś formy organizacji opartej na tradycjach Wielkiego Xięstwa Litewskiego. Jego przybycie do Wilna spowodowało wielkie poruszenie i pewne zainteresowanie w tym środowisku intelektualistów. Między innymi Studnicki rozmawiał również z Mackiewiczem. Jednak rozmowy te do niczego nie doprowadziły, chyba głównie dlatego, że nie było zdecydowanej polityki ze strony władz niemieckich, i Studnicki wyjechał z Wilna. Podobno przed wyjazdem zostawił u lokalnych władz niemieckich listę wileńskich Polaków godnych zaufania. Na tej liście był między innymi Józef Mackiewicz, który od tego czasu nie ukrywał się przed władzami niemieckimi, tak samo jak i inni znajdujący się na tej liście. Przez cały ten czas z polskiej strony żadnej nagonki na Mackiewicza nie było, ani towarzyskiej, ani też w prasie podziemnej. W tym czasie Józef Mackiewicz mieszkał razem z Barbarą Toporską w Czarnym Borze pod Wilnem i często zatrzymywałem się u nich w moich podróżach do Wilna i z powrotem do mojej kompanii partyzanckiej.



Ponieważ Mackiewicz nie ukrywał się, Niemcy nie mieli trudności skontaktowania się z nim w sprawie wyjazdu do Katynia. Mackiewicz zwrócił się w tej sprawie z zapytaniem do polskich autorytetów podziemnych i podobno dostał odpowiedź, iż niech jedzie, ale oficjalnie oni nic o tym nie wiedzą. Po powrocie zaczęły ukazywać się felietony, czy też wywiady z Mackiewiczem w *Gońcu Codziennym*, wydawanym przez władze okupacyjne. Dotyczyły one jego pobytu w Katyniu. Dopiero wówczas zaczęła się nagonka na niego na wielką skalę, jednak nigdy nie słyszałem o jakimkolwiek wyroku wydanym na Mackiewicza. Po raz pierwszy doszło to do moich uszu już po wojnie na Zachodzie. Poza tym Józef Dubicki, który był sędzią w Wilnie w czasie wojny w podziemiu mówił mi też, że żadnego wyroku na Mackiewicza nie było. Gdyby był wyrok śmierci, nie byłoby żadnej trudności w jego wykonaniu, gdyż Mackiewicz nie ukrywał się i mieszkał w pojedynczym domku w Czarnym Borze, a czasu też było na to sporo, gdyż dopiero w początku 1944 wyjechał do Warszawy. Sądzę, że cała ta nagonka na Mackiewicza, która jest prowadzona na Zachodzie, jest zwykłą prowokacją sowiecką, jako zemsta na Mackiewicz za jego oświadczenia katyńskie i nie mogę zrozumieć tego, że niektóre ośrodki polskie na Zachodzie, prowadzące tę nagonkę, nie zdają sobie sprawy z tego, że wykonują robotę sowiecką. Wiadomo, że Mackiewicz nie podzielał ogólnie przyjętych polskich odruchów w czasie ostatniej wojny, ale to jeszcze nie powód, aby go szkalować. Pragnąłbym nadmienić, iż ostatnio w prasie polonijnej w Stanach Zjednoczonych dawny delegat rządu w Wilnie, Adam Galiński, wystąpił z twierdzeniem, iż wyrok na Mackiewicza został wydany, ale na jego prośbę został odroczone do okresu powojennego. Nigdy takiej wersji w czasie wojny nie słyszałem”.

Zarówno ta wypowiedź Szabuni, jak i zacytowana powyżej (o inteligencji wileńskiej), pochodzą z maszynopisu „Rozmowy z kapitanem Szabunią” opublikowanego w *Zeszytach Historycznych* Nr 25, z którego zostały wycofane na skutek żądania Szabuni, umotywowanego w sposób następujący:

„Jest to chyba pierwsza wypowiedź żyjącego świadka z tamtych stron na jego (Mackiewicza) temat. Wypadła słabo, bo użyłem tylko *reductio ad absurdum*. Przy tym nie porozumiałem się dotąd z nim osobiście, a nie chcę czegoś bez jego zgody publikować i jeszcze ponadto przy tej okazji chcę dać odpowiedź różnego rodzaju agentom w rodzaju (tu parę nazwisk, które opuszczam — Z.S.S.)”. (List z 4 stycznia 1972).

Obecnie podaję w powyższych dwóch cytatach wypowiedzi Szabuni bez uprzedniego uzgodnienia z p. Józefem Mackiewiczem.

Polskie podziemie na kresach północno-wschodnich, które uważało za swój obowiązek dbanie o polskie interesy na tych terenach, musiało walczyć nie tylko z Niemcami, ale również z Litwinami, Rosjanami i innymi wschodnimi nacjami na służbie niemieckiej, jak również z sowiecką partyzantką skoncentrowaną głównie w lasach. Z tego punktu widzenia Szabunia nie różnił się od innych dowódców kresowych. 1 stycznia 1944 roku zdobył strzeżony przez Niemców warowny zameczek we dworze Gojcieniszki, gdzie jego oddział zaopatrzył się w broń

i amunicję. W pierwszych dniach maja 1944 odparł wypad oddziałów litewskich pod dowództwem niemieckim na Stare Rakliszki koło Butrymaniec. A w kwietniu 1944 przeprowadził napad na wieś Wisinię, opanowaną przez partyzantów sowieckich, gdzie przypuszczał, iż trzymają porwanych żołnierzy z jego kompanii.

Pomimo stałych starć, nieraz krwawych, z partyzantką sowiecką na Wileńszczyźnie i Nowogródzczyźnie, dowództwo wileńskiego okręgu AK, z poparciem Komendy Głównej w Warszawie, przygotowywało się do jawnego wystąpienia wobec nadchodzącej armii sowieckiej. W tym celu okręg nowogródzki został podporządkowany okręgowi wileńskiemu. Akcją tą kierował komendant tego okręgu płk Aleksander Krzyżanowski, który w tym czasie używał pseudonimu „gen. Wilk”. Przed rozpoczęciem tej akcji, która miała zakończyć się całkowitym ujawnieniem się wobec władz sowieckich, Krzyżanowski przeprowadził 2 lipca 1944 pod wsią Raściuny, kilka kilometrów na północ od Butrymaniec, odprawę dla oficerów okręgu nowogródzkiego. Na zakończenie tej odprawy Krzyżanowski zapytał, czy są jakieś pytania? Szabunia był jedynym oficerem, który wystąpił i zapytał, jak należy zachować się w wypadku, gdyby po ujawnieniu się, armia sowiecka zaczęła rozbrajać polskie oddziały? Dostał odpowiedź, iż do rozbrajania nie dojdzie, a gdyby nawet do tego doszło, to będą odpowiednie rozkazy. Jak wiemy, dokładnie dwa tygodnie później zaistniała sytuacja, o którą zapytywał Szabunia i żadnych rozkazów nie było.

Ale przedtem, nad ranem 7 lipca 1944, polska akcja na Wilno odbyła się w wielkim chaosie. Zostały jedynie wyznaczone pozycje wyjściowe, które w wielu wypadkach były zbyt odległe od miejsca pobytu poszczególnych oddziałów i kierunku natarcia. Natomiast nie było w czasie natarcia łączności ani z sąsiednimi oddziałami, ani też z dowództwem, które praktycznie rzecz biorąc nie istniało, gdyż nie stworzono sztabu, który by najpierw przygotował, a potem kierował tą akcją w czasie jej trwania.

Zasady według których wychowywano młode pokolenie młodzi wojnami opierały się w pierwszym rzędzie na wierności i posłuszeństwie. Było to zresztą zgodne z ówczesnymi tendencjami w Europie. W ten sposób wychowywano wiernych wykonawców, a nie świadomych obywateli, zdolnych do urabiania własnego stosunku do poszczególnych zagadnień i gotowych do wzięcia za to odpowiedzialności. Takich nie było potrzeba, bo decyzje i odpowiedzialność miały znajdować się w ręku autorytetów nadrzędnych. Ale rogate dusze kresowe nie zawsze chciały podporządkować się ogólnym autorytetom i wolały przemysleć

sprawy we własnym zakresie. Dwaj wychowankowie jednego z większych ośrodków posłuszeństwa, jakim była Szkoła Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej — por. Jan Borysewicz (d-ca 2-go batalionu) i por. Stanisław Szabunia (d-ca 2-giej kompanii w 5-tym batalionie) — zastanawiali się w pierwszych dniach lipca 1944 i dyskutowali między sobą, czy wziąć udział wraz ze swoimi oddziałami w akcji, która ma zakończyć się ujawnieniem się przed Sowietami. Wahali się jednak. Zbyt silnie wpojono im, tak jak i wielu innym wojskowym, poszanie dla rozkazu, jaki by on nie był. Szabunia, chociaż z ciężkim sercem, rozkaz wykonał, a Borysewicz wycofał się i nie poszedł na Wilno. W jego wypadku tą ostatnią słomką, która łamie kręgosłup przysłowiowego słonia, były nie tyle sprawy polityczne, co niedostateczne przygotowanie akcji i brak dowodzenia, o czym już była mowa. Borysewicz więc wraz ze swym 2-gim batalionem, przed wschodem słońca 7 lipca 1944 na Wilno nie poszedł. Szabunia natomiast poszedł, ale był zbyt daleko od wyznaczonych mu pozycji wyjściowych, a poza tym 3-ci batalion, czyli tzw. Uderzeniowy Batalion Kadrowy, dowodzony przez Bolesława Piaseckiego, obecnego przywódcę PAX'u, przeszkodził mu, wschodząc na jego trasę marszu. Doprowadziło to do tego, że Szabunia pod Wilno nie zdążył. Odnoszę wrażenie, iż ubolewał nad tym i nieco się tego wstydził.

Niezależna polska akcja na Wilno nad ranem 7 lipca 1944 nie dała pozytywnych wyników. Potem przez sześć dni bolszewicy zdobywali silnie bronione przez Niemców miasto przy aktywnej pomocy niektórych polskich oddziałów. Po zakończeniu tej akcji kazano polskim oddziałom skoncentrować się w rejonie Taboryski - Turgiele, na wschód od Puszczy Rudnickiej. Dotyczyło to zarówno oddziałów wileńskich, jak i nowogródzkich. Borysewicz i Szabunia do koncentracji tej dołączyli. Pomimo, że oddziałom polskim kazano wyjść z miasta, pomimo, że z wieży zamkowej kilkakrotnie ściągnięto polską flagę, pomimo, że po ulicach Wilna, tak jak we wrześniu 1939, chodzili już milicjanci obserwując polskie oddziały, wychodzące z miasta w kierunku Turgiel, pomimo tego wszystkiego euforia wśród Polaków była wielka.

W rejonie koncentracji zamieniano na gwałt oddziały partyzanckie na regularne oddziały wojskowe, wcielając do nich młodzież z terenowej organizacji, która przybyła pod Wilno na skutek uprzednio zarządzanej mobilizacji z okolic nawet tak odległych jak Brasław, czy Głębokie. Szczególnie uroczyście obchodzono niedzielę 16 lipca. Tego dnia miała odbyć się w Wilnie zasadnicza konferencja w sprawie tworzenia polskiej dy-

wizji piechoty i brygady kawalerii przy boku armii sowieckiej, jak również odprawa dla oficerów wyższych stopni w majątku Bogusze w rejonie koncentracji Turgiele - Taboryszki. Oddziały już bez mała regularne, ale jedynie częściowo uzbrojone w lekką broń, wysłuchały przy ołtarzach polowych uroczystych mszy świętych, a niektóre spośród nich miały później wspólny obiad żołnierski. Jednak spełniły się najgorsze przypuszczenia, które miał na myśli Szabunia zadając pytania Krzyżanowskiemu dwa tygodnie temu — zarówno na konferencji w Wilnie, jak i na odprawie w Boguszach oficerowie zostali rozbrojeni i aresztowani. Żadnych przygotowań ze strony polskiej do takiej sytuacji nie było. Zaalarmowane oddziały zaczęły poruszać się szybkimi marszami w nocy z 16 na 17 lipca z rejonu koncentracji w kierunku Puszczy Rudnickiej (na zachód), która miała im dać schronienie. Inne oddziały skierowały się na wschód w celu ukrycia się w Puszczy Nalibockiej, ale nie zdołały tam dotrzeć.

W ciągu następnych kilku dni zamieszanie było wielkie. Jedni, jak na przykład ppłk Prawdzic-Szlaski i por. Bolesław Piasecki, uważali, iż należy wycofywać się na zachód, inni, jak na przykład mjr dypl. Maciej Kalenkiewicz, por. Szabunia i por. Borysewicz uważali, iż należy pozostać na ziemiach kresowych i stać w ich obronie, jeszcze inni, jak na przykład ppłk Zygmunt Blumski z okręgu wileńskiego, doszli do wniosku, iż już wszystko skończone i rozwiązywali oddziały. A w międzyczasie poważne ilości żołnierzy trafiały do rąk sowieckich i zostały internowane w Miednikach, a potem wywiezione do Rosji, głównie do Kaługi.

Szabunia wraz ze swoją kompanią, która w międzyczasie rozrosła się do około 250 żołnierzy, przebywał początkowo w Puszczy Rudnickiej pod rozkazami mjra Kalenkiewicza.

Szabunia był zwolennikiem ruchu w działaniu partyzanckim i nie podzielał tendencji Kalenkiewicza do tworzenia obronnego jeża, co zresztą doprowadziło Kalenkiewicza i jego najbliższe otoczenie do całkowitej zagłady kilka tygodni później pod Surkontami w pobliżu Radunia. Z tego powodu Szabunia wyszedł z puszczy i rozpuścił swą kompanię, pozostawiając jedynie trzy niewielkie, lotne oddziały. Podobnie postąpił również Borysewicz. Te lotne oddziały były dobrze uzbrojone, gdyż w przeciwieństwie do okupacji niemieckiej „pod Sowietami” na broni nie zbywało i, aby uniknąć likwidacji przez wojska KGB, były w stałym ruchu. Zimą 1944/45 oddziały te podróżowały saniami, wiatr zawiewał śniegiem ich ślady, a noce były długie, co dawało im większe szanse działania, gdyż odpoczywali w dzień. Walczyli ze wszelkiego rodzaju przeciwnikami, jakich spotykali

na swej drodze. W pierwszym rządzie były to oddziały sowieckie, bo z „zielonymi”, czyli swego rodzaju anarchistami występującymi przeciw wszystkim, jak również z watahami dezertorów z armii sowieckiej dochodzili przeważnie do porozumienia. Jednocześnie karali „gachów”, czyli aktywnych zwolenników władzy sowieckiej, stosując najczęściej chłostę. Ale w pierwszym rządzie demonstrowali na szerokim terenie, od Bieniakoń po jezioro Narocz, iż jeszcze istnieją polskie czynniki i polska działalność. W jednym z tych oddziałów utworzonych przez Szabunię, służył znany obecnie pisarz krajowy Tadeusz Konwicki.

Pod koniec listopada, lub na początku grudnia 1944 Szabunia przeniósł się do Wilna głównie w celu podleczenia się w szpitalu św. Jakuba. W tym czasie skontaktował się z nim ówczesny komendant okręgu wileńskiego płk dypl. Antoni Olechnowicz i zatrzymał go w swym sztabie. Po wyjściu ze szpitala Szabunia urządził się jako stróż w ratuszu wileńskim, co dawało mu wygodne możliwości kontaktowania się z ludźmi. W tym okresie używał pseudonimu „Bruk”. W styczniu 1945 Szabunia przeżył ciężko śmierć swego kolegi Janka Borysewicza, który został zastrzelony w czasie przejazdu przez wieś.

Wkrótce Olechnowicz powierzył Szabuni sekcję łączności radiowej z zadaniem nawiązania kontaktu z Londynem. Różne powody złożyły się na to, że sekcja nie zdołała wykonać tego zadania. Szabunia nie hołdował improwizacji i zawsze poświęcał wiele czasu na przygotowanie i planowanie. Poszukując odpowiedniego pomieszczenia na radiostację nawiązał kontakt z dr. Jerzym Ordą, znawcą historii sztuki i miłośnikiem zabytków wileńskich, który przed wojną był współpracownikiem wileńskiej lewicy akademickiej i świadkiem obrony na jej procesie w grudniu 1937, w czasie którego oświadczył, że pochodzi z rodziny ziemiańskiej, że jest rzymskim katolikiem i „anarchistą w duchu św. Augustyna”, co spowodowało huraganowy śmiech na sali sądowej. Ta znajomość z Ordą przyczyniła się prawdopodobnie do późniejszego aresztowania Szabuni. Ale zanim do tego doszło, Szabunia poznał Irenę Sztachelską (z domu Dziewicką) i Marię Namysłowską (z domu Żeromską) ze środowiska przedwojennej lewicy akademickiej, które działały w wileńskim oddziale Związku Polskich Patriotów. Namawiały one Szabunię do wstąpienia do armii Berlinga, on miał zupełnie inne zamiary.

Dzieje wileńskiego okręgu AK w latach powojennych były całkiem inne niż pozostałych okręgów, które po wojnie występowały jako WiN pod kierownictwem płk. Rzepeckiego. Celem WiN'u było pertraktowanie z władzami PRL z postawy siły

podziemia i przez to uzyskanie jak najlepszego kompromisu i jak największych uprawnień dla samych siebie i dla stronnictwa Mikołajczyka. Płk Olechnowicz tego rodzaju program odrzucił i rozpoczął działalność niezależną, zorientowaną głównie na konflikt zbrojny między Wschodem i Zachodem. Jednak wobec masowej repatriacji z Wileńszczyzny do PRL zarówno Polaków, jak i tych którzy solidaryzowali się z polskością, Olechnowicz nakazał wiosną 1945 roku likwidację oddziałów lotnych i przerwienie młodzieży wraz z innymi repatriantami do PRL, dokąd również przeniósł swą działalność. Kontynuował on tę działalność na Pomorzu wraz ze znanym partyzantem mjr. Szendzielarzem (Łupaszka) aż do 1948 roku, kiedy to doszli do wniosku, że konfliktu Wschód-Zachód nie będzie i organizację rozwiązali. Szabunia, który był zdecydowany występować do ostatka w imieniu ziem kresowych, miał pozostać w Wilnie jako kierownik placówki „Wileńskiego okręgu AK”, tzn. organizacji kierowanej przez Olechnowicza.

Jednak niespodziewanie, 18 lipca 1945 Szabunia został aresztowany. Jednocześnie aresztowano z jego środowiska wszystkich tych, którzy kontaktowali się z Jerzym Orda. Śledztwo prowadzone w typowo sowiecki sposób zostało zakończone w początku grudnia 1945, a 10 stycznia 1946 nastąpiło ogłoszenie wyroku — Szabunia dostał 15 lat łagrów, a potem 10 lat pozbawienia praw obywatelskich. Ostatniego dnia stycznia 1946 załadowano go do transportu więziennego, który następnego dnia ruszył w kierunku północnym. Po pewnym czasie Szabunia zauważył, iż jedna z desek wagonu była nadłamana. Zaczął się z nią mocować i wkrótce ustąpiła. A ponieważ był szczupły, zdołał przecisnąć się przez powstały otwór i wyskoczyć z pociągu akurat przed mostem na Dźwinie, co utrudniło pościg. Wkrótce zaczęły gonić go wypuszczone przez sowieckich strażników psy, które jednak, chyba z powodu przeszkody w postaci mostu, nie były na jego tropie. Ale sytuacja stawała się beznadziejna. Uratowało Szabunię to, iż zaczął rzucać kawałkami zamrożonego śniegu w psa uwiązanego na niedalekim chutorze, który z tego powodu coraz przeraźliwiej ujadł. W jego więc kierunku udały się psy sowieckie, a za nimi żołnierze KGB, którzy zaczęli obszukiwać zabudowania chutoru. To dało Szabuni szansę ucieczki w przeciwnym kierunku. Już zupełnie wyczerpany i zmarznięty zapukał do chaty jednego z chutorów. Trafił na porządných ludzi, którzy zaczęli przekazywać go jedni drugim w tak szybkim tempie, że już w połowie lutego był znowu w Wilnie.

Jednak był tutaj całkowicie „spalony”, więc o jakimkolwiek

działaniu nie mogło być mowy, a samo przebywanie w mieście groziło mu powtórным aresztowaniem. Przesłanie go jako repatrianta na fałszywych papierach było zbyt ryzykowne. Sprawą ratowania Szabuni zajął się Tadeusz Cywiński. Stało na tym, iż zostanie przewieziony do PRL w skrzyni. Został zapakowany 15 marca 1946 i dostarczony na dworzec wileński. Postój na dworcu trwał aż dwa dni. Wreszcie pociąg wyruszył do Olsztyna, gdzie Szabunię „wypakowano”. Były to dla niego niezmiernie ciężkie dni.

W PRL w dalszym ciągu Szabunia był w niebezpieczeństwie. Jasne było, że UB poszukuje go usilnie, szczególnie wśród repatriantów z kresów północno-wschodnich. Wkrótce więc wyjechał z Olsztyna do Krakowa, a następnie jednym z nielegalnych transportów do Włoch, gdzie przyjęty do 2-go Korpusu, dostał awans na kapitana.

Po przybyciu wraz z 2-gim Korpusem do Wielkiej Brytanii Stanisław Szabunia rozpoczął studiować inżynierię lądową na Polish University College, na ostatnim kursie prowadzonym jeszcze według programu polskiego. Następne lata miały już programy University of London. Mówił w tym czasie, iż tak jak uprzednio był dobrym oficerem, teraz chce być dobrym inżynierem i studia stawia na pierwszym miejscu. Jednak nie szły mu łatwo, zresztą nie tylko jemu. Ogólnie rzecz biorąc, można było zaobserwować, iż im ktoś więcej przeżył w czasie wojny, tym trudniej było mu studiować po zakończeniu wojny.

W tym czasie Szabunia mieszkał w Hospicjum św. Stanisława, założonym dla studentów przez ks. Stanisława Bełcha. Miał tam okazję spotykać się z wielu kolegami. Chętnie i dużo opowiadał o czasach przedwojennych, natomiast o czasach wojennych właściwie wcale nie mówił, chociaż ogólnie było wiadomo, że „działał” w AK pod Wilnem. Odnosiło się wrażenie, że chciałby wywierać wychowawczy wpływ na otaczających go młodszych wiekiem kolegów-studentów, ale w tym okresie rozgoryczenia powojennego i upadku autorytetów, których przepowiednie zwycięskiego zakończenia wojny nie spełniły się, nikt w Hospicjum św. Stanisława przywódców nie poszukiwał, z wyjątkiem paru AK'owców, którzy darzyli Szabunię respektem jako dowódcę partyzanckiego.

Studia, jak wspomniałem szły Szabuni opornie, ponadto miał kłopoty osobiste. W końcu musiał z nich zrezygnować straciwszy stypendium. Wówczas wyjechał do Stanów Zjednoczonych za namową brata Leona, który już tam od pewnego czasu przebywał.

Początkowo powodziło mu się nieźle. Miał własną firmę budowlaną. Ale potem nadeszły katastrofy. A jednocześnie choroba doprowadziła do upadku firmy. Potem przez dłuższy czas z wielkim poświęceniem prowadził zorganizowany przez swego brata Polski Klub Narodowy w Hampstead koło Nowego Jorku. Pragnął nadać temu klubowi charakter bardziej intelektualny — organizował bibliotekę, sprowadzał prelegentów i artystów, a jednocześnie coraz mniej dbał o siebie, był coraz bardziej zaniedbany. Konwicki w *Kompleksie polskim* opisuje spotkanie z nim w tym okresie w sposób następujący:

„Zaczepia mnie przed hotelem starszy pan, niezmiernie wychudły, schorowany mężczyzna o bolesnych oczach i ja od razu poznałem tego człowieka, choć nigdy przedtem nie mogłem go spotkać... Dławiłem się jakimś lękiem, wstydem, raptownymi wyrzutami sumienia, a mój rozmówca, ledwo dychający staruszek starszy ode mnie siedem albo dziesięć lat, więc ten prawie mój rówieśnik na progu agonii patrzył na mnie nieżyjącymi już oczyma, a właściwie bardzo żywotnymi oczyma, gorejącymi ostatnim blaskiem oczami i czekał na moje słowa. A ja, choć to może wydać się głupie, przyjąłem, mimo że siedziałem, postawę wojskową i wojskowym, służbistym głosem złożyłem mu meldunek o dalszych losach naszego oddziału partyzanckiego w pierwszych miesiącach czterdziestego piątego roku, o naszych losach, które rozminęły się z jego losem... on uciekł i w tragicznych okolicznościach wy dostał się na Zachód, gdzie szybko stracił zdrowie w nieskończonej tułaczce i teraz umiera, umiera i nie może umrzeć... bez końca umierając ciągle myśli o dalekiej Polsce, ciągle rozpamiętuje te sześć lat wojny, te najlepsze sześć lat swego życia, kiedy był piękny, mocny, szlachetny, kiedy kształtował życie, kiedy stanowił lepszy i mądrzejszy kodeks moralny, kiedy był człowiekiem na kształt i podobieństwo Pana Boga” (str. 16).

W tym czasie syn jednego z tych, którzy wysyłali Szabunię w skrzyni z Wilna do Olsztyna napisał do niego z kraju, żeby przyjeżdżał, że jego darmowe leczenie w kraju zostało już przez ZBOWiD załatwione, że będzie miał najlepszą opiekę i najlepszych specjalistów, a dawne sprawy zostaną zapomniane. Stanisław za starania podziękował, ale stwierdził, iż powróci tylko do takiej Polski, w której nie jemu, a on będzie zapominał innym pewne sprawy. Taka to już była twarda dusza.

Prowadząc klub w Hampstead Stanisław Szabunia zdecydowanie przeciwstawiał się wszelkim ukłonom w stosunku do PRL. Przysparzało mu to niechętnych. Jednocześnie, pomimo operacji, której poddał się w 1972 roku, czuł się coraz gorzej i coraz mniej dbał o siebie. Wreszcie już całkowicie chory był najpierw u siostry (która od szeregu lat dzięki jego zabiegom przebywa w Ameryce), a potem został wysłany samolotem do brata Leona w Arizonie. Tam po kilku dniach zmarł we śnie. Pozostawił po sobie trzy dorosłe już córki.



Dzięki staraniom brata został pochowany w Nowej Częstochowie w Pensylwanii.

Z. S. SIEMASZKO

Londyn, maj 1978

Następujące prace zostały wykorzystane w tym szkicu:

- Chocianowicz Waław, „Ziemie Wschodnie RP w latach 1939-1944”, *Pa-miętnik wileński*, Londyn 1972.  
Garliński Józef, *Między Londynem i Warszawą*, Londyn, 1966.  
Jędrzychowska Anna, *Zygakiem i po prostu*, Warszawa, 1965.  
Konwicki Tadeusz, *Kompleks polski*, Londyn, 1977.  
Prawdzic-Szlaski Janusz, *Nowogródzyczna w walce*, Londyn, 1976.  
Sędziak Stanisław, *Działalność nowogródzkiego okręgu AK*, maszynopis.  
Siemaszko Z. S., „Rozmowy z kapitanem Szabunią”, 25-te *Zeszyty Histo-ryczne*, Paryż, 1973.  
Truchan Barbara, „Burza’ pod Wilnem”, 36-te *Zeszyty Historyczne*, Paryż, 1976.  
Truszkowski Stanisław, *Partyzanckie wspomnienia*, Warszawa, 1968.

Z. S. S.

### „NOTHING BUT HONOUR” J. K. ZAWODNEGO (Recenzja zbiorowa)

Jan CIECHANOWSKI

Do połowy lipca 1944 roku, polskie władze, zarówno w kraju jak i w Londynie, nie przewidziały właściwie możliwości większych walk w Warszawie.

W marcu 1944 roku Dowódca A.K. gen. T. Bór-Komorowski wyłączył stolicę z planu „Burza”, by uniknąć zniszczeń i zaoszczędzić cierpienie ludności cywilnej. W dniu 14 lipca 1944 roku Bór-Komorowski meldował do Londynu, że przy obecnym stanie sił niemieckich w Polsce i ich przygotowaniach przeciwpowstańczych „Burza” nie ma widoków powodzenia.

W ciągu tygodnia Bór-Komorowski zmienił zdanie i już 21 lipca uważał, że Warszawa powinna być oswobodzona od Niemców, polskim wysiłkiem, na krótko przed spodziewanym wejściem Rosjan do miasta. Dnia 22 lipca Delegat Rządu na kraj, J. S. Jankowski zatwierdził plan Bora-Komorowskiego.

Dnia 25 lipca Dowódca A.K. zawiadomił Londyn, że był gotów w „każdej chwili do walki o Warszawę” i prosił o zapewnienie pomocy brytyjskiej na rzecz planowanego powstania w Warszawie.

Decyzja rzucenia stolicy do walki z Niemcami zapadła w Warszawie pod koniec lipca 1944 roku, a ostateczny rozkaz do powstania został wydany przez Bora-Komorowskiego wczesnym wieczorem 31 lipca, gdy płk „Monter” Antoni Chruściel, komendant Warszawskiego okręgu A.K. zameldował mu, że sowieckie człogi znajdowały się już pod Pragę.

Walka w Warszawie zaczęła się 1 sierpnia i trwała przez następne 63 dni. Zakończyła się ona prawie całkowitą zagładą stolicy.

Ostatnio wydana w Londynie po angielsku praca na temat powstania warszawskiego<sup>1</sup> zajmuje się bezpośrednimi skutkami tej decyzji, to jest przebiegiem samego powstania, oraz jego dyplomatycznymi reperkusjami w Londynie, Waszyngtonie i w Moskwie. Zawodny omawia podejście Churchilla i Roosevelta do polskich spraw w latach 1943-44. Analizuje też wpływ decyzji powziętych przez wielką trójkę w Teheranie w sprawie powojennych granic Polski na wydarzenia jakie rozgrywały się w kraju i w polskich ośrodkach kierowniczych na Zachodzie w 1944 roku.

Zawodny nie zajmuje się jednak genezą i rozwojem A.K. i polskiego państwa podziemnego, oraz całym złożonym i obfitym splotem przyczyn i powodów, które skłoniły krajowych przywódców do poderwania Warszawy do boju, co w dużym stopniu zawęży jego podejście do tematu i osłabia wartość książki. Zdaniem autora te dwa zasadnicze problemy, które w przemożny sposób rzutowały na decyzje Bora-Komorowskiego, stanowią osobny temat i wychodzą poza ramy jego zainteresowań. Dla Zawodnego zasadniczym punktem wyjścia do jego dociekań — podobnie jak i dla Borkiewicza<sup>2</sup> — jest moment wybuchu powstania.

Zawodny podaje za *Armią Krajową*<sup>3</sup>, że głównym celem powstania miało być przez zaatakowanie przez A.K. załogi niemieckiej, skrócenie czasu niemiecko-sowieckiego boju o Warszawę i zaoszczędzenie ludności cierpień i strat, a miastu zniszczenia, oraz umożliwienie polskim władzom cywilnym i wojskowym wystąpienia wobec wkraczających wojsk sowieckich w uwolnionej własnym wysiłkiem stolicy, w roli pełnoprawnych gospodarzy. Gen. Bór-Komorowski wierzył podejmując walkę, że na froncie wschodnim Niemcy ponieśli klęskę, że Rosjanie wkrótce wejdą do Warszawy i że w rezultacie nadarzyła mu się wspaniała, niepowtarzalna okazja do opanowania miasta.

W istocie wiemy, że było o wiele więcej i to ważniejszych przyczyn, które skłoniły krajowe władze do podjęcia walki o Warszawę, niż te które podaje Zawodny, co zresztą on sam przyznaje (str. 112).

---

1. Janusz K. Zawodny, *Nothing but Honour (Nic tylko honor)*, Macmillan, London, 1978, str. 328. Cena £ 6.95.

2. A. Borkiewicz, *Powstanie Warszawskie*, Warszawa, 1957.

3. Komisja historyczna Polskiego Sztabu Głównego w Londynie, tom III. *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej: Armia Krajowa*. Londyn, 1950.

Z politycznego punktu widzenia powstanie, zgodnie z intencjami jego autorów, miało umożliwić realizację czterech zasadniczych celów: opanowanie Warszawy przez podziemne kierownictwo krajowe w imieniu Rządu Polskiego w Londynie, zapewnienie mu jak największego poparcia i popularności wśród społeczeństwa, zapobieżenie usadowieniu się w stolicy władz komunistycznych przy pomocy Rosjan i wreszcie skłonienie Stalina do uznania rządu londyńskiego i jego krajowych organów jako suwerennego przedstawicielstwa narodu, oraz zachęcenie Churchilla i Roosevelta do ponownego, stanowczego opowiedzenia się po stronie Polaków.

Po krótko autorzy powstania uważali, że ich bezczynność w czasie zajmowania Warszawy przez Armię Czerwoną będzie równoznaczna z ich politycznym samobójstwem.

Zawodny nie wdaje się też w ocenę ani kwalifikacji, ani charakterów i osobowości autorów powstania, chociaż niewątpliwie miały one duży wpływ na decyzję rzucenia Warszawy do boju. Niemniej, dość dużo pisze o smutnych oczach, nienaganych manierach i dobrym wychowaniu Bora-Komorowskiego, nie wspominając jednak, że Generał w istocie nie posiadał żadnego — ani wojskowego, ani cywilnego — przygotowania do pełnienia obowiązków dowódcy A.K. Bór-Komorowski był liniowym oficerem kawalerii, nie ukończył wyższej szkoły wojennej, nie posiadał właściwie żadnego doświadczenia w pracy sztabowej, czy w dowodzeniu na wysokim szczeblu. W jego uprzedniej karierze, wykształceniu i wyszkoleniu nic właściwie nie wskazywało — poza dwuletnią służbą w Komendzie Głównej A.K. — że nadawał się do sprawowania tak wysokiej funkcji, w tak trudnych i skomplikowanych czasach, szczególnie przy takim Naczelnym Wodzu jakim był gen. Sosnkowski, który nim w istocie nie dowodził i grał wobec niego rolę zaufanego i wytrawnego doradcy raczej, niż jego najwyższego zwierzchnika. Styl i kultura „dowodzenia” Naczelnego Wodza przerastały fachowe i intelektualne możliwości gen. Bora-Komorowskiego, którego przypadek wyniósł na jedno z naszych najwyższych wojennych stanowisk.

W wojsku gen. Bór-Komorowski uchodził za wspaniałego jeźdźca i żołnierza, który wstąpił się w bitwie pod Komorowem w 1920 roku, dobrego i wypróbowanego dowódcę pułku kawalerii, *gentlemen*'a świetnie się nadającego do szkolenia i wychowywania podchorążych kawalerii, lecz o innych jego zaletach było raczej głucho.

W lecie 1944 roku nie był to, jak powiadają Anglicy, właściwy człowiek na właściwym miejscu. W ogóle w tym przełomowym dla nas okresie na naszych najwyższych szczytach, za-

równy w Londynie, jak i w Warszawie, panowało bezhołowie i zamęt. Premier i Naczelnny Wódz byli ze sobą skłóceny i wzajemnie sobie przeszkadzali. Kiedy Mikołajczyk poważnie myślał o ugodzie ze Stalinem, Sosnkowski jak na wybawienie czekał na trzecią wojnę światową.

W ostatnich dniach lipca 1944 roku, gdy w Warszawie decydowano sprawę powstania, gdy Premier szykował się do walnej rozgrywki ze Stalinem, Naczelnny Wódz, który bawił wówczas w 2-gim Korpusie we Włoszech, przygotowywał scenariusz i scenę, z której miał zamiar wymówić posłuszeństwo rządowi, gdyby ten poszedł na ustępstwa wobec Moskwy.

W kraju dowództwo A.K. ogarnięte pędem do czynu i walki, niewiele właściwie sobie robiło z nader skomplikowanych, często nawet sprzecznych, chociaż wspaniałym językiem napisanych „rozkazów”, „porad” i „przestróg” Naczelnego Wodza.

Wszystko to fatalnie odbiło się na podejmowanych przez nasze najwyższe władze decyzjach.

Wybuch powstania zbiegł się z niemieckim przeciwuderzeniem w rejonie Warszawy, o rozpoczęciu się którego Bór-Komorowski dowiedział się już w pół godziny po wydaniu ostatecznego rozkazu do walki.

Stąd, jeszcze 31 lipca stało się jasne, że decyzja Dowódcy A.K. rozpoczęcia powstania 1 sierpnia była przedwczesna, co dobrze rozumieli nasi przywódcy na Zachodzie. Gen. Anders w parę godzin po otrzymaniu wiadomości o wybuchu powstania, zawiadomił swoich przełożonych w Londynie, iż uważał decyzję Bora-Komorowskiego „za nieszczęście”.

Niestety o tym wszystkim Zawodny właściwie nie pisze.

Najlepszymi częściami jego książki są rozdziały traktujące o przebiegu samych walk; opisując je, autor pisze nie tylko jako historyk, ale i jak były żołnierz A.K., który w czasie powstania dowodził plutonem i za udział w nim otrzymał Krzyż „Virtuti Militari, i Krzyż Walecznych”.

Stąd Zawodny dobrze wie, co to znaczyło próbować zdobywać, prawie bez broni, silnie bronione niemieckie punkty oporu, zwalczać czołgi przy pomocy butelek z benzyną, leżeć pod bombami bezkarnie latających stukasów, być przynięcionym nawałą ognia moździerzy, brodzić po cuchnących kanałach, być głodnym, zawszonym i śmiertelnie zmęczonym i przez 63 dni bezskutecznie czekać na nadejście pomocy. Wie też jak straszliwie w czasie walk cierpiała ludność cywilna Warszawy, bez której poparcia powstanie nie mogłoby trwać przez z górą dwa miesiące. Z drugiej strony autor słusznie podkreśla, że stosunek ludności cywil-

nej do powstania i powstańców ulegał częstym zmianom i momentami był wrogi i nieprzyjazny, zależnie od sytuacji, natężenia walk i horoskopów na najbliższą przyszłość. Zresztą inaczej być nie mogło.

Zawodny potwierdza, że Rosjanie nie zajęli stolicy w pierwszych dniach sierpnia ze względów natury wojskowej, gdyż przegrali własną bitwę o Warszawę. Nie mniej, już 8 sierpnia Rokossowski meldował Stalinowi, że od 25 sierpnia będzie mógł ponowić swoje natarcie na Warszawę. Niestety Stalin, który 20 sierpnia rozpoczął ofensywę na Bałkanach, nie zezwolił Rokossowskiemu na wznowienie natarcia w końcu sierpnia i Warszawa znalazła się w matni.

Autor uważa, że Stalin postanowił w drugim tygodniu sierpnia, pozostawić Warszawę własnemu losowi, dając w ten sposób Niemcom wspaniałą okazję do rozprawienia się z jego polskimi politycznymi przeciwnikami. Początkowy brak zgody Stalina na pozwolenie lądowania samolotów amerykańskich w sowieckich bazach po dokonaniu zrzutów na Warszawę wydaje się potwierdzać tezę Zawodnego.

Nie mniej 9 września Stalin pod naciskiem Churchilla, zgodził się na wykonanie lotów wahadłowych, a 13 września podjął własną akcję zrzutową na rzecz powstania. W parę dni później oddziały I-ej Armii gen. Berlinga podjęły bezskuteczne próby utworzenia przyczółków na Czerniakowie i na Żoliborzu.

Bez dostępu do sowieckich archiwów nie sposób jest definitywnie ustalić jakimi względami politycznymi czy militarnymi w stosunku do powstania głównie kierował się Stalin.

Zawodny za upadek powstania, przede wszystkim wini Stalina.

Brak polsko-sowieckiej współpracy wojskowej spowodował bezprzykładną wielką tragedię narodową. Umożliwił Niemcom uczynienie z Warszawy drugiej Kartaginy. Ogólne straty w poległych, wojska i ludności, wyniosły w powstaniu warszawskim ponad 200.000 ludzi. Resztę mieszkańców około 800.000 Niemcy wysiedlili z Warszawy i skazali na nędzę i poniewierkę. Żadna stolica europejska nie ucierpiała tak straszliwie od czasu najazdu Hunów na Rzym.

Zawodny potwierdza tezę, że dla zachodnich aliantów powstanie było wydarzeniem niezmiernie kłopotliwym, gdyż sami nie potrafili przyjść Warszawie z pomocą, i nie mogli do tego skłonić Stalina. Pomoc militarną jakiej udzielili Warszawie była niezmiernie ograniczona i dana przede wszystkim z politycznych względów. Miała nie tyle pomóc powstańcom, co zapobiec

upadkowi gabinetu Mikołajczyka — o czym Zawodny nie wspomina — oraz powstania w Londynie rządu „antyrosyjskiego” co, zdaniem Churchilla, ostatecznie przekreśliłoby możliwość polsko-sowieckiej ugody. Autor ma rację, kiedy powiada, że niewkroczenie Armii Czerwonej do stolicy w czasie powstania stało się tragedią zarówno dla Polski jak i dla Rosji, gdyż na dziesiątki lat zatruło polsko-sowieckie stosunki.

Nie mniej, nie dostrzega, że po upadku Powstania wielu Polaków zrozumiało potrzebę bliskiej współpracy z Rosją, pomimo, że koncepcja ta była dla nich trudna do przyjęcia. Po prostu nie widzieli innego wyjścia z sytuacji w jakiej się znaleźli. W istocie powstanie miało uniemożliwić, pomogło komunistom w przejęciu i sprawowaniu władzy w Polsce.

Dla obozu rządowego upadek powstania był początkiem końca, był wielką klęską, z której się on już nigdy nie podniósł.

Jakie będą długofalowe skutki i wpływ powstania na naszą psychikę narodową i kulturę polityczną dopiero przyszłość pokaże.

Autor twardo jednak obstaje przy opinii, że w lecie 1944 roku Warszawa nie miała właściwie innego wyboru jak tylko stanąć do walki w imię naszych narodowych ideałów i powstańczych tradycji. Opinia ta, chociaż szeroko rozpowszechniona w wielu polskich kołach, wydaje się trudna do przyjęcia, ze względu na straty w ludziach i w dorobku materialnym jakie powstanie spowodowało.

W ciągu dwumiesięcznych walk wyginął kwiat naszej warszawskiej młodzieży, niewątpliwie elity naszego narodu, i w gruzy i popiół obrócone zostały bezcenne, niezastąpione i nieodtwarzalne skarby naszej kultury.

Rozbity został kierowniczy ośrodek całości naszego narodowego życia.

Do pracy Zawodnego wkradło się kilka istotnych błędów: gen. J. Kirchmayer nie brał udziału w powstaniu (str. 26); w czasie powstania był w Otwocku. Skąd udał się do Lublina gdzie zgłosił swój akces do P.K.W.N., który nadał mu stopień pułkownika a następnie generała. W A.K. Kirchmayer rozpoczął służbę w stopniu majora a skończył w stopniu podpułkownika. Po drugie Muzyczka, to nie pseudonim lecz nazwisko (str. 153). Muzyczka miał pseudonim „Benedykt”. Po trzecie 3-cia dywizja *I Armii* nie była dywizją imienia Kościuszki, lecz Traugutta (str. 182). Po czwarte, w A.K. w Warszawie nie było plutonu głuchoniemych (str. 42). Istniała jedynie drużyna pomocnicza głuchoniemych przy 1107 plutonie „Mundka”, który wchodził w skład kompanii „Zygmunt” a następnie „Redy”.

Dowodził nimi nie ich kapelan „Staruszek” lecz głuchoniemy kpr. „Igo”.

Wreszcie autor przesadza nieco podając, że AK'owcy nie chcieli kapitulować pod koniec powstania (str. 193). W wielu oddziałach żołnierze od końca września uważali, że jedynie szybka kapitulacja może ich i resztę cywili uratować od niechybnej i daremnej już śmierci. W jednym z dobrych oddziałów, 14-letni kapral odznaczony dwukrotnie Krzyżem Walecznych, zapytany pod koniec września przez wyższego oficera II-go Oddziału Komendy Głównej A.K., co myślał i mówił w jego plutonie, lakonicznie stwierdził, że „trzeba kapitulować”.

Pomimo to, że Zawodny w swej pracy nie porusza szeregu kluczowych zagadnień, należy się cieszyć, że ją napisał; jej ukazanie się pozwoli wielu obcokrajowcom na przynajmniej częściowe zapoznanie się z historią powstania warszawskiego i z dyskusją jaka się wokół niego od lat toczy wśród Polaków.

Jan CIECHANOWSKI



Stefan KORBOŃSKI

Literatura w języku angielskim o Powstaniu Warszawskim jest w gruncie rzeczy uboga. Na pierwszym miejscu należy wymienić książkę generała Tadeusza Bora-Komorowskiego „The Secret Army” wydaną w Anglii w roku 1950, której połowa jest poświęcona Powstaniu Warszawskiemu. Książka ta ma charakter wspomnień i to niezmiernie cennych, ale nie jest opracowaniem naukowym. Książka o powstaniu Jana M. Ciechanowskiego posiada już ten charakter, ale zajmuje się głównie podłożem politycznym i dyplomatycznym powstania, a nie jego przebiegiem. Dla pełności obrazu należy jeszcze wymienić książkę George'a Bruce pt. „The Warsaw Uprising, 1 August - 2 October 1944”, ale ta znów jest tylko godną pochwały próbą popularnego przedstawienia przyczyn i przebiegu powstania, a nie pracą naukową.

W tych warunkach, książkę prof. J. K. Zawodnego pt. *Nothing but Honour* z podtytułem *The Story of the Warsaw Uprising, 1944* należy uznać za pierwsze dzieło naukowe w języku angielskim poświęcone Powstaniu Warszawskiemu jako takiemu. Autor w przedmowie zastrzega się wyraźnie, że nie jest jego zamiarem rozpatrywanie przyczyn wybuchu powstania. Treścią jego książki jest tylko przebieg powstania i jego dyplomatyczne reperkusje. To skoncentrowanie się wyłącznie na pow-



staniu i oparciu tematu na wszystkich dostępnych materiałach należy uznać za główną zaletę tej książki. Autor zwierza się czytelnikowi, że dotarcie do tych materiałów i badania zajęły mu jedenaście lat, ale czas ten nie został zmarnowany. Oparcie książki na źródłach niemieckich, sowieckich, angielskich i amerykańskich, do których nikt przed nim nie uzyskał dostępu, na nie opublikowanych dotychczas dokumentach, na wywiadach z dowódcami i uczestnikami powstania sprawiło, że autor pogłębił wiedzę historyczną o powstaniu jak nikt przedtem. To, co na przykład pamiętnikarze piszący o powstaniu zarejestrowali tylko w swych wspomnieniach, profesor Zawodny rozpracował i nader gruntownie oświetlił. Za przykład niech posłużą stronic poświęcone udziałowi kobiet w powstaniu, zaopatrzone w liczne fakty, cyfry i daty, dotychczas nieznane, względnie pomijane. W rezultacie na rynku angielskim i amerykańskim ukazała się książka bardzo potrzebna, zasługująca w pełni na miano dzieła historycznego, wszechstronnie i głęboko ujmującego to niewątpliwie najbardziej dramatyczne wydarzenie drugiej wojny światowej, jakim było Powstanie Warszawskie.

Do usterek jej należy zaliczyć tytuł nie odpowiadający rzeczywistości. Powstanie miało określoną koncepcję polityczną i wojskową: uwolnienie stolicy od wroga własnymi siłami w przeddzień zajęcia Warszawy przez armię sowiecką, która docierała już do Pragi. Tymczasem tytuł sugeruje z góry czytelnikowi anglosaskiemu, że stoczono walkę tylko dla honoru. „*Nothing but Honour*” nadawałoby się jako tytuł lepiej dla książki o powstaniu w getcie warszawskim, gdzie walczono tylko po to, by drogo sprzedać swe życie, bez szans na zwycięstwo. Dla dzieła profesora Zawodnego wystarczyłby sam podtytuł „*The Story of the Warsaw Uprising, 1944*”, mimo że jest mniej efektowny.

Poza tym do usterek należy zaliczyć przytaczanie wypadków, które mają na przykład świadczyć o zapamiętaniu się w walce powstańców, a w gruncie rzeczy budzą niewiarę. Do takich należy skarga szefa sztabu gen. von dem Bacha, że sześciu oficerów niemieckich, usiłujących się zbliżyć z białymi flagami w rękę do pozycji powstańców, zostało przez nich zastrzelonych (str. 193). Takich wypadków nie było, więc po co przytaczać skargę zupełnie bezpodstawną bez jej równoczesnego zaprzeczenia?

Wreszcie budzi zastrzeżenia metoda pisarska użyta przez autora, który od czasu do czasu z historyka przedzierzga się w pamiętnikarza opisującego w pierwszej osobie własne przeżycia i zwierającego się z niepokoju o swą dziewczynę i rodzinę (str. 138).

Te kilka przykładowo wymienionych usterek w niczym nie pomniejszają faktu, że książka profesora Zawodnego jest najlepszą pracą naukową o Powstaniu Warszawskim, jaka się dotychczas ukazała w języku angielskim.

Stefan KORBOŃSKI

P.S. „Muzyczka” to nie był pseudonim (str. 153), lecz prawdziwe nazwisko. Dobrze mi znany Ludwik Muzyczka używał pseudona „Jacek” i „Benedykt” (patrz zresztą „A.K. w Dokumentach”).

S. K.



Jan NOWAK

Profesor Janusz Zawodny poświęcił się jako historyk badaniu dwóch największych tragedii społeczeństwa polskiego w czasie ostatniej wojny: zbrodni katyńskiej i Powstania Warszawskiego.

Książka *Death in the Forest — the story of the Katyn massacre* ukazała się w roku 1962 a w dziesięć lat później doczekała się drugiego wydania w USA i w Anglii oraz tłumaczeń i publikacji w siedmiu językach i 132 recenzji. Sprowokowała dyskusje i polemiki, które dosłownie wskrzesiły w zachodniej opinii publicznej zbrodnię, zachowaną w pamięci narodu polskiego lecz zapomnianą przez obcych. Kto wie, gdyby echa książki Zawodnego nie obudziły uspięonego wyrzutu sumienia naszych angielskich przyjaciół — może nie byłoby dziś pomnika męczenników Katynia na londyńskim cmentarzu.

Zbrodnia katyńska była tematem, któremu łatwiej było zakreślić granice aniżeli sprawie Powstania Warszawskiego. Problematyka Powstania wrosła bowiem w cały kompleks wielkiej gry między Sowietami a Anglosasami. Nie sposób także rozpatrywać jej w oderwaniu od rozwoju naszych wewnętrznych wydarzeń w łonie polskiego kierownictwa w Warszawie i w Londynie ani nastrojów społeczeństwa i właściwości jego charakteru narodowego oraz polityki okupanta.

Zawodny informuje na wstępie czytelnika, że poświęcił swej pracy o Powstaniu jedenaście lat studiów, objechał siedem krajów, przeprowadził wywiady z 76 świadkami i uczestnikami wypadków, zebrana przez niego dokumentacja w pięciu językach waży 200 funtów. Jak wynika z przypisów przeprowadził rozległą korespondencję nie wyłączając z niej nawet gen. Berlinga

i Tatar. Spośród tych, którzy w czasie warszawskiego dramatu znajdowali się u władzy, tylko Naczelnny Wódz gen. Sosnkowski odmówił udzielenia Zawodnemu wywiadu.

Autor, który zebrał taki ogrom świadectw i dokumentów, staje w obliczu trudnego zadania przeprowadzenia ewaluacji, sprawdzenia wiarygodności i odrzucenia relacji i źródeł wątpliwych, wreszcie selekcji tego co istotne. Zazwyczaj owocem takiej obfitości materiału źródłowego jest wielotomowa kolubryna, przez którą przebrnąć może tylko szczupłe grono specjalistów. Zawodny potrafił wyniki swoich wieloletnich studiów przedstawić na 209 stronach drobnego druku. Pozostałe 108 wypełniają aneksy: wywiad z gen. Borem i prof. G. Kennanem (w czasie Powstania radcą ambasady USA w Moskwie), przypisy, dokumenty oraz niezwykle cenna i obszerna bibliografia. Z tego wysiłku wymagającego niezwyklej dyscypliny wewnętrznej przebija intencja autora, by prawda historyczna dotarła do możliwie najszerszych kręgów czytelników zachodnich.

Zawodnemu zależało przede wszystkim na tym, by ten obcy czytelnik mu wierzył. Zaraz w pierwszych słowach przedmowy uprzedza z góry jego wątpliwości. Czy Polak i uczestnik Powstania (autor jako ppor. „Miś” był dowódcą plutonu w zgrupowaniu „Sosna”) może być jego bezstronnym historykiem. Czy nie posądzą go o to, że przedstawia sprawę z jednego tylko, polskiego punktu widzenia. Ta obawa piszącego stwarza często podświadomą potrzebę udowadniania obiektywizmu, co może prowadzić do tzw. „przejęcia pały” w odwrotnym kierunku. Zawodny stara się budować zaufanie czytelnika operując dokumentami i faktami, które mają własną wymowę. Nie waha się przed wyciągnięciem jednoznacznej konkluzji tam, gdzie dowody są nieodparte. Stawia znaki zapytania, gdy ich brakuje. Jego książka nie rości sobie pretensji do ostatniego słowa. Autor stwierdza wyraźnie, że dopóki wszystkie tajne dokumenty sowieckie nie staną się dostępne, szereg wniosków opiera się z konieczności na poszlakach. Nie ulega jednak wątpliwości, że uważny czytelnik, wolny od uprzedzeń, odłoży książkę Zawodnego w pełnym przekonaniu, że Stalin kierując się przesłankami politycznymi powstrzymał wszelkie próby uwolnienia Warszawy a Sprzymierzeńcy, choć nigdy nie obiecywali pomocy wojskowej, zdradzili Polskę, Armię Krajową i Powstanie zanim jeszcze wybuchło.

Pisząc o stosunku Rosjan do Powstania Zawodny operuje przede wszystkim dokumentami sowieckimi. Nie zaniedbał nawet pisemnego zwrócenia się do Archiwów ZSSR, Ministerstwa Obrony Narodowej w Moskwie i sowieckiego Wojskowego Instytutu Historycznego. Oczywiście na żaden z tych listów odpowiedzi

nie dostał. Związek Sowiecki świadom jest tego, że wobec sądu opinii światowej występuje w roli oskarżonego. Ujawnione dokumenty czy relacje służą więc zatarciu zbrodni. Zdawałoby się, że wobec tego nie zasługują na wiarę. A jednak właśnie ich wnikliwe zbadanie może prowadzić do wykrycia fałszów a tym samym potwierdzenia winy. Tak więc strona sowiecka utrzymuje, że zajęcie Warszawy nie było w ogóle celem lipcowej ofensywy, która miała zatrzymać się na Wiśle po zajęciu Pragi. Można łatwo zbić to twierdzenie słowami samego Stalina, który w rozmowie z Mikołajczykiem w dn. 9 sierpnia 1944 powiedział, że oczekiwał zajęcia Warszawy 6 sierpnia. Autor nie przeoczył tej wypowiedzi, bo cytuje ją na innej stronie i w innym kontekście. Protokół z rozmowy Mikołajczyka ze Stalinem był jednak dokumentem polskim a Zawodny prowadzi czytelnika do ostatecznego wniosku poddając analizie dokumenty sowieckie. Historycy sowieccy dla uzasadnienia swej tezy, że Warszawa lewobrzeżna nie była objęta operacyjnymi planami lipcowej ofensywy powołują się na rozkaz Nr 26162 z 28 lipca. Zawodny ustalił jednak, że rozkaz ten ujawniony został tylko w połowie. Dalszy ciąg, ukryty przez źródła sowieckie mówi natomiast coś wręcz przeciwnego. Tego dalszego ciągu dogrzebał się autor w artykule Kazimierza Sobczaka „Kilka Uwag o Zamierzeniach Dowództwa Radzieckiego w Rejonie Warszawy w Lecie 1944 roku” w periodyku *Najnowsze Dzieje Polski*. Oczywiście historycy sowieccy nie mieliby potrzeby ukrywania części dokumentów i lansowania fałszywej tezy, gdyby wierzyli, że prawda jest po ich stronie. Uwadze Zawodnego nie uszły także doniosłe niedyskrecje w wydanej w Polsce książce Włodzimierza Wołoszyna „Na warszawskim kierunku operacyjnym”. Ujawnione tam zostały dwa sowieckie rozkazy wstrzymujące ofensywę: pierwszy, wydany 1 sierpnia o godz. 4.10 rano odnosił się do Drugiej Armii Pancерnej, której zagoni okrążając od południa Pragę zapuściły się aż poza Radzymin. Podobny rozkaz przejścia do obrony wydał Rokossowski w dn. 2 sierpnia siłom na prawym skrzydle Pierwszego Frontu Białoruskiego nacierającym ze wschodu. Zawodny przyjmuje, że rozkaz ten był podyktowany względami operacyjnymi. Wydaje się jednak, że jest sprawą otwartą, czy decyzja powzięta była na miejscu przez dowódcę frontu czy w Moskwie przez Stalina. Nie można ustalić co było skutkiem a co przyczyną. Czy porażka sowieckiego 3-go Korpusu w trzy dni później była spowodowana właśnie tym rozkazem, który nagle pozbawił go wsparcia, czy też odwrotnie — rozkaz podyktowany był obawą przed tym, co później częściowo nastąpiło — zniszczeniem zbyt daleko wysuniętych elementów. Czy zade-

cydowały względy polityczne (wiadomość przekazana Mołotowowi przez Mikołajczyka 31 lipca o decyzji Powstania) czy przesłanki wojskowe. W każdym razie rozkaz z 1 i 2 sierpnia wydaje się przeczyć twierdzeniu autora, że „w ciągu pierwszego tygodnia Powstania wojska sowieckie starały się usilnie dotrzeć do przedmieść Pragi...”. Wysiłki te skończyły się z chwilą wydania rozkazu powstrzymującego natarcie w kierunku Pragi w dniu 1 sierpnia.

Żadnych wątpliwości autora nie budzi natomiast druga decyzja a mianowicie odrzucenie przez Stalina operacyjnego planu dowódców Pierwszego i Drugiego Frontu Białoruskiego zajęcia Warszawy ruchem obcęgowym z południa i północy. Plan ten przedłożony był Stalinowi 8 sierpnia przez sztab Rokossowskiego, który najwidoczniej czuł się już na siłach, by zająć stolicę. Odrzucenie planu przez Stalina i jego rozkaz przejścia do obrony na całej długości frontu północnego mógł wypływać tylko z motywów politycznych, co Zawodny wyraźnie stwierdza.

Autor w sposób przekonywujący obala także sowiecką tezę jakoby Wisła w ciągu 63 dni Powstania była przeszkodą nie do pokonania. Przypomina, że przy zdobywaniu Kijowa Armia Czerwona zbudowała 50 mostów i przyczółków na Dnieprze. Rzeka została z powodzeniem sforsowana mimo, że jest dwa-trzy razy szersza w tym miejscu niż Wisła pod Warszawą. Suche zastawienie w dwóch tabelach prób nawiązania łączności przez dowództwo Armii Krajowej ze stroną sowiecką i odwrotnie lista kontaktów podjętych z inicjatywy sowieckiej lub armii Berlinga obala sowiecką tezę, jakoby komenda AK uchylała się w czasie Powstania od koordynacji swych poczynań ze sztabem Rokossowskiego. Niezwykłą wymowę ma tu również wygrzebany z archiwum Mikołajczyka i po raz pierwszy ujawniony raport J. Zarańskiego z rozmowy z sekretarzem ambasadora Lebediewa w Londynie. Ponieważ gen. Bór nie doczekał się od Rokossowskiego żadnej odpowiedzi na propozycje wskazujące na możliwości łatwego nawiązania łączności telefonicznej kablem, który biegł pod Wisłą — Zarański wręczył telegram Bora w ambasadzie ZSSR i spotkał się z oświadczeniem, że ambasador nie przyjmie żadnych listów ani depeesz ani z Warszawy ani z Londynu. Nie pomogła perswazja, że chodzi o umożliwienie współdziałania w walce z Niemcami.

Nie mniej wstrząsającą wymowę mają nieznane dotychczas dokumenty dotyczące polityki Roosevelta i Churchilla, odkryte przez autora w udostępnionych niedawno źródłach i archiwach amerykańskich i brytyjskich. Dokumenty opierają się erozji czasu, której ulega pamięć ludzka. Na przykład prawdomówność gen.

Bora nie może budzić cienia wątpliwości, natomiast pamięć zawodziła go w ostatnich latach życia częściej niż innych. Być może było to wynikiem lekarstw przyjmowanych systematycznie w związku z chorobą serca. Generał mylił się mówiąc Zawodnemu, że dopiero w niewoli dowiedział się, że Churchill i Roosevelt oddali Stalinowi ziemie wschodnie w Teheranie. Churchill stwierdził publicznie w Parlamencie 22 lutego 1944 roku w sposób nie budzący cienia wątpliwości, że sowieckie roszczenia terytorialne mają za sobą poparcie Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Wierne streszczenie tego przemówienia zostało ogłoszone w „Biuletynie Informacyjnym” AK więc musiało być znane Dowódcy AK. Nie zdawano sobie natomiast sprawy w Warszawie, że w Teheranie Churchill i Roosevelt całym swoim zachowaniem dali Stalinowi do zrozumienia, że będzie miał wolną rękę wobec Polski i państw Bałtyckich. Stalin był jednak ostrożny. Z książki Zawodnego dowiadujemy się, że przed rozpoczęciem letniej ofensywy, 7 czerwca 1944 roku Mołotow zapytał ambasadora Harrimana czy Prezydent w dalszym ciągu stoi na tym samym stanowisku, które zajął w Teheranie. (Pytanie pozostało w związku z proponowaną przez Roosevelta wizytą Mikołajczyka w Moskwie). — *Oczywiście* — odpowiedział Harriman. Mołotow był zadowolony i zapowiedział, że zaraz poinformuje o tym Stalina, którego to ucieszy. W tym jednym słowie „oczywiście” zawarte było upoważnienie do utworzenia marionetkowego Komitetu Lubelskiego. Przesądzało ono z góry wyniki wizyty Mikołajczyka i losy Powstania. Ówczesny zastępca Harrimana — George Kennan w wywiadzie z Zawodnym stwierdza, że los Polski i jej niezależnego rządu były już przypieczętowane („*Nothing could save Poland from the Soviet domination*”) i że pchanie Mikołajczyka do ustępstw terytorialnych i innych, które miały rzekomo ocalić niezależność Polski, było nieuczciwą zabawą. Odpowiadając na pytanie Zawodnego Kennan stwierdza, że największa odpowiedzialność za ówczesną politykę USA wobec Polski spada na Harry Hopkinsa, najbliższego doradcę Prezydenta. Z dokumentów znalezionych przez Zawodnego w archiwum Roosevelta w Hyde Park wynika, że Hopkins nie był sam. Inny doradca Białego Domu i pomocnik Hopkinsa, niejaki Isadore Lubin pisywał memoranda oczerniające nie tylko rząd polski ale namawiające Prezydenta, by postawił w stan oskarżenia przywódców Kongresu Polonii jako obcych agentów. Jonathan Daniels, jeszcze jeden doradca Białego Domu, oskarżał w pismach do Roosevelta rząd polski w sposób niczym nie różniący się od propagandy sowieckiej. Zawodny wyraża przypuszczenie, że po stronie angielskiej informatorem Stalina był sowiecki

agent Kim Philby, który pracował wówczas w wywiadzie brytyjskim jako ekspert od ruchów podziemnych w Europie. Piszący te słowa miał możliwość osobiście przekonać się o prawdopodobieństwie tej hipotezy. W moich wspomnieniach wojennych, które ukazały się niebawem w druku, opisuję antypolskie intrygi mjr. Desmond Morton, jednego z najbliższych i najbardziej zaufanych doradców Churchilla. Morton przed wojną zajmował wysokie stanowisko w wywiadzie i musiał mieć powiązania służbowe z Philby. Być może był w jego rękach nieświadomym narzędziem.

Obcy czytelnik otrzyma dzięki Zawodnemu wstrząsający obraz tragedii żołnierzy i ludności Warszawy oraz całej Polski. Złożyło się na ten obraz tysiące epizodów opartych na relacjach naocznych świadków. Książka „Nic tylko honor” odsłania zarówno zbrodnie Stalina jak i zdradę Sprzymierzonych. Zawiera szereg stwierdzeń, z którymi osobiście się nie zgadzam. Zastrzeżenia budził we mnie tytuł, który zdawał się zapowiadać upraszczającą interpretację motywów ludzi, którzy wydali rozkaz do Powstania. Jednakże ogrom pracy włożonej przez autora i intencje, które przebijają z jego książki, nakładają na recenzenta szczególną odpowiedzialność. Nie ma nic łatwiejszego jak prostowanie wyłowionych nieściśłości czy polemizowanie z wyrażanymi na marginesie opiniami. Taka recenzja dawałaby wypaczony obraz całości. W moim przekonaniu por. „Miś” z ugrupowania „Sosna” stosując metodę, którą uznał za najlepiej służącą ustaleniu prawdy historycznej, po raz drugi oddał jako uczonej wielką przysługę Sprawie, o którą walczył z bronią w ręku na ulicach Starówki i Śródmieścia.

Jan NOWAK

maj, 1978 r.



Andrzej POMIAN

Janusz Korczak kilka tygodni przed śmiercią, która miała go spotkać w Treblince, zanotował w pamiętniku pisany nocami w getcie warszawskim: „Po wojnie długo nie będą mogli ludzie patrzeć sobie w oczy, żeby nie wyczytać pytania: jak to się stało, że żyjesz, że przetrwałeś? co robiłeś?”.

Profesor Janusz Zawodny, autor wydanej właśnie książki o powstaniu warszawskim *Nothing but honour*, stawiał sobie zapewne nieraz to pytanie, podobnie jak wielu z nas, którzyśmy wynieśli cało głowy z lat okupacji, gdy inni zginęli. Mógłby

śmiało odpowiedzieć: byłem żołnierzem AK, walczyłem, patrzyłem śmierci w oczy, ale mnie jakimś trafem ominęła. Ilekroć jednak z nim rozmawiałem, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że wskutek tego, iż przeżył, poczuwa się do długu w stosunku do tych, dla których los był mniej łaskawy, że chciałby wystawić im pomnik. Tym pomnikiem jest jego obecna książka.

Pisząc przede wszystkim dla obcych, unikał nadmiernych szczegółów, które mogłyby zniechęcać do lektury. Skoncentrował się na tym, co sam widział, w czym sam brał udział: na walce na Starym Mieście. Ale nawet opisując ten bój unikał rozważań taktycznych. Na cóż by się one przydały czytelnikom, nie znającym topografii Warszawy? Dał za to w słowach oszczędnych, wolnych od upiększeń literackich, obraz walki oglądanej oczyma świadka i uczestnika, w swej surowej prostocie — wstrząsający i niezapomniany.

Profesor Zawodny chciał dać jednak coś więcej: zarysować zasadniczą problematykę zrywu powstańczego w Warszawie, przedstawić naukowo, spokojnie, obiektywnie, dlaczego stolicę Polski spotkała zagłada. Sięgnął więc do wszystkiego, do czego mógł dotrzeć w bibliotekach na Zachodzie: do wydawnictw książkowych i do czasopism, do zbiorów dokumentów i do pamiętników, do opracowań i do przyczynków. Nie zapomniał o źródłach żywych: dowódcach, żołnierzach, świadkach, badaczach. Przetrzęsnał archiwa. Trafił do takich, do których zagładano rzadko lub wcale: do Archiwów Państwowych Stanów Zjednoczonych, gdzie się przechowują w mikrofilmach akta Wehrmachtu; do nieogłoszonych drukiem dokumentów rządu brytyjskiego; do papierów Roosevelta; do akt Mikołajczyka. Dobył na jaw niejeden ważny fakt i dokument. Tak np. w papierach Roosevelta znalazł radiodepeszę Harrimana z 24 września 1944 roku, w której ówczesny ambasador Stanów Zjednoczonych w Moskwie raportował prezydentowi treść swej rozmowy ze Stalinem o nieudanej operacji desantowej Armii Berlinga na Czerniakowie (str. 183). Relacja Harrimana z tej rozmowy ukazała się po raz pierwszy drukiem w roku 1965 w serii „Foreign Relations of the United States — Diplomatic Papers 1944” (vol. III, str. 1397). Odmienią wersję, znacznie ważniejszą pod względem historycznym, ogłosił dziesięć lat później ze swych notatek sam Harriman w tomie wspomnień „Special Envoy to Churchill and Stalin 1941-1946” (str. 348). Radiodepesza, którą odkrył profesor Zawodny, zawiera tekst pokrywający się z wersją Harrimana, pozwala więc na ostateczne ustalenie właściwego przebiegu rozmowy. Stalin wyjaśnił w niej lapidarnie, że operację desantową na Czerniakowie przedsięwzięto „na skutek nalegań



Berlinga wbrew ocenie (*against better judgement*) Armii Czerwonej”. To jedno zdanie obala wszystkie późniejsze twierdzenia rosyjskie, zwłaszcza fantastyczne wymysły w książce gen. Sztemiienki — podczas powstania naczelnika Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego Armii Czerwonej, że dowództwo sowieckie właśnie na polecenie Stalina usiłowało uchwycić w Warszawie — bez powodzenia — przyczółek mostowy<sup>1</sup>. Rosjanie zgodzili się na plan Berlinga, wiedząc z góry, że się nie uda; na wszelki wypadek nie dali mu należytego wsparcia, aby mieć pewność, że się nie uda. W obliczu krytyki na Zachodzie chodziło im o zdobycie argumentu tanim dla nich kosztem żołnierza polskiego, że próbowali dopomóc Warszawie, a nie o przyjście jej z pomocą.

Mimo olbrzymiej pracy, która — jak pisze w przedmowie — zajęła mu jedenaście lat życia, profesor Zawodny nie wyczerpał tematu. Oto parę przykładów. Na stronach 200-207 swego dzieła rozprawia się on bardzo umiejętnie z zarzutem, że dowództwo AK nie uzgodniło z sowieckim terminu wybuchu powstania. Ale pomija tak ważny dokument, jak depesza Roosevelta do Stalina z 19 czerwca 1944 roku, ogłoszona po raz pierwszy w Moskwie w roku 1957 w dwutomowym zbiorze „Korespondencji”<sup>2</sup>. Roosevelt przekazał w niej prośbę Mikołajczyka o spotkanie celem omówienia koordynacji działań Armii Czerwonej z działaniami Podziemia. Pięć dni później Stalin odmówił, podnosząc, że rzeczą najważniejszą byłaby reorganizacja polskiego rządu „emigracyjnego” oraz przyjęcie przez ten rząd linii Curzona, jako nowej granicy między ZSSR a Polską<sup>3</sup>. Kreml dążył do narzucenia Polsce rządów sobie uległych, a nie do uzgodnienia działań z niepodległościowym polskim Podziemiem.

Przykład drugi. Na str. 71 swego dzieła profesor Zawodny pisze, że dowództwo sowieckie wedle niektórych wskazówek już w maju roku 1944 brało pod uwagę Warszawę w planie „Bagration” (kryptonim strategicznej operacji białoruskiej), ale że nie udało mu się znaleźć na to dowodu. Dowodu tego dostarczył jednak wspomniany już generał Sztemiienko. Na str. 240-241 swej pierwszej książki wspomnień<sup>4</sup> zamieścił on mapę planu tej

1. Gen. armii S. M. Sztemiienko, *Gienieralnyj Sztab w gody wojny*. Kniga wtoraja, Moskwa, 1973; por. str. 78 i nast.

2. *Pieriepiska predsedatiela Sowietu Ministrow SSSR s priexidientami SSzA i premjer-ministrami Wielikobritanii wo wriemnia Wielikoj Otieczestwiennej Wojny 1941-1945 gg.*, t. I-II, Moskwa, 1957; por. t. II Nr 203. Cyt. dalej jako *Pieriepiska*.

3. *Pieriepiska...*, t. II, Nr 206.

4. Gen. armii S. M. Sztemiienko, *Gienieralnyj Sztab w gody wojny*, Moskwa, 1968 (nie mieszać z książką drugą pod tym tytułem z roku 1973!).

operacji. Wedle niej trzy sowieckie fronty (grupy armii) na ziemiach polskich po osiągnięciu linii: Grodno - Białystok - Lublin - Zamość miały przeprowadzić następujące dalsze natarcia: 2-gi Białoruski (gen. G. Zacharowa) na Olsztyn; 1-szy Białoruski (marsz. K. Rokossowskiego) na Warszawę; 1-szy Ukraiński (marsz. I. Koniewa) na Tomaszów i Kraków.

W ogóle profesor Zawodny, idąc zresztą śladem innych historyków powstania warszawskiego, nie uwzględnił faktu, że działania wszystkich sił sowieckich w Polsce stanowiły w istocie jedną całość, jedną wielką operację strategiczną. Tak właśnie je rozumiała Sowiecka Kwatera Główna. Toteż 29 lipca 1944 roku, gdy Armia Czerwona wyszła szerokim frontem nad Wisłę i uchwyciła na jej zachodnim brzegu przyczółki mostowe (m.in. u ujścia Pilicy, co się stało 27 lub 28 lipca, a nie 1 sierpnia, jak za sfałszowanymi źródłami podaje prof. Zawodny), Moskwa powierzyła marsz. Żukowowi, jako zastępcy naczelnego dowódcy Stalina, kierowanie operacjami wszystkich trzech sowieckich grup armii w Polsce (przedtem był tylko koordynatorem ich działań)<sup>5</sup>. Profesor Zawodny fakt ten przeoczył, podobnie jak dalsze doniosłe wydarzenia, które nastąpiły 2 sierpnia.

Tego to dnia Sowiecka Kwatera Główna nakazała marsz. Rokossowskiemu, aby zakończył operację brzesko-lubelską, jak się w literaturze sowieckiej nazywa natarcie spod Kowla w kierunku Warszawy<sup>6</sup>. Jednocześnie marsz. Koniew „zrezygnował” z planowanego natarcia 1-szego Frontu Ukraińskiego na Kraków<sup>7</sup>. Co się takiego stało 2 sierpnia 1944 roku, co wywołało te decyzje? Walki trwały jeszcze dalej. Bitwa pancerna pod Pragą wrzała w całej pełni. Ofensywy: białoruska i lwowsko-sandomierska dobiegły końca dopiero 29 sierpnia. Dlaczego wstrzymano więc operacje: na Warszawę i na Kraków, które odbywały się w ich ramach?

Odpowiedź na to pytanie daje relacja świadka sowieckiego — Borysa Olszańskiego<sup>8</sup>, którą prof. Zawodny zna tylko z wyjątku ogłoszonego w tygodniku *New Leader*. W okresie powsta-

5. (Marsz.) A. M. Wasilewskij, *Dielo wsiej żyzni*, Moskwa 1974; por. str. 460. Wyd. II-gie, Moskwa, 1975; por. str. 475.

6. (Praca zbiorowa) *Wielikaja Otieczestwiennaja Wojna Sowietskogo Sojuza 1941-1945. Kratkaja Istorija*, Moskwa, 1965; por. str. 607. Wyd. II-gie, Moskwa 1970; por. str. 618. (Praca zbiorowa) *SSSR w Wielikoj Otieczestwiennoj Wojnie 1941-1945. Kratkaja Chronika*, Moskwa, 1970; por. str. 598.

7. Marsz. I. S. Koniew, *Zapiski komandujuszczego frontom 1943-1944*, Moskwa, 1972; por. str. 274.

8. Boris Olszańskij, *My prichodim z Wostoka*, Buenos Aires, 1954; por. str. 206-209.

nia Olszański pracował w stopniu kapitana w sztabie brygady inżynierskiej, wchodzącej w skład 1-go Frontu Białoruskiego marsz. Rokossowskiego pod Warszawą. Mając przyjaciół i znajomych dobrze uplasowanych w sztabie Frontu, wiedział co się święci. Jeden z nich — adiutant Rokossowskiego — zwierzył mu się po wojnie, że marszałek sowiecki otrzymał rozkaz od samego Stalina, aby „pozostawić powstańców warszawskich ich własnemu losowi”. Drugi — pomocnik naczelnika Oddziału Operacyjnego Frontu — wcześniej, gdyż jeszcze w czasie powstania, poinformował go, że Rokossowski ma „związane ręce i nogi” rozkazem z Moskwy. Wstrzymanie działań pod Warszawą nie nastąpiło z przyczyn wojskowych. 2-giej Armii Pancernej, która walczyła wtedy na przedpolach Pragi, wstrzymano umyślnie dowóz paliwa, obawiano się bowiem, że „rozognieni czołgści będą kontynuować pochód z własnej inicjatywy i dopomogą tym powstańcom polskim”. „Tylko wskutek słabości przeciwnika — miał powiedzieć sowiecki oficer operacyjny — nie doszło do ciężkich następstw”.

Gdy po raz pierwszy czytałem tę relację, wydała mi się ona nieprawdopodobna. Skłaniałem się wtedy do tezy, że na początku sierpnia 1944 roku nieoczekiwane przeciwuderzenie czołgów niemieckich powstrzymało wysunięte sowieckie oddziały pancerne (3-ci Korpus Pancerny). Stalin skorzystał z tego chwilowego niepowodzenia, aby działań już nie wznawiać i pozostawić stolicę Polski na pastwę Niemców. Później jednak, po zapoznaniu się z nowymi materiałami, doszedłem do przekonania, że Olszański przedstawił prawdziwy przebieg wydarzeń.

Oto jak rysują się one teraz w moich oczach. Komuniści warszawscy utrzymywali łączność radiową z Moskwą, Stalin wiedział więc zapewne o alarmowym rozkazie ostrego pogotowia z 27 lipca 1944 roku dla stołecznych oddziałów AK oraz o jego odwołaniu w 24 godziny później. Na tej podstawie mógł przypuszczać, że Armia Krajowa nie wystąpi już zbrojnie w Warszawie przeciwko Niemcom. Z drugiej strony wiedział dobrze, że komuniści warszawscy szykują się do walki, aby w chwili wkroczenia Armii Czerwonej do miasta porwać za broń, zająć główne gmachy publiczne i uchwycić władzę<sup>9</sup>. Ten przewidywany rozwój wydarzeń w stolicy Polski: bierność AK i aktywność komunistów, odpowiadał całkowicie planom Kremla, dawał bowiem plenipotentom sowieckim w naszym kraju tytuł polityczny i moralny do władzy. Stalin, który 21 lipca nie zawahał się zasadniczo zmienić planu operacyjnego, aby móc zapewnić

9. Antoni Przygoński, *Z problematyki powstania warszawskiego*, Warszawa, 1964; por. str. 48.

komunistycznemu Polskiemu Komitetowi Wyzwolenia Narodowego siedzibę przynajmniej w Lublinie, przemyślał teraz zapewne o usadowieniu go w Warszawie<sup>10</sup>. Poza Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego — depešzował 23 lipca 1944 roku do Churchilla i Roosevelta — „nie znaleźliśmy w Polsce żadnych innych sił, które mogłyby stworzyć administrację polską; tak zwane organizacje podziemne, kierowane przez Rząd Polski: w Londynie, okazały się efemerydami pozbawionymi wpływów<sup>11</sup>”.

Wypadki potoczyły się jednak według innego scenariusza. Armia Krajowa zadała kłam słowom Stalina: ubiegając komunistyczną Armię Ludową 1 sierpnia porwała za broń w Warszawie w przekonaniu, że Rosjanie, jak to było przedtem na Wołyniu, w Wilnie, w Lubelskim i we Lwowie, skorzystają z możliwości operacyjnych, jakie im dawało uderzenie AK na Niemców od tyłu i przyłączą się do boju. Kreml dowiedział się o tym prawdopodobnie tego samego dnia. Nazajutrz przyszło potwierdzenie, 2 sierpnia władze polskie w Londynie otrzymały depešzę Dowódcy AK generała Bora-Komorowskiego datowaną 1 sierpnia z zawiadomieniem o rozpoczęciu boju o stolicę. Treść tej depešzy parę godzin później przekazała Kremlowi ambasada brytyjska w Moskwie, a do wiadomości publicznej podało Polskie Radio na fali BBC. Tegoż 2 sierpnia wywiad sowiecki „otrzymał dane, że w Warszawie rozpoczęło się podobno powstanie przeciwko niemiecko-faszystowskiemu okupantom<sup>12</sup>”. Stalin zrozumiał, że Podziemie pokrzyżowało jego plany sfałszowania rzeczywistego układu sił w Polsce. Bez zwłoki kazał Armii Czerwonej wstrzymać natarcia na Warszawę i — Kraków. Jakże by to bowiem wyglądało, gdyby wojska sowieckie stanęły pod stolicą, lecz posuwały się na zachód od Wisły na południu? Względy polityczne: opanowania Polski, a wraz z nią — całej pozasowieckiej Europy Wschodniej, były dla niego ważniejsze od korzyści wojskowych.

W czasie rozmów z Mikołajczykiem w Moskwie na początku sierpnia czerwony dyktator polecił na wszelki wypadek marsz. Żukowowi, aby wraz z Rokossowskim i Zacharowem przedstawił mu plan wznowienia działań<sup>13</sup>. Przyśpieszył zaproponowany

10. Antoni Karpiński, *Pod Dęblinem, Puławami i Warką*, Warszawa, 1967; por. str. 20-21, 28.

11. *Pieriepiska...*, t. I, Nr 301; t. II, Nr 214.

12. Marsz. K. K. Rokossowskij, *Soldatskij dołg*, Moskwa, 1968; por. str. 284.

13. Kazimierz Sobczak, „Kilka uwag o zamierzeniach dowództwa radzieckiego w rejonie Warszawy w lecie 1944 r.” w *Najnowszych Dziejach Polski*, t. XI. Warszawa, 1967; por. str. 92-94.

mu termin natarcia z 25 sierpnia na 13: zachował się rozkaz marsz. Żymierskiego polecający Armii Berlinga, wtedy już na lewym brzegu Wisły nad Pilicą, aby tego właśnie dnia rozpoczęła „marsz na Warszawę”. Nim do tego doszło, Kreml 12 sierpnia w komunikacie TASS'a potępił powstanie i odciął się odeń całkowicie. Natarcie nie ruszyło. Moskwa odmówiła zgody na amerykański lot wahadłowy nad Warszawę z baz w Wielkiej Brytanii do baz pod Połtawą. Zabroniła samolotom zachodnim, uszkodzonym nad stolicą, lądować po stronie sowieckiej. Nie chciała nawet pośrednio mieć nic wspólnego z powstaniem<sup>14</sup>. Pod wpływem oburzenia na Zachodzie, Kreml obrał wkrótce odmienną taktykę. 22 sierpnia Stalin zadeszował do Churchilla i Roosevelta: „Nie może ulegać wątpliwości, że Armia Czerwona nie zaniecha wysiłków, aby rozbić Niemców pod Warszawą i oswobodzić Warszawę dla Polaków<sup>15</sup>”. Tydzień jednak po tym solennym zapewnieniu rozkazał po cichu wojskom sowieckim nad Narwią i Wisłą, aby przeszły ostatecznie do obrony<sup>16</sup>. Dla zamydlenia oczu pozorował pomoc dla powstania. Ale nie powziął jedynej decyzji, która mogła ocalić resztki stolicy: nie wznowił natarcia oskrzydłającego od południa i północy.

Historiografia jest w ZSSR nie nauką, jak na Zachodzie, lecz gałęzią bieżącej propagandy politycznej. Olbrzymia, kilkuset-tomowa literatura sowiecka o powstaniu jest z tego powodu tak pełna sprzeczności, opuszczeń, przeinaczeń i zmyśleń, że trzeba być już nie tylko historykiem, ale i detektywem historycznym, aby z tego ciemnego gąszczu wydobyć źdźbło prawdy. Trudno się dziwić profesorowi Zawodnemu, że nie przedsięwziął tego zadania i że tylko tu i ówdzie poddał źródła sowieckie krytycznej analizie. Szkoda jednak, że nie zwrócił uwagi na niektóre ważne wspomniane powyżej fakty.

Szkoda również, że nie odniósł się bardziej krytycznie do relacji niektórych świadków i wskutek tego nie uniknął omyłek. Oto dla przykładu kilka sprostowań. Dowódca AK nie był podporządkowany (*subordinate*) Delegatowi Rządu na Kraj (str. 22). Uzgadniał z nim, często z własnej, nieprzymuszonej woli, decyzje o znaczeniu politycznym, ale nie pozostawał względem niego w stosunku zależności. Jego bezpośrednim przełożonym był Naczelny Wódz. Znaczne sumy dolarowe, którymi dysponował we Włoszech płk „Hańcza” (Ryszard Dorotycz-Malewicz), nie prze-

14. *Pieriepiska...*, t. I, Nr 321.

15. *Pieriepiska...*, t. I, Nr 323; t. II, Nr 223.

16. (Praca zbiorowa) *Istoria Wielikoj Otieczestwiennoj Wojny Sowiet-skiego Sojuza 1941-1945*, t. I-IV, Moskwa, 1960-1965; por. t. IV; Moskwa, 1962, str. 198.

padły tajemniczo po jego śmierci (str. 32): znalazły się co do centa w ręku władz polskich na emigracji. Mikołajczyk otrzymał w Moskwie wiadomość o wybuchu powstania 2-go, nie 1 sierpnia (str. 91). Komunikat TASS'a potępiający powstanie, ukazał się w prasie sowieckiej 13 sierpnia, nie września, a odpowiedź gen. Bora nosi datę 14 sierpnia, nie września (str. 237).

Przeoczenia i omyłki, których tylko część wymieniłem, nie odbierają wartości dziełu profesora Janusza Zawodnego. *Nothing but honour* nie jest jeszcze ostatnim słowem nauki o powstaniu warszawskim, stanowi jednak cenny dorobek. Autor trafił w samą istotę problematyki historycznej powstania warszawskiego, gdy w końcowym rozdziale książki napisał: „Z dystansu trzydziestu lat wydaje się, że koniec byłby taki sam w każdym wypadku. Gdyby Warszawa nie walczyła, nieprzychylni byliby powiedzieli, że Polacy nie zasługiwali na wolność, że godzili się z tyranią nazistowską lub że ją popierali (*abet*) i że nie chcieli walczyć za wspólną sprawę. Polacy walczyli i nieprzychylni powiadają, że walczyli samotnie, gdyż odmówili „współpracy” ze Związkiem Sowieckim. Jest to po prostu myłne. Z wyjątkiem żalosnej mniejszości — komunistów, Polacy nie chcieli być wchłonięci przez Związek Sowiecki lub znaleźć się pod jego dominacją” (str. 209).

Prawdziwe słowa. Mocne słowa, tym mocniejsze, że znalazły się w pracy ogłędnej w ocenach, uczciwej w sądach i powściągliwej w sformułowaniach.

Andrzej POMIAN

---

Jan CIECHANOWSKI

## POWSTANIE WARSZAWSKIE W DOKUMENTACH

Rozpatrując historię powstania Warszawskiego należy przede wszystkim odpowiedzieć na dwa zasadnicze pytania: jak, kiedy i dlaczego doszło do jego wybuchu, oraz co sprawiło, że trwało ono ponad dwa miesiące, chociaż za każdy jego dzień przeciętnie płaciliśmy życiem ponad 33.000 Polaków, nie mówiąc już o stratach materialnych. Po drugie, jak do powstania podchodzili Niemcy i Rosjanie, oraz nasi zachodni alianci.

Sam przebieg powstania jest w istocie tematem mniej ciekawym i frapującym. Posiadającym już zresztą bogatą literaturę. Dzisiaj znamy już dzieje prawie każdego powstańczego zgrupowania, batalionu, a często nawet kompanii i plutonu. Literatura ta zajmuje się głównie opisami dobrze nam Polakom znanej sztuki zbiorowego umierania. Jest to historia zagłady kwiatu naszej warszawskiej młodzieży, zniszczenia stolicy i śmierci około 200.000 ludzi.

Ostatnio opublikowany — w ramach zakrojonego na pięć tomów wydawnictwa Studium Polski Podziemnej w Londynie — zbiór dokumentów dotyczących Powstania Warszawskiego, niestety tylko częściowo odpowiada na dręczące nas pytania<sup>1</sup>. Zbiór ten został przygotowany do druku przez komitet redakcyjny, pod przewodnictwem gen. Tadeusza Pełczyńskiego, który w latach 1941-44 był, szefem sztabu Komendy Głównej A.K. i jednym z trzech głównych autorów powstania. Do komitetu wchodził też płk dypl. K. Iranek-Osmecki, który w okresie 1943-44 pełnił funkcję szefa oddziału II-go Komendy Głównej A.K. Co nie mogło pozostać bez wpływu na omawiane wydawnictwo.

Ze zbioru tego wynika, że Dowódca A.K., gen. T. Bór-Komorowski zdecydował się na wywołanie powstania w Warszawie 21 lipca 1944, gdyż sądził, że Rosjanie wkrótce wkroczą do miasta i że Niemcy nie potrafią już zatrzymać sowieckiej ofensywy w centralnej Polsce.

Nie ulega kwestii, że ta nader optymistyczna ocena sytuacji na froncie wschodnim, której autorem był gen. L. Okulicki, zastępca szefa sztabu Komendy Głównej A.K. do spraw operacyjnych, była jedną z kardynalnych przyczyn powstania i dramatu stolicy. Bór-Komorowski mylnie sądził, że nadarzyła się mu wspaniała okazja do szybkiego i łatwego opanowania Warszawy na krótko przed wkroczeniem do niej Armii Czerwonej. Redaktorzy nie mówią nam jednak, kto był autorem tej oceny i jak doszło do jej zatwierdzenia przez Bora-Komorowskiego, pomimo tego, że jeszcze 14 lipca był on przeciwny powstaniu w Warszawie. Zbiór nic nam też nie mówi o planie A.K. opanowania miasta, ani o środkach którymi konspiracyjne wojsko rozporządzało do jego wykonania. Dotąd jeszcze nie wiemy w jaki sposób prawie bezbronne oddziały powstańcze miały rozprawić się z dość silnym i dobrze wyposażonym niemieckim garnizonem, czy chodziło o zniszczenie żywych sił przeciwnika, czy po prostu ich izolowanie do chwili wejścia Armii Czerwonej; czy miano pozostawić Niemcom wolne drogi odwrotu i przez to uniknąć ciężkich walk, i wreszcie co miano uczynić na wypadek przedłużania się działań lub ich niepowodzenia. Z opublikowanych dokumentów nie wynika, że o tak przyziemnych sprawach dużo myślano w Komen-

---

1. *Armia Krajowa w Dokumentach 1939-1945*, Tom IV. Londyn, 1977, str. 470. Cena £ 10.50.

dzie Głównej A.K. w ostatnich dniach lipca, co później strasznie się na nas zemściło.

Ponadto, ze zbioru jasno wynika, że powstanie, zgodnie z założeniami jego autorów, miało dokumentować naszą wolę walki z Niemcami, zmobilizować całe społeczeństwo do antysowieckiej kampanii politycznej, oraz zachęcić Anglosasów do udzielenia nam pełnego poparcia. Niestety dokumenty nic nam nie mówią na czym Bór-Komorowski i jego najbliżsi doradcy opierali swoją wiarę w pomoc zachodnich aliantów, szczególnie że z depeš jakie otrzymywali z Londynu w pierwszej połowie 1944 roku, powinni byli wiedzieć, że Churchillowi i Rooseveltowi niezmiernie zależało na współpracy ze Stalinem i skłonieniu Polaków do ustępstw terytorialnych i politycznych wobec Sowietów. Churchill chciał aby w powojennej Polsce „londyńscy Polacy” posiadali jak największe wpływy, ale żeby równocześnie ściśle współpracowali z ZSSR. Wszelkie rachuby na bezwarunkowe poparcie Zachodu dla Polski w lipcu 1944 roku były już czystą mrzonką. Niestety, nasi generałowie w Warszawie jeszcze stale obracali się w krainie „czarów i ułudy” i nie potrafili rozróżnić okolicznościowych oświadczeń Roosevelta i Churchilla od ich właściwych pociągnięć i kalkulacji politycznych, w których Polska grała rolę całkowicie podrzędną.

Ten rażący brak politycznego rozeznania naszych krajowych dowódców był drugą kardynalną przyczyną powstania. O innych przyczynach i celach powstania dokumenty niewiele mówią. Nie sposób jest z nich dowiedzieć się jaki przebieg miały narady i odprawy odbywające się w Warszawie pomiędzy 21-31 lipca, kiedy ważyły się losy stolicy i zapadały brzemiennie w skutkach decyzje. Ze zbioru nie wynika w jaki sposób Bór-Komorowski przekonał Delegata Rządu, J. S. Jankowskiego, i przewodniczącego Rady Jedności Narodowej, K. Pużaka, o konieczności wywołania powstania.

Niemniej należy stwierdzić, że podejmując swoje fatalne decyzje krajowi dowódcy w istocie pozbawieni byli konkretnych instrukcji w sprawie Warszawy od Naczelnego Wodza, generała K. Sosnkowskiego, który w tym przełomowym okresie przebywał we Włoszech, gdzie zamierzał oczekiwać na wyniki podróży Mikołajczyka do Moskwy.

Sosnkowski, który dobrze rozumiał, iż skutki działalności jego krajowych podkomendnych były w rękach Boga, aż do samego wybuchu nie mógł się zdobyć na aprobowanie lub zakazanie powstania. Depesze Naczelnego Wodza do Londynu i Warszawy z Włoch doskonale oddają jego rozterkę, rosnący niepokój i chrobrliwy wprost brak stanowczości. Mikołajczyk *post factum* usankcjonował samowolną decyzję kraju w sprawie powstania, gdyż uważał, że pomoże mu ono w rokowaniach ze Stalinem. Sosnkowski, chociaż w istocie był powstaniu przeciwny, nie potrafił go zakazać.



Zbiór jeszcze raz w całej pełni pokazuje, jak zabójczy dla Polski był brak harmonijnej współpracy pomiędzy Premierem i Naczelnym Wodzem, który powodował, że o najważniejszych kwestiach decydowali ludzie w kraju, którym brak było do tego odpowiedniego przygotowania i zrozumienia międzynarodowej sytuacji Polski, i którzy ulegali w dużej mierze niepohamowanemu pędowi do walki. W tym czasie, wola walki, odwaga i patriotyzm w konwencjonalnym jego znaczeniu, już nie wystarczały.

Dla Niemców powstanie stało się sygnałem do krwawej rozprawy z Warszawą i jej mieszkańcami.

Stalin, którego wojska w pierwszych dniach sierpnia poniosły porażkę na przedpolach Pragi nie śpieszył się z pomocą. Możliwe, że wolał pozostawić Warszawę własnemu losowi aby uniknąć kolizji z powstańcami. Ostatecznie, zgodnie z założeniami autorów powstania, miało ono stanowić ich szczytowy wkład do walki zbrojnej z Niemcami i politycznej z Rosjanami. Stalin nie miał więc żadnego bezpośredniego interesu, aby przez wkroczenie do Warszawy umożliwić nieprzyjaznym mu Polakom przeprowadzenie na dużą skalę zaplanowanej demonstracji politycznej w ponad milionowym mieście, przeżywającym pierwsze dni powyżwoleńczego uniesienia.

Dla Churchilla powstanie było zaskoczeniem, dodatkowym kłopotem i momentem gorzkiego upokorzenia, gdyż niewiele mógł zdziałać na rzecz ginących Polaków u Stalina, czy nawet u Roosevelta, który patrzył na Polskę przez pryzmat swej strategii wyborczej, oraz polityki wobec Rosji z którą chciał ściśle współpracować. Dla Zachodu sprawa polska, wbrew naszym nadziejom, była kwestią peryferyjną.

Ze zbioru wyraźnie wynika, że powstanie trwało tak długo — 63 dni — gdyż zarówno powstańców jak i ludność cywilną ożywiała silna wola walki i wytrwania oraz obawa przed ponownym dostaniem się w ręce Niemców, których okrucieństwa były wszystkim dobrze znane. Ze względu na niemieckie represje trudno było Borowi-Komorowskiemu przerwać walkę. Po drugie w związku z sytuacją na froncie wschodnim, Niemcom do chwili zajęcia Pragi przez Rosjan trudno było skierować do walki z powstaniem duże siły i szybko je stłumić. Przez cały okres sierpnia Niemcom głównie chodziło o otwarcie sobie głównych arterii przelotowych, wschód-zachód, z czym wiąże się zdobycie Woli i Starego Miasta.

Nastroje kapitulacyjne wśród cywilów na ogół pojawiały się pod koniec walki w poszczególnych dzielnicach: na Starym Mieście, Powiślu, Mokotowie, Żoliborzu, i wreszcie Śródmieściu — gdy stawało się jasne, że opór powstańców dogorywał i nie było żadnych widoków na natychmiastową skuteczną pomoc.

Bór-Komorowski i Jankowski po raz pierwszy chcieli kapitulować pomiędzy 6-9 września i wszczęli nawet w tej sprawie

pertraktacje z Niemcami, którym było to wtedy na rękę ze względu na sytuację pod Pragę. Niemniej do kapitulacji nie doszło, gdyż 10 września zaczęło się rosyjskie natarcie na Pragę i przyszła depesza od Mikołajczyka, mówiąca o zgodzie Stalina na amerykańskie loty wahadłowe. W związku z czym Dowódca A.K. wydawało się iż znowu nadchodziła chwila wkroczenia do stolicy Armii Czerwonej, i że należało wytrwać w walce do tego momentu. Drugi kryzys kapitulacyjny zrodził się dopiero pod koniec września po upadku Mokotowa.

Redaktorzy tomu nie podają jednak, że jednym z głównych przeciwników kapitulacji w pierwszej połowie września był gen. „Monter” A. Chruściel, właściwy dowódca powstania, który 9 września wręcz oświadczył Borowi-Komorowskiemu, że więcej mu odpowiadała „współpraca nawet z Żymierskim, niż „kapitulacja”, gdyż w historii wojska polskiego byłyby to „tylko fragmenty”.

Nie ulega kwestii, że bojowa postawa „Montera” musiała wywrzeć wpływ na decyzję gen. Bora-Komorowskiego przerwania rozmów z Niemcami 11 września.

W sumie zbiór — chociaż należy się w zasadzie cieszyć z jego wydania — ukazuje nam zaledwie część historii powstania. Uchyła tylko rąbek jego tajemnic.

Co więcej czytając ten zbiór należy pamiętać — jak to określił stary angielski historyk — że żaden dokument nie może powiedzieć nam więcej, niż to co myślał jego autor, co sądził, że się już stało, co stać się powinno, albo stanie się — lub też co chciał aby inni sądzili o tym, co on myślał. Po drugie w zasadzie omawiają one tylko polską stronę zagadnień dotyczących również szeregu innych państw. Nie ulega wątpliwości, że bez dostępu do sowieckich i znajomości brytyjskich źródeł dokumentarnych niezmiernie trudno jest zrozumieć przyczyny warszawskiej tragedii. Niemniej pozwalają one na częściowe prześledzenie polityki i decyzji Komendy Głównej A.K. oraz jej powstańczej korespondencji z Londynem. Zasadniczy trzon zbioru stanowią meldunki sytuacyjne Dowódcy A.K. do Naczelnego Wodza, których autorem był oficer oddziału operacyjnego Komendy Głównej A.K. ppłk dypl. F. Majorkiewicz. Meldunki te pokazują nam jak „operatorzy” A.K. widzieli sytuację w powstańczej Warszawie. Co więcej, były one już przez Majorkiewicza opublikowane w jego książce pt. *Dane nam było przeżyć*, Pax, Warszawa 1972, z bardzo małymi cenzorskimi skreśleniami.

Znowu nie wiadomo dlaczego milczy o tym Komitet Redakcyjny. Usterki te świadczą najlepiej, że w opracowaniu tego rodzaju zbiorów winni brać udział zawodowi historycy, a nie tylko byli członkowie Komendy Głównej A.K.

Jan CIECHANOWSKI

## HISTORIA UKRAINY

Redaktor *Zeszytów Historycznych* przekazał mi wycinki prasowe, świadczące, że *Zarys dziejów Ukrainy\** jest pilnie czytany przez Ukraińców na emigracji i doczekał się kilku nawet omówień. Jedni chwala książkę, że życzliwa dla narodu, którego dzieje opisuje, inni ganią luki erudycyjne i przeoczenia zaś sympatii do badanego obiektu doszukać się nie mogą. Niezależnie od generalnych i szczegółowych rozbieżności poglądów, autorzy recenzji traktują omawianą pozycję jako „polską historię Ukrainy”, co może oznaczać zarówno pracę reprezentatywną dla stanowiska władz jak i wyraz poglądów dominujących w świecie naukowym.

Przeczytawszy pracę, sędzę, że recenzenci strzelają z dział o zbyt wielkim kalibrze. Podhorecki nie piastuje urzędu, czyniącego jego zdanie wyrazem oficjalnych poglądów, nie ma również pozycji, która by pozwalała utożsamiać jego poglądy z szerszym kręgiem badaczy. *Zarys dziejów Ukrainy* ukazał się w popularnej serii *Światowida*, wydawanej przez co prawda oficjalną *Książkę i Wiedzę*, ale na zasadzie dość dużej autonomii. *Światowid* wydaje wyłącznie prace bardzo popularne, przeznaczone dla czytelników o nikłym wykształceniu i niewielkich wymogach. Książki (a raczej książeczki) z tej serii nie są recenzowane w pismach historycznych — zakłada się milcząco, że ten szczebel popularyzacji uniemożliwia stawianie naukowych wymogów. A więc ukraińscy recenzenci padli ofiarą pewnego rodzaju nieporozumienia i postawili publikacji wymogi którym sprostać nie może i których autor w tej pracy chyba sobie i nie stawiał.

Autora nie znam, wiem że zrobił doktorat z dziejów Siczy na seminarium prof. Stanisława Herbsta, wybitnego specjalisty dziejów XVII-go wieku. Podhoreckiego *naukowe* prace mają dobrą opinię wśród zainteresowanych historyków. Podejmując jednak próbę całokształtowego przedstawienia dziejów Ukrainy, Podhorecki wszedł jednak na szczególną drogę, wymagającą w warunkach PRL dużej wiedzy i jeszcze większego autorytetu, pozwalającego skutecznie przeciwstawić się wielostronnemu naciskom, silnym w każdym wypadku, a szczególnym przy pisaniu pracy w założeniu popularnej, bardziej cenzurowanej i dokładniej „redagowanej” niż prace monograficzne.

\* Podhorecki Leszek, *Zarys dziejów Ukrainy*. T. I/II, Warszawa, 1976, str. 312, 360.

Ukraina jest częścią Związku Sowieckiego, częścią niepokojącą i pisanie o niej w warunkach PRL jest czymś jakościowo odmiennym od przedstawienia zarysu dziejów Anglii lub Francji.

Nie tylko warunki polityczne komplikują pracę, historia Ukrainy nastrocza trudności również naukowe. Ukraina wyłania się na powierzchnię incydentalnie by po pewnym czasie znowu utonąć w historycznym odrętwieniu, nawet — niebycie. W historii Ukrainy bardzo trudno znaleźć element ciągłości, tak ważny dla przedstawienia dziejów na długich, wielowiekowych odcinkach czasu. W historii Europy Zachodniej, nawet w historii Polski lub Rosji można, znając jeden okres dziejowy, wyciągać wnioski dla innych, wcześniejszych lub późniejszych. Ale Ruś kijowska była zupełnie niepodobna do Ukrainy epoki wojen kozackich, zaś lwowscy politycy z czasów Austro-Węgier i Drugiej Rzeczypospolitej, wykształceni adwokaci i statyści niczym nie przypominali atamanów i hetmanów. A przecież ciągle mowa o jednej i tej samej ziemi i o tym samym, biologicznie przynajmniej narodzie. „*Tiażeta szapka Monomacha*” — najstynniejsza sentencja dziejów Ukrainy ma zastosowanie i do jej dziejopisarstwa.

Dlatego czytając *Zarys dziejów Ukrainy* tak łatwo o sprzeczne oceny. Odważne stwierdzenia sąsiadują z poglądami zapożyczonymi z sowieckiej indoktrynacji, w które autor chyba sam nie wierzy, a które musiały się w pracy znaleźć, jeśli miała ona zostać wydana. Czytelnik w sumie nie bardzo wie, co jest poglądem autora i której warstwie wykładu wierzyć, którą traktować poważnie a którą potraktować ze zmruczeniem oka. A może — i to jest dość prawdopodobne — autor nie dorobił się jeszcze całokształtowych poglądów i relacjonuje różne lektury nie widząc ich wewnętrznej niespójności?

Od tych rozważań ogólnych przejdźmy do konkretów. Obszerne rozdział o prehistorii wydaje się zbędny — nikomu jeszcze nie udało się dowieść, że Kimmerowie, kultura trypolska itd. są pomocne w zrozumieniu późniejszego procesu dziejowego. Cały багаż erudycyjny pierwszych trzydziestu stron dałby się zredukować do kilku prostych i przejrzystych zdań.

Osobiście wolałbym, by rozdziały poświęcone Rusi kijowskiej i halickiej mniej obfitowały w nazwiska, bardziej zaś poświęcone były problemom, ostatecznie Kluczewski pisząc *Kurs ruskiej historii* potrafił oderwać się od wszystkich Oleków i Olelkowiczów oraz ich wzajemnych sporów, by dać dzieje społeczeństwa, ale w ramach przyjętej konwencji Podhorecki dał wykład rzeczowy i obiektywny, zwłaszcza w przedstawieniu stosunków rusko-polskich. Jakieś potknięcia i tu są dostrzegalne, np. zapis *Kroniki wremiennych let* nie jest dostatecznym dowodem polskości grodów czerwieńskich, izgoje nie byli ludnością zależną lecz przeciwnie, ludźmi luźnymi, rekrutującymi się z różnych warstw, ale to są raczej drobiazgi, nieuchronne w najbardziej nawet erudycyjnych pracach. Prosiłoby się tu o krótki wykład spuścizny historycznej, np. o wy tłumaczenie symboliki „mieczyków Chrob-

rego" w klapach ONR-owskich korporantów (jeśli historia ma czegokolwiek uczyć, to właśnie nawiązywania mostów między tym co było dawniej a sukcesjami). W zgodzie z sowieckimi ujęciami przyłączenie Lwowa i Rusi Czerwonej za Kazimierza Wielkiego autor nazywa ekspansją, ale myślę, że nieprzywiązujący uwagi do epitetów krajowy czytelnik dostrzeże wyraźne stwierdzenie ile kraj ten zyskał na przyłączeniu do Polski (str. 162, 183 pass).

Ponad 150 stron poświęconych kozaczyźnie należą bez wątpienia do najlepszych w całej pracy i temu nie należy się dziwić, gdyż w tych problemach autor nie był popularyzatorem lecz badaczem. Szkoda jednak, że Kozacy przesłoniли mu całe społeczeństwo ukraińskie — trudno, jak widać, wyzwolić się nam od sugestywnej wizji Sienkiewicza. Warto zwrócić uwagę, że spuścizna kozacka w chwili obecnej jest przedmiotem wnikliwych dociekań ukraińskich intelektualistów zarówno w ich kraju rodzinnym jak na emigracji. Obecna myśl ukraińska skłonna jest do bardziej zróżnicowanych poglądów na ów historyczny fenomen i jego rolę w kształtowaniu narodu i jego cech psychicznych. Autor tych refleksji być może nie zna, a w każdym bądź razie nie podziela. Jego ocena jest jednoznacznie pozytywna, nawet tam, gdzie kozackie obyczaje kolidują z podstawowymi normami etycznymi. Godząc się z autorem w negatywnej ocenie, moralnej i politycznej, kresowych królewiatek, trudno jednak aprobować jego zachwyty nad hajdamakami i kolijszczyzną. Mazepę nazywa Podhorecki zdrajcą, co dobrze mieści się w sowieckich stereotypach, choć z drugiej znów strony wykład nie potwierdza tej oceny — w ujęciu autora Mazepa był ukraińskim patriotą, którego dalekosiężne plany przekraczały możliwości.

Entuzjazm dla przyłączenia Ukrainy do Rosji złagodzony jest obrazem twardych metod moskiewskiego panowania, choć i tu odczuwa się nadmiar skrępowania i brak komparatystyki.

Ukraińscy krytycy książki słusznie podkreślają, że autor nie zwrócił uwagi na ukraińskie wpływy na kulturę polską. Od siebie dodajmy, że nie dostrzegł też oddziaływania „Małorosji” na Rosję — znamienne, że nazwisko Gogola nie występuje ani razu w publikacji.

Kompetentny z racji własnych badań w historii XVII-go i XVIII-go wieku, w zagadnieniach bliższych współczesności, autor skazany jest na powtarzanie i streszczanie cudzych prac. Niestety, lektury nie zawsze wybierał najlepsze. Wykład historii XIX-go i XX-go wieku czyta się przeważnie z uczuciem zażenowania, nie tylko politycznego ale i naukowego. Dla przykładu: jak wysoce byśmy nie szacowali ruchów chłopskich w przededniu zniesienia poddaństwa, to zdanie iż „w 1861 roku na Ukrainie demonstrowało ok. 500 tys. chłopów”, dowodzi, że autor nie powinien wdawać się w sprawy nieznanne z własnego badania. Gorzej, że za sowieckimi źródłami powtarza prymitywne napaśliwie oceny wszelkich ruchów nie-bolszewickich, działających na

terenie zarówno Naddnieprza jak i Galicji Wschodniej. Natomiast problemy Drugiej Wojny Światowej zostały przezeń oświetlone w miarę obiektywnie, ale w tej materii Podhorecki mógł się oprzeć na monografię Torzeckiego.

W sprawy szczegółowe nie chciałbym się wdawać, lista nieścisłości i błędów byłaby zbyt długa dla czytelnika. Jedną jednak sprawę nie sposób pominąć. Autor chwali sowiecką politykę narodową na Ukrainie, pisząc m.in. o stworzeniu polskiego rejonu autonomicznego w Marchlewsku (a nie im. Marchlewskiego, II, 259). No cóż, ten rejon niejednokrotnie był już wykorzystywany w propagandzie, wykorzystywany nader cynicznie, jako że nikt nie napisał, że w 1937 roku cała polska ludność Marchlewska została aresztowana, część rozstrzelana, niedobitki — zesłani w stepy Kazachstanu, w okolice Petropawłowska lub na Ałtaj. Świadkowie tragedii ocaleli, gdyby Podhorecki się postarał, to znalazłby ich wśród polskich historyków, zaprzyjaźnionych zresztą z jego promotorem.

Niedawno rozmawiałem z jednym wybitnym polskim historykiem. Jego ocena *Zarysu dziejów Ukrainy* brzmiała: „Bałem się, że będzie gorsza!”. Jest to ocena słuszna, biorąc pod uwagę warunki można było oczekiwać pracy zdecydowanie jednostronnej. Jeśli zdania ukraińskich czytelników są podzielone, to już można to potraktować jako zasługę autora.

Józef LEWANDOWSKI

Tadeusz ŻENCZYKOWSKI

### POPRAWKI DO „ZARYSU HISTORII PRL”

Przed kilku miesiącami w kraju — jeszcze przed powołaniem do życia Towarzystwa Kursów Naukowych — w środowiskach związanych z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela zaczął krążyć powielaczowy zeszyt pt. „Zarys historii PRL”. Z podtytułu wynika, że jest to pierwszy zeszyt planowanej, większej całości. Jako jego autorka figuruje Natalia Naruszewicz.

Tekst ten trafił na Zachód i można się było z nim zapoznać dzięki opublikowaniu go w Nr. 42 *Zeszytów Historycznych*. Nie wiem, czy ukazały się dalsze skrypty tej serii, ale lektura tego pierwszego nasuwa szereg uwag i refleksji.

Potrzeba zapoznania się z prawdziwą historią PRL jest zarówno pilna, jak i bezsporna. Wyrastają już w Polsce pokolenia, które nie znają ani pierwszych lat powojennych, ani późniejszych etapów rozwoju PRL. Publikacje historyczne, dotyczące pierwszego 30-lecia, są tendencyjne i zafałszowane. Tylko niektóre z nich są po latach korygowane lub uzupełniane.

Dlatego zrozumiałe jest dążenie do poznania minionej rzeczywistości w jej autentycznym kształcie. Każdy rzetelny wysiłek, zmierzający do zaspokojenia tych dążeń, zasługuje na uznanie, ale zarazem wymaga szczególnej odpowiedzialności, staranności i dokładności.

Duże znaczenie mają podjęte w tym kierunku krajowe inicjatywy w postaci wykładów lub skryptów. Można przypuszczać, że „Zarys historii PRL” Natalii Naruszewicz był pomyślany jako tego typu wydawnictwo. Czy jednak może należycie spełnić swoje zadanie? Mam co do tego poważne wątpliwości.

Nie kwestionuję dobrych chęci autora czy autorki, używającej tego pseudonimu, ale odnoszę wrażenie, że rozprawa była pisana zbyt pośpiesznie i bez należytej weryfikacji faktów. Proporcja objętościowa trzech rozdziałów tego zeszytu jest dyskusyjna. Trzeci z nich, poświęcony „tworzeniu podstaw PRL”, jest zbyt

szczypty i powierzchowny, chociaż zdawałoby się, że powinien być najobszerniejszy, zwłaszcza że dotyczy najbardziej ukrywanego w zakamarkach archiwalnych okresu.

Nie będę jednak analizował pracy pod kątem widzenia strukturalnym, a ograniczę się do niektórych tylko zagadnień. Zaczne od sprawy KPP.

Autorka nie dostrzegła, że KPP powstała *przed utworzeniem Międzynarodówki Komunistycznej*, której była jedną z założycielek. Pomija milczeniem fakt, że powołanie do życia KPP inspirowała Moskwa i czynny udział w zorganizowaniu zjazdu założycielskiego brali Polacy — niektórzy z nich byli działaczami partii bolszewickiej — przysłani z Rosji.

Niezrozumiałe jest całkowite zignorowanie przy omawianiu wojny polsko-bolszewickiej dwudziestego roku Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski, działającego w Białymstoku pod przewodnictwem Marchlewskiego i przy udziale Dzierżyńskiego. Był to wyraz sowieckiej koncepcji w sprawach polskich, powtórzonej — po skorygowaniu i w innym wydaniu — przy tworzeniu PKWN w czterdziestym czwartym roku.

Skrypt przemilcza również tak zwany „błąd majowy” KPP w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym roku, polegający — ze względów własnej taktyki — na poparciu zamachu Józefa Piłsudskiego. Ten błąd obciążał KPP przez szereg lat. Bezpodstawne jest dopatrywanie się przyczyny walk frakcyjnych w KPP jakimś tendencjom — używam określenia komunistycznego — „nacjonalistycznym”. Wszystkie walki frakcyjne KPP były związane z różnicami teoretyczno-politycznymi, nie mającymi nic wspólnego ze sprawami Polski. Wystarczy choćby zapoznać się z wytrwałą rywalizacją tak zwanych „większościowców” z „mniejszościowcami”.

Natalia Naruszewicz przemilcza istotną dla rozważań o KPP datę jej rozwiązania, a mianowicie decyzję Wydziału Wykonawczego Kominternu z maja tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku. Nie wyjaśnia również, że Tymczasowe Kierownictwo KPP — które mylnie nazywa Tymczasowym Komitetem — powstało już pod koniec trzydziestego siódmego roku, a więc przed rozwiązaniem partii.

Nie wiadomo dlaczego mianuje Stanisława Radkiewicza jego szefem, gdyż w rzeczywistości był on do tego Kierownictwa dookooptowany później i nigdy mu nie przewodził. Bez uzasadnienia przypisuje Radkiewiczowi jakąś szczególną zasługę posłusznego wykonania decyzji Moskwy o rozwiązaniu KPP. W ostatnim, pięcioosobowym składzie Kierownictwa — którego seniorem był Włodzimierz Zawadzki — tylko Leon Lipski przeciwstawiał się likwidowaniu partii. Wszyscy inni wypełniali zlecenia Dymitrowa z tą samą gorliwością co Radkiewicz.

Niesłusznie Naruszewicz twierdzi, że „odtworzenie KPP” rozpoczęto już na początku roku trzydziestego dziewiątego i nie zwraca uwagi, że decyzja Kominternu co do odbudowy polskiej



partii zapadła dopiero szesnastego maja tego roku. Gdy w Paryżu zaczynała działać pod kierownictwem Bolesława Mołojca tak zwana „Inicjatywna Grupa dla spraw polskich przy Międzynarodówce Komunistycznej”, nie było jeszcze mowy o regeneracji KPP.

Grupa ta prowadziła działalność propagandową — wydawała swój „Biuletyn Informacyjny” — i rozpoznawczą dla ustalenia, jacy dawni członkowie partii mogą być w przyszłości uznani za całkowicie „pewnych”. Zadania, jakie mieli wykonywać na polecenie Kominternu, nie były jeszcze wtedy ustalone.

Zasadniczy błąd polityczny popełnia Naruszewicz pisząc, że od zimy trzydziestego ósmego roku na trzydziesty dziewiąty Komintern rzuca nowe hasło — tworzenia „frontów narodowych do walki z faszyzmem”. Od siódmego kongresu Międzynarodówki Komunistycznej w lecie trzydziestego piątego roku — aż do agresji hitlerowskiej w czerwcu czterdziestego pierwszego roku — wszystkie partie komunistyczne obowiązywała uchwała kongresu o tworzeniu tak zwanych frontów ludowych.

Miały one działać wewnątrz poszczególnych państw i dążyć do uchwycenia władzy. W propagandzie nazywano to rozmaicie: nieraz jako „antyimperialistyczny front ludowy”, a czasem — jak na przykład w Polsce — „antyfaszystowski front ludowy”.

Rozpoczętą we wrześniu przez Hitlera wojnę zarówno uchwała Kominternu, jak i głośny artykuł Dymitrowa, uznały za wojnę imperialistyczną, wobec której partie komunistyczne powinny zachować stanowisko bierne. Wezwanie do tworzenia „frontów narodowych” ogłosiła Międzynarodówka Komunistyczna dopiero w dniu uderzenia armii niemieckich na Rosję. Fronty te miały natychmiast rozpocząć tak zwaną „walkę narodo-wyzwoleńczą” przeciwko Niemcom we wszystkich krajach okupowanych.

Jak widać, Natalia Naruszewicz nie rozróżnia dwóch zupełnie odmiennych w treści i w czasie decyzji politycznych Kominternu — czyli frontu ludowego od frontu narodowego.

Nie można się zgodzić z tezą Natalii Naruszewicz, jakoby w środowisku polskich komunistów — w okresie pomiędzy rozwiązaniem KPP a wybuchem wojny sowiecko-niemieckiej — zaczęły się krystalizować dwa przeciwstawne nurty: internacjonalistyczny i nacjonalistyczny. Nie ma to najmniejszego uzasadnienia w faktach. Trzeba to uznać za improwizację autorską nie popartą zresztą żadnym dowodem. Może to jednak tworzyć fałszywy obraz w pojęciach czytelnika, jeśli do skryptu podchodzi z ufnością.

W ogóle odnoszę wrażenie, że Naruszewicz nie sprawdza faktów i danych, na które się powołuje. Twierdzi na przykład, że w latach trzydziści dziewięć - czterdzieści jeden wokół Kominternu była skupiona nieliczna grupa działaczy KPP i przytacza kilka nazwisk. Wymienia — między innymi — Alfreda Lampe, Jakuba Bermana, Zofię Marchlewską i Bolesława Bieruta.

A tymczasem Lampe do wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej

przebywał w Białymstoku, a później został ewakuowany do pracy w stepowym sowchozie, zajmującym się hodowlą świń. Był to tak zwany swino-sowchoz imienia Czapajewa. Do Moskwy sprowadzono go dopiero pod koniec czterdziestego pierwszego roku.

Bolesław Bierut był najpierw w Kowlu, później znalazł się w Białymstoku, a po czerwcu czterdziestego pierwszego roku utknął na dłużej w Mińsku, gdzie po zajęciu go przez Niemców pracował w administracji okupacyjnej.

Marchlewska nosiła imię Bronisława, nie miała nic wspólnego z Kominternem i była w tym czasie wykładowcą w Akademii Wojskowej imienia Frunzego. Była natomiast pracowniczką Komitetu Wykonawczego Kominternu Zofia... ale Dzierżyńska, która zresztą wkrótce zaczęła odgrywać znaczną rolę w stosunkach między Kominternem a polskimi komunistami i została również mianowana kierowniczką redakcji rozgłośni imienia Tadeusza Kościuszki.

Do Bieruta Naruszewicz nie ma wyraźnie szczęścia. Pisze bowiem, że Komintern wysłał go do kraju, by formował „front narodowy”. A tymczasem do Warszawy ściągnęła go z Mińska jego ówczesna żona, Małgorzata Fornalska. Przywiózł go stamtąd w końcu lipca czterdziestego trzeciego roku specjalnie w tym celu wysłany Janek Krasicki. Montowaniem frontu narodowego zajmowali się już wcześniej Paweł Finder i Władysław Gomułka.

I jeszcze jeden przykład niedokładności autorskiej, związany z Bierutem. Natalia Naruszewicz pisze, że prezydentem KRN wybrany został Bierut jako bezpartyjny. Nie trudno jest stwierdzić — nawet w publikacjach krajowych — że na pierwszym inauguracyjnym posiedzeniu KRN Bierut wygłaszał programowe przemówienie w imieniu PPR. W roli bezpartyjnego zaczął występować publicznie dopiero pod koniec czterdziestego czwartego roku, chociaż nadal był utajonym członkiem Politbiura.

Pani Naruszewicz — nie zwracając uwagi na fakty — stworzyła teorię, że od początku istnienia PPR zwalczały się w niej dwie grupy: internacjonalistyczna i nacjonalistyczna. Ma widocznie na tym tle wyraźną obsesję, gdyż w niezgodzie z prawdą historyczną mówi wciąż o tym podziale wtedy, kiedy rzeczywiście jeszcze go nie było.

Najwybitniejszym z tego nurtu nacjonalistycznego był — jej zdaniem — Władysław Gomułka, który — jak pisze — w czterdziestym trzecim roku „wszedł w skład KC”. I znów niedbalstwo faktologiczne. Członkiem KC Gomułka został w grudniu czterdziestego drugiego roku, a w listopadzie czterdziestego trzeciego — po aresztowaniu Findera — sekretarzem KC.

Nie starczy mi już czasu i miejsca na inne przykłady braku dokładności autorki skryptu, który przecież powinien swoją ścisłością i wzorową dokumentacją prostować fałszywe i błędne oficjalnej historii PRL. Ale jeszcze kilka słów na zakończenie.

Naruszewicz przy rozważaniu swej prywatnej teorii o dwóch nurtach w PPR pisze — używając ulubionego przymiotnika — że najwybitniejszym z młodych dowódców AL o nacjonalistycznych przekonaniach był Mikołaj Demko, czyli Mieczysław Moczar. Czyżby rzeczywiście nie wiedziała, kiedy, skąd i z jakim zadaniem powrócił on do kraju po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej?

W innej części swej rozprawy uważa za najlepszych dowódców liniowych Moczara, Korczyńskiego i Księżarczyka. Nie wdaję się dziś w analizę co najmniej przesadnej kwalifikacji ich talentów wojskowych. Dziwi mnie tylko, że Naruszewicz nie wspomina o wielu innych dowódcach AL o niemniejszych chyba — z punktu widzenia PPR — zasługach od tej trójki. A przecież wszyscy trzej mają w Polsce ustaloną opinię, jako wysocy funkcjonariusze aparatu bezpieczeństwa. Analogiczną co wymienieni wcześniej w pozytywnych wzmiankach Radkiewicz i były Komendant Główny Milicji — poprzednio szef Sztabu Głównego AL — Józwiak-„Witold”.

W opracowaniu o genezie PRL uderza lakoniczność, z jaką autorka potraktowała armię Berlinga, Związek Patriotów Polskich oraz całkowite pominięcie roli Centralnego Biura Komunistów Polskich w Rosji. Chociaż skrypt doprowadzony jest do wydażeń z końca lipca czterdziestego czwartego roku — zabrakło w nim miejsca na przedstawienie, w jaki sposób powstawał w Moskwie PKWN i jego manifest.

Ze słów autorki wynika, że ocalała od katyńskiego losu — cytuję dosłownie — „kilkusetosobowa grupa oficerów z podpułkownikiem Berlingiem na czele” opracowywała plany utworzenia polskiej dywizji. Członkowie tej grupy — czytamy dalej w skrypcie — dwudziestego drugiego czerwca czterdziestego pierwszego roku podpisali deklarację gotowości wspólnej walki z Armią Czerwoną przeciwko Niemcom.

Skąd autorka doliczyła się kilkuset oficerów, współpracujących z Berlingiem — nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że pod tą deklaracją, o której wspomina, figuruje tylko trzynaście podpisów. Można to bez większego trudu stwierdzić na stronach 219-229 tomu VII-go „Dokumentów i materiałów do historii stosunków polsko-radzieckich”, który ukazał się w Warszawie w siedemdziesiątym trzecim roku.

Uwagi swoje kończę ogólnym stwierdzeniem. Czytelnik skryptu Natalii Naruszewicz nie znajdzie w nim pełnego, obiektywnego i dokładnego ujęcia tematu. Trafi w nim na wiele „błędów i wypaczeń” i faktów niezgodnych z prawdą — a szkoda, bo przecież tego rodzaju wydawnictwa powinny być rzetelnie opracowane i budzić zaufanie.

*Tadeusz ŻENCZYKOWSKI*

## LISTY DO REDAKCJI

Tel Aviv, 22 kwietnia 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

„Mój Wiek” Aleksandra Wata stanowi lekturę niezwykłą, miejscami pasjonującą. Składa się na to wiele elementów, przede wszystkim oczywiście sam substrat książki, jej materiał faktograficzny, dzięki któremu książka nabiera wagi dokumentu, świadectwa kłęski ideowej pewnego odczyna lat międzywojennych. Wydaje mi się, że również forma i sposób przygotowania książki przez odczytanie tekstu mówionego z taśmy magnetofonowej nadają jej w pewnym sensie rangę unikat. Nie z atrakcyjności lektury nie ujmują niezręczności tekstu, styl i interpunkcja nie pozbawione błędów, chropowaty styl gawędy, a nie „książkowy”, częste powroty do faktów, które już były omawiane — raczej chyba tę atrakcyjność wzmagają. Jednakże tu właśnie należy szukać źródła wielu omyłek, nieścisłości i luk. Ze względu na wagę książki, która może być przyczynkiem do poznania stosunkowo mało znanego wycinka epoki, należałoby te braki (może w przyszłych wydaniach) w jakiś sposób wyrównać.

Pomijam niemałą liczbę omyłek, które wynikły zapewne z błędnego odczytania zapisu na taśmie. Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa z innymi błędami, które wynikły stąd, że Wat pewnych rzeczy nie pamiętał, a przy redakcji tekstu ich nie poprawiono. A więc np. Bolestaw Piach (I, str. 265) nie był tylko „autorem książek dla dzieci” — jako członek zespołu literackiego „Przedmieście” był również autorem reportaży, które można by dziś określić mianem „sorealistycznych”. Debora Vogel (I, str. 369) była nie tylko „literatką żydowską” — napisała również w języku polskim powieść „Akacje kwitną”. Andrzej Wolica był nie tylko „poetą” (I, str. 235), pisał również prozę („Ulica Ogrodowa”). Książka Wandy Wasilewskiej o Polesiu (I, str. 286) wydana została w Polsce tuż przed wojną, Stalin nie mógł jej chyba znać już we wrześniu 1939 roku. Chodzi zapewne o pierwszą książkę Wasilewskiej „Oblicze Dnia”, która ukazała się w Rosji niemal równocześnie z wydaniem jej w Polsce, chyba w 1935 roku. Książka ta była dobrze znana w odpowiednich kołach w Rosji, jednakże przesadą byłoby mniemanie, że nawet ta książka była przyczyną kariery Wasilewskiej. Wasilewska miała niewątpliwie „kontakty” bardziej doniosłej wagi, chociażby przez „MOPR”, innych można się domyślać, mimo że była oficjalnie członkiem PPS. Sam Wat pisze zresztą w innym miejscu (I, str. 235): „W 1936 roku, to wiem... (Wasilewska) już była komunistką”.

Wprowadza również w błąd informacja o Karolu Kuryluku. Kuryluk nie był komunistą „od początku”. Jego dzieje są związane z historią lwowskich „Sygnałów” i może dlatego warto je przypomnieć. „Sygnały” były lwowskim pismem literackim bez jakiegokolwiek zdecydowanego oblicza politycznego aż do tzw. „Kongresu Pracowników Kultury” w 1936 roku, który odbył się we Lwowie w szczególnej atmosferze tuż po krwawych wypadkach lwowskich. Na tle stosunku do deklaracji ideowej tego Kongresu nastąpił w redakcji „Sygnałów” rozłam. Część członków zespołu redakcyjnego z „Sygnałów” ustąpiła i stworzyła nowe pismo literackie, apolityczne, pod nazwą „Lwów literacki”, przy którym skupili się m.in. Andrzej Kruczkowski, Stanisław Rogowski, Ostap Ortwin, Stanisław Blumenfeld, natomiast „lewicowcy” (m.in. Halina Górska i Tadeusz Hollender) pozostali. Kuryluk, który jako samodzielny publicysta się nie liczył i miał funkcję raczej administracyjną, podobno długo się wahał, aż wreszcie na swoim administracyjnym „jobie” pozostał. Stąd jego późniejsze kontakty z „lewicą” i kariera — kolejno w 1939 roku we Lwowie a po wojnie w Warszawie. Myślę, że na jego decyzję pozostania w lewicowych już „Sygnałach” wpłynęły nie tyle względy polityczne, co inne, bardziej przyziemne. Ale bądźmy obiektywni: w atmosferze po wypadkach lwowskich były możliwe także szczere „przesunięcia na lewo” — jak to się zdarzyło zresztą właśnie z Haliną Góorską i Tadeuszem Hollendrem, przedtem tylko lekko „różowymi”. Wydaje mi się zresztą, że Kuryluk był w ogóle człowiekiem uczciwym.

Friedrich Wolff — lekarz i dramaturg, autor „Cjankali”. Może warto wspomnieć, że był potem pierwszym ambasadorem N.R.D. w Polsce, a jego syn jest obecnie szefem wywiadu wschodnich Niemiec.

„Trockista”, o którym wspomina Wat na str. 240 (cz. I) nazywał się Wahl, a nie Wohl. Był on w ruchu komunistycznym w Polsce postacią dość znaną. Przeżył co prawda wszystkie więzienia w Rosji, ale uwięziony ponownie w Polsce dalszych prześladowań już nie zniósł i umarł, chyba w więzieniu.

Warto też przypomnieć kilka nazwisk, których Wat nie pamięta. Więc wspomniany przez niego członek redakcji „Czerwonego Sztandaru” we Lwowie za sowietów, a później organu „wojska ludowego” w Warszawie (ale chyba nie „Polski Zbrojnej”, jak pisze Wat na str. 280 — cz. I — lecz „Żołnierza Wolności”) nazywał się Józef Płoński. Autorem słynnego artykułu w „Czerwonym Sztandarze”, którego nazwiska Wat nie wymienia, był Kolski. Wat mówi o nim jako o człowieku „czystym”, w tym sensie, że nawet taki przyzwoity, a taki artykuł napisał (bo kazali). Być może. Ale pamiętam dobrze, jakim wstrząsem był dla mnie ten artykuł-donos, napisany ohydnie (Broniewski — „oficer dwójki”, Wat — „dobrze znany w Warszawie z propagowania trockizmu” itd., a kto wie, co ten *slang* w terminologii sowieckiej oznacza, nie może mieć wątpliwości, że był to już wyrok — i to niemal nazajutrz po aresztowaniu). Mowa zresztą w artykule tylko o pięciu aresztowanych literatach — oprócz Broniewskiego i Wata również o Wojciechu Skuzie, Tadeuszu Peiperze i Anatolu Sternie, z równie ohydnyimi epitetami — innych, również aresztowanych, ale mniej ważnych, a może mniej lewicowych, nawet nie wspomniano. Była to bowiem pierwsza jawna rozprawa z lewicowymi pisarzami polskimi — i to miał za zadanie uwypuklić artykuł. Zadanie ohydne nawet dla komunisty — ale Kolski wypełnił je znakomicie.

Nie myślę, że nazwanie „Lewego Toru” „pismem nauczycielskim” jest uzasadnione, mimo że współpracowali z nim również nauczyciele (m.in. Teofil Wojęński, późniejszy kurator Okręgu Szkolnego Warszawskiego). Było to po prostu pismo lewicy PPS. Nie musiał też Wat oczywiście wymieniać wszystkich legalnych pism komunistycznych w Polsce lat trzydzie-

tych, ale wydaje mi się, że nie należało pomijać „Lewara”, „Przekroju Tygodnia” — pisma wycinków z prasy krajowej i zagranicznej (świetnie robionego przez Anatola Matywieckiego — późniejszy pseudonim „Nastek” — który zginął w Powstaniu Warszawskim), na którym wzorowane jest peerełowskie pismo „Forum”, czy też „Tygodnika Ilustrowanego”, redagowanego przez Janusza Kowalewskiego.

Na zakończenie parę śmiesznotek. Skrót „O.N.R.” nie znaczył „Organizacja Narodowo-Radykalna” (str. 92, cz. I) ale „Obóz Narodowo-Radykalny”. Miłosz powinien był tę omyłkę poprawić.

No i, jak wszystkim wiadomo chociażby z lektury Pilniaka, Wołga nie wpływa do morza Czarnego, tylko do Kaspijskiego. Ale to już inna kategoria omyłek, mniej ważna, bo nie ma niebezpieczeństwa, że przyszłych historyków wprowadzi w błąd.

I jeszcze błąd, który może mieć reperkusje nieprzyjemne. Aresztowanych Żydów sowieckich pytają w celi jak im się żyje na wolności (II, str. 169). Odpowiadają: „Man drejc sich” (powinno być właściwie „men drejt zich” — co Wat tłumaczy „kręci się”. Jaśniej oddałoby intencję tej odpowiedzi, gdyby jej tłumaczenie na polski brzmiało „jakoś się kręci” (czyli „jakoś tam idzie”). Przykro byłoby, gdyby polski czytelnik tę odpowiedź niewłaściwie zrozumiał.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i poważania,

Prof. Dr E. J. FEUERMAN

Franciszek Kamiński  
ul. Polna 18/20 m. 87  
Warszawa

Warszawa, dn. 2 stycznia 1978 r.

Minister Kultury i Sztuki  
ul. Krakowskie Przedmieście 15/17  
Warszawa

Dotyczy: *Falszowania historii w filmie pt. „Polskie Drogi”.*

Każda wojna pozostawia po sobie nie tylko zniszczenia materialne, ale również i pewne spustoszenia w dziedzinie moralności. Obok tego po drugiej wojnie światowej wystąpiło w naszym życiu publicznym, w niebawale wysokiej skali, zjawisko wrażliwości na prawdę. To ujemne zjawisko, obce duchowi naszego narodu, pełni się bez żadnych przeszkód a szczególnie wyraz znajduje w publikacjach historycznych, dotyczących drugiej wojny światowej. Pewna kategoria ludzi bez skrupułów zniekształca prawdę historyczną, zmyśla fakty i okoliczności, które nie miały miejsca, feruje fałszywe oskarżenia, oceny itd., itd.

Ostatnio telewizja polska wyświetlała serial filmowy pt. „Polskie Drogi”, którego twórcy — Jerzy Janicki i Janusz Morgenstern, w 10-tym odcinku — „Himmlerland”, zaprezentowali swoistą wersję tragicznych wydarzeń na Zamojszczyźnie w okresie od listopada 1942 roku do połowy roku 1943. Autor scenariusza i reżyser filmu dopuścili się w tym odcinku niesłychanego i karygodnego deformowania faktów i realiów, co w połączeniu z płytką ujęciem oraz uproszczeniami i pomieszaniem różnych wątków akcji, wywołało słuszne oburzenie i głośny protest u odbiorców, znających wydarzenia na

Zamojszczyźnie z własnych bezpośrednich przeżyć, jak również i u tych, którzy je poznali z zapisów historycznych.

Wprawdzie nie jest to film dokumentalny, ale i w filmie fabularnym opartym na kanwie historycznej, nie wolno wymyślać dziwacznych postaci, obrażając warstwę społeczną naszego narodu, która w największym stopniu dźwigała na swych barkach cały ciężar walki z niemieckim najeźdźcą — żywiła i broniła i pierwsza wystąpiła zbrojnie w obronie zagrożonego wyniszczenia narodu.

Jest sprawą zwykłą i naturalną, że każdy rzetelny twórca filmowy, zanim przystąpi do realizacji jakiegoś tematu, poprzedza to gruntownymi studiami, stara się dotrzeć do źródeł i zapoznać się z istniejącymi dokumentami. Źródeł zaś dotyczących martyrologii Zamojszczyzny jest dostatecznie dużo, zarówno niemieckich, jak i polskich. Trudno nawet przypuścić, aby twórcom filmu nie był znany pamiętnik generalnego gubernatora — Hansa Franka, czy też wydana w 1977 roku dwutomowa praca prof. Czesława Madajczyka pt. „Zamojszczyzna” — „Sonderlaboratorium SS” albo praca dra Jerzego Markiewicza „Bataliony Chłopskie w obronie Zamojszczyzny”. Niezależnie od tego związane i skrótove informacje o tragedii Zamojszczyzny można znaleźć we wszystkich encyklopediach, jak „Wielka Encyklopedia Powszechna PWN” i w wielu innych pracach i publikacjach. Z polskich źródeł każdy może się dowiedzieć, że walkę zbrojną w obronie wysiedlanej i eksterminowanej wiejskiej ludności Zamojszczyzny rozpoczęły Bataliony Chłopskie w grudniu 1942 roku.

Szczegółowy plan działań zbrojnych Batalionów Chłopskich w obronie Zamojszczyzny został opracowany 8 grudnia 1942 roku na odprawie w Zamościu z udziałem moim, jako Komendanta Głównego Batalionów Chłopskich oraz komendantów Bat. Chłop. obwodów: zamojskiego, tomaszowskiego, biłgorajskiego i hrubieszowskiego. W następstwie zapadłych tam decyzji Bataliony Chłopskie, poza licznymi akcjami odwetowymi, stoczyły ze zbrojnymi siłami niemieckimi trzy bitwy w otwartym polu: pod Wojdą w dniu 30 grudnia 1942 roku wspólnie z oddziałem partyzantów radzieckich pod dowództwem kpt. Wasyla Wołodina oraz pod Zaborecznem i Różą w dniach 1-2 lutego 1943 roku. Czynną walkę w tym czasie podjęły również niektóre miejscowe oddziały AK. Po bitwie pod Zaborecznem i Różą okupant hitlerowski przerwał akcję wysiedleńczo-eksterminacyjną i rozpoczął ją ponownie dopiero w drugiej połowie czerwca 1943 roku. Tymczasem film pp. Janickiego i Morgensterna nie wspomina ani jednym słowem o Batalionach Chłopskich i o AK. Dlaczego? Przecież trudno posądzić ich o zupełną ignorancję.

Niedopuszczalne jest przedstawienie tragicznych wydarzeń na Zamojszczyźnie w sposób taki jak to zrobili twórcy filmu w 10-tym odcinku serialu. Odcinek ten cechuje prymitywizm, naiwność i w ogóle niedorzeczność. Kto zatwierdził takie brednie do realizacji? Czy nie lepiej było pokazać, zgodnie z prawdą historyczną, wykradanie i wykupywanie pojedynczych dzieci przez ludność na stacjach kolejowych w Łukowie, Siedlcach, Garwolinie, Celestynowie i Warszawie?

Kto wyдумаł karykaturalną postać gospodarza, odprowadzającego Niemcom „ostatnią krowę i córkę”? Przecież to jest obraza chłopca polskiego, który tam na Zamojszczyźnie bronił ziemi polskiej w sposób zorganizowany. To jest fałsz, że chłopci szli do Niemców i dobrowolnie oddawali im swoje mienie. Było wprost przeciwnie: z rodzinami i z całym dobytkiem uciekali do wsi nie objętych wysiedlaniem i do sąsiednich powiatów i to należało pokazać, a nie wymyślanie dziwolągów. To wszystko wypadło niedorzecznie i obrażająco.

Realizatorzy filmu już od pierwszego odcinka serialu wierzą we wszechmoc pieniądza i łapówki. Skąd ta obsesja? Wydaje mi się, że własnych przeświadczeń nie konsultowali z nikim. A szkoda.

I wreszcie sprawa choinki. Kiedy ją urządzono? Jak powszechnie wiadomo, tragedia dzieci Zamojszczyzny rozgrywała się na przełomie grudnia 1942 i stycznia 1943 roku. W tym czasie oddziałów GL jeszcze nie było na tym terenie. Według raportu „Grzegorza” Korczyńskiego — dowódcy oddziału partyzanckiego GL im. T. Kościuszki (raport z dn. 27 lutego 1943 roku, zamieszczony w pracy prof. Cz. Madajczyka) ściągnął on w rejon lasów ordynacji zamojskiej około 13 lutego 1943 roku. Inne oddziały GL na tym terenie nie działały. Nie mogło więc ich być i pod Wojdą. Podchorąży Nowiński, prezentując łącznicze trofea zawieszane na choince, objaśnia mimochodem: — to spod Biłgoraja, a to spod Wojdy. Bitwa pod Wojdą stoczona została przez B.Ch. w dniu 30 grudnia 1942 roku. Kiedyż więc była urządzona choinka? Kto wymyślił te bzdury i po co?

Prezentowanie takich niedorzeczności w środkach masowego przekazu szkodzi naszemu łaadowi społecznemu i oczywiście — Polsce. Scena z wykupem całego wagonu wysiedlonych dzieci z Zamojszczyzny może posłużyć naszym wrogom za przykład preparowania „faktów” historycznych i obciążania nimi Niemców. Jaki więc cel przyświecał pp. Janickiemu i Morgensterowi przy opracowaniu i realizacji 10-go odcinka serialu filmowego „Polskie Drogi”? Odcinek ten wywołał słuszne oburzenie i potępienie jego twórców za bezceremonialne fałszowanie prawdy historycznej.

Przyłączając się do tych protestów uważam, że byłby najwyższy czas, aby środowiska twórcze pouczyć o podstawowych obowiązkach: poszanowania prawdy historycznej i narodowych tradycji.

Na pewno istnieje w Polsce powszechnie odczuwany głód prawdy. Istnieje również głód wiedzy historycznej i zapotrzebowanie na publikacje i opracowania o tematyce historycznej opartej na prawdzie. Historycy, pisarze, publicyści i różnego rodzaju twórcy powinni jednak zawsze pamiętać, że naczelnym ich obowiązkiem jest służyć prawdzie i narodowi. Twórcy omawianego filmu zapomnieli o tym.

Panie Ministrze. Powołując się na liczne protesty ze strony społeczeństwa, szczególnie wiejskiego oraz byłych żołnierzy B.Ch. — domagamy się przepracowania na nowo 10-go odcinka serialu zgodnie z prawdą historyczną. Jest niedopuszczalne, aby w przyszłości mógł on być wyświetlany w obecnej wersji.

Łączę wyrazy należnego poważania,

*plk Franciszek KAMIŃSKI*  
b. Komendant Główny  
Batalionów Chłopskich

Do wiadomości:  
Stanisław Gućwa  
Prezes Zjednoczonego  
Stronnictwa Ludowego  
ul. Grzybowska 4, Warszawa

Zakład Historii  
Ruchu Ludowego przy NK ZSL  
ul. Grzybowska 4, Warszawa



## SPIS TREŚCI

Gracjan Jaworowski: <i>Nieznana relacja o grobach katyńskich</i> .....	3
Adam Zieliński: <i>Korespondencja z Jerzym Stempowskim</i> ..	8
Ks. inf. Teofil Skalski: <i>Garstka wspomnień z mego życia</i> (1)	57
Mieczysław Krzepakowski: <i>Wspomnienia dziennikarza z czasów okupacji (Wilno 1939-1941)</i> .....	139

## DOKUMENTY

<i>Historyczne wywiady sprzed 40-tu laty</i> (prof. Olgierd Górka i poseł Z. Dreszer) .....	171
---	-----

## CI CO ODESZLI

Z. S. Siemaszko: <i>Stanisław Szabunia</i> .....	186
--	-----

## KSIĄŻKI

„ <i>Nothing but Honour</i> ” J. K. Zawodnego (Recenzja zbiorowa: Jan Ciechanowski, Stefan Korboński, Jan Nowak i Andrzej Pomian) .....	200
Jan Ciechanowski: <i>Powstanie Warszawskie w dokumentach</i>	220
Józef Lewandowski: <i>Historia Ukrainy</i> .....	225
	239

## POLEMIKI

Tadeusz Żenczykowski: *Poprawki do „Zarysu historii PRL”* 229

## LISTY DO REDAKCJI

- E. J. Feuerman: *Uwagi na marginesie książki Aleksandra Wata pt. „Mój wiek”* ..... 234
- Franciszek Kamiński: *List do ministra Kultury i Sztuki w Warszawie w sprawie fałszowania historii w filmie pt. „Polskie Drogi”* ..... 236

Dar  
Instytut Polski  
w Sztokholmie

„ZESZYTY HISTORYCZNE” UKAZUJĄ SIĘ CO  
KWARTAŁ NA POZATKU LUTEGO, MAJA,  
SIERPŃIA I LISTOPADA KAZDEGO ROKU.

PRENUMERATA ROCZNA — F. 140,00.

PRENUMERATA ROCZNA DLA  
PRENUMERATORÓW „KULTURY” — F. 120,00.  
CENA EGZEMPLARZA W ROKU 1978 — F. 35,00.

Cena 35 F.